

# Robert Rankin

# Księga prawd ostatecznych

The book of ultimate truths  
Tłumaczył: Paweł Wieczorek  
Wydawnictwo Zysk i S-ka

*Książkę tę dedykuję Freddy'emu Merkury  
- staremu kumplowi z Ealing School of Art.*

*Fred, uczyniłeś świat weselszym  
i oszedłeś na zawsze,  
nie oddawszy mi trzech funciaków,  
które pożyczyłeś  
w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.  
Stary, brakuje nam ciebie.*

## Wstęp

W dawnych czasach miał wiele wcieleń. A może jeszcze więcej. Krążył po Ziemi jako Nostradamus, ojciec króla Artura Uther Pendragon, hrabia Cagliostro i Rodrigo Borgia - choć najprawdopodobniej w innej kolejności. Znał siedemnaście języków, grał w strzałki z Dalajlamą i dzielił śpiwór z Rasputinem, Albertem Einsteinem, Lawrence'em z Arabii i George'em Formbym.

Cieszył się boską czcią we wschodnim Acton, a kiedyś wspinał się na Mount Everest w bonzurce i pumpach po to tylko, by wygrać zakład z Oscarem Wilde'em.

Odbył podróż na Wenus w towarzystwie George'a Adamskiego, wynalazł na nowo okarynę, a jego kukła została spalona przez Cech Mieszczek Chiswick.

Był mistrzem fechtunku, wyśmienitym kucharzem, podróżnikiem, poetą, malarzem, stygmatykiem, guru dla niejednego guru i nienawidził Buda Abbotta.

Umiał otworzyć zębami puszkę sardynek, zapalić o podbródek zapałkę, łapać na łąso byczki, prowadzić parowóz i nucić wszystkie utwory duetu Gilbert and Sullivan, nie popadając w zażenowanie ani nie wybuchając płaczem.

Był prymusem w Oksfordzie, roztrwonił trzy fortuny, posiadał tysiąc kobiet, narkotyzował się w najdziwniejszy sposób, duszę zaprzedał rock'n'rollowi i niewiele brakowało, by A. Einsteinowi sprzątnął sprzed nosa Nagrodę Nobla. Miał zakaz wstępu do wszystkich chińskich barków makaronowych w zachodnim Londynie i zmarł bez grosza, w dziewięćdziesiątym roku życia, w pewnym pensjonacie w Hastings.

Nazywał się Hugo Artemis Solon Saturnicus Reginald Arthur Rune i nigdy się nie nudził.

Napisał ponad osiem milionów genialnych słów. Jego autohagiografia: Najwspanialszy człowiek wszechczasów, jest kroniką żywota wielkiej osobowości, człowieka unikającego naszej codzienności, lekceważącego prawa zwykłego obywatela, drwiącego z obowiązujących konwencji, ponownego wynalazcy okaryny i śmiertelnego wroga Buda Abbotta.

Był wybitnym wśród wybitnych, od których aż roilo się w jego epoce. Kładł się przeogromnym cieniem na wszelkie modne miejsca swoich czasów. Był zaufanym królów i przestępców, papieży i zawodowych bokserów, latarników i sprzedawców damskiej bielizny, wynalazców i wyrzutków.

Rzecz dziwna - dziś popadł w niemal całkowite zapomnienie.

Jego główne dzieło: Księga prawd ostatecznych, dawno zniknęło z księgarskich półek. British Library w ogóle neguje istnienie takiej publikacji. Smith's nie jest w stanie jej sprowadzić, a opublikowane niedawno wydanie prywatne okazało się wysokiej klasy oszustwem, splodzone przez - podającego się za biografę Rune'a - niejakiego Sir Johna Rimmera, ukrywającego się przed urzędnikami podatkowymi aż w Kalifornii.

Księga prawd ostatecznych to opus magnum Rune'a, encyklopedia zebranej przez niego wiedzy. Mistrz wyjaśnia w niej dokładnie - w zrozumiałych dla laika słowach - jak to naprawdę jest w życiu.

Wyjaśnia, dlaczego za każdym razem, kiedy złożyłeś naprawiany toster, zostają ci dwie drobne śrubki. Gdzie podziwiają się śrubokręty z żółtymi rączkami. Dlaczego wózki z supermarketów gromadzą się przy mostach nad kanałami. Skąd termos wie, jak odróżnić to, co ma nie wystygnąć, od tego, co ma się nie ogrzać. Dlaczego aspiryna odnosi jedynie przypadkowe sukcesy. Skąd się biorą wyboje na jezdni, gdzie znikają, gdy już przez nie przejechałeś, i dlaczego są tam zawsze, kiedy przejeżdżasz. Wyjaśnia mit prania „na sucho”. Metodę wróżenia z psich odchodów. W jaki sposób swetry firmy Arran rosną, kiedy śpisz. Dlaczego niemożliwe jest być pierwszym w kolejce na pocztę i wiele, wiele innych spraw.

W ciągu całego jego burzliwego życia Siły Ciemności, nękające go pod wieloma ludzkimi postaciami - mężów, którym przypisał rogi, pierwszego wynalazcy okaryny, Cechu Mieszczek Chiswick czy Towarzystwa Akceptacji Buda Abbotta - stale próbowały przeszkodzić mu w ujawnieniu prawd ostatecznych.

Należałoby dodać jeszcze posiadaczy nieruchomości i pensjonatów, właścicieli chińskich barów makaronowych w zachodnim Londynie, mleczarzy, krawców, szewców, producentów artykułów dla magików, agentów biur podróży oraz hurtowników win. Wszyscy oni kierowali się - jak mawiał Rune - „przedziwną poronioną zasadą, że Mistrz ma płacić rachunki tak samo jak motłoch”.

Mimo stałego zagrożenia zamachami i procesami, Hugo Rune nigdy nie obawiał się mówić, wymieniać nazwisk ani wyciągać oskarży cielsko palca. Jego skromnym celem było pomnażanie posiadanej przez ludzkość wiedzy oraz osobiste doprowadzenie do pokoju na świecie.

**KSIĘGA PRAWD OSTATECZNYCH MUSI WIĘC ZOSTAĆ PONOWNIE OPUBLIKOWANA DLA DOBRA NAS WSZYSTKICH**

## **Obchody Dnia Pokoju**

Cornelius Murphy był zbyt młody, aby pamiętać Dzień Pokoju, dlatego też poprosił wujka Briana, aby mu wszystko o nim opowiedział.

- No cóż, synu - zaczął wuj, sadwiąc się wygodnie na otomanie i ssąc ustnik fajki. - Co byś chciał wiedzieć?

- Były flagi?

- Flagi? - Wuj wyjął z ust wiekową fajkę z główką z morskiej pianki i wypuścił kłąb dymu. - Oj były, synu, i to jakie. Wszelkich kształtów i kolorów. Cała Sprite Street przypominała nabity znaczkami klaser. Wszędzie łopotały sztandary Zjednoczonego Królestwa, a ja wraz z twoją ciotką wywiesiliśmy z okien rolki papieru toaletowego, które rozwinęły się w sięgające niemal ulicy porce.

- A ciasta?

- Ciasta? Oj były, i to jakie. Stara Ma Riley upiekła placek w kształcie pałacu Buckingham, a dziewczyny z pralni bułeczki w kształcie znaków zwycięstwa, okrętów bojowych, lwów i tygrysów. Pamiętam nawet jedną specjalnie przypieczoną, która przed przecięciem wyglądała dokładnie jak cygaro Winstona Churchilla.

- Ojej. - Cornelius oplótł kolana ramionami. - A tańce, wujku? Ludzie tańczyli?

- Tańce? - Wuj zamachał energicznie fajką. - Oj, tańczyliśmy, i to jak, synu. Tańczyliśmy całą noc. Z kopalni przyszły dwie orkiestry dęte, z tubami, trąbkami i wielkimi bębnami. Tańczyliśmy, aż zabolowały nas nogi, a potem tańczyliśmy dalej.

Opadł plecami na oparcie, jakby samo wspomnianie tamtych wydarzeń wyzulo go z sił.

- A były ropuchy, wujku Brianie?

Zestaw pytań wyczerpał się i Cornelius natychmiast stracił zainteresowanie całą sprawą.

- Ropuchy? Oj były, i to jakie, synu. Wielkie jak psy. Tańczyły, śpiewały i grały na kobzach.

Właśnie wtedy Cornelius po raz pierwszy w życiu zetknął się z szaleństwem, a ponieważ był jedynie dzieckiem, zrobiło ono na nim spore wrażenie.

W szatni unosił się zapaszek przeпоconych tenisówek, spoconych ciał i nie mytych tyłków. Nie chciał zniknąć, choć odpowiedzialni za jego powstanie chłopcy byli już młodymi mężczyznami i poszli w świat szukać szczęścia.

Światło sierpniowego słońca przebijało się przez wysokie okna bez szczególnego entuzjazmu. Muskało puste szafki, nie używane wieszaki i luszczącą się farbę. Nie zainteresowało się w ogóle samotnym indywiduum, siedzącym na niskiej ławeczce stojącej przy oknie. Dlaczegoż miałoby to robić? Słońce ma wszak znacznie ciekawsze rzeczy do roboty, i to w miejscach dużo bardziej interesujących.

To samo dotyczyło osobnika na ławeczce.

Nazywał się Cornelius Murphy i był doskonałym materiałem na bohatera eposów.

Cornelius był wysokim młodzieńcem, jego tykowiaty korpus był nieproporcjonalnie długi. Kończyny dyndały nieporadnie i zdawały się nie wiedzieć, co ze sobą zrobić. Decyzję, co robić, podjęła już natomiast ciemna szopa na jego głowie. Włosy postanowiły zbuntować się przeciwko wszelkiej dyscyplinie i ułożyć w groźne fale. Zależnie od chwilowego nastroju, rozchodziły się we wszelkie możliwe strony.

Cornelius miał czoło, które kiedyś pewnie będzie szlachetne, delikatny orli nos, bystre szare oczy i szerokie, stworzone do uśmiechu usta.

W tej chwili nie uśmiechały się jednak.

Przekręcił zegarek na nadgarstku i sprawdził godzinę. Minęło właśnie wpół do dziesiątej rano. Czekał na niego świat.

Wstał, przeciągnął się i wysunął do przodu skoczniejszą nogę. Otworzył drzwi i przygotował się do ucieczki. W tym momencie drogę zastąpił mu krępy wuefista.

- Pracownia! - wrzasnął nauczyciel.

Zaopatrzona w irchę dłoń woźnego bez trudu sięgała we wszystkie zakątki okien pracowni, były więc czyste. Sierpniowe słońce wpadało przez nie z przyjemnością.

Czas pokrył patyną upstrzone efektami nieudanych eksperymentów chemicznych mahoniowe stoły robocze, które świeciły się niczym pokryte grubą warstwą polityry. Kasetka w edwardiańskim stylu kryła zdający się mrugać aparat, dzięki któremu ponad wszelką wątpliwość można było udowodnić prawo Boyle'a. Nęciły swym widokiem palniki Bunsena, szalki Petriego i stojaki do probówek. W szufladzie leżał papierek lakmusowy i dumał, jak się przebarwić.

Przy biurku pod oknem siedział bladej mężczyzna w ciemnym garniturze.

Czuł się zapędzony w kozi róg.

Nazywał się Insparrow i piastował funkcję inspektora do spraw zatrudnienia młodzieży.

Na barkach tego bladego i wychudzonego mężczyzny spoczywała ogromna odpowiedzialność, by każdemu opuszczającemu szkołę chłopcu, jeszcze przed końcem roku szkolnego, znaleźć pełnoetatową pracę, i pan Insparrow realizował swą misję jak opętany. Trzeba zresztą przyznać, że rzeczywiście był opętany.

Dzięki jego opiekuńczej dłoni szkoła cieszyła się znakomitą reputacją i to od pełnych pięciu lat. Dotychczas udawało mu się dopilnować, by każdy chłopiec wszedł na odpowiednią drogę życia, a udawało mu się to dzięki zastosowaniu pewnej metody, która - choć nie wywiedziona z przesłanek religijnych - była skuteczna.

Spadła ona na niego niczym oślepiające objawienie jeszcze w dzieciństwie. Grał wtedy w „Szczęśliwe rodziny” i zastanawiał się, dlaczego opisane na kartkach i nie bardzo. Wtedy tak szczęśliwe, podczas gdy jego własna prawda. Bum! Jak grom z jasnego nieba. Zrozumiał, że wszystko opiera się na nazwiskach i wykonywanych przez dane osoby zawodach. Jedno i drugie jest magicznie połączone! Pan Pączek jest piekarzem, a pan Mąka młynarzem. To wszystko. Było to tak oczywiste, że aż dziwne, iż nikt przed nim tego nie odkrył. Jeżeli chcesz być w życiu szczęśliwy, musisz znaleźć zajęcie, zaczynające się na tę samą literę, co twoje nazwisko.

Jakie to proste!

Z początku nieco się zmartwił, ponieważ w owym czasie pragnął z całego serca zostać rabusem kolejowym. Potem nieco się przeraził. Myśl, że tylko on posiadał podobną wiedzę, nieco go przytłaczała, skoro już ją jednak posiadał, nie było dlań drogi odwrotu. Jego przyszłość została wyznaczona. Zostanie panem Insparrowem, inspektorem do spraw zatrudnienia młodzieży, i przyczyni się do szczęścia tysięcy młodzieńców.

Przez ostatnie pięć lat to właśnie robił.

Co prawda, niejedynemu rodzicowi wielce się dziwił, dowiedziawszy się, jaką to pracę pan Insparrow wybrał dla jego latorośli. Zdawało się nawet, że niektórzy reagowali bardzo nerwowo - mówili coś o zarzucanych na gałęzie sznurach, wspominali o smole i pierzu, najczęściej jednak udawało się inspektorowi pacyfikować nawet najsilniejsze wybuchy rodzicielskiego gniewu. Tym, którzy pozostawali głusi na jego groźne monologi o straszliwym stygmacie społecznym, który z pewnością spadnie na nich, gdy przeszkodzą własnemu dziecku w otrzymaniu znakomitej pracy i skazą je tym samym na czyściec stania w kolejce po zasiłek, wspominał o ścianie wstydu, na której po wsze czasy widnieć będą wyryte wielkimi literami nazwiska burzycieli wspaniałej reputacji szkoły.

Większość rodziców była jednak bezgranicznie wdzięczna, że ich politowania godni chłopcy dostawali w ogóle jakąś pracę.

Pan Insparrow przewracał dokumenty wyjęte z potężnej, opasłej kartonowej teczki. Na jej okładce napisane było wielkimi, czerwonymi literami CORNELIUS MURPHY.

Cornelius skończył właśnie ostatni rok nauki i obmierzłe chłopaczysko ciągle pozostawało bez pracy. Dla pana Insparrowa to jakby spełnienie się koszmarnego scenariusza.

Kiedy galopujący zegar odmierzał ostatnie chwile nauki Murphy'ego, pan Insparrow zadzwonił do jego ojca i odbył z nim gorączkową rozmowę. Obaj panowie zgodzili się, że Cornelius pozostanie w szkole do czasu, aż uda się załatwić sprawy jak należy. Murphy senior okazał się po prostu barbakanem siły i fortecą moralności. Stwierdził, że nie mógłby znieść myśli, iż syn kała dobre imię jego własnej Alma Mater, sumienie nie pozwoliłoby mu jednak na dwulicowość. Zaproponował więc wzniosły kompromis.

Cornelius pozostanie w szkole, aż uda się znaleźć dla niego pracę z prawdziwego zdarzenia. W trakcie oczekiwania - aby nie ucierpiała reputacja szkoły - powinien zostać zatrudniony w jakimś charakterze i otrzymywać pensję. Na przykład jako asystent inspektora do spraw zatrudnienia młodzieży. Panu Insparrowowi spodobał się ten pomysł.

Od tamtej pory minął miesiąc, w trakcie którego inspektor coraz rzadziej widywał Corneliusa Murphy'ego. Dziś nadszedł czwarty dzień wypłaty i pan Insparrow gotów był dać wiele, aby okazał się ostatnim.

Otworzyły się drzwi i mocno pchnięty Cornelius wpadł do pracowni.

- Siadaj - powiedział pan Insparrow, nie podnosząc głowy znad papierów.

Cornelius wybrał krzesło przy samych drzwiach.

- Tutaj. - Pożółkły od nikotyny palec wskazał na krzesło przed biurkiem. Cornelius, powłócząc nogami, podszedł i hałaśliwie zajął miejsce. Uśmiechnął się do pana Insparrowa, ten jednak nie odwzajemnił uśmiechu. Dzielił ich metr blatu i ponad dziewiętnaście milionów kilometrów.

Pan Insparrow przybrał stanowczą minę i w dalszym ciągu przewracał leżące przed nim kartki. Czynił to powoli i starannie. Bez odrobiny zniecierpliwienia.

Cornelius obserwował inspektora. Spostrzegł, że jego uszy, tak podświetlone słonecznym światłem, że niemal przezroczyste, bardzo przypominają parę ludzkich embrionów, blaszki łupieżu zaś na lewym ramieniu odwzorowują układ gwiazd w Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zauważył również, że pochodzący od nikotyny soczysty pomarańcz na końcach palców jest niemal identyczny z kolorem stosowanym przez francuskiego malarza Saint-Martina, który dla osiągnięcia tego efektu korzystał z mielonych kawałków serca Ludwika XIV. Nie uszło też uwagi Corneliusa, że kropla potu nad lewą brwią pana Insparrowa jest jakby miniaturą całego wszechświata.

Inspektor w dalszym ciągu przewracał kartki. Od czasu do czasu podnosił głowę, by spojrzeć na Corneliusa i z powątpiewaniem kręcił głową. Irytowało to nieco Corneliusa, ponieważ jednak chełpił się tym, że jest w stanie przefrunąć przez każdą rozmowę z panem Insparrowem bez wypowiedzenia choćby jednego słowa, powstrzymywał się od komentarza.

Po pewnym czasie pan Insparrow rozparł się wygodnie w fotelu, głęboko westchnął i wbił wzrok w Murphy'ego.

- No to niezły bigos - stwierdził. Cornelius z namaszczeniem skinął głową.

- Wiesz, co mi przychodzi na myśl, kiedy widzę takiego młodzieńca jak ty?

Cornelius pokręcił głową. Nie wiedział. Wcale go to nie obchodziło.

- Myślę tak samo jak nasz sławny John Bradford, kiedy ujrzał prowadzonych na śmierć skazańców: „Jak łatwo, bez pomocy Boga, i mnie mogło to osiągnąć”.

Cornelius miło się uśmiechnął i wstał, by z boską pomocą odejść.

- Siadaj! - Cornelius usiadł. - Myślę - ciągnął pan Insparrow, ściskając płatek ucha (gdyby było ludzkim embrionem, skończyłoby się to dla niego co najmniej uszkodzeniem mózgu)-myślę: „Cóż mógłbym uczynić dla tego niewdzięcznego wyrostka?”

Cornelius ziewnął.

- Siedź prosto, chłopcze.

Cornelius z niechęcią zaczął wypełniać polecenie. Jego włosy dokonały pozaplanowego rzutu na bakiurkę. Zdecydowanym ruchem przeniósł je więc na sterburkę.

- Oto twoje akta. - Pan Insparrow trącił dowody grzechu. - Opowieść o nieszczęściu. Stałe nieobecności. Żadnego zaangażowania. Kiepskie wyniki egzaminów. Stracone szansę. Zignorowane dobre rady. Żadnej próby ustąpienia i poprawy. Wypełniłeś formularz zgłoszeniowy, który ci dałem?

Cornelius pamiętał ten formularz - zrobił z niego samolocik. Wspominano w nim o „montażu maszyn”, ale gwiazda montowania maszyn nie płonęła zbyt jasno na prywatnym firmamencie Corneliusa.

- Podejrzewam, że go zgubiłeś. Cornelius skinął głową.

- Głośniej!

Cornelius głośniej skinął głową.

- Na ile rozmów wstępnych cię wysłałem? Cornelius zaczął w milczeniu liczyć na palcach.

- Na siedem!

Cornelius pomyślał, że to może się zgadzać. Nie zamierzał się spierać.

Pan Insparrow sam dla siebie odczytał listę. „Mechanik, marynarz-handlowiec, motorniczy kolejki podmiejskiej, murarz nagrobków, motocyklista-goniec, mediator małżeński, model męski”. Każdy z tych zawodów był jakby stworzony dla Murphy’ego. Co działo się z tym chłopakiem? Czyżby nie pozwalał sobie pomóc? Pan Insparrow pokręcił głową. Jeszcze nigdy nie spotkał chłopca, który tyle razy bez powodzenia przystępowałby do rozmów kwalifikacyjnych.

Kiedy jednak - nie wiadomo który już raz - przyjrzał się uważnie powodowi odmowy przyjęcia Murphy’ego, musiał przyznać, że trudno obwiniać wysokiego młodzieńca.

Uznano, że „zbyt dobrze się wysławia”, aby pracować jako motocyklista-goniec, jest „zbyt wyrafinowany”, aby zostać mediatorem małżeńskim, „zbyt szorstki” na męskiego modela, „zbyt delikatny” na mechanika. I tak dalej.

- Nic z tego nie rozumiem. - Pan Insparrow kolejny raz pokręcił głową. - Posłałem cię na siedem rozmów kwalifikacyjnych. Wiem, że robiłeś, co mogłeś, wszyscy bowiem, którzy z tobą rozmawiali, dzwoniли do mnie i chwalili cię jako znakomitego gościa. Każdy jednak zaczynał w którymś momencie podle przepraszać, że z powodu jakiegoś niedorzecznego drobiazgu nie może cię zatrudnić. Jak można być „zbyt wysokim” na murarza nagrobków?

Cornelius wzruszył ramionami. Podejrzewał, że może to mieć związek z przeciętną wysokością płyt nagrobkowych.

- Po prostu nie rozumiem tego - kontynuował pan Insparrow. - Twoje wyniki szkolne są przełajające, ale brylujesz podczas rozmów kwalifikacyjnych. Brylujesz, jednak nikt nie chce cię zatrudnić. To niezły bigos i nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

Cornelius przytaknął w myśli.

Pan Insparrow przyciągnął ku sobie długie pudełko z fiskami, poślinił palec i zaczął przerzucać zawartość. Cornelius zauważył, że drewniany uchwyt na końcu sznurka do podnoszenia i opuszczania żaluzji w oknie ma kształt żołędzia. Musiała to być pozostałość po wierze w to, że dąb, ulubione drzewo Boga Piorunów, może uchronić przed uderzeniem błyskawicy.

- Aha! - Pan Insparrow wyciągnął z pudełka kartę i zamachał nią wysoko. - Boże drogi! - Uśmiechnął się do Corneliusa, któremu zrobiło się nieswojo. - Mam! Oto bilet. - Popatrzył na Corneliusa zwięzonymi oczami. - Wiesz, co tu mam?

Cornelius pokręcił głową.

- Jesteś pewien? Cornelius skinął głową. Pan Insparrow zachichotał.

- Na pewno jesteś pewien?

Cornelius ponownie skinął głową.

Pan Insparrow ponownie zachichotał.

- Jesteś pewien, że na pewno jesteś pewien?

Cornelius podrapał się po głowie, wzniciając kolejny bunt armii włosów.

- Znakomicie, rewelacyjnie. - Inspektor do spraw zatrudnienia młodzieży wyjął z teczki formularz. Wypełnił go wiecznym piórem. Osuszył bibułą. Złożył i wsunął do koperty. Zakleił ją. Wielkimi, drukowanymi literami napisał z przodu nazwisko i adres. Osuszył czarne litery bibułą i podał swe dzieło Corneliusowi Murphy'emu. - Proszę. Nie zgub tego. Idź prosto pod adres na kopercie i zapytaj o monsieur Messidora. Bądź sobą. Rozumiesz? Nie staraj się przesadnie dobrze wypaść. Bądź jedynie sobą.

Cornelius patrzył lekko oszołomiony.

- Znakomicie! - pisał pan Insparrow. - To jest to! Idź już, zadzwonię i zapowiem cię.

Cornelius wstał, przewracając krzesło. Zazwyczaj było to kwitowane lodowatym spojrzeniem, ale tym razem stało się inaczej. Pan Insparrow ryknął śmiechem i znów powtórzył:

- Znakomicie!

Cornelius zawahał się przez moment, nim wyciągnął prawą dłoń. Pan Insparrow również chwilę się zawahał, w końcu wsunął w nią stanowiący wyplątę Corneliusa pliczek banknotów. Cornelius podziękował skinieniem głowy, a pan Insparrow klasnął w dłonie.

Nim Cornelius dotarł do drzwi, inspektor zaczął sprzątać biurko. Zanim młodzieniec zdążył przejść przez boisko i wyjść na ulicę, inspektor wyciągnął nogi na blacie i wyjął z kieszeni papierysy.

\*\*\*

Słońce padało na szybę w oknie pracowni. Na zewnątrz, na kupie koksu, siedział emerytowany kocur i marzył o Clarze Bow.

Nim zadzwonił telefon, popielniczka była pełna, a paczka szlugów pusta. Monsieur Messidor mówił z ciężkim francuskim akcentem.

Z zachwytem stwierdził, że jeszcze nigdy nie spotkał podobnego chłopca. Chłopca, który dzięki błyskotliwej osobowości i porażającej inteligencji ma w niedalekiej przyszłości zapewnioną sławę. Nie wiedział, jak dziękować panu Insparrowowi za możliwość poznania kogoś takiego. Możliwość szkolenia tak utalentowanego chłopca to zaszczyt, który można porównać jedynie z zaszczytem otrzymania Legii Honorowej.

Pan Insparrow wziął głęboki wdech i westchnął z bezbrzeżną ulgą.

- Nareszcie!

- Niestety - kontynuował monsieur M. - z przykrością muszę stwierdzić, że mistrz Murphy jest zbyt utalentowany, aby zostać mimem.

Pan Insparrow zakrył twarz dłońmi i zaczął pochlipywać.

W znajdującej się niedaleko szkoły budce telefonicznej Cornelius Murphy delikatnie odwiesił słuchawkę. Dokładnie tak samo jak siedem razy wcześniej. Jeżeli doliczyć sławetną jedenastogodzinną konferencję na szczycie, to osiem.

- Świat czeka! - powiedział pan mistrz mimiki, Murphy.

Świat rzeczywiście czekał.

2

W lecie 1967 roku Hugo Rune wygłosił serię wykładów w Rondo Hatton Memoriał Hali w Brentford, w zachodnim Londynie.

Zostały one sfilmowane, niestety nieznane jest miejsce, gdzie obecnie znajduje się ten historyczny materiał. Zachowały się na szczęście transkrypty wykładów, a są to dokumenty fascynujące. Ukazują nie tylko niewątpliwy geniusz Rune'a, ale także jego zadziwiającą charyzmę oraz niezawodną umiejętność oczarowywania słuchaczy.

#### TRANSKRYPT Z WYKŁADÓW HUGONA RUNE'A.

##### WYKŁAD SIÓDMY. PRAWDY UNIWERSALNE:

Wy chcecie je poznać. Ja już je znam.

Rune pojawia się na wypełnionej po brzegi sali z ponadgodzinnym opóźnieniem. Siedzi w wyściełanym palankinie, niesiony centralnym przejściem przez kroczące powoli cztery miejscowe Królowe Maja. Na przedzie tego pochodu akolita Rizla wymachuje kadzielnicą. Aplauz jest ogłuszający.

Rune zostaje delikatnie wniesiony na scenę i usadzony na stercie poduszek.

Tłum wyje: Hu-go, Hu-go!

Po pięciominutowej owacji na stojąco, Rune, który chyba ją przespał, podnosi dłoń, aby uciszyć zebranych. Aula milknie. Akolita Rizla odchrząkuje i rozpoczyna wykład.

Rune cicho pochrapuje.

Ludzkości! Oto słowa Hugona Rune'a, które przekazał jego sekretarz Rizli. Dzisiejszego dnia obdarzę was moją wiedzą. Abyście stali się tacy jak ja. Niech tak się stanie. Niech słowo zostanie wypowiedziane.

Zacznę od wyjaśnienia istoty wszechświata.

Wszechświat to miejsce bardzo ciche, bardzo spokojne, eteryczne i pełne wolnej przestrzeni. Aby zrozumieć wszechświat oraz swoje w nim miejsce, należy być takim jak wszechświat. (Liczne kiwnięcia głów).

O wiele za długo znosiliśmy czężą gadaninę siwobrodych naukowców, mówiących o „rozszerzającym się wszechświecie”. Wedle tych uczonych głów, wszechświat jest dzieckiem Wielkiego Wybuchu. Nie mówiono, kto lub co wyzwoliło ów tytaniczny wybuch ani co się działo pół godziny przed nim. (Śmiech).

Takie drobiazgi nie interesują naszych siwobrodych przyjaciół. Uznali, że Wielki Wybuch był i koniec. Więcej - zaczęli twierdzić, że w jego efekcie rozszerza się nie tylko wszechświat, ale także przestrzeń jako taka! (Gwałtowny śmiech, szydercze okrzyki).

Wiecie, co mówię takim jak oni? Mówię: Tere fere kuku, strzela baba z raku! (Oklaski. Okrzyki: „Brawo!”)

Tak właśnie mówię. Jeżeli bowiem przestrzeń się rozszerza, rozszerzać się także muszą zawierające ją atomy i molekuly. Gdyby się tak nie działo, cała materia zamieniłaby się w gaz. Jeżeli więc w tym samym czasie wszystko się rozszerza, to względnie zachowuje swe rozmiary. Nie istnieje wszak nic, względem czego można by zmierzyć stopień rozszerzania się.

(Oklaski).

Tak więc należy stwierdzić, że kosmos znajduje się w stanie wiecznego bezruchu. Niezmienne od chwili jego stworzenia. Wszechświat nigdzie nie zmierza. Stoi w bezruchu!

(Burzliwe oklaski. Okrzyki: „Brawo, Hugo!” i „Ma facet oko!”)

W ten sposób dochodzę do sprawy siedzenia w bezruchu, czyli tego, co - jak bystrzejsi spośród was z pewnością zauważyli - właśnie czynię.

Aby znaleźć się w stanie jedności ze Statycznym Kosmosem należy osiągnąć stan idealnego bezruchu.

Stan ten znany jest pod nazwą apatii. (Westchnienia).

Słowo APATIA pochodzi z języka atlantyckiego. A-PA-TIA. A oznacza NA, PA - PO, TIA - PRA. NA-PO-PRA, czyli NAUKA O POSZUKIWANIU PRAWDY.

Jest to trudna droga i niewielu ma odwagę na nią wstąpić. Apath, czyli „człowiek szukający prawdy”, musi narzucić sobie dyscyplinę i rygorystycznie unikać jakichkolwiek form aktywności, zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Musi być przygotowany do długotrwałego siedzenia - jeśli trzeba, nawet przez lata - aż osiągnie odpowiedni stan umysłu i doświadczy olśnienia. Jego otoczenie musi z poświęceniem zaspokajać jego potrzeby. (Pomruki niezadowolienia ze strony damskiej części audytorium. Męskie: „Ciii!”)

Apath musi umieć obronić się przed lenistwem.

Lenistwo bowiem to cecha podstępna i sprowadzająca na manowce, spotykana u jednostek niegodziwych, odmawiających zaspokajania potrzeb Apath.

Odpierajmy lenistwo z należytym mu zdecydowaniem. Jeżeli zauważymy je u żony albo matki, nie żałujemy kilku razy kijem. (Ze strony członkiń Cechu Mieszczek Chiswick okrzyki: „Hańba!”). Gwizdy z balkonu).

Sądzę, że nawet tysiąc razy kijem nie byłoby za wiele po to, aby mężczyzna mógł osiągnąć stan Kosmicznej Świadomości, absolutną pogodę ducha, idealny spokój i harmonię, bezgraniczną wiedzę i wszechogarniające zrozumienie.

(Okrzyki: „Powiesić go!” Na scenie ląduje damski but.)

Dla kogoś takiego nie będzie rzeczy niemożliwych. Po osiągnięciu stanu jedności z wszechświatem, jego wiedza stanie się absolutna, jego słowo boskim prawem, autorytet zaś niepodważalny. Cóż więc zdrożnego w tym, że żąda paru kijów dla wałkującej się połowicy? (Członkinie Ce-

chu Mieszczek wdzierają się na scenę, rozpętuje się regularna bitwa. Akolita Rizla pada znokautowany damską torebką).

KONIEC TRANSKRYPTU

Osnowę naszego bytu tworzą niewidzialne linie.

Poruszamy się po nich bez przerwy. Krążymy między domem a szkołą. Pomiędzy domem a pracą, domem a miejscami rozrywek. Tu i tam, i licho wie gdzie jeszcze. Niektórzy z nas tkają małe gęste pajęczyny, inni oplatają świat. Istotę tego wszystkiego rozumieją jedynie Bogowie.

Cornelius wędrował właśnie wzdłuż niewidocznej linii, łączącej jego szkołę z barem „Nóżki Mojej Żonki”. Ostatnio była to linia dobrze przezeń wydeptana.

W barze „Nóżki Mojej Żonki” podawano przyzwoitą wyżerkę za przystępną cenę. Była tam też pewna niewątpliwa atrakcja wzrokowa, która stanowiła znakomitą reklamę lokalu.

Lokal stał się wkrótce miejscem odwiedzanym regularnie przez ciężko pracujących mężczyzn o przerażająco wielkich tyłkach. Facetów tych łączyło zamiłowanie do małych gazetek o wielkich nagłówkach, przyzwoitej i niedrogiej wyżerki oraz kształtnych pęcín. Bar stał się istną fabryką pieńędzy, więc właściciel, restaurator Ridout, postanowił otworzyć niewielką sieć podobnych jadłodajni - pojawiły się bary „Nóżki Mojej Siostrzyczki”, „Nóżki Mojej Bratanicy” oraz „Nóżki Mojej Mamuśki” (tu jedzenie podawano na wózkach). Niestety, niezłe rozwijające się imperium runęło, gdy pan Ridout przekroczył granice dobrego smaku i otworzył dla świata „Nóżki Mojej Kochanki”.

To nieprzemyślane przedsięwzięcie przyplacił zresztą rozwodem.

Rozwód skończył się dla niego nie najlepiej.

Cornelius zachodząc do baru, siadał zawsze na miejscu przy oknie, stąd roztaczał się doskonały widok na cały lokal i ulicę.

Miejsce to rezerwowała dla niego żona właściciela, darząca Murphy’ego szczególną sympatią. Kiedy wrócił z budki telefonicznej, było w dalszym ciągu wolne. Zamówił kolejny sandwich z bekonem i filiżankę herbaty.

- Już się robi, skarbie. - Piękna kobieta, zawodząc nieco, pobiegła spełnić jego życzenie. Cornelius zauważył, że myszka na jej prawym udzie ma kształt Isle of Lyonesse.

Wytarł palcem kroplę rosy na szybie i wyjrzał na ulicę. Szykowało się coś ważnego. Czuł to.

Nagle drzwi otworzyły się z jękiem i do baru wszedł Tuppe, człapiąc niczym kaczką. Niósł brązową papierową torbę.

Tuppe wyglądał jak mała pękata beczułka. Nawet wśród ludzi niskich był zdecydowanie najmniejszy. Zdarzało się, że i karły przyglądając mu się, pytały: „Co to za kurdupel?” Zarabiał niezły grosz, grywając w reklamówkach dzieci, jego umysł jednak od zawsze zajmował się wyższymi sprawami. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest znakomitą materiałem na bohatera eposów. Był najlepszym przyjacielem Corneliusa i teraz, orientując się po nogach założonych w charakterystyczny sposób jedna na drugą, kierował swe drobne stopki ku stolikowi Murphy’ego.

Była żonka, niosąca właśnie wysokiemu młodzieńcowi drugie śniadanie, przeszła nad Tuppem, złapała krzesło i pchnęła je w kierunku Corneliusa. Cornelius pomógł swemu towarzyszowi na nie się wdrapać.

- Witaj, Tuppe.

- Witaj, Corneliusie. Jest w nich bekon? - spytał Tuppe, wskazując na sandwicze.

Cornelius zaoferował mu zawartość swojego talerza.

- Jak najbardziej. Częstuj się bez żenady. Tuppe natychmiast skorzystał z hojności przyjaciela.

- Nie odmówiłbym też małej herbatki - zauważył. Cornelius zamówił jeszcze jedną herbatę.

- Mam nadzieję, że wypijesz ją na miejscu.

- Dowcipniś z ciebie jak zawsze. - Tuppe zaczął zajadać.

- Czy mógłbym zapytać, co kryje ten tajemniczy wór? - Cornelius wskazał na leżącą na stole torbę.

- Ryba w stanie hibernacji. W trakcie eksperymentu.

Cornelius zmienił temat. Nie przepadał za rybami.

- Ten bęcwał Insparrow podjął dziś kolejną próbę zatrudnienia mnie.

- Na pohybel jemu i wszystkim jego czynom - powiedział Tuppe, przeciągając przez szparę między przednimi zębami skórkę z bekonu. - Rozumiem, że dostałeś od niego pensję.

- Oczywiście.

- Pokój więc z tobą. - Tuppe chrupał bekon, Cornelius popijał



herbatę. Po chwili Tuppe robił to samo. - Świetne nóżki ma ta była żonka. Aż do samej ziemi. Cornelius uniósł brew.

- Przepraszam, przepraszam, ale wiesz, jak jest. Cornelius wiedział. Przyjaciele naprawdę się rozumieli. Całkowicie.

- Jak tata? - zapytał Tuppe po chwili milczenia.

- Trudno go wyciągnąć z szopy.

- A mama?

- Pod skrzydłami lekarzy.

- No a ty?

- Zdrow od stóp do głów, ale coś mnie świerzbi i nijak nie mogę się tego pozbyć.

- Masz na myśli te sprawy, które stanowią ośnowę eposów? Też to czuję.

- Wiem.

- Sądzę - powiedział Tuppe, wyciągając z kieszeni przemianowany na chusteczkę skraj koszuli i wycierając nim usta - że jest to najlepsze z możliwych zakończenie naszego pobytu tutaj i powinniśmy gdzie indziej poszukać przygód.

Tak też zrobili.

\*\*\*

Ponad szkołą oraz „Nóżkami Mojej Żonki” wznosiło się wzgórze Star Hill. Wypełniało ono znaczącą część krajobrazu i zajmowało całe sześć kwadratów na sztabowej mapie.

Star Hill należało do gminy i dolne partie jego zboczy zostały przeznaczone do celów rekreacyjnych. Kopano tu piłkę, odbywały się pikniki oraz festyny sportowe. Rosły też góry śmieci. Zalesiony środek wzgórza zarezerwowano dla rowerzystów, ptasich gniazd oraz młodych amatorów wolnej miłości. Mężczyźni w nieprzemakalnych płaszczach bawili się tu w chowanego z policjantkami w cywilu. Szczyt, który wedle danych z punktu triangulacyjnego znajdował się mniej więcej sto metrów nad poziomem morza, promieniował magią. W ciepłe noce przybywali tu na tańce miejscowi Wiccansi z obnażonymi kończynami, w zaroślach harcowały lisy, w ukryciu przed ludzkim wzrokiem kwitły rzadkie orchidee, a wiatr zawsze wiał ze wschodu.

Betonowy cokół, wzniesiony przez radę miejską w 1935 roku, upamiętniał miejsce, w którym dokładnie trzysta lat wcześniej pochowano doczesne szczątki pastora Matthew Kempa. Pastor otrzymał pozwolenie na pochówek w najwyższym miejscu okolicy od samego arcybiskupa Canterbury - na dodatek w pozycji pionowej, głową w dół. Argumentował, że kiedy w Dniu Zmartwychwstania zabrzmi dźwięk trąb a cały świat obróci się do góry nogami, on jako pierwszy wydostanie się na zewnątrz i stanie na nogach.

Betonowy cokół wieńczyła grawerowana miedziana mapa dystryktu. Rozchodzące się promienie strzałki informowały obserwatora o kierunkach i odległościach, dzielących wzgórze od miejsc tak egzotycznych jak Nepal, Tasmania, delta Nilu, Portugalia czy Penge.

Miedziana mapa została przymocowana do betonowego cokołu dzięki metalurgicznej technologii z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Szkoda, że została zapomniana, dzięki niej bowiem płyta zdecydowanie opierała się nawet najbardziej pomysłowym próbom oderwania jej i sprzedania na złom. Betonowy cokół z równie stoickim spokojem opierał się całemu repertuariowi środków wybuchowych wymyślonych przez liczne pokolenia młodych pirotechników.

Zarówno cokół, jak i mapa trwały niewzruszone.

Pozbawieni wszelkiego szacunku dowcipnisie chichotali namyśl o przekleństwach padających z ust duchownego, gdy po usłyszeniu archanielskich trąb podejmie próbę wydostania się na wolność.

Cornelius i Tuppe szli powoli w górę Star Hill. Niewidoczne linie, które wyznaczały ich byt, zlały się teraz w jedną. Stały się otaczającą wzgórze spiralą. Znikały przy cokole i tyle było je widać.

Drugą część wspinaczki Tuppe odbył na barkach wysokiego przyjaciela. Kiedy dotarli na miejsce, Cornelius zdjął go z ramion i posadził na miedzianej mapie. Wypolerowana miedź błyszczała sobie, mimo to minionego wieczoru przeżyła szczególnie zmasowany atak. W pobliskich krzakach leżał jeszcze wygasły palnik acetylotlenowy.

Obaj kandydaci na bohaterów odetchnęli z ulgą. Cornelius próbował spacyfikować swą czuprynę, a Tuppe kilka razy kopnął cokół malutkimi obcasikami i pogłaskał niesioną w dłoniach brązową papierową torbę.

Wokół rozpościerał się dobrze im znany świat.

Na północy rozciągał się kanał Grand Union, za nim zaś rozpościerały się tereny przemysłowe.

Na zachodzie widoczne były chłopskie pola stykające się z fragmentem autostrady w miejscu, gdzie zawracały autobusy i rozciągał się sznur sklepów.

Na południu znajdował się rozległy, poddawany rewaloryzacji teren, przecięty jedynie resztkami zbudowanego w epoce wiktoriańskiej ciągu domów. Sześć budynków, z których jeden stanowił rezydencję Murphych.

Wschód zdominowała zabezpieczona płotem i obstawiona ostrzegawczymi tablicami sześćdziesięciometrowa skarpa, opadająca na pole golfowe. Choć w tej chwili nie ma w owej skarpie niczego szczególnie ciekawego, później jednak odegra niezwykle istotną rolę.

- Jak ryba? - spytał Cornelius, którego denerwowała bliskość zwierzęcia.

Tuppe zajrzał do torby.

- Ciii - odparł.

- Zdechła, co Tuppe? Tuppe potaknął.

- Sądząc po wyglądzie - tak.

- Po co więc było całe to gadanie o hibernacji i eksperymencie? Tuppe zbył go machnięciem ręki.

- Słyszałeś kiedyś o Polgarze Bezprecedensowym?

- Tym z Wieprzowego Cyrku Polgara?

- Dokładnie tym samym. Przed wieloma laty mój ojciec jeździł z nim w trasę i zajmował się pokazami specjalnymi. Polgar miał szereg przebojowych numerów. Pokazywał Śpiewającą Owcę z Sudbury, Toby'ego - Świnie Mędrca, Niezwykłą Paradę Pracowitych Pcheł. Ostatni numer - odegranie z udziałem tresowanych insektów oblężenia Rorke's Drift - był ponoć czymś bardzo niezwykłym.

- Ale najbardziej pamięta się jego Wieprzowy Cyrk.

- Zgadza się. Objeżdżał z nim różne wioski. Świnie nauczone były wchodzenia po drabinie, spacerowania po linie i wykonywania magicznych sztuczek. W każdym miejscu sprzedawał komuś przynajmniej jednego wieprza.

- Nie było to chyba zbyt rozsądne.

- Oj, było. Świnie były znakomicie wytresowane i kiedy Polgar opuszczał miejscowość, uderzał w dzwonek, a sprzedana świnia wyłaziła z zagrody nowego właściciela i wracała do niego. Przez jakiś czas proceder ten udawał się znakomicie, w końcu jednak Polgar musiał spędzić pewien czas w odosobnieniu na koszt Jej Królewskiej Mości. Kiedy wyszedł na wolność, okazało się, że świńskie sztuczki straciły urok dla większości klientów.

- Ale co z tą rybą?

- Wnukiem Polgara jest Zack Polgar. Ten od Zwierzaków Zacka w górze ulicy.

- Znam ten sklep.

- Młody Polgar jest dżentelmenem posiadającym pewien ekstrawagancki talent. Poświęcił się stworzeniu chimery.

- Wielokrotnie przechodziłem obok jego sklepu i muszę przyznać, że jak na mój gust, stwory widoczne przez lepiące się od brudu okna są odrobinę zbyt mityczne.

- Jak najbardziej, a to, co powiedziałeś o oknach, daje pewien obraz właściciela.

- Obchodzi się ostrożnie z każdym groszem?

- Tak ściska tyłek, że aż piszczy.

- Rozumiem.

- Ta ryba w torbie to jego ostatni twór. Bezbożna hybryda wiewiórki i pstrąga. Jego zamiarem było stworzenie jadalnej ryby, która karmiłaby się żołądziami, a spała w zimie, kiedy i tak nikomu nie chce się wychodzić na dwór i zaglądać do stawu z rybami.

- Ten Polgar musi być niezłym bystrzakiem, ale dostrzegam w jego rozumowaniu jedną czy wręcz nawet dwie skazy.

- Skazy?

- Zgadza się. Po pierwsze, mamy teraz pełnię lata a nie sezon hibernacyjny.

- Zwróciłem mu na to uwagę, powiedział jednak, że da mi piątaka, jeżeli zabiorę rybę na świeże powietrze, aby sprawdzić, czy zaśnie. Ryby nigdy nie zasypiają, gdyby więc ta zasnęła, pół bitwy byłoby wygrane. Przynajmniej jeżeli chodzi o kolegę Polgara.

- W ten sposób dochodzimy do skazy numer dwa. Czy byłeś uprzejmy zwrócić uwagę na to, że ryba wyjęta z wody rzadko rozkwita?

- Nie. Woląłem wziąć piątaka.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Może ją zakopiemy?

- Tutaj? To niezbyt eleganckie wobec pastora Kempa. Tuppe wyrzucił przedziwny twór z torbki na kolana. Cornelius lustrował go z niesmakiem.

- Czy to są nóżki? - spytał.

- Na to wygląda. Ma przerażające zęby. Chcesz zobaczyć?

- Dziękuję, nie.

- Jak sobie życzysz. - Tuppe wziął rybę za ogon i zaczął ją obwąchiwać. - Myślisz, że taka ryba nadawałaby się do jedzenia?

Cornelius przyklepał dłonią włosy i energicznie pokręcił głową.

- W tych miejscach, które ma z wiewiórki, na pewno nie. Wyrzuć to, Tuppe. Nie lubię ryb i to niezależnie od tego, czy mają futro czy pióra, czy są smażone czy hibernowane.

- No cóż, tak trzeba będzie zrobić. Przepraszam, rybeńko. - Tuppe rzucił wodną anomalię za siebie, wytarł palce w papierową torbę i stanął na miedzianej mapie.

Cornelius objął przyjaciela ramieniem i zaczęli się wpatrywać w przestrzeń na wschodzie, kolejny raz zadając sobie milczące pytanie, jakie niespodzianki szykuje im los.

Słońce rzucało na ziemię ich cienie, a były one niezwykle dziwne. Choć stali tak, że ich głowy znajdowały się na jednym poziomie, długość cieni bardzo się różniła. Cień Corneliusa był taki jak zawsze - kanciasty i zwieńczony spletanym proporcem, cień Tuppego wyciągał się jednak w niemal dwa razy dłuższy odcinek. Choć mały człowieczek stał spokojnie, jego cień falował i wił się niczym żywy stwór, skręcający się w niewyobrażalnych mękach.

Każdy ptak, który ujrzał to zjawisko, natychmiast przestawał śpiewać.

Włoski na karku Corneliusa Murphy'ego stanęły dęba i nagle poczuł strach. Gwałtownie odwrócił się, zrzucając nieomal Tuppego ze śliskiej mapy. Niczego jednak nie dostrzegł.

- Rany! - wrzasnął Tuppe, walcząc o utrzymanie równowagi. - Co się stało?

- Nie wiem. - Cornelius podrapał się w brodę. Za miesiąc albo dwa będzie musiał się ogolić. - Ptaki. - Przyłożył dłoń do ucha. Ptaki znów śpiewały. Wzdrygnął się. - Wracajmy na dół. Robi się zimno.

- Zimno? - Tuppe spojrzał zdziwiony na przyjaciela.

Wysoki młodzieniec odwrócił się i zaczął schodzić z boczem.

- Corneliusie, zaczekaj na mnie!

W trawie, w miejscu, gdzie cień Tuppego robił dzikie harce, futrzasta ryba obudziła się z drzemki, kłapnęła przerażającymi zębami i powędrowała przed siebie w poszukiwaniu czworonożnego obiadu.

3

Cornelius i Tuppe zeszli ze wzgórza. Rozstali się w miejscu, gdzie zawracają autobusy. Tuppe wrócił do „Zwierzaków Zacka”, starając się ubrać w pozory prawdy wymyśloną właśnie historię o spotkaniu z obrońcami praw zwierząt i odebraniu mu przez nich siłą futerkowej ryby. Prawdy, która pozwalałaby mu domagać się odszkodowania.

Cornelius zatrzymał się przy budce telefonicznej, aby zadzwonić do pana Insparrowa. I tym razem mówił głosem Murphy'ego seniora.

- Mój syn ma złamane serce - zaczął przemowę do inspektora do spraw zatrudnienia młodzieży. - Tak bardzo chciał dostać tę pracę mima. Jest okropnie rozstrojony.

- Strasznie mi przykro - odparł Insparrow z pewnością strapiony - zapewniam jednak, że nie spocznę, póki nie zapewnię pańskiemu synowi solidnego zatrudnienia.

Cornelius obawiał się, iż inspektor spełni obietnicę.

Czuł, że ma już dość pana Insparrowa.

- Postanowiłem wysłać chłopca z miasta - ciągnął. - Potrzebuje kilku tygodni odpoczynku. Proszę być tak uprzejmym i przesłać pieniądze na pokrycie dziesięciu dni jego wakacji.

- Słucham?

- Uważam, że jest pan bezpośrednio odpowiedzialny za pogorszenie się stanu jego zdrowia. Te stałe rozczarowania, dawanie mu nadziei i niszczenie jej. Nie jest obecnie w stanie uczestniczyć w kolejnych rozmowach kwalifikacyjnych.

- Przykro mi, ale nie mogę zgodzić się na przekazanie mu pieniędzy.

- W takim razie porozmawiam bezpośrednio z dyrektorem. Jesteśmy w tej samej loży. Proszę się nie obawiać, on z pewnością jakoś rozwiąże ten problem.

Pan Insparrow zamilkł na dłuższą chwilę.

- Nie sędzę, aby warto było zawracać szefowi głowę taką bagatelą. - W głosie pana Insparrowa było coś, co nasuwało skojarzenie: „zatracona dusza”. - Życzy pan sobie czek gotówkowy?

- Byłoby znakomicie. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli przyjemność znów porozmawiać.

- Proszę jak najserdeczniej pozdrowić ode mnie Corneliusa i przekazać mu moją nadzieję, iż wkrótce wróci do zdrowia.

- Oczywiście, przekażę. Do widzenia, panie Insparrow.

- Do widzenia, panie Murphy.

Cornelius odwiesił słuchawkę. To było zbyt łatwe. Nie sprawiało mu to przyjemności. Z drugiej strony nie sprawiała mu także przyjemności banalność bezrobocia. Jego wyobraźnia tryskała wielkimi planami. Wyrwanie od pana Insparrowa kilku funciaków i paradowanie bez celu po ulicy nie było aż tak atrakcyjne.

Oczywiście, że nie zamierzał iść na etat i siedzieć w jakimś biurze od dziewiątej do piątej - w końcu był materiałem na eposy. Młodzieńcem o szczególnych talentach. Zdolnym przenicować świat.

Niestety świat nie raczył tego zauważyć.

Śmieciarze opróżniali pojemniki przed „Nózkami Mojej Żonki”.

- Cześć, Corneliusie! - zawołali radośnie.

- Cześć, śmieciarce! - odkrzyknął nasz młodzieniec.

- Nie zapomnij wystawić swojego pojemnika.

- Nie zapomnę.

Kiedy Cornelius dotarł do domu, pojemniki na śmieci były już wystawione.

Dom, w którym mieszkał, znajdował się przy Moby Dick Terrace numer 23.

Numer dwadzieścia trzy był pierwszym domem w szeregu, numer trzydzieści trzy ostatnim, ale więcej o tym potem.

Cornelius podniósł pokrywę pojemnika na śmieci przed frontowymi drzwiami swego domu. Pojemnik jak zwykle był pusty - cotygodniowy dowód matczynej umiejętności konserwacji oraz przerobu produkowanych przez Murphych śmieci. Co raz przekroczyło progi tego domu, nie opuszczało ich już nigdy, nawet jeśli nie zostało zjedzone czy wykorzystane. Z ekologicznego punktu widzenia matka była bez zarzutu.

Jej system był dość prosty. Kupowała jedynie produkty nie opakowane i przynosiła je do domu w antycznej torbie. Świeże mięso, owoce i warzywa. Czego nie dało się kupić bez opakowania, wytwarzała sama. Masło, dżem i herbatę. Czego więcej potrzeba do życia? Codzienna gazeta taty służyła jako podpałka do pieca oraz do podcierania tyłków. Reklamówki adresowano na nowo i odsyłano bez znaczka do nadawcy. Obierki z ziemniaków szły do kompostownika. Znoszone ubrania przeznaczano na cele dobroczynne.

Nic się nie przemknęło przez gęstą sieć, nic nie trafiło do pojemnika na śmieci.

Każdego roku w Boże Narodzenie śmieciarze pukali do drzwi, aby podarować pani Murphy pudełko czekoladek i bukiet kwiatów.

Corneliusowi jak dotychczas zawsze udawało się pozostać obojętnym na pomysłowość matki. Uważał, że przynajmniej połowa ludności Anglii pracuje przy produkcji, sprzedaży lub wywożeniu jako śmieci kompletnie bezużytecznych przedmiotów i był zdania, że gdyby każdy zachowywał się jak matka, tryby społeczeństwa przestałyby się obracać.

Cornelius widział oczyma wyobraźni potężną falę bezrobocia, anarchię i chaos. Kraj nawiedziłyby zarazy i zniszczenie, na niebie pojawiłyby się czterech jeźdźców. Na dodatek pracę straciliby wszyscy przemili śmieciarze.

Cornelius zaczął grzebać w kieszeniach. Znalazł list zapraszający go do monsieur Messidora i wrzucił go do pojemnika. Wniósł w ten sposób swój drobny wkład w ocalenie świata.

Przekręcił klucz w zamku i po cichu wkroczył do odziedziczonego po przodkach domu. Nie był, z grubsza mówiąc, szczery wobec rodziców, jeśli chodzi o jego „sytuację zawodową”, uznał więc, że zamiast koncypowania wyjaśnień wczesnego „powrotu z pracy”, lepiej będzie przekraść się cichcem do swojego pokoju. Kiedy jednak skradał się ku schodom, do jego uszu dotarły dochodzące z frontowego saloniku odgłosy gorącej debaty. Cornelius ukląkł i przyłożył ucho do dziurki od klucza.

- A ja w dalszym ciągu twierdzę, że należy chłopcu powiedzieć - mówił tata.
- A ja uważam, że nie należy - odparła jego ekologicznie bez zarzutu mama.
- Ale ta tak rzadka mutacja w jego strukturze chromosomalnej może uratować świat.
- Wszystko czego potrzebuje, to programu emerytalnego i perspektyw.
- Pomijasz sedno, kobieto.
- Nie mów do mnie „kobietko”. To ty nosisz perukę.
- To nie peruka. To element poprawiający fryzurę. Poza tym, ty też masz nie swoje piersi.
- Moje piersi nie są tematem tej dyskusji.
- Ani moja łysinka.
- Twoja łysina jest symboliczna.
- Co symbolizuje?
- Łyse spojrzenie na świat.
- A kto sprawił, że takie się stało? Ty i twoje wypchane skarpetkami piersi.
- Wyglądają matczynie. Dają poczucie ciepła i opiekuńczości. Chłopiec tego potrzebuje. Poza tym przydałoby mu się strzyżenie.
- Nie powinien się strzyc. Ma burzę włosów. Wszyscy sławni ludzie mają burzę włosów.
- Ty nie masz.
- Ja nie jestem sławny.
- Nie powinnam była wychodzić za ciebie za męża. Moja matka miała rację.
- Nie miałaś matki.
- Oczywiście, że miałam matkę. Była podporą lokalnej społeczności.
- Jest wytworem twojej wyobraźni. Nie miałaś matki i dobrze o tym wiesz.
- Ale co z chłopcem?
- Należy mu powiedzieć.
- Nie możemy tego zrobić. Złożyliśmy przysięgę. Nie wolno nam mu tego powiedzieć. Sam dowie się prawdy o sobie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

- Materiał na eposy - westchnął tata.

- Jeżeli chodzi o... - Cornelius bez pukania otworzył drzwi i wpadł do salonu.

Tata siedział, czytając gazetę i pociągał głośno nosem. Mama robiła coś na drutach, chyba dla marynarzy.

- O! Co, skarbie? - spytała zaskoczona.

- O, o!

- Wcześniej wróciłeś. Miło spędziłeś wieczór?

- Wieczór?

Zegar na kominku wybił dziesiątą. Cornelius zauważył, że światła w pokoju są zapalone, a zasłony zasunięte. Popatrzył na swój zegarek - wskazywał to samo, co zegar na kominku. Tata wychylił się zza gazety.

- Co się stało?

- To Cornelius, kochanie. Chciałeś czegoś, skarbie?

- Chciałbym się dowiedzieć... - Niestety Cornelius zapomniał, czego chciał się dowiedzieć.

- Tak, kochanie?

- Nic, mamo.

- No to dobranoc, skarbie. I nie zapomnij zgasić światła.

- Nie zapomnę. Dobranoc mamo, dobranoc tato.

- Dobranoc.

4

Cornelius Murphy obudził się zlany zimnym potem. Było bardzo ciemno, zegar w oddali wybił trzecią.

- Gdzie ja jestem?

Przetarł dłonią oczy i mrużąc je, wbił wzrok w ciemność. Zdawała się nieco inna niż zwykle.

- Co ja tu robię?

Po omacku szukał wokół łóżka stolika i leżącego na nim pudełka zapalek. Dotknął czegoś ciepłego i mokrego.

- Co to jest? To nie moje.

- Co się dzieje? - Głos też nie był jego.

- Kto to?

Inny głos powiedział sennie:

- Śpij dalej.

- Kto to powiedział? - spytał pierwszy głos. - Kto tu jest? Cornelius milczał.

„Nie jestem sam - myślał. - Gdzie te cholerne zapalki?”

- Nie mogę ich znaleźć - odparł nowy głos. - Bądź łaskaw i śpij dalej, dobrze?

Cornelius poczuł, że w jego żołądku zaczynają kiełkować pierwsze ziarna przerażenia.

- Ratunku! - zawołał. - Wypuście mnie stąd!

- Co się tu dzieje? - zapytał głos, którego Cornelius jeszcze nie słyszał.

Spróbował wstać, ale coś ciężkiego leżało w poprzek jego nóg.

- Co to ma znaczyć? - spytał głos dobiegający z okolicy jego stóp. Cornelius wyszarpnął nogi spod przygniatającego je ciężaru.

Stanął na podłodze i zataczając się, ruszył przed siebie, deptając pojękujące i wijące się z bólu ciała.

- Złaź!

- Kto mnie kopie?

Przekleństwa i okrzyki przerywały raz za razem panującą wokół ciszę.

Cornelius dotarł do drzwi. Zaczął szukać klamki, ale znalazł kontakt. Mocno przycisnął kciukiem klawisz.

Stał - w piżamie - w swoim pokoju. Pod ścianami stały te same co zwykle meble, poza tym pokój był pusty. Oślepiiony i zaskoczony, Cornelius zamrugał oczami.

- Sen, zły sen. - Westchnął głęboko, zgasił światło i ruszył z powrotem do łóżka.

- Uważaj, jak chodzisz - powiedział jakiś głos. - Stałaś mi na głowie.

Kiedy Cornelius obudził się ponownie, świat był już na nogach i czekał na Murphy'ego. Słońce świeciło prosto w okno jego pokoju, symfonia codziennych dźwięków zdawała się głośniejsza niż zwykle.

Butelki pobrękiwały wysokim e, obcasy kobiet wystukiwały na asfalcie przeróżne rytmy, wielkie ciężarówki dostarczały potężnych akordów, a listonosz nucił stary numer Rolling Stonesów. Musiał być wtorek.

Cornelius zebrał włosy i myśli. Musiało dziać się coś bardzo dziwnego. Może coś godnego epepei? Miał taką nadzieję.

Upewniwszy się, że jest sam, wstał z łóżka, wszedł do garderoby i po chwili zszedł do kuchni na pierwsze tego dnia śniadanie.

Kuchnia Murphych nie należała do miejsc, nad którymi warto się rozwodzić. Była to niewielka, bezkompromisowa w swej prostocie nora, która podobnie jak reszta domu nie starała się ukryć braków swojej urody. Znajdowały się w niej dwa nie pasujące do siebie segmenty, mikroskopijny zlew, antyczny emaliowany piecyk gazowy, przeciekająca lodówka oraz stół z powykrzywianymi nogami i blatem z czerwonego laminatu.

Za stołem siedział wielki trzyczęściowy tweedowy garnitur, wewnątrz którego usadowił się wielki wesoły dżentelmen o nalanej twarzy. Miał na głowie perukę zrobioną ze skrawków materiału - prezent od żony. Nazywał się Jack Murphy i to na niego mówiono w tym domu „tata”.

Niedawno Jack wyrejestrował się jako bezrobotny, aby móc spędzać więcej czasu z rodziną. No i oczywiście bardziej poświęcić się swojej pasji.

Pasją Jacka było modelarstwo. Jack pracował właśnie nad dużym, ambitnym projektem.

Owoc jego twórczości stał na skraju ogrodu, w specjalnie skleconej szopie. Była to utopijna wizja Moby Dick Terrace wraz z otoczeniem. Zbudowany z pełną miłości troską, zawierający najdrobniejsze szczegóły model dobrze świadczył o wyobraźni autora. Był harmonijnym przemieszaniem stylów architektonicznych, otwartych przestrzeni, sklepów i perspektyw. Różnił się znacznie od nachalnej wielkiej konstrukcji, wystawianej aktualnie w ratuszu obok tabliczki z napisem: NOWY KSZTAŁT MIASTA.

Słowo NOWY było zdecydowanie nie na miejscu, gdyż wystawiany w ratuszu model zdradzał wszelkie symptomy starości i zaczynał wyglądać na nieco przechodzony. Choć prace nad owym NOWYM KSZTAŁTEM rozpoczęto kilka lat temu - otwierając mnóstwo butelek szampana i przecinając liczne wstęgi - niewiele zdołano osiągnąć. Buldożery co prawda zrównały z ziemią stare miasto, na jego miejscu nie powstał jednak ani jeden nowy fundament, nie położono ani jednej nowej rury kanalizacyjnej.

Dla wielu osób było to zaskakujące, nie dla tych jednak, którzy znali Jacka Murphy'ego. Trzeba przyznać, że miejska komisja planowania przestrzennego poznała go aż za dobrze.

Rozpoczęte prace zostały przerwane z powodu skomplikowanej sytuacji prawnej. W pierwszym rządzie wiązało się to z odkryciem (przez Jacka Murphy'ego) wielu starych map, aktów notarialnych i innych dokumentów, dotyczących praw do korzystania z dróg, terenów komunalnych, ścieżek do konnej jazdy, studni, sadzawek i Bóg wie czego jeszcze.

Uporządkowanie tego bałaganu nie było łatwe i póki co koparki stały beczynnymi, a ekipy budowlanców piły herbatę w „Nózkach Mojej Żonki”, natomiast Moby Dick Terrace numer dwadzieścia trzy stał dokładnie tam, gdzie został postawiony.

Cornelius wszedł do kuchni. Potknął się o uniesiony w górę róg linoleum i zawadził biodrem o drzwi, które postanowiły dziś rano otworzyć się jedynie do połowy. Tata uniósł wzrok znad egzemplarza wydanego przez MacKenziego tomu Prawa gminnego i przekazów historycznych z lat 1655-1660 i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, szacowny twórczo mojego bytu - przywitał się Cornelius.

Starszy zachichotał.

- Witaj, wielce poważany siewie moich lędźwi. Twoja matka wyszła, ale w dzbanku jest herbata.

- Chwała niech będzie. - Cornelius nalał sobie filiżankę herbaty i dolał tacie.

- Wielkie dzięki. Są dwa listy do ciebie. - Wielka dłoń wskazała na parę kopert, leżących na matowym blacie stołu.

Cornelius usiadł i zaczął podejrzliwie lustrować koperty. Jedna wyglądała wystarczająco bezpiecznie, opatrzona charakterystycznymi bazgrołami pana Insparrowa. Cornelius, nie otwierając, wsunął ją do kieszeni szlafroka. Podejrzewał - jak najbardziej prawidłowo - że w środku są pieniądze na dwa tygodnie wakacji.

Druga koperta - to zupełnie co innego. Była duża, zgrabna i wyglądała oficjalnie, w jej lewym górnym rogu napisano: POUFNE, DO RĄK WŁASNYCH. Na maszynie napisano na niej nazwisko i adres Corneliusa. Na samiułku środku. Cornelius nie znał tego kroju czcionki - miał w sobie coś z gotyku. Wziął kopertę w dłoń i lekko nią potrząsnął. W środku przesunęło się coś twardego.

- Już to robiłem - powiedział tata. - Intrygujące, prawda? Cornelius odłożył kopertę na stół i wypił kilka łyżek herbaty.

Była zimna jak lód.

- Herbata jest zimna - poinformował tatę.

- Tak podejrzewałem. Poprzednia też była zimna. Nie zamierzasz otworzyć koperty?

- Chyba nie.

- To może ja otworzę.

- Nie ma mowy. Nie czytałeś, że to poufne i do rąk własnych?

- Napis jest na kopercie, nie znaczy, że dotyczy listu. - Tata skończył zimną herbatę. - Wiesz, znacznie bardziej wolę gorącą. - I machnął filiżanką w kierunku Corneliusa. - No, otwieraj!

- Niech ci będzie. - Cornelius rozerwał kopertę. Ze środka wypadła zapisana na maszynie kartka papieru i coś twardego. Cornelius podniósł to coś. Jeszcze nigdy w życiu nie widział karty kre-

dytowej, ale to nieistotne, bo i teraz też nie miał jej w ręku. Trzymał jedynie coś zbliżonego do niej wymiarami. Cornelius zaczął przyglądać się przedmiotom na dłoni: kawałek ciemnozielonego plastiku grubości wafla, jak na rozmiary, ciężki. W plastiku wybito na wylot szereg dziurek - Cornelius zauważył, że mają taką samą średnicę jak druty numer trzynaście do robienia swetrów. Przeniósł uwagę na zapisaną kartkę. Był to list i brzmiał następująco:

*Szanowny Corneliusie Murphy!*

*Arthur Kobold Publications ma zaszczyt poinformować, że dysponuje wolnym stanowiskiem dla ambitnego i przedsiębiorczego młodego kandydata.*

*Firma AKP jest obecnie zaangażowana w ambitny program prozatorskiej działalności wydawniczej i potrzebuje absolwenta szkoły średniej o niezależnym stylu myślenia, który byłby zdolny pracować bez nadzoru w wybranych przez siebie godzinach.*

*Odpowiedniego kandydata, który stawi się osobiście w dniu dzisiejszym, punktualnie o dwunastej w południe, czeka wysokie wynagrodzenie, znakomite perspektywy i natychmiastowa premia pieniężna.*

*Życzę szczęścia  
Arthur Kobold*

Cornelius jeszcze raz przeczytał list i gwizdnął przez zęby. Potem popatrzył na zegarek i zrobił zatroskaną minę.

- Dlaczego robisz taką zatroskaną minę, mój synu? - spytał tata.

Cornelius podał mu list. Tata przeczytał go dwa razy. Popatrzył na wiszący na ścianie zegar i też zrobił zatroskaną minę.

Cornelius zauważył, że kilka pasemek zrobionej ze skrawków materiału peruki taty układa się na jego lewej skroni w arabski napis: NIE MA BOGA POZA ALLACHEM.

- Jest prawie dziesiąta - powiedział stary Murphy.

- A list nie zawiera adresu - dodał jego syn.

- Pokaż mi ten mały przedmiot.

Przez chwilę przyglądał się z zainteresowaniem podanemu przez Corneliusa kawałkowi plastiku.

- Co to jest? - spytał po dłuższej chwili. - Jest cięższe niż można by sądzić.

Cornelius wyjął ojcu z rąk list oraz plastikową kartę i położył obie rzeczy przed sobą na stole.

- To ewidentny test na inteligencję - stwierdził. - Zlokalizuj dokładnie o dwunastej w południe biuro Arthur Kobold Publications i wygraj wielki los w gotówce.

- Brawo, synu. Kontynuuj.

- No tak. - Cornelius podrapał się po głowie. Tata obserwował, jak szopa włosów syna kiwa się niebezpiecznie na boki. - Karta ma szereg dziurek. Myślę, że jeżeli położy się ją na liście i trochę poprzesuwa, może ukazać się ukryty tekst. Biorąc pod uwagę czas, jaki pozostawiono na wykonanie zadania, nie sądzę, by było ono zbyt trudne. Zwłaszcza dla kogoś ambitnego, przedsiębiorczego, młodego i niezależnie myślącego.

- Na przykład takiego jak ty.

- Dokładnie. Oczywiście sekret może być również ukryty w samej karcie.

- Znowu brawo! Jak więc zamierzasz się do tego zabrać? Cornelius uśmiechnął się.

- W tym właśnie stylu. List, kopertę i tę podziurkowaną kartę wrzucę do śmieci, umyję się, ubiorę i udam do „Nózek Mojej Żonki” na filiżankę gorącej herbaty.

- Znowu brawo! - zachichotał tata. - Zrobiłbym dokładnie to samo. Z tym, że aby nie denerwować matki, wrzuciłbym wszystko do śmietnika sąsiadów.

- To rozumie się samo przez się. - Cornelius wstał.

- Jeszcze tylko jedno zanim wyjdiesz. - Tata wyciągnął drugą kartkę papieru i podał ją synowi. - Lista materiałów do mojego modelu - wyjaśnił. - Drewno balsa, klej, mosiężne okucia, takie rzeczy.

- No i? - Cornelius uniósł brew.

- Pomyślałem, że mógłbyś mnie wspomóc.

- Naprawdę?



- Ze swoich pieniędzy „na wakacje”. - Tata pomachał kartką. Cornelius uśmiechnął się jeszcze szerzej niż zwykle.

- Z przyjemnością - odparł.

\*\*\*

Wykąpał się, wystroił w spłowiałą koszulę w hawajskie wzory i ulubiony (jedyne) letni garnitur. Wsunął bose stopy w espadryle i ruszył w drogę, by sprawdzić kilka hipotez.

Zjadł śniadanie w „Nózkach Mojej Żonki”, w banku przy High Street zamienił czek na gotówkę, listę taty zostawił u pana Moore'a (z „Modeli Moore'a”), potem ruszył na przechadzkę bez celu.

Spędził trochę czasu z włóczęgą Watowaną Kurtką. Pomachał do nieznanym w pociągu. Pogłaskał pod szyją kocura i popatrzył na znikający pod wiaduktem pociąg.

Szedł bez konkretnego planu, wręcz przeciwnie - podążał tam, dokąd prowadził go duch. Kiedy zegar na ratuszu zaczął bić dwunastą, stwierdził, że znajduje się na zaśmieconej ślepej uliczce pod wiaduktem kolejowym. Zanim wybrzmiało ostatnie uderzenie, stał przed ciemnozielonymi drzwiami.

Cornelius podszedł do nich zdecydowanym krokiem i zapukał.

Drzwi natychmiast się otworzyły i w Corneliusa wbiły się uważne oczy, osadzone w drobnej twarzy, obramowanej wielkimi bokobrodami.

- Pan Kobold? - spytał Cornelius. - Pan Arthur Kobold?

- Cornelius Murphy - powiedział Arthur Kobold. - Czekałem na ciebie.

5

- Siadaj, proszę.

Cornelius znajdował się w przestronnym, nie zagraconym gabinecie pana Arthura Kobolda. Pokój urządony był w stylu, z jakim nasz młody bohater jeszcze nigdy się nie spotkał.

Meble wyglądały na antyki i cechowały się znakomitym wykonaniem, wyglądały jednak tak, jakby dopiero co wyszły z fabryki. Cornelius pomyślał, że to pewnie kopie, zaraz jednak porzucił tę myśl. W pomieszczeniu panowała atmosfera muzeum. Tak jakby cały gabinet, pokryte boazerią ściany oraz masywne ciemne meble, zostały oszczędzone przez czas.

To samo dotyczyło pana Kobolda.

Miał na sobie poranny surdut z epoki wiktoriańskiej, wysoki wykrochmalony kołnierzyk i fular z bladego jedwabiu, spięty pod brodą spinką z diamentem. Był niski i pulchny, twarz miał szeroką i płaską, włosy przypominały ciemną krezę. Bokobrody były naprawdę niezwykłych rozmiarów.

Cornelius usiadł w stojącym przed mahoniowym biurkiem wspaniałym fotelu. Pan Kobold usiadł za biurkiem. Pociągnął za umocowany do paska łańcuszek i wydobyl na światło dzienne kółko z małymi mosiężnymi kluczykami. Jednym z nich otworzył bogato zdobioną ornamentami szafkę z likierami.

- Sądzę, że okazja jest doskonała, by wypić po lampce portwajnu - powiedział pogodnie, nalewając ciemnoczerwony płyn do dwóch małych kieliszek. - Proszę bardzo.

Pan Kobold podał kieliszek Corneliusowi.

- Za sukces!

- Za sukces! - Cornelius uniósł co prawda kieliszek, ale nie wypił zawartości. - Co z premią w gotówce?

- Wszystko w swoim czasie. - Arthur Kobold sięgnął do biurka i wyjął niezwykłych rozmiarów ciasto z owocami. - Miałbyś ochotę na kawałek?

- Wygląda mi na wspaniałe ciasto, ale już jadłem.

- Jak sobie życzysz. - Arthur Kobold odkroił solidną porcję i wsunął niemal całą do ust. - Miałeś problemy z dotarciem tutaj? - zapytał między kolejnymi kęsami.

- Wygląda na to, że nie. - Cornelius zauważył już kiedyś, że sławni ludzie lubią twierdzić, że ich kariery to dzieła czystego przypadku. Mieli po prostu szczęście być w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Cornelius zawsze palił się do tego, by zbadać, czy kryje się za tym jedynie fałszywa skromność, czy coś wręcz kosmicznego.

Był, gdzie miał być.

- Cóż, jestem - stwierdził Cornelius.

- To niezaprzeczalny fakt. Jesteś dla mnie kimś idealnym. Chcesz dowiedzieć się czegoś bliższego o tej pracy?

- Wolałbym najpierw porozmawiać o premii.

- Słyszałeś kiedyś o Hugonie Rune'em? - Pan Kobold strzepnął z bokobrodów okruchy ciasta. Cornelius przytrzymał szopę włosów i skinął głową.

- Ze wszech miar tutejszy człowiek. Czyż to nie jego kukła spalona została przez kobiety z Chiswick?

- O tym samym mowa.

- Mój ojciec ma jedną z jego książek.

- Którą? - Pan Kobold ponownie zanurzył się w ciasto.

- *Księgę prawd ostatecznych*. Jeszcze jej nie czytałem.

- Powinieneś to zrobić. Od dziś noś ją ciągle przy sobie.

- Czytam książki ojca po kolei, a ta jest jeszcze o kilka półek od miejsca, do którego dotarłem. Jeżeli dobrze pamiętam, jest wciśnięta pomiędzy osiemdziesiąty dziewiąty i dziewięćdziesiąty tom dzieła *Prawo lokalne na przestrzeni wieków*. Tatę bardzo interesuje tego typu problematyka.

- Cóż, zostawmy to na razie. Moja oficyna zamierza wznowić prace Rune'a. Chcemy wydać dzieła wszystkie. Rune był człowiekiem o bardzo rozległej wiedzy, geniuszem i wizjonerem. Księga prawd ostatecznych to mistrzowskie dzieło, kiedy jednak publikowano je wiele lat po śmierci autora, dokonano w nim wielu skrótów. Usunięto całe akapity.

- I pan stara się odzyskać te fragmenty?

- Zgadza się. Jeszcze kieliszeczek portwajnu?

- Nie skończyłem jeszcze pierwszego.

- No tak, nie skończył pan. Proszę wypić. Cornelius zbliżył kieliszek do ust.

- Gdzie należałoby szukać, pańskim zdaniem? Kontaktował się pan z wydawcą tamtej edycji?

- Dobry chłopiec. - Pan Kobold posłał chwilę palce. - Tamta oficyna została zlikwidowana dawno temu. Urwał się wszelki ślad, ale może coś znajdzie się tutaj. - Wyjął z szuflady plik papierów i podał je Corneliusowi. - Jutro ma się odbyć aukcja. Wśród oferowanych przedmiotów znajdują się dobra osobiste po Zenobii.

- Zenobii? Chodzi o władczynię Palmyry, pokonaną i ściętą przez rzymskiego cesarza Aureliana?

- Masz rację, z tym że chodzi tu o Wiktora Zenobię, jednego z akolitów i sekretarza Rune'a. Wśród jego osobistych rzeczy znajduje się szereg dokumentów. Może te, których szukam. Mam poza tym listę osób, których losy chciałbym prześledzić. Zaginione fragmenty manuskryptu są w czyimś posiadaniu i jestem pewien, że jest to któraś z osób na liście.

Cornelius był właśnie w trakcie poznawania jednego z ostatnich działów biblioteki taty. Od kilku dni rozkoszował się powieścią sensacyjną Lazła Woodbine'a *Zwłoki za domem*. Wydawało mu się więc, że wie, jak rozwiązać problem, przed którym stanął pan Kobold.

- Potrzebuje pan prywatnego detektywa - stwierdził.

- Najkrócej mówiąc, tak - przyznał Arthur Kobold z uśmiechem.

- Ma pan ciasto między zębami. Mogę zobaczyć tę pańską listę?

Kobold wyjął listę z biurka i podał ją Corneliusowi, który pomyślał natychmiast, że niesamowicie dużo papieru przeszło już tego dnia przez jego ręce, a minęło dopiero południe. Przyjrzał się liście. Było na niej pięć nazwisk, pierwsze brzmiało: Wiktor Zenobia, postawiono obok niego ptaszka.

- Nie wiadomo, gdzie przebywa pozostała czwórka?

- Zgadza się. Na nazwisko Wiktora natknąłem się w pewnej gazecie. Zadzwoń do redakcji i dowiedziałem się o aukcji. Czysty przypadek.

„Czysty przypadek” - przemknęło Corneliusowi przez głowę.

- Gdzie ma się odbyć aukcja? - spytał.

- W Edynburgu. Jutro o pierwszej po południu.

- W Edynburgu? - Brzmiało to obiecująco.

- Wszystkie wydatki zostaną ci zwrócone. Podróż wagonem pierwszej klasy oraz nocleg.

Także i to brzmiało obiecująco.

- Jeszcze portwajnu?

- Nie, dziękuję. - Cornelius odstawił nie tknięty kieliszek. - Z radością przyjmę stanowisko, będę jednak potrzebował zaliczki. Aktualnie nie posiadam własnych funduszy.

- Premia w gotówce wynosi pięćset funtów. - Arthur Kobold wepchnął do ust ostatni kawałek ciasta. - Naprawdę powinieneś spróbować.

- Ale właśnie je pan skończył.

- No tak, rzeczywiście. Jedź do Edynburga. Nabądź pozostałości po Wiktorze Zenobii i zdam mi jak najszybciej sprawozdanie. Pójdź każdym śladem, jaki uda ci się znaleźć. Otwórz sobie konto bankowe. Dzwoni i informuj mnie o kosztach, wszystkie zostaną ci zwrócone bez dyskusji.

- Bez dyskusji?

- Oczywiście. Zatrudniam cię, ponieważ uważam, że robotę wykonasz znakomicie. Poza tym, jeśli będę cię dobrze opłacał, jaki mógłbyś mieć powód, aby zachowywać się wobec mnie nieuczciwie?

- Żaden, z wyjątkiem wrodzonej nieuczciwości.

- Czy uważasz się za człowieka o wrodzonej nieuczciwości?

- Z całą uczciwością - nie.

- Ja też nie. A więc zawarliśmy umowę. Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Najważniejszy jest czas. Nie jestem jedynym szukającym tych dokumentów. Jak to się mówi, gra idzie o wysoką stawkę. Jeżeli odniesiesz sukces, czeka cię w przyszłości wiele pracy.

- Proszę się nie obawiać. Jeżeli manuskrypt istnieje, znajdę go.

- Jestem pewien. Masz tutaj pięćset funtów na początek i powiedzmy pięćset tygodniowo?

- Sądzę, że to uczciwa propozycja. - Cornelius Murphy uśmiechnął się od ucha do ucha.

6

Wracając do domu, Cornelius wstąpił jeszcze do „Modeli Moore’a”.

Tata - bez wątplenia przez nieuwagę - zapomniał wspomnieć o zaległych od dawna rachunkach u pana Moore’a i Cornelius - żeby zrobić zakupy - musiał wyrównać zaległości.

- Proszę odtąd wszystkie rachunki kierować prosto do mnie - z uśmiechem powiedział na pożegnanie. Słyszając to, Moore zatoczył się, jakby dostał zawrotów głowy, i usiadł oszołomiony.

Po powrocie na Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy Cornelius wyjaśnił rodzicom, jak sprawy stoją. Pożyczył od taty Księgę prawd ostatecznych. Spakował torby i wyszedł.

Poszedł do „Nóżek Mojej Żonki” pożegnać się z Tuppem. Prośba o asystenta, nawet takiego, którego opłacałby sam, odbiła się jak groch o ścianę. Pan Kobold był nieugięty - Cornelius musiał jechać sam.

- Obawiam się, że rzeczywiście musimy się pożegnać - powiedział Cornelius do swego niskiego przyjaciela.

- Przyślij mi pocztówkę - odparł Tuppe i uniósł oburącz filiżankę z herbatą. - A gdybyś miał okazję, kup mi którąś z tych szkockich lalek, wiesz, tych werblitek w przezroczystym plastikowym opakowaniu.

Cornelius uniósł zapewniająco kciuk.

- No i butelkę szkockiej.

- Kupię ci skrzynkę.

- Wielkie dzięki. Widzę, że jesteś już spakowany - rzucił Tuppe, spojrzawszy na stojące pod stołem walizkę i plecak.

- Muszę zaraz ruszać. Jadę popołudniowym pociągiem.

- Co masz w plecaku?

- Zimowe swetry, termos z kawą, paczkę z polową racją żywnościową taty z czasów, kiedy był w Brytyjskim Wojsku Ochotniczym. Rodzice nie chcieli wypuścić mnie bez niej z domu.

- To bardzo mądre. Uważam, że powinieneś pójść przed wyjazdem do toalety. Chyba nie chciałbyś, żeby coś cię zaskoczyło w ostatniej chwili. - Tuppe wyszczerzył zęby w głupekowatym uśmiechu.

- Święte słowa.

Gdy Cornelius wrócił z toalety, Tuppego już nie było.

\*\*\*

Punktualnie o szóstej olbrzymia lokomotywa typu Lewiatan, wydmuchując parę i dramatycznie sapiąc, ruszyła w kierunku Szkocji, zostawiając za sobą stację King's Cross.

Cornelius Murphy siedzący w wagonie restauracyjnym pierwszej klasy zajadał ciasto i przeglądał *Księgę prawd ostatecznych*. Otworzył ją w przypadkowym miejscu i trafił na rozdział zatytułowany DZIWIY ŚWIATA ZWIERZĄT. Poniżej znajdowało się, co następuje:

\*\*\*

Na przestrzeni dziejów wielu „uczonych” mężów badało królestwo zwierząt i zmarnowało przy tym niezliczone ilości dobrego papieru, zapisując swe obserwacje.

Pliniusz Starszy był jednym z głównych przedstawicieli tej grupy. Jeden z rozdziałów swojej *Historii naturalnej*, opublikowanej w 77 r. n. e., poświęca skromnej złotej rybce.

Oto jego „Siedem prawd” dotyczących tego stworzenia:

1. Złota rybka jest jedynym w przyrodzie stworem, który nie wypiera w wodzie własnego ciężaru.

2. Aby przeżyć, złota rybka musi co godzinę spożywać pokarm przynajmniej czterokrotnej wagi swego ciała.

3. W trakcie nowiu złota rybka zawsze kieruje się na północ. (Wiadomo, że Marco Polo woził ze sobą pewną liczbę złotych rybek na wypadek, gdyby popsuł mu się kompas - przyp. H.R.)

4. W Górnej Sumatrze złote rybki używane są jako waluta.

5. W Egipcie skóry złotych rybek służą jako prezerwatywy.

6. Sproszkowana złota rybka jest popularnym afrodyzjakiem.

7. Złota rybka jest rzadko stosowanym, trzynastym znakiem zodiaku.

\*\*\*

Cóż, od czasów Pliniusza minęło wiele lat. Dziś na całym świecie skóry złotych rybek stosuje się powszechnie jako prezerwatywy.

Zastanawia mnie jednak, czy rzeczywiście wiemy dzisiaj cokolwiek więcej o królestwie zwierząt, niż wiedzieliśmy w czasach Pliniusza?

Weźmy na przykład zjawisko „deszczu ryb”. Nad różnymi miejscami Ziemi obrywają się chmury drobnych rybek. Zjawisko zostało zaobserwowane przez wielu ludzi, większość jednak nie daje im wiary. A co z „deszczem” jeży? Tyle jednoznacznych dowodów i brak jakichkolwiek badań na ten temat.

Wystarczy w odpowiednim momencie pojechać na wieś, a bez trudu można zauważyć rozplaszczone na drogach tysiące jeży. Należy zwrócić uwagę, jakie są płaskie - aby tak skończyć, musiały spadać z naprawdę dużej wysokości!

Najczęściej mówi się, że jeże są po prostu ofiarami samochodów. O mój Boże! Jest przecież oczywiste, że jeże, czy - jak mówiono na nie dawniej - jesiotro-żaby, są mieszkańcami wyższych warstw atmosfery. Żywią się fruwającymi insektami i drobnymi rybkami zamieszkującymi aquasferę.

Aquasfera, jak wie każdy, kto czytał moją monografię Potop Noego, czyli skąd wzięła się cała woda, to kilkukilometrowej grubości warstwa wody, zabezpieczająca ziemską atmosferę przed odpłynięciem w kosmos. Żerujące w niej jeże pływają stadami, utrzymując się w górze dzięki otaczającym ich ciała workom, napełnionym naturalnym metanem. Kiedy jeże zdychają - częstym powodem są nakłucia worków z metanem w trakcie sezonu godowego - ulegają spłaszczeniu „od wpływem ciśnienia i spadają na ziemię, wybuchając w momencie zetknięcia z asfaltem. Uważam, że to, iż nie widuje się rozplaszczonych jeży na miękkich, trawiastych łąkach, dobitnie o tym świadczy i dość jednoznacznie dowodzi prawidłowości mojego poglądu.

Innym przykładem błędnego wyjaśnienia zjawisk świata fauny może być popularny pogląd dotyczący „wyginięcia” mamutów.

Kilka lat temu, podczas podróży przez syberyjską tajgę, natknąłem się na ekipę rosyjskich paleontologów, którzy bez najmniejszej wątpliwości znajdowali się w stanie wielkiego podniecenia.

Wyglądało na to, że nagła powódź przypadkiem wymyła fragment brzegu rzeki, odsłaniając idealnie zachowane ciało mamuta. Stwór zamarzł w biegu i wyglądał jak żywy.

Siwobrodzi rosyjscy uczeni omal nie wyskoczyli z radości ze skóry, uważając, że dokonali epokowego odkrycia. Nie wiadomo, dlaczego wbili sobie do głowy, że znaleziony egzemplarz ma przynajmniej piętnaście tysięcy lat.

Przedstawiłem się i kiedy dotarło do nich, z kim mają do czynienia, zaczęli błagać o ekspertyzę znaleziska i wydanie autorytatywnej opinii.

Spełniłem prośbę z przyjemnością, zwłaszcza że i tak nie miałem tego ranka innych planów. Zbadałem bestię i wkrótce oświadczyłem, że co prawda jest to rzeczywiście mamut z gatunku *Mammuthus primigenius*, ale nie żyje zaledwie pół godziny!

Wyjaśniłem im, że mamut to zwierzę ryjące, żyjące wyłącznie pod ziemią i występujące bardzo powszechnie w tej części świata. Potężnymi ciosami kopie tunele, a wystawiony na działanie światła - ginie natychmiast.

- Ten jest całkiem świeży - poinformowałem ich. - Byłoby grzechem go zmarnować.

Bez dalszych ceregieli kazałem moim służącym zawlec mamuta do wsi, w której mieszkałem, i rozpalić ogień.

Siwobrodzi nie wiadomo dlaczego podnieśli wrzask, musiałem więc użyć mojej grubej łagi. Na uczcie już się nie pojawili.

- Czy jest pan gotów zamówić danie główne?

Cornelius podniósł oczy znad tekstu i popatrzył na eleganckiego kelnera.

- W zupełności.

- Mamy filet ze złotej rybki w białym winie, chateaubrianda z jeża z drobnymi rybkami, antrykot z mamu...

- Poproszę dużą sałatkę - rzucił Cornelius Murphy.

\*\*\*

Następnego dnia o siódmej trzydziści rano potężna lokomotywa typu Lewiatan, dysząc, bez fanfar wjechała na stację Edinburgh Central.

Cornelius wystawił głowę przez okno i mocno zaciągnął się Szkocją. Jego włosy zdążyły skrócić się w loki. Dzień zapowiadał się pięknie.

Wysoki młodzieniec umył się, wyszorował zęby, powalczył chwilę z włosami i w końcu założył swą wyblakłą koszulę w hawajskie wzory oraz letni garnitur. Przez moment zastanawiał się, czy nie zostawić plecaka w przedziale, ponieważ jednak znajdowały się w nim jego dwa ulubione swetry, a był w urodzivej Szkocji, zmienił zdanie i zarzucił plecak na ramiona. Chwycił oburącz rączkę walizki i wyszedł na peron. Obcy na obcej ziemi. Wyglądało też na to, że jest całkiem sam.

Pierwszą jego myślą było, by zadzwonić do pana Kobolda z informacją o służbowych wydatkach, drugą - zjeść śniadanie.

Nigdzie nie mógł dostrzec bagażowego, a przy budce kontroli biletów nie było nikogo, komu mógłby pokazać swój bilet pierwszej klasy.

Cornelius z wysiłkiem przeciągnął walizkę przez ogromną, pustą, zbudowaną w wiktoriańskim stylu, halę dworcową. Ze znajdującego się przed dworcem kiosku, zbudowanego w stylu jarmarcznej szkockiej budy, płynęły zapachy smażonego bekonu i świeżo zaparzonej kawy. Cornelius poczuł, że w jego serce wkrada się wiosna.

Stojąca za ladą ponura kobieta w fartuszkach splatała dłonie na głowie.

- Dzień dobry pani. - Cornelius postawił walizkę na ziemi, zdjął z ramion plecak i wdrapał się na stojący przed kontuarem stół.

Ponura kobieta nie odwzajemniła radosnego uśmiechu, którym ją obdarował.

- Zamknięte - oznajmiła lodowatym tonem. Cornelius zauważył, że błękitna żyłka, biegnąca od grzbietu jej nosa w dół, odwzorowuje koryto Eufratu.

- Nie, otwarte - stwierdził nasz nieposkromiony bohater. - poproszę kawę i pełne śniadanie.

- Kawa się skończyła.

- Nie skończyła się. Bulgoce w dzbanku obok pani łokcia.

- Skończyła się.

- Mogę sprawdzić?

- Kawa się skończyła. Zwijaj żagle.

- Mówi pani, nie poruszając ustami. - Cornelius zastanawiał się, czy przypadkiem nie bierze udziału w próbie jakiegoś ulicznego przedstawienia, przygotowywanego na legendarny już Festiwal Edynburski. - Jak pani to robi?

- Ja to robię!

Zza kontuaru wychynęła głowa - idealnie okrągła i zwieńczona kraciastym szkockim beretem z pomponem. Zdobiąca głowę twarz była dość młoda, duża jej część skrywała się za grubymi okularami krótkowidza. Pod małym guzikiem nosa znajdowały się wywołujące skojarzenie ze złotą rybką usteczka, dolna warga wydymała się groźnie. Corneliusa najbardziej martwił nos - jak mógł wytrzymać ciężar okularów?

- Campbell! - zawołał.

- Chyba się nie znamy. - Młody człowiek zlustrował dokładnie Corneliusa, potem rozejrzał się wokół.

- Krata. Na twoim berecie. To znak klanu Calluma Wielkiego. Jego historia sięga czternastego wieku.

- Spadaj.

- Chcę zjeść śniadanie. - Cornelius potarł dłoń o dłoń.

- Słuchaj, przyjacielu - wycelował w naszego przyjaciela pistolet maszynowy. - Widzisz to?

Cornelius potaknął. Jako znawca broni dodał szybko:

- Pistolet maszynowy Uzi, kaliber dziewięć milimetrów, Parabellum. Magazynek pudełkowy o pojemności dwudziestu pięciu naboju. Składana kolba.

- Dodam, że jest załadowany.

- Najprawdopodobniej plasteliną. To plastikowy model do składania, mam taki w domu. Celownik na lufie jest zbyt wysoki. Pisałem w tej sprawie do producenta, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Na idealnie okrągłej twarzy Campbella pojawiło się przerażenie. Przysunął pistolet pod sam nos i zaczął nerwowo naciskać spust. Plastikowy element odpadł i uderzył cicho o kontur.

Cornelius schylił się.

- O tym też im napisałem. Uważaj! - dodał. Niestety, powiedział to zbyt późno.

Pięść ponurej kobiety spadła prosto na głowę Campbella i biedak runął za kontuar. Kobieta natychmiast zaczęła okładać go kopniakami, a jego jęki odbijały się echem po opustoszałej hali dworca.

- Zaczekam, aż skończycie. - Cornelius poprawił się na stołku i zaczął pociągać nosem w kierunku dzbanka z kawą.

- I nie waż mi się wracać! - Ponura kobieta otworzyła znajdujące się w kontuarze drzwiczki i wyrzuciła Campbella z kiosku. Przeturlał się kilka razy, pozbierał nieco zdezorientowany, przycisnął okulary do twarzy i ruszył przed siebie. Ponura kobieta rzuciła za nim plastikowe Uzi.

- Niech będzie przeklęty Campbell! - zawołała, nie zdając sobie sprawy z tego, że powtarza to, co mówi wielu miłośników sztuk pięknych na retrospektywnych wystawach Andy'ego Warhola. - Co z tobą? - zapytała w końcu Corneliusa.

- Poproszę śniadanie - odparł nasz bohater z uśmiechem. - Jajka, jeżeli pani ma.

Ponura kobieta odwróciła się do niego plecami.

- I bekon.

Spojrzała na Corneliusa przez ramię.

- I co jeszcze?

- Wszystko co pani ma.

- Wszystko co mam. - Mrucząc to i owo pod nosem, zabrała się do szykowania śniadania.

\*\*\*

Na Moby Dick Terrace zaczął dzwonić jedyny na ulicy telefon. Z kuchni wyszedł tata z filiżanką herbaty w dłoni i podniósł słuchawkę.

- Halo, jest tam kto? - Był to głos inspektora do spraw zatrudnienia młodzieży.

- Co jest, Insparrow? - Tata przystawił filiżankę do ust.

Pokręcił głową. - Znowu zimna.

- Panie Murphy, chciałbym porozmawiać z pańskim synem. To pilne.

- Mój syn przebywa aktualnie w Szkocji.

- Pański syn to bardzo przebiegły chłopiec, panie Murphy. Nie był względem mnie uczciwy.  
Ten list...

- List? - Tata dopił herbatę.

- Od pańskiego syna. Z żądaniem pieniędzy.

- To niemożliwe. Mój syn nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

- Zrobiłby i zrobił. Twierdzi, że znalazł sobie zatrudnienie.

- Nie brzmi to dla mnie jak żądanie.

- Twierdzi, że zatrudniłem go jako asystenta, aby znaleźć mu porządną pracę.

- To niezaprzeczalny fakt.

- Teraz jednak twierdzi, że ponieważ znalazł sobie pracę sam, nie mogę go dłużej zatrudnić na tym stanowisku.

- To też niezaprzeczalny fakt.

- Ponieważ więc w dalszym ciągu nie mam dla niego innej pracy, mam go odprawić.

- Chyba będzie musiał pan to zrobić.

- Ale on żąda odprawy! W wysokości miesięcznej pensji!

- Wygląda mi to na całkiem rozsądne oczekiwanie. - Tata trzymał słuchawkę w pewnej odległości od ucha, inaczej rozmowa mogłaby źle skończyć się dla jego bębenków.

- Rozsądne?! - zawył pan Insparrow. - Rozsądne? To oburzające!

- Cóż, formalnie biorąc - słuchawka wróciła do ucha Jacka Murphy'ego - nie może pan dłużej go zatrudnić. Nie macie podpisanej umowy o pracę. Mógłbym zacytować kilka precedensów w tej materii. Wie pan, sprawy z zakresu kodeksu pracy to jakby moja specjalność. Weźmy na przykład sprawę Johna Vincenta O'Mally'ego przeciwko Arthurowi Dovestonowi, dostawcy welocypedów parowych na dwór.

- Komu?

- Arthurowi Dovestonowi. Dziś jest bankrutem. Nie była to szczególnie wielka sprawa, przyciągnęła jednak uwagę lokalnej prasy. Pan sam najlepiej wie, jak bardzo dziennikarze lubią prowadzić krucjaty na rzecz szarego człowieka.

- Nie do końca rozumiem, panie Murphy. Bankructwo, sprawa sądowa, prasa, szary człowiek - co to wszystko ma znaczyć? - zapytał cichutko Insparrow.

- Mam nadzieję, że panu się uda - odparł tata. - Może akurat panu sąd pomoże

- Sąd mi pomoże?

- Przepraszam, ale muszę kończyć - przerwał tata. - Wydaje mi się, że kot chce wyjść na dwór.

- Odłożył słuchawkę i złapał się za brzuch, by nie pęknąć ze śmiechu.

U szczytu schodów pojawiła się pani Murphy. Miała na sobie wielokolorowy szlafrok.

- Kto dzwonił?

Pan Murphy robił wszystko, by powstrzymać śmiech.

- Pan Insparrow - wydyszał, z trudem panując nad sobą. - Twierdził, że Cornelius napisał do niego list z żądaniem miesięcznej odprawy.

- Nonsens - stwierdziła matka. - Mój syn nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

- To samo mu powiedziałem. „To niemożliwe, by mój syn zrobił coś takiego”.

Tata poszedł do kuchni i nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Dlatego to ja musiałem napisać ten list. - Zachichotał.

Nieświadom tego, że niebawem otrzyma miesięczną odprawę, Cornelius skończył śniadanie. Położył na kontuarze elegancki, nowiutki banknot pięciofuntowy.

- Pierwsza klasa - powiedział. - Czy mógłbym panią poprosić o rachunek?

Ponura kobieta nie odpowiedziała.

Bagażowy ciągle się nie zjawiał, Cornelius zarzucił więc plecak na ramiona, wziął walizkę i ruszył przed siebie. Postanowił znaleźć taksówkę.

Taksówek co prawda nie było, ale był przynajmniej postój. Cornelius usiadł na chodniku, oparł się plecami o znak informujący podróżnych o kierunku kolejki, i w tym samym momencie ujrzał Campbella.

Niedoszłemu rozbójnikowi kapała z nosa krew; starał się ją zatamować ogromną chustką w szkocką kratę. Wbił wzrok w Corneliusa zza okularów, które nie doznały na szczęście uszczerbku. Cornelius zastanawiał się, czy to możliwe, by na Festiwalu wystawiano w tym roku Władcę much.

- Piękne dzięki - chlipnął Campbell. Cornelius wzruszył ramionami.

- Ty zacząłeś. Mam nadzieję, że nie zapłaciłeś za tę zabawkę zbyt wiele. Ta ponura baba poła-  
mała ją.

- Łobuzy powiedziały, że jest prawdziwy. Już nigdy nie pozwolą mi wstąpić do gangu.

- Łobuzy? - Cornelius nie raz słyszał opowieści o łobuzach i o tym, że jeżeli spotyka się które-  
goś osobiście, nie należy pozwolić mu na to, by dobrał się człowiekowi do skóry. Nie przypominał  
sobie, by kiedykolwiek spotkał któregoś z nich. Owszem, spotkał już w swoim życiu kupę  
głupców, ale prawdziwego łobuza - jeszcze nigdy. - O jakich łobuzach mówisz? - spytał więc  
Campbella.

- O Dzikich Wojownikach z Zachodniego Lothian. Podłapują najlepsze dziewczyny, mają furę  
przygód i tak dalej. Chciałem do nich przystąpić.

- Dlatego musiałeś obrabować kiosk?

- Obrabować, a potem wysadzić.

- Wysadzić? Czym?

- Dali mi granat.

- Jesteś pewien, że prawdziwy? Nie zapalniczkę? Campbell wyciągnął z ukrytej kieszeni jajo-  
waty granat typu 36M i rzucił go Corneliusowi. Wysoki młodzieniec złapał i spojrział - miał w ręku  
zapalniczkę. Bez komentarza zwrócił ją niedoszłemu zamachowcowi. Podjechała taksówka.

- Najprawdopodobniej nie jesteś stworzony do takiej roboty - stwierdził delikatnie. - Podwieźć  
cię do domu?

- Może dałbyś się wziąć za zakładnika? - spytał z nadzieją Campbell. - Może tym bym się za-  
służył.

- Przykro mi, ale nie mam czasu. O pierwszej mam spotkanie. Może później, kiedy będę wra-  
cał.

- To nie zajmie wiele czasu. Może godzinę. Bardzo byłbym ci wdzięczny za tę przysługę. Na  
pewno nie zechcą cię zatrzymać, a ja udowodniłbym im, że jestem ambitny, przedsiębiorczy, młody  
i umiem samodzielnie myśleć.

- Bez dwóch zdań. Jesteś pewien, że chcesz wstąpić do tego gangu?

- Mam do wyboru to albo pracę, którą wybrał mi nasz inspektor do spraw zatrudnienia.

- A kim miałbyś według niego zostać?

- Chłopcem biurowym - odparł Campbell cichym, przygnębionym tonem.

\*\*\*

Taksówka wiozła Campbella i jego zakładnika historycznymi ulicami Edynburga. Corneliuso-  
wi wszystko niezwykle się podobało. Rozglądał się w poszukiwaniu ponurych rudobrodych górali  
w spodniczkach i z mieczami w dłoniach, niestety nikogo takiego nie ujrzał.

- Gdzie te wszystkie typowo szkockie skórzane torby i wsunięte w skarpetę szkockie sztylety?  
- spytał w końcu Campbella.

- A gdzie twój melonik? - odpalił Campbell. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

- Tu na rogu, Jimmy? - przerwał ciszę taksówkarz.

- Jimmy? - Cornelius odwrócił się do swojego porywacza. - Taksówkarz zna cię po imieniu?

- Wszyscy Szkoci noszą imię Jimmy - odparł Campbell, poprawiając beret. - Każdy o tym wie.  
To tradycja albo stary przywilej, czy coś w tym rodzaju.

- Zdawało mi się, że wszyscy Szkoci mają na imię Jock.

- Daj spokój. To Irlandczycy.

- Irlandczycy mają na imię Mick, Londyńczycy zaś - John.

- Jack - wtrącił taksówkarz. - Przynajmniej tak miał na imię Jack London. Zew krwi - Call of  
the Wild.

- Wilde miał na imię Oscar - stwierdził Campbell.

- Nicholson zdobył Oscara - zauważył taksówkarz. - I ma na imię Jack, ale myślę, że to Ame-  
rykanin. Ciekawe, jak ma na imię reszta Amerykanów.

- Łobuzy! - powiedział Campbell.

- A no tak, człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. To będą równo dwa funty, Corneliu-  
sie - rzucił taksówkarz.

Cornelius wyciągnął z kieszeni pieniądze.

- Czy mógłbym prosić o pokwitowanie? Poza tym nie przedstawiałem się panu z imienia.



Taksówkarz nagryzmolił coś niewyraźnie na tylnej stronie paczki woodbine'ów i podał je Corneliusowi.

- Nie denerwuj się. Widziałem twoje zdjęcie w gazecie.

- Proszę?

Taksówkarz podniósł do góry egzemplarz „Edinburgh Mercury”. Wydrukowany wielkimi literami na pierwszej stronie tytuł brzmiał: PODRÓŻNY - BOHATER UDAREMNIA NAPAD NA DWORCOWY KIOSK. Poniżej zaś znajdowało się zdjęcie bohatera przy śniadaniu.

Cornelius złapał gazetę i z niedowierzaniem wbił w nią wzrok.

- No chodź - powiedział z wyrzutem Campbell. - Podobno się spieszysz.

7

- Pierwszy dom z tej strony. - Campbell wskazał ruchem ręki marne resztki stromej ulicy, wystającej ponad ugór rewaloryzowanej okolicy. - Numer dwadzieścia trzy. Twój plecak jest bardzo ciężki, a rączka od walizki ledwo zipie. Tak a'propos - to prawdziwa krokodylowa skóra?

Cornelius, potykając się co chwilę, szedł za nim niepewnie i wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył na pierwszej stronie „Edinburgh Mercury”. Kręcił głową, a jego włosy falowały rytmicznie. Artykuł informował o ukrytych na stacji kamerach, faksowaniu zdjęć, dokonanej komputerowo identyfikacji uczestników zdarzenia, błyskawicznym reagowaniu prasy na bieżące wydarzenia i o tym, że „Edinburgh Mercury” zawsze jest w tej materii pierwszy.

Cornelius przerzucił pozostałe strony. Nie było na nich ani jednej godnej uwagi informacji. Pełne były natomiast reklam wysokiej klasy hoteli, restauracji, salonów odzieży męskiej, domów publicznych, sklepów ze sprzętem kempingowym, wypożyczalni samochodów. W sumie wszystkiego, co - z konieczności lub dla rozrywki - mogło zainteresować podróżnego.

- Jim! - zawołał Cornelius do Campbella. - Zaczekaj chwilę.

- O co chodzi? - Jim odstawił walizkę i zdjął z ramion plecak.

- Czy kiedy mój pociąg wjechał na peron, trzymałeś już kiosk w szachu?

- I to jak!

- Czy ktoś poza mną wysiadł z pociągu?

Campbell pokręcił głową i zaczął szukać wokół siebie okularów. Cornelius schylił się i podał mu je.

- Dziękuję.

- Nikt poza mną nie wysiadał?

- Oczywiście, że nie. Taksówkarz nie pojawiłby się, gdyby nie przeczytał o tobie w gazecie. Musiałbyś iść piechotą. A tak w ogóle, to nie pokazuj chłopakom tej gazety, dobrze?

Cornelius złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni.

- Będzie też lepiej, jeżeli sam poniesiesz teraz bagaże. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczyli, że pomagam ci je nieść.

Cornelius wzruszył ramionami i wziął swój bagaż.

- Tędy, powiedziałeś?

- Tak jest. Numer dwadzieścia trzy.

Budynek, przed którym stanęli, przypominał jego ukochany rodzinny dom. Przed frontowymi drzwiami stał nawet pojemnik na śmieci, ale Cornelius nie miał odwagi unieść pokrywy. Potencjalny Dziki Wojownik zastukał w drzwi.

W judaszu pojawiło się oko.

- Wylegitymuj się - powiedział jakiś głos.

- Wpuść nas, Sawney. To ja, Jimmy, tylko rozwalily mi się okulary.

- Wylegitymuj się i podaj hasło.

- Nie znam żadnego hasła.

- To nowa zasada. Jeżeli nie znasz hasła, nie możesz wejść.

- Ale ja tu mieszkam! Wpuść nas. Mam zakładnika, ale nie może długo czekać, bo musi iść na spotkanie.

- Zna hasło?

Campbell odwrócił się do jeńca.

- Znasz hasło?
- Rzuć pierwsze lepsze słowo, jakie przyjdzie ci do głowy.
- Biustonosz - powiedział Campbell.
- Wejdz, przyjacielu. - Drzwi się otworzyły i Cornelius został wepchnięty do środka.
- Oj - jęknął.

Za drzwiami piętrzyły się kupki śmieci, „dom” zaś składał się jedynie z frontowej ściany. Znad niewielkiego ogniska unosiła się strużka dymu.

- O tak! - zawołał Cornelius Murphy. - To już znacznie lepiej!

Wokół ogniska kucało trzech rudobrodego górali, odzianych w kilka warstw przechodzonej odzieży w szkocką kratę i uzbrojonych po pożółkłe zęby. W bojowe berety powtykane mieli orle pióra.

- Pytałeś o sztylety - powiedział Jim.

- A któż to? - Groźnie wyglądająca wojownicza postać odłożyła na bok puchar z bawolego rogu, wstała i zaczęła gmerać przy pasie z mieczem.

- Zakładnik - z dumą odparł Campbell. - Corneliusie, to Angus, przywódca. Przy ognisku siedzi jeszcze Hamish, no i Sawney, który nas wpuścił.

- Siemasz! - rzucił Sawney.

- Cześć! - pomachał do Sawneya Cornelius.

- Zakładnik? - Angus, czy - jak wolał, by go nazywano - Angus Czarny podejrzliwie lustrował Corneliusa. - Wysłaliśmy cię po kanapki, a ty wracasz z zakładnikiem?

- Po kanapki? - Cornelius odwrócił się gwałtownie do Campbella. - A mówiłeś, że...

- A gdzie ta moja cholerna zapalniczka? - ryknął Hamish. - Przecież wiesz, że nie znoszę zapalać fajek od ogniska!

- Przepraszam. - Campbell wyjął z kieszeni atrapę granatu i zwrócił ją prawowitemu właścicielowi.

- Nie byłeś chyba wobec mnie szczery. - Cornelius popatrzył na Campbella poważnie.

Campbell zdjął okulary i schował je do kieszeni.

- Zamknij się! - warknął. - Chyba że nie wiesz, co dla ciebie dobre. A ty Angus siadaj!

Angus pokornie wrócił do ogniska. Cornelius z nową uwagą popatrzył na Campbella. Bystre błękitne oczy migotały groźnie, na twarzy pojawił się wyraz złości. Campbell chytrze łypał na niego okiem.

- Niezwykle skomplikowany fortel. Mam w tym zakresie najdziwniejsze zachcianki. Teraz jesteś moim zakładnikiem.

- Jestem za cienki jak na zakładnika - stwierdził Cornelius. - O co tu chodzi?

- Wydaj wszystkie swoje pieniądze.

- Na pewno tego nie zrobię.

- Tym gorzej dla ciebie. - Campbell pstryknął palcami. Natychmiast wstało trzech wojowników i wyciągnęło dość groźnie wyglądające klingi.

- Biorę jego marynarkę - powiedział Sawney.

- A ja tę koszulę w kwiaty, będzie znakomicie wyglądać na moim dziewczęciu. - Mówiąc to, Angus przeciągał palcem po ostrzu noża, który wzdłuż grzbietu klingi miał dzioby przypominające krokodyle kły.

- Jaki nosisz rozmiar butów? - spytał Hamish.

- Osiem i pół.

- Będą dla mnie w sam raz.

- Jeżeli nie miałbyś nic przeciwko temu, chętnie je zatrzymam.

Cornelius zamachnął się prawą ręką i trafił w przewieszoną przez ramię skórzaną torbę Hamisha. Górą zgiął się wpół i zalał łzami. Jego towarzysze rzucili się na Corneliusa. Zapędzony w kozi róg młodzieniec zaczął wymachiwać walizką. Udało mu się całkiem niezłe rąbnąć Angusa w ucho, niestety posępny Campbell objął go od tyłu ramionami i zawisł mu na szyi. Cornelius starał się jak mógł walić łokciami, ale spec od przebieranek okazał się dość odporny na jego ciosy. Sawney uniósł oburącz miecz i szykował się do spuszczenia go komu trzeba na głowę.

- Nawet nie próbuj! - słowa te dobiegły z policyjnego megafonu. - Odłóżcie broń i uwolnijcie zakładnika!

- Że co? - Campbell rozejrzał się zdezorientowany. Nawet o milimetr nie popuścił szyi Corneliusa.

- Jesteście otoczeni - ciągnął głos z policyjnego megafonu. - Odłóżcie miecze, a ty puść chłopaka, Campbell!

- Że jak? - Campbell nie mógł ciągle zrozumieć, co się stało.

- Najlepiej będzie, jeżeli zrobicie, co każą - stwierdził wysoki młodzieniec.

- Nie ma mowy! - wrzasnął Campbell. - Nie widzę żadnej policji. Słuchajcie! Wzięliśmy zakładnika i zatrzymamy go!

- Nasi snajperzy mają cię na muszkach. Widzą dokładnie pryszcz na twoim czole.

- Pryszcz? - Campbell puścił Corneliusa i zaczął obmacywać się po czole. - To znamię, które mam od urodzenia.

- To całkiem spory syfek - stwierdził Hamish, łapiąc się kurczowo za kilt. - Podobnie jak cała reszta.

- Gdzie jesteście? - zawołał Campbell, wirując wokół własnej osi jak fryga.

- Wszędzie. Mamy was pod obserwacją od momentu, kiedy rozbiliście tu obóz. Puść chłopaka albo otwieramy ogień.

Angus i Sawney rzucili broń na ziemię. Hamish siedział, głaszcząc się po lędźwiach. Campbell zaciskał i otwierał pięści.

- No to ja może już sobie pójdę - powiedział Cornelius i zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

- Nie zapomnij bagaży, durniu! - warknął policyjny głos. Cornelius złapał nerwowo plecak i walizkę.

- Oczywiście, dziękuję

- Wychodź sam!

- Oczywiście.

- Pozostali cofnąć się za ognisko!

Wojownicy z Zachodniego Lothian, zgrzytając zębami i pomrukując, zrobili, co im kazano.

Cornelius Murphy opuścił „budynek”.

Wyskoczył przez drzwi frontowe numeru 23 i zatrzasnął je za sobą. Natychmiast odwrócił się, by podziękować swym wybawcom.

Ulica była pusta.

- Nie stój jak głupek. Uciekaj!

Głos dobiegł z bardzo bliska. Cornelius zaczął uciekać.

Gnał, póki starczało mu sił. Kiedy ich zabrakło, zatrzymał się przy pierwszych lepszych drzwiach i - ciężko dysząc - usiadł pod nimi na schodkach.

- Teraz otwórz plecak. - Znów odezwał się ten sam co przedtem głos.

- To ty, Boże? - Cornelius zaczął rozglądać się po niebie w poszukiwaniu pasm złotego światła.

- Nie, to ja.

Cornelius rozpoznał głos Tuppego. Otworzył plecak.

- Tuppe! Co za niespodzianka!

Mały człowieczek wylazł z plecaka i - o ile było to w ogóle możliwe - przeciągnął się.

- Chyba cieszysz się teraz, że mnie przywiozłeś.

Cornelius objął drobnego koleżkę.

- Tuppe. - Więcej nie był w stanie powiedzieć..- Starczy tego ściskania. Dziękuję.

.- Przepraszam, ale tak dobrze cię widzieć. Jak...?

- Postanowiłem zabrać się z tobą. Nie mogłem pozwolić, byś wyruszył całkiem sam w podróż, która może okazać się godna eposu. Nie wspominając już o kłopotach, w jakie mogłeś się wpakować. Tak więc, kiedy sikałeś w „Nózkach Mojej Żonki”, wlałem do plecaka. Żywiłem się wojskowymi racjami twojego taty. Kawa mamy też była niczego sobie, ale teraz nie powiem - z chęcią skorzystałbym z toalety.

- Ojej, jakie to śmieszne. Jedziesz całą drogę w plecaku, podczas gdy ja nie mam o tym pojęcia, i w odpowiednim momencie udajesz policyjny megafon.

Tuppe zatkał nos, przystawił do ust pusty termos i zawołał.

- Rzućcie broń i wychodźcie z podniesionymi rękami! Jesteście otoczeni!

Otworzyło się kilka okien i na ulicę posypał się grad pistoletów.

- Nie strzelaj, żołnierzu! - rozległ się błagalny głos.  
- Gdybym nie usłyszał tego na własne uszy, nigdy bym nie uwierzył - przyznał Cornelius. - Naprawdę bardzo ci dziękuję.  
- Nie ma o czym mówić. Zrobiłbyś to samo dla mnie.  
- Oczywiście. Na pewno prędzej czy później okpiłbym tych gałganów.  
- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, wołałem jednak przerwać walkę, nim zacząłeś wymachiwać plecakiem.  
- I miałeś rację. Cóż, teraz, kiedy wrócił mi oddech i okazało się, że mam u boku najlepszego przyjaciela, powinniśmy kontynuować tę niezwykłą podróż i ramię przy ramieniu stanąć twarzą w twarz z czekającymi nas przygodami.  
- Znakomicie powiedziane. Dokąd podążamy?  
- Do domu aukcyjnego w „Sheila na gigh”.  
- Jak tam dotrzemy?  
Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się właśnie jasnozielony autobus. Tablica nad jego przednią szybą oznajmiała ponad wszelką wątpliwość: SHEILA NA GIGH.  
- Wsiądziemy do autobusu - stwierdził Cornelius Murphy, pogodnie się uśmiechając.

8

Nazywał się Felix Henderson McMurdo, ale mówiono na niego Niesamowity Szkot. Kiedy przechodził, stare siwe babunie przeklinały go, psiska szczyrzyły kły, a dziecińy moczyły pieluchy. Chłopcy pluli na niego, dla bezpieczeństwa, z wyższych pięter, a ich matki ścisnęły pośladki i odwracały płonące policzki.

Wszyscy, którzy znali McMurda, byli zgodni co do jednego - że skończy na szubienicy.

Felix, który zawsze uważał się za równego i ogólnie lubianego gościa, nie przejmował się tym specjalnie.

- Tutejszy lud ma specyficzne poczucie humoru - mówił tym, którzy byli w tych stronach obcy. Oni uśmiechali się na to i kręcili głowami.

Wystarczyło jednak, by zniknął z pola widzenia, a ci sami obcy rozluźniali pośladki i twierdzili, że: „Jeżeli kiedykolwiek istniał ktoś, komu pisane skończyć na szubienicy, to jest nim ten odchodzący właśnie facet”.

Na rogu Agamemnon Street znajdował się sklep tytoniowy, którego właścicielem był Szkot o nazwisku Patel. Przed sklepem stał ostatni w Szkocji uliczny automat do sprzedaży papierosów.

Do tej właśnie maszyny zbliżał się, ścisnąc w dłoni ostatnią funtową monetę, Felix Henderson McMurdo.

Dokładnie po drugiej stronie ulicy znajdował się dom aukcyjny.

Budynek, w którym się mieścił, był pierwotnie mauzoleum, kościołem kongregacjonalistów, kaplicą metodystów wesleyowskich, a może jeszcze czymś innym. Wszędzie widuje się tego typu budowle, które niemal niczym się od siebie nie różnią. Budowano je w połowie minionego wieku z twardej klinkierowej cegły i szarego łupku. Mają efektownie sklepione sufity i podłogi przepięknie wyłożone kamiennymi płytami. Mówiąc w skrócie - są wspaniałym świadectwem roztropnego wiktoriańskiego zmysłu przewidywania. Ich wnętrza pozwalają bowiem znakomicie eksponować wymuskane kopie stylowych mebli, które się tam dziś sprzedaje.

Ten konkretny budynek otaczało rusztowanie, a dwóch gburowato wyglądających typków mowowało tablicę informującą o tym, że wkrótce otworzy tu swe podwoje Towarzystwo Kuchni Wiktoriańskich.

Dziś był jednak dzień aukcyjny i pełne staroświeckich dupereli wewnątrz wyglądało znakomicie.

Cornelius i Tuppe wkroczyli do środka.

- Ładny sufit - stwierdził Cornelius.

- Podłoga też niczego sobie - dodał Tuppe.

- Czy nie powinniśmy rzucić okiem na przedmiot, którym interesuje się pan Kobold?

- Czemu nie.

Przez środek sali biegł szereg stołów, zrobionych ze stojących na kobyłkach blatów. Piętrzyły się na nich stosy przedmiotów, które okres świetności miały już dawno za sobą. W oczy rzucała się duża liczba wyświechtanych starych mebli, kilka kiepskich obrazów olejnych i nieśmiertelne szafki sklepowe od Cadbury'ego, na których widok zawsze nasuwała się myśl, że „to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe”. Obecne były także fotele i kanapy, nie wiadomo od kiedy wędrujące po kraju z aukcji na aukcję.

Tuppe obejrzał kilka spluwaczek i zaczął badać komódkę stojącą na zrobionej ze słoniowej nogi podstawie. Cornelius, sięgający wzrokiem znacznie dalej, lustrował w tym czasie pudło zawierające antyczne trzcinowe trzepaczki do dywanów. Otworzył otrzymany od pana Kobolda katalog wystawy i wyczytał, że jest to kolekcja wczesnych francuskich rakiet tenisowych. Sprawa nie zapowiadała się dobrze.

- Powtórz mi jeszcze raz, czego szukam, bo zapomniałem - poprosił Tuppe. - O rany! - wrzasnął nagle i pospiesznie zatrzęsął blat komódki.

Cornelius czytał głośno:

- Pozycja numer sto - duży zielony płócienny kufer, wypełniony osobistymi przedmiotami niezującego Wiktora Zenobii. Komplet składający się ze szczotki i grzebienia w etui z cielej skóry. Różne dokumenty. Lodenowy płaszcz (z poodpruwanymi guzikami), nieco przetarty na łokciach. Bez ceny wywoławczej.

- Kobold chce jedynie te dokumenty?

- Tak powiedział.

Tuppe zatarł drobne rączki.

- Znakomicie. W takim razie zaklepuję sobie kufer. Zapewni mi wygodny nocleg w drodze powrotnej do domu, a tobie zaoszczędzi wydatku na mój przejazd.

- Cóż za przemyślany wybór. Ja w takim razie powinienem wziąć szczotkę i grzebień w etui z cielej skóry.

- W pełni na nie zasługujesz. Pozostaje więc jedynie problem lodenowego płaszcza.

- Z poodpruwanymi guzikami. - Cornelius skrzywił się z niesmakiem.

- I nieco przetarty na łokciach. - Tuppe powtórzył wyraz twarzy przyjaciela.

- Najlepiej będzie, jeżeli zatrzymamy sobie płaszcz w rezerwie.

- Doskonale! Jako że interesująca nas pozycja nie ma ceny wywoławczej, wszystko powinno przebiec idealnie.

Zadowoleni z boskiej harmonii, jaką osiągnęli, Cornelius i Tuppe wyruszyli na poszukiwania pozycji numer sto.

- Pozycja sto? - spytał Cornelius wysokiego portiera w brązowym overallu.

- Pozycja sto? - to samo pytanie Tuppe zadał stojącemu obok niskiemu portierowi.

- Tam. - Wysoki portier wyciągnął rękę, wskazując kierunek.

- Tam. - Niski portier wskazał w zupełnie inną stronę.

Cornelius i Tuppe ruszyli w przeciwnych kierunkach.

\*\*\*

Felix Henderson McMurdo wrzucił ostatniego funta do automatu z papierosami i już czuł, jak zaciąga się swym ulubionym wild woodbine'em. Nucił pod nosem i zastanawiał się, dlaczego ostre kobitki unikały go jak ognia.

Po chwili uświadomił sobie, że jego uszu nie dobiegł zawsze satysfakcjonujący cichy brzdęk monety wpadającej do wnętrza automatu.

W tym samym momencie stojący na przeciwległym rogu dwaj gówniarze zachichotali w brudne piąstki i jeden z nich wsunął do tylnej kieszeni postrzępionych spodni tubkę kleju.

- No, dawaj. - Felix pieszczotliwie klepnął automat. - Nie kryguy się.

Automat nie odpowiedział.

\*\*\*

Sala zapełniała się. Zbliżała się pierwsza, godzina otwarcia aukcji, kiedy Cornelius odnalazł wreszcie Tuppego.

- Udało ci się? - Mniejszy z przyjaciół pociągnął wyższego za nogawkę.

- Nie. Nie udało mi się znaleźć naszej pozycji.

- Posadź mnie na ramionach. Może znajduje się na którejś z wyższych półek.

Cornelius posadził sobie towarzysza na ramiona.

- Rany julek! Zsadź mnie i schyl się.

- O co chodzi?

- Rób, co mówię. Nie marudź!

Cornelius odstawił Tuppego z powrotem na podłogę i ukląkł przy nim.

- O co chodzi?

- Jest tu Campbell ze swoimi koleśkami. Siedzą na samym przodzie.

- Nie widziałem, by wchodzili.

- Miejmy więc nadzieję, że cię nie zauważyli. Co oni tu robią?

- Może przyszli przypadkiem? - zasugerował Cornelius.

\*\*\*

Felix Henderson McMurdo klepnął automat nieco mniej pieszczotliwie.

- Kopsaj moje woodies - poradził mu. - I to gazem!

Ze sklepu wyszedł pan Patel.

- Odejdź od mojego automatu, przeklęty! - rzucił gromko\* w kierunku McMurda.

- Moja moneta utknęła. - Niesamowity Szkot ponownie klepnął automat.

- Uważaj, bo zaraz wezmę na ciebie kij! - ostrzegł właściciel trafiki.

\*\*\*

Na gotycką mównicę wszedł elegancki jegomość z wykwintnymi wąsikami, odziany w podbity baranym futrem płaszcz, podobny do tych, jakie noszono na początku wieku dojazdu samochodem, oraz tweedową czapkę z daszkiem. Podszedł do mikrofonu i otworzył usta, by przemówić do zebranych łowców okazji.

- Panie i panowie. - Z głośników wyprysnął gwałtowny pisk sprzężenia mikrofonu ze wzmacniaczem, odbił się od sklepienia i trafił w zgromadzonych, aż ludzie skulili się i zakryli dłońmi uszy.

- Przepraszam - dobiegł zza mównicy cichy głosik. - Niech pan spróbuje jeszcze raz.

- - powiedział licytator.

- Jeszcze raz.

- Panie i panowie!

- W porządku, proszę mówić dalej.

- Panie i panowie! Witamy na cotygodniowej aukcji w anabaptystycznym kościele reformowanym. Widzę szereg znajomych twarzy, ponieważ jednak jest też kilka nowych, powtórzę nasze zasady. Będę się streszczał, bo mamy dziś wiele pozycji.

- To świetnie - skomentował jeden ze stałych bywalców aukcji.

- Uznajemy karty kredytowe wszystkich dużych towarzystw. Czeki osobiste są akceptowane pod warunkiem przedstawienia ważnej karty czekowej. Proszę nie wystawiać czeków osobistych na sumy powyżej pięćdziesięciu funtów. Pozycje zaliczkowane muszą zostać spłacone w ciągu dwudziestu czterech godzin. Obiekty poniżej dwudziestu pięciu funtów muszą być płacone gotówką i w ich wypadku nie akceptujemy zaliczek. Jeżeli to jasne, przejdźmy do pozycji numer jeden.

Starsza dama w słomkowym kapeluszu podniosła rękę.

- Trochę się pani pospieszyła, madame - powiedział z uśmiechem licytator. - Proszę zaczekać, aż zacznę licytować.

- Chciałam o coś zapytać - odparła dama.

- Toalety są zaraz obok wyjścia. - Uśmiech licytatora stał się jeszcze szerszy.

- Nie chcę iść do toalety. Chcę o coś zapytać.

- Słucham?

- Czy pozycje wylicytowane powyżej dwudziestu pięciu funtów mogą być płacone gotówką?

- Oczywiście. A więc - pozycja numer jeden.

- A pozycje poniżej dwudziestu pięciu funtów nie mogą być płacone czekiem osobistym?

- Nie, proszę pani.

- A jeżeli nabędę dwie pozycje, których łączna cena nie będzie przekraczać pięćdziesięciu funtów, to czy będę mogła zapłacić za nie czekiem osobistym, oczywiście pod warunkiem, że posiadam ważną kartę czekową?

- Tak, proszę pani. Jeżeli ich łączna wartość przekracza wymagane minimum dwudziestu pięciu funtów. Czy możemy zaczynać?

- A jeżeli zdecyduję się jedną z nabytych pozycji wystawić na sprzedaż na następnej aukcji, to czy będę mogła uzyskać odroczenie płatności za nią, aż zostanie ponownie sprzedana?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Licytator w dalszym ciągu się uśmiechał, choć już ledwo, ledwo.

- A więc jeżeli chociaż jedną z pozycji wystawię natychmiast na kolejną aukcję, czy będę musiała zapłacić za obie, które kupię?

- Jak najbardziej.

- A jeżeli pozycja, którą wystawię, nie zostanie zlicytowana za cenę wywoławczą, jaką ustalę?

- Wtedy będzie pani chyba zmuszona zabrać te rzeczy do domu, droga pani. - Uśmiech licytatora był już jedynie wspomnieniem.

- Ani mi się śni brać coś podobnego do domu - powiedziała z oburzeniem dama. - Za kogo pan mnie ma?

\*\*\*

Na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy, zaczynał gromadzić się tłumek.

- Chcę jedynie paczkę woodbine'ów, za którą zapłaciłem - mówił McMurdo. - Tknij mnie jeszcze raz tym kijem, a będziesz martwym Szkotem, Patel.

- Zawisnie na sznurze, oto gdzie skończy - orzekła pewna starowinka.

\*\*\*

- Chyba sobie panią przypominam - mówił licytator. - Czy nie uczestniczyła pani przypadkiem w poprzedniej aukcji?

Dama w słomkowym kapeluszu skinęła potakująco głową.

- Kupiłam dwie pozycje. Jedną z nich wystawiłam na dzisiejszej aukcji i sama zamierzam ją licytować.

- Dlaczego?

- Cóż, w zeszłym tygodniu okropnie przepłaciłam, teraz więc wyznaczyłam bardzo niską cenę wywoławczą. Chciałabym dzisiaj wylicytować tę pozycję.

- Wydaje mi się, że mówiła pani, że ani się pani śni brać do domu coś podobnego.

- Mówiłam, ale nie wolno stracić okazji, nieprawdaż? Jeżeli uda mi się kupić tę pozycję naprawdę tanio, może wystawię ją na przyszłotygodniową aukcję

- Mam nadzieję, że się to pani uda - stwierdził licytator. - A więc, pozycja numer jeden.

- To moja - stwierdziła dama. - Tylko niech mi nikt nie licytuje!

\*\*\*

- Co tu się dzieje? - Przez tłum przepychał się młody przystojny policjant. - Patel, przestań okładać tego człowieka. Ach, to ty, McMurdo. Jakie tym razem łotrństwo wymyśliłeś?

- To nie moja wina - jęknął Felix, a pan Patel jeszcze raz przyłożył mu lagą. - Moje pieniądze utknęły w tym automacie, to wszystko.

- Wszystko widziałam - odezwała się młoda matka z zaciśniętymi pośladkami. - McMurdo zaczął. Szatan wcielony.

- Nie zacząłem. Chciałem jedynie kupić paczkę papierosów. Pan Patel zamachnął się na Niesamowitego Szkota i trafił młodego policjanta.

\*\*\*

- To może być bardzo długie popołudnie - uznał Tuppe. - Może wyskoczmy na godzinkę i zjemy drugie śniadanie?

Cornelius pokręcił głową i jego twarz zniknęła natychmiast pod szopą włosów.

- Nie możemy. Wiem, jak to jest. Człowiek wymyka się na pięć minut i natychmiast licytuje to, na czym mu zależy.

- Jesteś rozsądny ponad swój wiek.

- Nie mów tak.

- Sprzedane damie w słomkowym kapeluszu - powiedział licytator. - Pozycja dziewięćdziesiąt siedem.

- A nie mówiłem? - powiedział Cornelius. - W tej grze trzeba zachować zimną krew.

\*\*\*

- Cofnąć się, ludzie! - Młody policjant wyjął z kieszeni szwajcarski oficerski scyzoryk z dwudziestoma dwoma ostrzami i wybrał odpowiednie. - Zaraz sobie z tym poradzimy.

Wetknął ostrze w szczelinę do wrzucania pieniędzy i zaczął w niej gmerać.

- Tylko nie zniszcz mi automatu! - ostrzegł pan Patel.

- Wiem, co robię, proszę pana. Jesteśmy szkoleni także w zakresie radzenia sobie z tego typu sytuacjami. - Policjant przekreślił gwałtownie scyzoryk.

Ostrze odłamało się.

Policjant z niedowierzaniem przyglądał się scyzorykowi.

- Mój ulubiony scyzoryk - jęknął i zalał się łzami.

- Popatrz, co narobiłeś, McMurdo! - Sklepikarz znów uniósł swoją lagę. Tłum ryknął na zachętę.

\*\*\*

- Pozycja dziewięćdziesiąt siedem. Zaginiony szkicownik Leonarda da Vinci. Zawiera projekt helikoptera działającego na zasadzie perpetuum mobile, wzory matematyczne dotyczące pięciokątnego sześcianu oraz formułę przemiany pospolitych metali w złoto. Kto zacznie od pięciu?

- Cztery - zaoferował goguś w zielonym sztormiaku.

- Tutaj jest pięć - powiedział grubas w bezwstydnym peruce.

- Mam pięć - poinformował licytator, machając młotkiem. - Słyszysz sześć? Chętnie usłyszę sześć.

- Sześć - powiedział jakiś głos.

- Mam sześć - poinformował licytator.

- Nie ma pan sześciu - powiedział ten sam głos. - Chciał pan usłyszeć „sześć”, więc je pan usłyszał.

- To znowu pani, prawda?

- To tylko żart - zachichotała dama w słomkowym kapeluszu, wracając do swojego normalnego głosu.

- Bardzo interesująca aukcja - mruknął pod nosem Tuppe.

\*\*\*

- Mój scyzoryk - zawodził stróż prawa.

Kilka młodych i naprawdę ostrych kobitek wystąpiło do przodu, by go pocieszyć. W tych okolicach mężczyzna w mundurze był znakomitą zdobyczą.

Na światłach zatrzymał się autobus i kierowca - Portorykańczyk - wysiadł, by rzucić okiem, co się właściwie dzieje. Dwaj gburowaci faceci na rusztowaniu zaczęli gwizdać na kobiety. Światła zmieniły się na zielone i zaczął się tworzyć korek.

\*\*\*

- Sześć - zaoferował mężczyzna w bezwstydnym peruce.

- Mówił pan pięć - zaoferował licytator.

- Chyba wolno mi zmienić zdanie.

- Nie. To znaczy, nie o to mi chodzi.

- Ja dam siedem - powiedział osobnik w sztormiaku. - Czy mogę dać siedem, mając kartę kredytową jednego z dużych towarzystw? Nie pamiętam, czy ta miła dama o to pytała.

- Osiem! - zawył Tuppe, ot tak, dla żartu.

- Osiem - poinformował licytator.

- Kto powiedział osiem? - spytał grubas. - Podbijam do dziewięciu.

- Kto powiedział dziewięć? - spytał Tuppe.



- Koleś w peruce - odpowiedział Cornelius przyjacielowi, podsadzając go. - Dać dziesięć?

\*\*\*

- Zabieraj autobus! - wrzasnął komiwojażer, oczekiwany w niejednym jeszcze miejscu.
- Naskocz mi! - zawył Portorykańczyk,
- Szykuj się, Jimmy! - Komiwojażer wysiadł z samochodu i zaczął podwijać rękawy.
- To był prezent urodzinowy od mojej siwej mamy - bełkotał stróż prawa.
- Czy miałbyś ochotę wpaść do mnie na trochę oralnego seksu? - spytała go młoda kobieta.

\*\*\*

- Mam dziesięć. - Licytator zamachał młotkiem.
- Kto powiedział dziesięć? - spytał Tuppe.
- Koleś w sztormiaku.
- Co to jest sztormiak?  
- Jedenaście, słyszycie jedenaście? Otyły pan w bezwstydnym peruce? Nie? W takim razie może pan w lekkiej kurtce nieprzemakalnej, z kapturem, bardzo popularnej wśród brodatych palantów, noszących buty zdrowotne, dostających odlotowych stanów przy staroangielskiej muzyce ludowej, których dziewczyny mają na imię Ros i prowadzą spotkania grup, podczas których można odkryć swe prawdziwe ja i zjednoczyć się z kosmosem. Decyzja co do jedenastu należy do pana.

- Nno cóżżż - wydusił z siebie typek w sztormiaku. - Nie wiem, czy nadal jestem zainteresowany.

- No, coś ty - jęknęła Ros, jego dziewczyna.
- Dwanaście - odezwał się nowy głos.
- Dwanaście! - na ustach licytatorów znów pojawił się uśmiech. - Mam dwanaście.
- Kto powiedział dwanaście? - spytał Tuppe.
- Kogo to obchodzi? - odparł Cornelius.
- Mam dwanaście. Zakończyliśmy na dwunastu? Dwanaście milionów po raz pierwszy, dwanaście milionów po raz drugi
- Dwanaście milionów? - Tuppe o mało się nie przewrócił.

\*\*\*

- Kilku zuchów obrabia panu sklep - poinformowała pana Patela babuleńka. - Jeżeli pożyczysz nam pan na chwilę swoją łagę, popilnuję McMurda, a pan będzie mógł rzucić okiem na cwaniaczków w sklepie.

- Dziękuję pani bardzo. - Sklepikarz rozstał się ze swym kijem i zaczął przebijać się przez hałaśliwy tłum, który zalał całą już niemal ulicę.

- Chcę tylko dostać moją paczkę woodbine'ów.

- Znam cię, McMurdo. Ty pożeraczu niemowląt! - Babuleńka energicznie zamachała potężną łagą.

BIP BIP BIP CHRUP CHRUP BOING. Tak mniej więcej brzmiały odgłosy ulicznego ruchu.

- Kogo nazywasz obszcymurem, kołku? - Kierowca autobusu kopnął komiwojażera w to samo miejsce, w które Cornelius kopnął Hamisha.

Z górnego piętra autobusu scenę obserwowała grupa chuliganów z ostrzyżonymi na łyso głowami i wytatuowanymi policzkami. Po chwili wybiegli na ulicę.

Gburowaci faceci na rusztowaniu zaczęli obrzucać ich śrubami i nakrętkami.

Młoda pocieszycielka prowadziła do swej sypialni pochlipującego policjanta.

\*\*\*

- Sprzedane sułtanowi Brunei za dwanaście milionów funtów. Dziękuję, Wasza Wysokość.
- Przyjmie pan weksel? - spytał sułtan.
- Ile masz przy sobie pieniędzy? - spytał Corneliusa Tuppe.
- Trochę ponad czterysta funtów. W gotówce.
- Pozycja dziewięćdziesiąt osiem. Wulgarna, wypłowiła rycina pod tytułem Płaczące dziecko, w niby-ramie. Czy ktoś da choć funcika?

- Ja dam - powiedziała dama w słomkowym kapeluszu. - Czy moglibyśmy zamknąć okno? Na ulicy odbywa się jakaś okropna burda.

BRZDĘK! Rzucona z tłumu cegła rozbiła szybę w pobliskim sklepie ze sprzętem audio-wideo i sprawy przybrały nowy obrót. W górze krążył policyjny helikopter.

- Należy do pani, za funta - poinformował damę licytator.

- Chciałabym wystawić tę rycinę na przyszłotygodniową aukcję - oznajmiła dama. - Nie osiągnęła wyznaczonej przeze mnie ceny wywoławczej.

- Pozycja dziewięćdziesiąt dziewięć - trzech niewolników. Mulaci. Jeden ma na imię Charlie. Znakomity chłopiec do posług domowych, posiada państwowe i cechowe dyplomy w dziedzinie biznesu, konstrukcji maszyn oraz makramy. Jego hobby to windsurfing, ćwiczenia siłowe oraz puszenie się na parkiecie. Kto zaczyna?

- Dwadzieścia pięć funtów - zaoferowała dama w słomkowym kapeluszu.

- Dwadzieścia sześć - przebił sułtan Brunei.

- Trzydzieści - krzyknęła Ros.

\*\*\*

- Dawaj te odtwarzacze płyt kompaktowych! - wołał kierowca autobusu. - Pakuj je do mojego wozu.

- Wujku Wilku! - wył do słuchawki pan Patel. - Zaczęły się potężne rozruchy rasowe! Zbierz chłopców! Potrzeba jak najwięcej broni! Weź Clicki Ba!

\*\*\*

- Sprzedane młodej damie!

- Fiu fiu! - zagwizdał typek w sztormiaku i zrobił rozgniewaną minę.

- Pozycja sto - oznajmił licytator.

- Nasza kolej - stwierdził Tuppe.

- Pozycja sto - duży zielony płócienny kufer zawierający osobiste przedmioty zmarłego Wiktora Zenobii. Komplet składający się ze szczotki i grzebienia w etui z cielęcej skóry. Różne dokumenty. Lodenowy płaszcz (z poodpruwanymi guzikami), nieco przetarty na łokciach. Bez ceny wywoławczej.

- Widzisz kufer? - spytał Tuppe. Cornelius wyciągnął w górę szyję.

- Stoi na stole przy mównicy. Opiera się o nią Campbell.

- Proszę bardzo, panie i panowie. Kto da pierwszy? Bardzo szykowny komplet składający się ze szczotki i grzebienia. Ktoś da dychę?

- Dziesięć - powiedział Campbell, rozglądając się uważnie wokół.

Cornelius wystawił w górę rękę, ściągnął na siebie uwagę licytatora i szybko się skulił.

- Tu z tyłu mam jedenaście.

- Kto powiedział jedenaście? - charknął Campbell.

- Słyszę dwanaście?

- Dwanaście. - Powiedziawszy to, Campbell wywinął dolną wargę.

Cornelius ponownie wyciągnął w górę rękę.

- Trzydzieści - z głębi sali!

- Czternaście! - Campbell podniósł głos. Cornelius podniósł rękę.

Z ulicy dobiegł odgłos wybuchu, potem - z oddali - wycie syren.

- Dwadzieścia pięć funtów! - ruszył z kopyta Campbell. -

I niech piekło pochłonie tego, kto zaoferuje więcej!

- Trzydzieści! - Cornelius musiał krzyżeć. Za oknem słyhać było RAT AT AT A karabinów maszynowych i w ułamku sekundy rozprysnęło się kilka szyb. Licytator zanurkował pod mównicę, nie zapomniał jednak zabrać ze sobą mikrofonu.

- Słyszę czterdzieści? - zawołał. - Musicie mówić głośnie!

- Czterdzieści. - Campbell wyjął pistolet nie przypominający w niczym plastikowego modelu do składania.

- Pięćdziesiąt! - krzyknął Cornelius.

- Oj oj! - Tuppe wypatrzył w gąszczu nóg dolne kończyny Angusa i Sawneya. Zbliżały się szybko. - Zaraz będą nas mieli!

Cornelius złapał swego koleżkę pod pachę i wczuł się pod najbliższy stolik, rozsypując przy tym antyczne francuskie rakiety tenisowe.

- Sto funtów! - wykrzyknął.

- Sto! - Licytator wyciągał rękę tak, że wystawała nad pulpit mównicy i machał młotkiem jak szalony. - Czyżbym słyszał sto pięćdziesiąt?

Campbell zaczął grzebać w kieszeniach swej bojowej kurtki.

- Nie wiem, czy mam tyle przy sobie - wyjaśnił. - Czy mógłby pan zatrzymać na chwilę licytację? Moi chłopcy zajęliby się w tym czasie konkurencją?

- Sto po raz pierwszy! - zawołał licytator i przybrał pozycję embrionalną.

- Uważaj! - Tuppe trzymał się kurczowo szyi swojego wysokiego przyjaciela. Kiedy powietrze tuż obok jego twarzy przecięło coś, co bardzo przypominało krokodyla kły, Cornelius odskoczył zwinnie.

\*\*\*

Na zewnątrz, na wstrząsanej gwałtowną walką ulicy, pojawił się podobny do litej ściany szeregu pojazdów sił specjalnych. Szczęknęły stalowe luki i na ziemię zaczęli wyskakiwać ciężko uzbrojeni komandosi.

- Mam cię, nicponiu! - Angus ponownie rozciął powietrze nożem. Cornelius znów uskokzył.

- Maski włącz! - rozkazał dowódca oddziału sił specjalnych. - Na mój rozkaz: ognia!

Motłoch, narosły już do kilkuset osób, wzięty w kleszcze, zaprzestał na chwilę walki i zaczął wygwizdywać siły zbrojne. W kierunku żołnierzy poleciało kilka kamieni, wygoleni na łysa nacjonaliści przewrócili samochód i zajęli za nim pozycje.

\*\*\*

- Sto po raz drugi! - zawołał licytator. - Sto funtów po raz drugi.

- Sto pięć - przebiła dama w słomkowym kapeluszu. - A co mi tam! To tylko pieniądze!

\*\*\*

- Ognia! - pojemniki z gazem łzawiącym poszybowały w tłum. Nacjonaliści odpowiedzieli butelkami z benzyną i niecenzuralnymi wyrazami. Benzyna z przewróconego samochodu rozlała się na jezdni i zapaliła pod autobusem, który natychmiast eksplodował wielką kulą ognia.

- To twoja robota, buraku! - Kierowca autobusu wyciągnął z kieszeni tanią spluwę i wypalił prosto w komiwojażera.

Poprzez bojowe okrzyki i wrzask „Ognia!” przedzierał się tętent końskich kopyt.

W głębi Agamemnon Street, przeskakując nad samochodami i uciekającymi uczestnikami rozruchów, pojawiła się horda afgańskich jeźdźców. Na jej czele, wznosząc się wysoko na białym arabskim ogierze, pędził Wilk Kabulu. Pan Patel stał w otwartych drzwiach swojego sklepu i machał nerwowo rękami.

- Tutaj, wujku, tutaj!

\*\*\*

- Dwieście funtów! - Cornelius skakał ze stołu na stół, Tuppe nie puszczał jego szyi. - Gotówką!

- Słyszę dwieście funtów! - Licytator na chwilę wytknął głowę zza mównicy i Campbell bez namysłu strzelił w jego kierunku.

- Wszyscy na ziemię! - Campbell wystrzelił w powietrze, wyszczerbiając w suficie wspaniałego wentylator. - Na kolana i głowy na ziemię albo już po was!

\*\*\*

- Krótkimi seriami! Dokładnie celować! - Dowódca oddziału sił specjalnych uniósł dłoń. Wilk Kabulu zawisł nad głową dowódcy komandosów. Nad turbanem Afgańczyka wirował legendarny Clicki Ba.

- Zniszczyć niewiernych! - ryknął Wilk Kabulu.

- A niech to cholera! - zawył dowódca oddziału sił specjalnych. - Kryć się!

Strzelając na oślep, komandosi chowali się w popłochu.

Jakiś zbłąkany pocisk oderwał przednią ściankę automatu z papierosami. Felix Henderson McMurdo, który kulił się dokładnie pod nim, stwierdził nagle, że zasypuje go grad paczek woodbine'ów.

- To musi być mój szczęśliwy dzień - stwierdził Niesamowity Szkot.

Komandosom udało się w końcu sforsować drzwi prowadzące do anabaptystycznego kościoła reformowanego i na widok rozpościerającego się przed nimi bezeceństwa zamarli z przerażenia. Każdy z nich przysięgłby, że wpadł w sam środek jakiegoś pogańskiego obrządku.

\*\*\*

Członkowie bezbożnego zgromadzenia klęczeli na podłodze i dotykali jej twarzami. Górował nad nimi, stojący na czymś przypominającym mównicę, czarnoskóry mag w tweedowej czapce. Obie ręce unosił wysoko w błuźnierczym błogosławieństwie. Przed nim, na służącym za ołtarz stole, stał wysoki kapłan o wypełnionych szaleństwem oczach, otoczony uzbrojonymi w miecze postaciami. Głowę przykrytą miał lwią grzywą, a w uniesionych wysoko szponach ścisnął dziecięce ciało, z którego uleciało życie!

- Święta Drogo Krzyżowa. - Oficer komandosów przeżegna } się wolną ręką. - Słudzy szatana.

Stojący tuż obok jeden z jego towarzyszy broni popatrzył uważnie na Campbella, próbującego wyrwać Hamishowi zielony kufer.

- Znam tych łobuzów, sierżancie - wydyszał. - To Dzicy Wojownicy z Zachodniego Lothian. Kanibale jakem Jack.

- Jack? - spytał sierżant. - Jak Jack London?

9

## O PEWNEJ OSTATECZNEJ PRAWDZIE NIEMAŁEGO ZNACZENIA

Często jestem pytany: „Hugo, dlaczego za każdym razem, kiedy, jesz posiłek z członkiem królewskiego rodu, nie zdejmujesz kapelusza?”

Wyjaśniam, że jest to wynik dawnego obyczaju, sięgającego czasów Sir Hugona de Courcy Rune'a, trzeciego hrabiego Penge. Potem opowiadam całą historię.

Posiadane przeze mnie informacje wskazują, że król John i Filip Drugi Francuski, wadząc się o prawo własności do księstwa normandzkiego, postanowili rozstrzygnąć ten spór w bezpośredniej walce jeden na jednego. Sir Hugo de Courcy Rune cieszył się stanowiskiem pierwszego wojownika króla Johna i był w swym rzemiośle naprawdę znakomity. Legenda mówi, że kiedy spał rumaka i uniósł bojową łagę, francuski wojownik uciekł, ustępując pola bez walki. Król John, wielce wzruszony, zapytał sir Hugona, jakiej oczekuje za swój czyn nagrody.

Trzeci hrabia odparł:

- Sir, mam dość tytułów, ziemi oraz bogactw, chciałbym jednak prosić o pewną łaskę dla mnie i moich potomnych. Proszę jedynie o przywilej pozostawania w nakryciu głowy zarówno w obecności Waszej Wysokości, jak i przyszłych władców naszej wyspy.

Król John, wiedząc dobrze o łysinie Sir Hugona i kalkulując, jak nie może udać mu się załatwić całą sprawę, uniósł na znak akceptacji królewski kciuk.

Tak więc za każdym razem, kiedy jestem proszony na obiad do pałacu, wyciągam skądś stary słomiany kapelusz albo robiony na drutach pomięty beret, by skorzystać z odziedziczonego przywileju.

Pochodzę ze szlchetnego rodu i nie wstydzę się do tego przyznawać. Jeżeli chodzi o czyny wielkiej wagi, podejmowane za sprawą króla i ojczyzny, nazwisku Rune należy się miejsce wśród najlepszych. A może jeszcze więcej.

Przypomina mi to przypadek mojego bohaterskiego kuzyna, lorda Wiktora Rune'a, kawalera Krzyża Wiktorii, oraz niecodzienne okoliczności jego tragicznego i przedwczesnego odejścia. Zaczęło się to zaś tak:

Po wielu latach nieustannych awansów, czynów wielkiej odwagi oraz zdobywania orderów, rok 1945 powitał kuzyna Wika jako dowódcę kierującego się na Berlin batalionu. Widząc w tym doskonałą okazję do uzupełnienia rodzinnej kolekcji orderów (mieszczącej się obecnie w krypcie

niedaleko królewskiego zamku w Windsorze), kuzyn Wik postanowił pojmać co do jednego hitlerowskich zbrodniarzy wojennych i odesłać ich do więzień.

Wyobraźcie sobie jego zaskoczenie, kiedy odkrył, że ani jeden spotkany przezeń Niemiec nigdy nie był w NSDAP i nie słyszał o obozach koncentracyjnych.

Kuzyn Wik był naprawdę zaskoczony.

- Gdzie się podziiali wszyscy hitlerowcy? - zapytał machającego angielską flagą Berlińczyka.

- Kto to jest „hitlerowiec”? - rzucił zapytany.

W którąkolwiek część miasta by się udał, wszędzie było tak samo. Wszyscy od zawsze byli cywilami. Nikt nie popierał nigdy Hitlera, większość pytanych doznawała wręcz szoku, słysząc, że działo się coś takiego, o czym opowiadał im kuzyn Wik.

- A kto zapłaci nam za wszystkie zniszczenia? - pewnego dnia spytał Wiktora burmistrz Berlina.

Wik wrócił do Anglii bez nowych orderów, nijak nie mogąc rozwikłać zagadki. Gdzie podziiali się hitlerowcy? Opanowali cały naród, realizowali z zapałem zasady czystości rasowej, politykę dominacji nad światem i nie minęła chwila, a...

Z podobnym zjawiskiem mój kuzyn miał się spotkać w przyszłości jeszcze niejednym razem.

W latach sześćdziesiątych organizowano „demonstracje pokojowe”, w trakcie których rozszaleni anarchiści rzucali na oślep kamieniami, wystarczyło jednak, by minął dzień i zatrzymani skarżyli się w sądzie, że są jedynie niewinnymi przechodniami, pobitymi przez policję i brutalnie zgarbiętymi do suk.

Podobnie było z policjantami: oskarżeni o spałowanie demonstrujących pokojowo kobiet i dzieci, zaprzeczali, by mieli z tym jakikolwiek związek. „To nie my!” - przysięgali jak jeden mąż.

Dziwne, dziwne, coraz dziwniejsze.

Organizowano koncerty rockowe na wolnym powietrzu, przyciągające nie mniej niż ćwierć miliona hippisów. Byli na nich i równocześnie ich tam nie było. Dokąd się udawał? W jakim innym przypadku można było ujrzeć więcej niż czterech hippisów na raz?

Co roku odbywał się na Wembley festiwal country and western. Przybywały tam tysiące, ba - dziesiątki tysięcy fanów, a każdy ubrany w kompletny kowbojski strój. Kuzyn Wik nie przypomina sobie, by kiedykolwiek wpadł na ulicy na kowboja.

Weźmy szturmujących ulice kibiców piłkarskich. Wraz z końcem sezonu te wojownicze bandy dosłownie znikają. W żadnej innej porze roku nie widziano ich machających szalikami, skandujących swoje hasła i kopiących przechodniów obutymi w martensy stopami.

Skąd oni wszyscy się brali i gdzie znikali? Pytanie ciągle pozostawało bez odpowiedzi.

Kuzyn Wik zapukał do moich drzwi w dniu, kiedy odbył się pierwszy maraton londyński. Miał ze sobą telewizorek na baterie i przeraźliwie drżał.

- Popatrz na nich, Hugo - powiedział, wskazując na ekranik. - Skąd oni się wzięli? Gdyby na co dzień zachowywali się podobnie, miasto by zamarało. Śmiem twierdzić, że jeżeli poszłoby się jutro na miejsce, skąd przeprowadzana jest transmisja, nie byłoby po nich śladu. Co to wszystko znaczy?

Opadł na fotel przy kominku i dla uspokojenia nerwów nalałem mu leczniczą dawkę absyntu.

- Mógłbym ci powiedzieć - stwierdziłem po chwili - ale nie wiem, czy powinienem. Prawda - jeżeli zostanie ujawniona - wstrząsnęłaby światem w posadach. Lepiej, abym sam niósł to brzemię. Muszę zachować sekret aż po kres moich dni. Przykro mi, Wiktore.

- Hugonie - odparł kuzyn Wik - masz moje słowo oficera i dżentelmena, że cokolwiek powiesz, zachowam to w tajemnicy.

- Z ręką na sercu i aż do śmierci?

- Nie pisnę słowem nawet w piwnicy pełnej wygłodniałych seksualnie tureckich kierowców ciężarówek. - Dla podkreślenia prawdziwości swych słów położył dłoń na sercu.

- Niech więc będzie. - Ponownie napełniłem mu kieliszek i postanowiłem ujawnić okrutną prawdę. - Badam to zjawisko od szeregu lat i poświęciłem mu bardzo wiele czasu. Dałem mu nawet nazwę: zjawisko samoistnego powstawania tłumów. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, dlaczego nad Saharą jest zawsze sucho i gorąco, a nad Walią zimno i deszczowo?

Pokręcił głową.

- Alchemia głosi zasadę „co na górze, to na dole”, wyrażającą wiarę, że wszystko w przyrodzie się ze sobą łączy. Sahara jest sucha, gorąca i złocista, więc przyciąga słońce, Waha zaś jest szara i

matowa, a w niedziele wszystko jest w niej pozamykane, dlatego też dostaje to, na co zasługuje. ZSPT jest nieco podobne. W określonym miejscu, o określonym czasie, w określonych warunkach zdarzają się określone zjawiska. Tłumy, o których mówimy, nie są tłumami rzeczywistymi. Nie składają się z realnie istniejących ludzi. Owe „tłumy” to ogromne żywe organizmy, złożone z tysięcy pojedynczych człowiekopodobnych komórek. Zakwitają, kiedy pojawią się idealne ku temu warunki. Ich życie jest krótkie jak życie motyla. Kiedy wydarzenie, które spowodowało zakwitnięcie „tłumu”, mija, tkanka degeneruje się, komórki rozdzielają, obumierają i znikają. Oczywiście, nie liczni zeszli na złą drogę do tego stopnia, że chadzają na mecze piłkarskie czy festiwale muzyki country, ale jeden rzut oka na wszechobecną pustkę goszczącą na twarzach osobników z „tłumu” wyjaśnia wszystko - nie składa się on z ludzi. Twierdzę, że owe „tłumy” powstają samoistnie z mikroskopijnych zarodników, unoszących się nieustannie w powietrzu i czekających na warunki idealne dla krótkotrwałego rozkwitu. Weź na przykład swoich znikających hitlerowców. Klimat, który ich stworzył, zwany „klimatem społecznym”, przestał istnieć wraz z końcem wojny i hitlerowcy po prostu zniknęli. Podejrzewam poza tym, że wspomniane przeze mnie zarodniki istnieją od zarania ludzkości, choć mnożą się z biegiem czasu. Gorzej - obawiam się także, że ewoluują. Osiągają wrażliwość na bodźce zmysłowe. Wiktorze, mam przesłanki, by twierdzić, że obecnie są w stanie dowolnie tworzyć odpowiednie dla swego rozkwitu warunki, i to w skali globalnej. Jeżeli nie powstrzyma się ich na czas, rodzaj ludzki skazany zostanie na zagładę. Jeżeli nic nie zrobimy, prędzej czy później cała planeta opanowana zostanie przez wielki, skandujący, nieludzki tłum.

- Na Boga! - wykrzyknął kuzyn Wik. - Teraz wszystko jest jasne! To wyjaśnia mentalność tłumy. Podążanie za fałszywymi prorokami. Dlaczego charyzmatyczni przywódcy sięgają po władzę. Cały ten kram. Hugo, to zmienia całą historiografię! Musisz to natychmiast opublikować! Musisz ostrzec świat.

- Komu miałbym to powiedzieć? Sforze polityków? Zbierającemu się przy ONZ-ecie pospólstwu? Czy należałoby najpierw poprosić wszystkich nie-ludzi o opuszczenie sali? Wiktorze, zarodniki fruwać wszędzie wokół nas. Wyobrażam je sobie jako neurony, elementy gigantycznej masowej świadomości. Wymieniają się informacjami, spiskują w celu zastąpienia człowieka. Uważasz, że pozwoliłyby mi na przedstawienie tej ostatecznej prawdy?

- Jeżeli ty tego nie zrobisz, ja będę musiał! - wykrzyknął mój szlachetny kuzyn, cisnął telewizorkiem o podłogę i ruszył gwałtownie ku drzwiom.

- Wiktorze, nie rób tego! - zawołałem za nim. - Nie uda ci się! Poniesiesz porażkę. Oni ci nie pozwolą! - Moje słowa trafiały jednak w próżnię.

Zbiegał szybko, o czym świadczył tupot stóp na schodach, potem trzasnęły frontowe drzwi. Po chwili rozległ się pisk hamulców i odgłos tępego uderzenia. Nim dobiegłem do okna, wiedziałem już, jak okropny czeka mnie widok.

Wiktor leżał martwy na środku ulicy. Wokół niego zdążył się już utworzyć spory tłumek!

*Księga prawd ostatecznych*

Hugo Rune

\*\*\*

Tego dnia dokonano licznych aresztowań, nie miało jednak dojść do żadnych procesów. Porządek przywrócono około czwartej po południu, zaraz po tym, jak w otaczających miasto czołgach zdjęto z luf pokrowce, a pan Patel wysłuchał w radio komunikatu, że premier Wielkiej Brytanii wyraził zgodę na dywanowe naloty.

Na szczęście obyło się bez ofiar śmiertelnych. Jedyne komiwojażer trafił do szpitala z postrzałem w stopę.

Trzeba przyznać, że wielu uczciwych mieszkańców Sheila na gigh wtłoczonych zostało do cel w edynburskim policyjnym kiciu. Jak jeden mąż wykrzykiwali głośno, że są niewinni, domagali się swych adwokatów i grozili, że nie omieszkają oskarżyć policji o brutalność i bezpodstawne aresztowanie.

Tak właśnie postąpić zamierzało pewne małżeństwo, które wróciwszy podczas zamieszek do domu, zastało w nim policjanta gwałcącego ich nieletnią córkę. Jako koronny dowód zamierzali przedstawić szwajcarski scyzoryk oficerski o dwudziestu jeden ostrzach.

Do złożenia zbiorowego pozwu przeciwko sierżantowi sił specjalnych szykowało się też 55 uczestników aukcji.

Towarzystwo autobusowe dzielnicy Sheila na gigh zamierzało wystąpić o odszkodowanie za zniszczenie jedynego autobusu, a pan Patel - automatu do sprzedaży papierosów.

Ponad stu wykwintnie ubranych amerykańskich adwokatów wyczarterowało już samolot i szybowało nad Atlantykiem.

\*\*\*

Komendant policji Sam McAggott przeżywał ciężkie chwile. Siedział za biurkiem i wertował stertę oświadczeń.

- Czy mamy w areszcie kogokolwiek, kto nie twierdziłby, że jest przypadkowym niewinnym przechodniem? - spytał sierżanta.

Sierżant zsunął czapkę na kark i podrapał się po czole w sposób, w jaki robi to wielu policjantów.

- McMurda.

- McMurda? - To nazwisko zdawało się wywoływać u komendanta jakieś skojarzenia. - Ma już coś na sumieniu?

- Hm, właściwie to nie, panie komendancie. W zasadzie nie ma kartoteki, ale to takie ziółko, że z pewnością na nią zasługuje. Zamknęliśmy go pod specjalnym nadzorem. Kazałem mu włożyć kaftan bezpieczeństwa i skórzaną maskę z otworem na usta zabezpieczonym stalowymi poprzeczkami. Dopóki będzie pod naszą opieką, na pewno nikogo nie ugryzie. Proszę się nie obawiać, panie komendancie.

- Miło mi to słyszeć. Za co go aresztowaliśmy? Sierżant pomachał zeznaniem McMurdy'ego.

- Puścił farbę, sir. Nie wytrzymał. Sam zaczął czytać zeznanie.

- Przyznał się do nielegalnego posiadania dwóch paczek papierosów? To wszystko?

- Tak jest, sir, ale mogę mu szybko dorzucić jeszcze to i owo. Może wyjaśnimy w ten sposób kilka nie rozwiązanych spraw, sir?

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - McAggott porwał zeznanie McMurdy'ego na kawałki i rzucił strzępki w powietrze.

- Ależ panie komendancie, jestem pewien, że możemy go powiązać z kilkoma morderstwami oraz nie wyjaśnionym rabunkiem złota w sztabach. Proszę dać nam tylko trochę czasu. Wycisnę prawdę z tego zwyrodnialca.

- Nie! - rzucił krótko McAggott. Przewrócił kilka kolejnych kartek papieru. - A co z tymi dwoma turystami? Murphy i Tuppe? Co to za nazwisko - Tuppe?

- Sądzę, że duńskie, sir. Może walijskie.

- A więc co z nimi?

- To świadkowie. W sprawie Campbella, sir.

- Dlaczego więc siedzą zamknięci w celi?

- Dla ochrony, sir. - Przed kim? - Przed Campbellem, sir. - A gdzie on jest?

- W celi obok, sir.

McAggott westchnął.

- Wypuście ich, sierżancie. Przesłuchajcie i niech idą z Bogiem.

- Tak jest, sir.

- Sierżancie, nie widzę tu ani jednego, ostrzyżonego na łyso, szkockiego nacjonalisty.

- Nie aresztowaliśmy ani jednego, sir.

- A co to za Wilk z Kabulu?

- Postać literacka, sir. Bohater *Gorącej Ostrogi*\*.

- Gorąca ostroga. Rozumiem. - McAggott podniósł się ciężko z za biurka i zdzielił sierżanta przez łeb. - Nastawiajcie czajnik, sierżancie.

Kiedy popołudniowy zegar wskazywał odrobinę po szóstej, Cornelius i Tuppe dotarli ponownie do Sheili na gigh, która przypominała Bejrut w jednym z jego gorszych dni. Ich taksówka zatrzymała się przed anabaptystycznym kościołem reformowanym i pierwszy wygrzebał się z niej Felix Henderson McMurdo.

- Wielkie dzięki za podwiezienie - powiedział na pożegnanie. - Niech Bóg będzie z wami podczas waszej wielkiej podróży.

\* Przydomek angielskiego bojownika Sir Henry'ego Percy'ego (1364-1403). Walczył ze Szkotami, Francuzami i Walijszczykami. Jedną z kluczowych postaci szekspirowskiego Henryka IV (przyp. tłum.)

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Cornelius. - Tobie też życzymy szczęścia.  
Tuppe zamachał.  
- Szczęścia! - zawołał.  
- No to cześć.  
- Miły koleś - uznał Cornelius.  
- Jeden z najmiłszych, jakich znam - stwierdził Tuppe.  
- Skończy na szubienicy - mruknął taksówkarz, rozluźniając pośladki. - Mam czekać!  
- O tak! - Cornelius wysiadł i rozejrzał się po otaczających ich gruzach. - Musimy tylko coś zabrać i zaraz będziemy jechać dalej.  
- Dokąd?  
- Na południe. Daleko na południe.  
- Nie ma problemu, tyle tylko, że za kursy poniżej dwudziestu pięciu funtów biorę tylko gotówkę. Do pięćdziesięciu funtów akceptuję czek osobiste, oczywiście pod warunkiem przedstawienia ważnej karty czekowej. No i karty kredytowe wszystkich dużych towarzystw.

\*\*\*

Cornelius włożył dwieście funtów do koperty i przyszpilił ją pinezką do mównicy. Zostawił także swój adres - z prośbą, by wysłano mu nań pokwitowanie.

- Pierwsza klasa - stwierdził po tym, jak jego osobisty bagaż oraz zielony kufer znalazły się w bagażniku taksówki.

- Na południe? - spytał taksówkarz.

- Na południe! - potwierdził Cornelius Murphy i uśmiechnął się od ucha do ucha.

10

Było przepiękne popołudnie.

Nawet tutaj, na końcu końca świata, popołudnia były przepiękne.

Taksówka, klekocząc, zjechała na pobocze. Spod maski wydobywała się para. Kierowca wysiadł. Podniósł i opuścił maskę. Podmuchał na poparzone palce. Zaklął i ponownie - łokciami - podniósł maskę. Zajrzał do komory silnikowej. Rzucił kolejnym przekleństwem, kopnął w chłodnicę, a maska spadła mu na palce.

Kiedy Cornelius bandażował mu dłonie, kierowca wciąż przeklinał.

- Przepraszam, że wyrwaliśmy maskę z zawiasów - powiedział wysoki młodzieniec - ale przy najmniej uwolniliśmy panu palce, a to najważniejsze. Wydaje mi się, że nic nie jest złamane.

- Oczywiście, z wyjątkiem zawiasów maski - wtrącił Tuppe. - No i pękł pasek klinowy. Obawiam się, że nie wozi pan zapasowego.

Kierowca przeszył go wzrokiem.

- Tak myślałem.

Cornelius spojrział mu przez ramię, wystawił głowę przez okno i mrużąc oczy, zaczął się przyglądać czemuś w oddali. Droga przed nimi niczym się nie różniła od tej za nimi - była prosta, ginęła na horyzoncie i otaczały ją ponure trzęsawiska.

- Lepiej będzie, jeżeli ruszy pan przed zmrokiem - powiedział do kierowcy.

- Lepiej będzie, jeżeli co zrobię?

- Ruszy pan po pomoc. Zaczekamy tu na pana.

- Jeżeli napotka pan jakąś kawiarnię, proszę przynieść kilka kanapek z bekonem - rzucił Tuppe.

- Nie ma mowy - odparł taksówkarz. - Niech idzie któryś z was.

Cornelius pokręcił głową.

- Ja jestem zbyt wątły do wędrówek po bagnach, poza tym chyba nie oczekuje pan, że zostawię trzyletniego braciszka sam na sam z obcym mężczyzną?

- Trzyletniego? - Taksówkarz nieufnie popatrzył na Tuppego.

- Uaaaaaaa! - zawył Tuppe. - Nie pozwól, by ten niedobry człowiek zaczął mnie obmacywać!

- No dobrze, pójdę, ale musicie mi z góry zapłacić. Nie zamierzam stwierdzić po powrocie, że daliście nogę. Nie jestem głupi!



- Oczywiście, że pan nie jest - przyznał Cornelius i zapłacił. - Jeżeli nie robi to panu różnicy, poprosiłbym o pokwitowanie.

Taksówkarz wyciągnął ku niemu obandażowane grubo dłonie.

- Przykro mi - powiedział tonem mającym dać do zrozumienia, że to nie jego wina.

- Lepiej niech pan weźmie kurtkę - poradził Tuppe. - Nigdy nic nie wiadomo.

Taksówkarz wykonał zabandażowanymi dłońmi kolejny gest. Wzniósł oczy ku bezchmurnemu niebu i ruszył przed siebie bez kurtki. Był już zaledwie kropeczką na horyzoncie, gdy rozpętała się burza.

- Wiesz, wcale nie jest taki głupi ten nasz pan taksówkarz - uznał Tuppe.

- Tak słyszałem. - Cornelius sięgnął ręką do deski rozdzielczej i zdjął mikrofon krótkofalówki. Przyłożył go do ust. - SOS, SOS!

- Też się nad tym zastanawiałem - powiedział Tuppe - ponieważ jednak ten taksówkarz był szczególnie gderliwy, postanowiłem się nie odzywać.

\*\*\*

W ciągu kilku kolejnych minut Cornelius porozmawiał sobie przez radio z wieloma ciekawymi ludźmi.

Rozmawiał z kurierem motocyklowym, który jeździł kiedyś jako pomocnik z zespołem King Crimson. Rozmawiał z kierowcą ciężarówki wożącym drewno do lasu. Pogadał z krótkofalowcem-amatorem, Tonym, i kierowcą ambulansu, który zabrał właśnie z pobocza przemoczonego i dygotającego z zimna mężczyznę z zabandażowanymi grubo dłońmi. Cornelius chętnie porozmawiałby z nim dłużej, niestety, sygnał zanikł.

- Obawiam się, że siadł akumulator - stwierdził Tuppe. Cornelius odwiesił mikrofon na miejsce.

- Obawiam się, że jesteśmy pozostawieni na pastwę losu - i stwierdził. - Rozmawiałem z trzema różnymi firmami taksówkowymi, ale w żadnej nie chciano po nas przyjechać. Ciekawe dlaczego.

- Wydaje mi się, że słyszę ujadanie demonicznego psa - wyszeptał Tuppe.

\*\*\*

Burza potęgowała. Błyskawice i grzmoty szalały złowrogo. Wyjący wichur zerwał maskę samochodu i od strony deski rozdzielczej zaczęła się do środka dostawać woda.

- Zaczynają mi moknąć nogi - zauważył Cornelius.

- Moje jeszcze nie, ale wiem, co masz na myśli.

\*\*\*

Kiedy w oddali pojawiły się światła reflektorów, na ponurym, smaganym burzą zegarze dochodziła dziesiąta. Poruszały się powoli, ale zdecydowanie w kierunku pozostawionej swemu losowi taksówki. W końcu zatrzymały się.

- No proszę! - uznał Cornelius. - Dzień nie jest jeszcze do końca stracony.

\*\*\*

- Dzień jeszcze nie jest do końca stracony! - Przygnębiony Tuppe siedział na plecaku wysokiego przyjaciela, opierając się o zielony kufer. Cornelius trzymał na kolanach walizkę, plecami opierał się o trumnę. - Karawan. Skończyć na tyle karawanu. Karawanu, którego tył jest już zajęty. Trzeba było zostać w taksówce.

W dali za nimi taksówkę dosięgła właśnie rozgałęziająca się w wielu kierunkach błyskawica. Wybuch był dość potężny, deszcz szybko jednak zgasił pożar.

- Jeżeli mógłby pan być tak uprzejmy, to proszę wysadzić nas przy pierwszym pięciogwiazdkowym hotelu, jaki będziemy mijać! - zawołał Cornelius do kierowcy.

Kierowca nie odpowiedział i karawan - typowy produkt końca lat czterdziestych, pełen metalowych zawijasów wokół dachu, z szybami z matowanego szkła - dalej sunął bezgłośnie przez szarpaną burzą noc. Po chwili stanął.

- Myślisz, że to pasek klinowy? - spytał Tuppe. - Przejechaliśmy niecały kilometr.

Kierowca odwrócił się do nich i ujrzeni pociągłą, bladą twarz, zwieńczoną wysokim ciemnym cylindrem.

- Wioska Milcolm Moloch - oznajmił grobowym tonem. - Koniec jazdy. Jest tu motel.

Po tych słowach wysiadł, zaszedł karawan od tyłu i otworzył klapę. Cornelius wychylił się w deszcz.

Po drugiej stronie ulicy ujrzał zapraszające światło. Na wietrze bujał się szyld motelu. Docho-  
dziły ciche odgłosy biesiady.

Cornelius i Tuppe wytaszczyli z karawanu bagaże i podziękowali kierowcy. Tuppe zamachał.

- Szczęścia! - zawołał.

- Chodź! - ofuknął go Cornelius. - Schowajmy się przed tym deszczem.

Tuż obok rozległo się głośne WIO! Strzelił bat. Zarzały konie. Cornelius i Tuppe odwrócili się i wydało im się, że widzą znikający w strugach ulewy wiktoriański karawan na wysokich drewnia-  
nych kołach z metalowymi obręczami.

- Gra świateł - uznał Tuppe.

- Bez dwóch zdań - zgodził się Cornelius.

Promień światła rozjaśnił szyld nad motelem. Zamigotał jedynie na tak długo, by dało się od-  
czytać słowa: RĘCE KATA.

- Chodź! - rzucił Cornelius i zaczął ciągnąć zielony kufer w kierunku wejścia. Tuppe mężnie  
walczył z plecakiem i walizką.

Kiedy Cornelius uniósł toporną, żelazną zapadkową klamkę, burza złapała w swe objęcia  
drzwi i szarpnęła je w zawiasach. Odgłosy biesiady natychmiast zamilkły. Cornelius walczył z fry-  
zurą.

- Dobry wieczór! - zawołał i, choć nikt tego nie mógł widzieć, uśmiechał się najpiękniej, jak  
umiał.

\*\*\*

- No to żegnam. - Sierżant policji pomachał panu Patelowi, ten jednak nie odpowiedział. Sier-  
żant wzruszył ramionami, zasunął zasuwę i ruszył z powrotem do gabinetu komendanta Sama  
McAggotta.

- To byłby ostatni - powiedział, wchodząc. Sam siedział, kryjąc twarz w dłoniach.

- Ruina. - Więcej nie miał do powiedzenia.

- Ależ, sir, nigdy nie jest aż tak źle, jak można by sądzić. - W splecionych na plecach dłoniach  
sierżant miętosił egzemplarz porannego wydania „Edinburgh Mercury”. Wybity na pierwszej stro-  
nie wielkimi literami tytuł oznajmiał: HAŃBIĄCY MIĘ POLICJI KOMENDANT OCZEKUJE  
PROCESU. - Musieliśmy wszystkich puścić, ale mamy jeszcze Campbella.

- Campbella?

- Dzikiego Wojownika z Zachodniego Lothian, sir. Siedzi za napad na dworcowy kiosk, do  
tego siły specjalne złapały go na gorącym uczynku, kiedy sterroryzował, z bronią w ręku, salę au-  
kcyjną i próbował uciec z zielonym kufrem.

- Mamy winnego? To możliwe?

- Zamknięty jak ta lala, sir. Oczywiście, rano będziemy musieli go wypuścić.

- A to dlaczego?

- Cóż, sir. Wygląda na to, że ktoś przez pomyłkę skasował nagranie napadu z dworcowej ka-  
mery, a prowadząca kiosk ponura kobieta nie jest gotowa zeznawać. Zielony kufer zniknął. Murphy  
wyjechał z miasta. Uczestnicy aukcji są zajęci przygotowaniem pozwu przeciwko siłom specjal-  
nym. Adwokat dowódcy oddziału sił specjalnych poradził mu, żeby nie składał żadnych oświad-  
czeń.

- Campbell nie musi więc nawet wcale domagać się swoich praw.

- Z tym, że o tym nie wie, sir. Wydusiliśmy z niego zeznanie w mgnieniu oka. Może nawet uda  
nam się powiązać go z kilkoma ostatnimi morderstwami oraz nie wyjaśnionym rabunkiem sztab  
złota.

Sam wzruszył ramionami.

- Podoba mi się pański styl myślenia, sierżancie. Proszę dopilnować sprawy, a może zasłuży  
pan na awans. Chodźmy do niego.

- Dziękuję, sir. - Sierżant wetknął zwiniętą gazetę do tylnej kieszeni i zdjął z haczyka przy drzwiach kółko z kluczami. - Wziąć moją wielką pałkę?

Cele były - jak to się mówi - wykute w żywej skale. Woda kapiała z sufitu i spadała z pluskiem na ziemię, tworząc kałuże. Pod ścianami przemykały się szczury. Raz za razem echo niosło dziwne krzyki.

- Jesteśmy na miejscu, sir. - Sierżant przekręcił klucz w drzwiach. Pchnął je z głośnym KWIIGHGHGH. - Campbell, sir.

- Podnoś się, Campbell - nakazał Sam McAggott. Campbell wziął głęboki wdech, wstał i wbił wzrok w komendanta.

- Już się robi.

- Tylko bez pośpiechu, kolego - powiedział Sam.

- Bo co? - Campbell uniósł jedną nogę, potem drugą. Na chwilę zawisł w powietrzu, przecząc prawu powszechnej grawitacji, i opuścił celę. Z zadziwiającą prędkością.

Śmignął obok McAggotta, zwalając go z nóg. Przeskoczył nad schyloną głową sierżanta. Pofrunął korytarzem. Pokonał błyskawicznie wszystkie drzwi i zniknął w ciemnościach nocy.

McAggott przeszedł nad sierżantem, który postanowił poleżeć na podłodze zwinięty w kłębek, i zataczając się, dotarł w końcu do swojego gabinetu. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Gdzieś zadzwonił telefon.

- Halo? Kto mówi?

- McAggott - wydyszał komendant.

- Hm. Coś nowego? Wszystko poszło zgodnie z planem?

- Tak, sir. Nie, sir. Ten, kogo pan szukał...

- Złapał to pan?

- Uciekło. Nie wiedzieliśmy, że to było TO. Nie byliśmy w stanie tego powstrzymać. Było zbyt szybkie.

- Głupcze! Przemieniło się? Widział pan, jak się przemieniało?

- Nie, sir. Świeciło, unosiło się w powietrzu i fruwało jak diabli, ale nie przemieniło się.

- Co z Murphym? Nic mu nie jest?

- Nie, sir. Puściliśmy go i poszedł swoją drogą.

- Oby naprawdę nic mu się nie stało. Proszę wysłać swoich ludzi i kazać im strzelać bez ostrzeżenia, jak tylko TO znajda. Jeżeli można TO zastrzelić. Kto śledzi Murphy'ego?

- Nikt, sir. Myślałem, że...

- Pajac! Jesteś pan pajacem, McAggott.

- Przepraszam, sir. Do widzenia.

- Do widzenia. - Arthur Kobold odłożył słuchawkę. - Dużo szczęścia, Murphy. Bardzo ci się przyda.

- Dzień dobry! - zawołał Cornelius Murphy. - Dobry wieczór wszystkim!

Bar był mały i przytulny. Pod sufitem biegła poczerńiała od ognia płatanina belek, w kominku buzował ogień z grubych polan. Podłoga wyłożona była pokrytym patyną czasu złocistym kamieniem, zrobione z bagiennego dębu stoły i ławki nabrały od długiego używania połysku. Wokół wisiały miedziane kociołki, patelnie i końskie uprząże. Miejsce było naprawdę bardzo przytulne.

- Uuuuuuu! - zawyli goście przytulnego baru, kuląc się na krzesłach. - Boże chroń nas!

Cornelius popatrzył na Tuppego. Tuppe popatrzył na Corneliusa.

- Myślisz, że to bar dla komandosów sił specjalnych? - spytał Tuppe.

- Apage, płodzie piekiel! - zawył właściciel, machając warkoczem czosnku i robiąc znak krzyża. - Wracaj do głębi piekiel!

- Czy jest szansa dostać pokój na noc?! - krzyknął Tuppe.

- Pomiot szatana! - Właściciel wskazał palcem na mniejszego z przybyszy. - Precz, piekielny stworze!

Skuleni w krzesłach goście powyciągali z kieszeni srebrne krucyfiksy i trzymali je w drżących dłoniach.

- Wynoście się, demony, wynoście - zaczęli skandować.

- Dajmy sobie spokój - stwierdził Cornelius. - Idziemy.

- Precz, demony! - zawył właściciel.

- Dobrze, już sobie idziemy. - Wysoki młodzieniec ruszył ku drzwiom. Otworzył je i wyjrzał w szalejącą burzę.

- Daj spokój i zamknij te przekłete drzwi! - zawołał w tym momencie właściciel, a sala zatrzęsła się od huraganowego śmiechu.

- No tak - westchnął Cornelius, starając się równocześnie przyklepać nieco włosy, przyciągnąć bliżej zielony kufer i zamknąć drzwi. - To pewnie mała próbka słynnego północnego humoru, o którym tyle czytałem.

- Obawiam się, że w moim przypadku to daremny trud - mruknął pod nosem Tuppe.

Podeszli do właściciela, który trzymał się za brzuch i śmiał jak przysłowiowa norka.

- Nie zwracajcie na nich uwagi, panowie. Robią to z każdym. - Za barem pojawiła się niezwykle atrakcyjna młoda kelnerka. Była blada i gibka, miała pełne wargi i niezwykle fiołkowe oczy. Cornelius zauważył, że piegi na jej lewym policzku układają się tak samo jak wyspy archipelagu Tuamotu w południowo-zachodniej Polinezji. Uśmiechnęła się do Corneliusa, Cornelius uśmiechnął się do niej.

- Nazywam się Cornelius Murphy - przedstawił się. - Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani rodzić mi dzieci.

Właściciel klasnął dłonią w kontuar i popadł w jeszcze większe rozbawienie.

- Śmie pan żartować. - Kelnerka zamrugała do Corneliusa egzotycznymi powiekami. - Co ma być?

- Ja poproszę małą lampkę czegoś mocnego - powiedział Tuppe.

- Mały chce coś małego! - Właściciel osunął się za kontuar, opadł na plecy i wierzgał nogami w powietrzu.

- Jak zwykle nawaleni niczym bombowce. - Prześliczna kelnerka pokręciła głową. - Może być szkocka, kochany?

- Dwie - odparł Cornelius. - Bez lodu.

- Nie usłyszałem - wyskrzecztał właściciel. - Co powiedział?

- Bez lodu.

Właściciel walił dłońmi o podłogę. Kelnerka naląła dwie miarki i pchnęła je przez kontuar. Cornelius pomógł Tuppemu usiąść na stołku i przysunął drugi dla siebie.

- Nie miałyby pani nic przeciwko temu, by wypić z nami? - spytał kelnerkę.

- Jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu, policzę tylko za drinka. Ktoś musi zostać trzeźwy.

- Jak pani sobie życzy. - Kelnerka wzięła od Corneliusa pięciofuntowy banknot, wybiła ceny na kasie, wyjęła z niej resztę i schowała do kieszeni fartucha. - Czy mógłbym dostać pokwitowanie?

- Co masz pan w tej wielkiej skrzyni? - Wielki, rumiany, przypominający farmera mężczyzna trącił zielony kufer stalowym noskiem ciężkich roboczych buciorów. - Pokrajanego trupa, co?

Jego zapijaczeni kolesie znów zawyli i buchnęli śmiechem. Cornelius zrobił udręczoną minę i zagryzł kostkę dłoni.

- Mam w niej okropnie zdeformowanego brata - odparł chrapliwym szeptem. - Odwozimy go do zakładu. Proszę go nie budzić. Jeżeli znów wydobędzie się na wolność... - Wysoki młodzieniec zakrył twarz dłońmi. - Krew, tyle krwi, te wszystkie przeżute do połowy członki...

Goście znów wybuchnęli śmiechem.

- Macie jakiś wolny pokój? - spytał kelnerkę Cornelius.

- Tylko jeden. Będziecie musieli się nim podzielić. W tym momencie ponownie otworzyły się drzwi pubu.

- Uuuuuuu! - zawyli goście. - Boże, chroń nasze dusze.

- Dajcie spokój, wariaci. - Do środka wszedł mieszkaniec wioski w gumowym płaszczu i strząsnął wodę z kapelusza. Zatrzasnął drzwi, odwrócił się i podreptał prosto w kierunku zielonego kufra. Potknął się o niego i runął na podłogę. Goście wzniesli się na nowe wyżyny wesołości. Ich śmiech odbił się echem w wiszących wokół patelniach, zadrzały od niego uprząże.

Rumiany typek wyciągnął swój krucyfiks.

- Módl się, żeby nie obudzić szalonego brata - powiedział i nachylił się, by podnieść z ziemi przybysza w gumowym płaszczu.

- Zawsze tak się zabawiają? - spytał Cornelius. Kelnerka skinęła głową. Cornelius poczuł zapach L'Air du Temps.

\*\*\*

- Nie zawsze byli tacy. Zwykle siedzieli bez słowa i każdy wpatrywał się w swoje piwo, ale potem zamknięto młyn i przyszedł nieurodzaj. Zamknięto cegielnię, przetwórnę warzyw przeniesiono do Solihull. Teraz wszyscy są na zasiłku bez szansy na pracę.

- Rozumiem - powiedział Cornelius.

- A ja nie - stwierdził Tuppe.

- Wtedy - mówiła dalej kelnerka, a Cornelius zachęcająco pociągnął nosem - na pole starego Jacka Spara spadł meteor. To znaczy wszyscy myśleli, że to meteor, ale kiedy go wykopano, okazało się, że ma kształt metalowego cylindra. Zaniesiono to coś do wioski, a najstarsi ludzie orzekli, że to dar bogów i kazali zbudować na placu kapliczkę i do niej TO wstawić.

Cornelius popatrzył na Tuppego. Tuppe popatrzył na Corneliusa. Dopili whisky.

- Możemy obejrzeć nasz pokój? - spytał Cornelius.

- Oczywiście. Zaprowadzę was.

Cornelius i Tuppe pospiesznie zebrali swe bagaże. Kelnerka poprowadziła ich w kierunku nieco rozklekotanych schodów. Na ich odejście obecni znów wybuchnęli radosną wrzawą i wzniesli szklanice w pożegnalnym geście.

- Pewnego dnia rozszalała się burza, taka jak dziś - mówiła dziewczyna. - W kapliczkę uderzył piorun, cylinder się rozpękł i TO wydostało się ze środka.

Cornelius z trudem wciągał kufer.

- Białe pończochy - westchnął.

- Teraz musisz schylić głowę, kochany.

BUM! - rozległo się, kiedy głowa Corneliusa zetknęła się z czymś twardym.

- Aua! Co się wydostało?

Kelnerka otworzyła drzwi, sięgnęła do środka ręką i zapaliła światło. Pokoik był mały, ale przytulny. Na dębowym łóżku leżała czerwona narzuta, na niej pękate poduszki z prawdziwego gęsiego pierza. W kominku pod ścianą trzaskał zachęcająco ogień.

- Wypadło. - Kelnerka odrzuciła narzutę na łóżku. - W środku było jakieś urządzenie. Pełne przycisków, miało ekranik jak w telewizorze. I mikrofon.

- Pewnie lokalizator - stwierdził Tuppe, który trzy razy oglądał Wyspę Ziemia.

- Nie, to nie był lokalizator. Lokalizatory mają trójkątne ekrany i szerokopasmowe modulatory fal pozytronowych, działające na zasadzie bombardowania jąder cząsteczek alfa przez zjonizowane fotony beta. Tak jak w akceleratorze liniowym.

- A więc to nie był lokalizator?

- Nie. - Kelnerka odrzuciła do tyłu głowę. Zafalowała burza delikatnych kasztanowych włosów. - To był magnetofon do karaoke.

Cornelius ponownie westchnął, tym razem nie z powodu białych pończoch.

- To wszystko? Nic więcej się za tym nie kryje?

- Kryje się więcej - powiedziała kelnerka. - Pozwól, małeńki człowieczku, że pomogę ci z tą walizką.

- Dziękuję - podziękował Tuppe. Dziewczyna położyła walizkę na łóżku.

- To prawdziwa skóra krokodyla? - spytała.

- Nie - odparł Cornelius, kręcąc głową.

- Tym razem, kiedy pokręciłeś głowę, twoje włosy nie poruszyły się - zachichotała dziewczyna.

- Czasami tak się dzieje. Mów dalej. Magnetofon do karaoke.

- No tak. Przyniesiono go do baru. Był nieco osmalony od błyskawicy, ale po podłączeniu do kontaktu zaczął grać, a na ekranie pojawiały się pasujące do melodii słowa.

- Te maszyny tak działają. - Tuppe zdjął z ramion plecak i kopnął go pod łóżko. - Przynajmniej tak słyszałem.

- Może, ale z tej wydobywały się dźwięki, jakich nikt jeszcze nie słyszał. Wpadające w ucho frazy, które każdy natychmiast zaczynał nucić. Bardzo rozweselały ludzi.

- Dlatego są tacy dowcipni?

- Nie, to jeszcze nie wszystko. Słuchaj dalej. Minął miesiąc, odkąd po raz pierwszy włączono maszynę w barze, kiedy ktoś usłyszał w radiu jedną z piosenek, które nucili.

- Nic dziwnego - wyjaśnił Tuppe. - Magnetofony do karaoke są zaprogramowane na popularne przeboje.

- Nie! Nie to chciałam powiedzieć. Maszyna do karaoke zagrała piosenkę miesiąc przed jej pojawieniem się w radiu! Grała muzykę z przyszłości! Dokładniej mówiąc, listę przebojów z przeszłego miesiąca.

- Listę przebojów z przeszłego miesiąca? - Cornelius usiadł na zielonym kufrze. - Oczywiście żartujesz sobie z nas.

- Nie żartuję. Maszyna naprawdę grała muzykę z przyszłości.

- Rozumiem - powiedział Cornelius, który rzeczywiście zaczynał rozumieć. - Tak więc mieszkańcy wioski zaczęli robić pieniądze dzięki temu darowi niebios, który został im przekazany w najczarniejszej godzinie. Niech zgadnę - zaczęli obstawiać u bukmacherów, co będzie na szczycie listy przebojów na gwiazdkę. Zaczęli wykupywać prawa autorskie na teksty, które jeszcze nie zostały napisane. W krótkim czasie zaczęli opływać w dostatki. Dlatego bez przerwy się śmieją.

Kelnerka pokręciła głową. Znowu zafalowały kasztanowe loki, a w powietrzu rozszedł się zapach L'Air du Temps.

- Nie. Nic takiego nie nastąpiło, choć tamten facet mówił dokładnie to samo, co ty.

- Tamten facet? Jaki tamten facet?

- Przyjechał z Londynu. Miał chyba na imię Jack. Kiedy się tu zjawił, była taka sama burza jak dziś. Mówił, że jest taksówkarzem i że się zgubił. Kiedy wszedł do pubu i usłyszał, jak wszyscy śpiewają z maszyną, strasznie się podniecił i próbował rozmawiać, z kim tylko się dało. Był bardzo miły, wszystkim stawiał.

Cornelius nie posiadał co prawda urządzenia do przewidywania przyszłości, ale miał wrażenie, że wie, jak ta opowieść się skończy.

- W końcu zabrał ze sobą maszynę, prawda?

- Skąd wiedziałeś? Tak właśnie się stało. Powiedział, że ma kontakty w świecie muzyki, często wozi producentów i sławnych muzyków. Przekonał wszystkich, że wkrótce doprowadzi wioskę do bogactwa.

- I pozwoliliście kompletnie obcemu człowiekowi odjechać z urządzeniem, które grało muzykę z przyszłości?

- Skądże znowu! Myślisz, że jesteśmy głupi jak buty? O nie - z Jackiem pojechał do Londynu wielki, silny farmer, który miał dopilnować, żeby wszystko odbyło się jak należy.

- Czegoś tu nie rozumiem. Kiedy to było?

- O, zanim tu przyszedłam. Jakieś trzydzieści lat temu. Wiesz co?

- Co?

- Nigdy więcej nie słyszano o żadnym z nich. Tak więc...

- Tak więc?

- Tak więc teraz możesz zacząć się śmiać. - Dziewczyna klepnęła się w kolana. Cornelius wydał z siebie kolejne westchnienie.

- A ten silny farmer - spytał Tuppe. - Wiesz, obijałem się trochę tu i tam. Nie pamiętasz przypadkiem, jak się nazywał?

- Brian. - Dziewczyna przetarła dłonią oczy. - Brian jakiś tam.

- Epstein? - pomógł Tuppe.

- Tak jest! Epstein. Znasz go?

Tuppe pokręcił głową.

- Nie, przypadkiem udało mi się zgadnąć.

\*\*\*

- Brian Epstein!

Dziewczyna przed chwilą wyszła i Cornelius rozpakowywał walizkę.

- Proszę, proszę. Brian Epstein.

Tuppe przypiekał sobie stopy przy ogniu w kominku.

- Jak powiedziałem, obijałem się trochę tu i tam, i słyszałem już kiedyś tę historię.

- To nieprawda? - Cornelius rozkładał piżamę. Tuppe rzucił na nią okiem i Cornelius jak najszybciej wepchnął ją z powrotem do walizki.

- Nie powiedziałem, że to nieprawda, tylko że już kiedyś słyszałem tę historię. Możliwe, że jeżeli coś słyszy się wystarczająco często, staje się prawdziwe. Cóż za ohydna piżama.

- Paskudna, nie? - Cornelius zamknął walizkę. - Proponuję, byśmy zajrzeli do kufra. W końcu po niego przyjechalśmy.

- Cóż za wyśmienity pomysł.

Zaciągnęli kufer na środek pokoju, Cornelius otworzył zamki i uniósł wieko. Powietrze wypełnił zatęchły odór.

- O, to zapewne ten stary brudny loden. - Tuppe sięgnął do kufra, wyciągnął płaszcz i rzucił go w najdalszy kąt. - A oto twój komplet do czesania.

Cornelius wziął do ręki zestaw.

- Etui w żadnym wypadku nie jest z cielęcej skóry. To skaj.

- Może powinieneś wystawić to cudo na przyszłotygodniową aukcję?

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł. Jakie mamy dokumenty? Nie było ich wiele, na dodatek większość stanowiły nie zapłacone

rachunki. Dotyczyły zakupu niezwykle szerokiego asortymentu rzeczy: drogich cygar, koniaków i likierów, rzadkich książek, ekskluzywnych ubrań. Wszystkie były wystawione na nazwisko Hugo Rune. Do większości podpisano monety i decyzje o egzekucji komorniczej.

- Ten Rune bez dwóch zdań wiedział, jak dobrze żyć. - Tuppe przeglądał rachunki. - Strzelby na grubego zwierza. Ręcznie szyte koszule na zamówienie. Artykuły toaletowe z importu.

- A to co? - Cornelius uniósł do światła wiekową fotografię, pozwijaną na rogach i pokrytą patyną lat.

Było to zdjęcie czwórki mężczyzn. Trzech młodych uśmiechało się, czwarty dominował zarówno wzrostem, jak i wiekiem. Nie uśmiechał się. Był nawet bardziej niż słusznej budowy, ubrany w pumpy i marynarkę, uszyte z kraciatego materiału, z jakiego robi się pledy. Jego łysa głowa przypominała polerowaną kopułę, ciemne oczy świdrowały. Na skos fotografii biegł wyblakły atramentowy napis: MY Z MISTRZEM. JEGO URODZINY, LIPIEC 1936. Pod napisem znajdowała się skierowana w dół strzałka, wskazująca na dopisek: DLA MOLLY.

- Mam na mojej liście jakąś Molly. - Cornelius podał zdjęcie Tuppememu. - Szkoda, że nie ma jej na zdjęciu.

- Co to za grubas?

- Mistrz, to chyba wynika z napisu. - Cornelius zabrał zdjęcie i wsunął je do kieszeni. - Jest coś jeszcze?

Tuppe wlaźł do kufra i zaczął w nim myszkować.

- Jakież listy. Żadnego zaginionego manuskryptu.

- Sprawdź, czy kufer nie ma podwójnego dna. Tuppe wystawił głowę na zewnątrz.

- Właśnie to robię!

Cornelius zaczął przeglądać listy. Wszystkie pochodziły od Rune'a, były zaadresowane na Wiktora Zenobię i zawierały żądania sfinansowania coraz to nowych pomysłów. Na zakup map. Zakup londyńskiej taksówki. Lin i sprzętu wspinaczkowego. Prochu strzelniczego.

- Sądzę, że mamy tu dobry obraz pana Rune'a - stwierdził Cornelius, chowając listy do kieszeni. - Człowieka kompletnie szalonego i do cna splukanego.

- Wygląda na to, że nie oszczędził sobie na niczym, przynajmniej dopóki nie musiał płacić. Zastanawia mnie, co ten twój pan Kobold w nim widzi.

- Kobold albo konkurencyjny wydawca. Campbell musi być opłacany przez tamtego.

- Tak sądzisz?

- Jakże może być inne wyjaśnienie? Czekał na mnie, kiedy przyjechałem. Wiedział, że przybywam. Planował usunąć mnie z drogi, aby móc licytować kufer. Świsnął dokumenty.

- Brzmi to dość dramatycznie, ale bez dwóch zdań eposowo. A to co? Oj, tylko stara papierowa torba. - Tuppe zmiął torbę i rzucił ją na dywan.

- Rany! Podstawowy ślad.

- Słucham?

- Ślad. Zawsze, kiedy wyrzuca się niepotrzebny śmieć, okazuje się on potem podstawowym śladem.

- No tak, zawsze tak jest. Daj go szybko!

Cornelius podniósł z podłogi zmiętą torbę i pieczołowicie ją wygładził.

- Zdrowa żywność Molly - przeczytał na głos. - Marduk Parade, High Street nr 1, Milcolm Moloch.

- No i co?

- No i miałem rację!

\*\*\*

Kazali przysłać sobie na górę butelkę najlepszego portwajnu. Siedzieli i zastanawiali się, co dalej. Portwajn szybko się skończył, ogień zgasł, a Tuppe poszedł spać do kufra. Cornelius powlókł się do łazienki, dokonał wymyślnych ablucji, wdział swą paskudną piżamę i wrócił do sypialni.

Przykrył narzutą swego przyjaciela i zgasił światło. Leżąc w ciemności, do której nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić, dumał nad dziwactwami minionego dnia. Nie wiedział, co z tym wszystkim począć, i w końcu odpłynął w sen.

W najdalszym kącie pokoju zadrżał lodenowy płaszcz. Z lewego rękawa wypełził czarny szczur i wyruszył na poszukiwanie sera.

11

### MISTERIUM CZASU

Większość z nas lubi obchodzić urodziny.

Moje, na przykład, to święto narodowe Tybetu, Dzień Radości i Uciechy w Górnej Sumatrze i - bez wątpienia - w wielu innych częściach świata.

Komuż jednak zdarza się popaść w zadumę nad tym zagadkowym zjawiskiem?

Jeżeli urodziłeś się w poniedziałek, twoje pierwsze urodziny wypadną we wtorek. Następnie w środę i tak dalej. W ten sposób, kończąc siedem lat - choć data urodzin pozostaje ta sama - obchodzi się je tydzień później. W wieku trzydziestu lat - cały księżycowy miesiąc później. Z tego samego powodu człowiekowi urodzonemu na wiosnę dziewięćdziesiąte urodziny przychodzi świętować w połowie lata.

Oto zjawisko, które należy, bez dwóch zdań, określić mianem kosmicznego misterium. Jeszcze do tego wróczę.

Czas kryje w sobie znacznie więcej niespodzianek, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Nie wszystkie też zostały „wyjaśnione” przez tego pozbawionego zasad łajdaka, A. Einsteina.

Komu z nas nie zdarzyło się raz czy dwa powiedzieć:

Kiedy człowiek dobrze się bawi, czas błyskawicznie mija.

W tej robocie czas się strasznie wlecze.

I znowu Boże Narodzenie!

Moja żona twierdzi, że jestem złym kochankiem. Skąd kobieta może to wiedzieć po upływie zaledwie 30 sekund?\*

Czy ten czyściciel okien nie przychodzi ostatnio częściej?

Cóż, jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, gotowym wołać: SPISEK!, ale sądzę, że w tym akurat przypadku czuć jego cierpki smak.

Proszę pozwolić mi wyjaśnić.

Czas - i na pewno się ze mną zgodzicie - to najcenniejsza ruchomość, jaką posiadamy. Wiemy też, aż za dobrze, że prędzej czy później wszystko, co cenne, wpada w ręce jakiegoś pozbawionego skrupułów indywiduum, wykorzystującego zdobycz dla siebie tylko znanych celów. Twierdzą, że „czas” znajduje się obecnie pod kontrolą takiego właśnie indywiduum i jest przezeń wykorzystywany przeciwko ludziom pracy.

Proszę pozwolić mi wyjaśniać dalej.

Przeciętny człowiek pracy mniej więcej połowę życia spędza pracując. Poświęcona pracy część jego życia zdaje się „trwać wiecznie”. Potem - jeżeli dożyje emerytury - następuje jedno z dwóch zjawisk: albo stwierdza, że czas „potwornie się wlecze” i wraca do pracy, albo opiera się temu, wyjeżdża nad morze, budzi się pewnego dnia i stwierdziwszy: „Dwadzieścia lat na rencie, a jakby to było pięć minut”, pada martwy.

Człowiek pracy nie ma ucieczki!

---

\* Dowcip (przyp. aut.)



Jego „czas” jest sterowany!

Pozwolę sobie przytoczyć przykład Szekspira. W jaki sposób udało mu się napisać tyle sztuk i ocalić swoje nazwisko od zapomnienia? Chciałbym przypomnieć, że w jego czasach nie było maszyn do pisania ani kserokopiarek.

Jeżeli Szekspir pisał sztukę z dwudziestopięciuosobową obsadą, musiał dla każdego aktora sporządzić jeden egzemplarz. Krótkie obliczenie wskazuje, że musiał pisać z prędkością nie mniejszą niż pięć tysięcy słów na minutę, i to dziesięć godzin dziennie. Przez dwadzieścia lat! Niezły wyczyn!

Istnieją dwie możliwości wyjaśnienia tego fenomenu. Po pierwsze można założyć, że czas był wówczas zupełnie inny, czyli na przykład ówczesna minuta odpowiadała dzisiejszej godzinie, po drugie Szekspir jakimś sposobem „miał czas po swojej stronie”. Czyżby jednak rzeczywiście nad nim panował? Twierdzą, że wszystko było w rękach tego, kto zatrudniał Szekspira. To on rządził „czasem” pisarza i był zdecydowany bezwzględnie to wykorzystać.

Już słyszę okrzyki: „Hugo, powiedz nam, jak to się odbywało? Powiedz nam, kto to robi!”

Powiem.

NA NASZEJ PLANECIE CZASEM RZĄDZI PAPIEŻ.

Znów słyszę okrzyki: „Zaraz zaraz, Hugo, przemawia przez ciebie jedynie zazdrość! Oo, znów odrzucono twoją kandydaturę na papieża”.

O nie, przyjaciele, o nie!

Wyjaśnię teraz wszystko ze szczegółami.

\*\*\*

#### KRÓTKA HISTORIA CZASU WEDŁUG HUGO RUNE’A

Nikt dokładnie nie wie, kto pierwszy odkrył istnienie czasu. Pierwszymi, którzy pomyśleli o podzieleniu go na jednostki, byli jednak bez najmniejszej wątpliwości Rzymianie.

Senat Rzymu zaczął od sekund i postanowił, że sześćdziesiąt ma tworzyć minutę. Ponieważ senatorowie niezwykle lubowali się w nazywaniu wszystkiego zwłaszcza swoimi nazwiskami, sześćdziesięciosobowy Senat zgodził się co do tego bez szczególnie gorącej debaty. Każdy miał więc sekundę nazwaną swoim nazwiskiem.

Nie osiągnięto ugody co do jednolitej długości sekundy, ponieważ nazwiska senatorów nie miały jednakowej długości. Raz dwa senatorowie zaczęły ozdabiać nazwiska coraz dłuższymi tytułami, i w ten sposób „ich” sekundy stawały się znacznie dłuższe od innych.

Ustalenie długości sekundy zawdzięczamy sześćdziesiątemu pierwszemu senatorowi. Kiedy wrócił z wakacji i odkrył, że jego czcigodni koledzy nie pozostawili mu sekundy, którą mógłby nazwać własnym nazwiskiem, tak się uniósł, że o mało nie pobiegł i płaczem do żony<sup>1</sup>.

Ponieważ był niezłym lizusem i cesarskim pochlebcą, oświadczył, że każda sekunda powinna trwać tyle, ile trzeba na wypowiedzenie słów „Chwała cesarowi!”.

Nie wywołało to zbyt wielkiego zachwyty w Senacie, spodobało się jednak bardzo cesarowi, który pozwalał sześćdziesiątemu pierwszemu senatorowi krążyć w swej orbicie.

Wspomnianym tu cesarzem był całkowicie zapomniany Flawiusz Beznosy, i to on wydał dekret, by wszystkie stawiane w Cesarstwie pomniki pozbawione były nosów. To kolejny fakt, który umknął uwagi siwobrodym znawcom sztuki. Tym samym, którzy do dziś twierdzą, że Henry Moore to rzeźbiarz „abstrakcyjny”. Poznałem Moore’a osobiście wiele lat temu i mogę zaświadczyć, że to mistrz realistycznego przedstawiania ludzkiej postaci, który miał jedynie nieszczęście obracać się wśród naprawdę śmiesznie wyglądających kobiet. To jednak tylko dygresja.

W każdym razie Senat, który podzielił czas na jednostki i ponazywał je, a potem został pozbawiony swego osiągnięcia, nie był szczęśliwy. Jedną z wcześniejszych zdobyczy rzymskich senatorów było stworzenie społeczeństwa klasowego (mamy Rzymianom wiele do zawdzięczenia), poczęła wśród nich kiełkować pewna myśl. „Dlaczego czas ma być taki sam dla wszystkich? - dumali. - Nie może być chyba wątpliwości, że rządząca elita powinna mieć czas znacznie bardziej ekskluzywny niż niewolnicy i plebs”.

Odbyło się na ten temat wiele poważnych debat.

---

<sup>1</sup> Dowcip (przyp. aut.)

Padło wiele różnych propozycji: aby plebs miał w swoich minutach mniej sekund, aby miał tę samą ilość sekund w minucie, ale płacił podatki za korzystanie z nich, aby wreszcie wydłużyć mu sekundy, tak, aby mógł w ciągu dnia dłużej pracować.

Przyjęto tę ostatnią propozycję a wdrożenie jej zniewoliło człowieka pracy po dziś dzień.

Żył wówczas pewien Grek. Nazywał się Archimedes i udało mu się zdobyć sporą sławę. Wy-myślił słowo EUREKA, którego wykrzyknięcie w określonych warunkach podczas kąpieli pozwalało mu na rozwiązywanie wszelkiego rodzaju tępych rebusów.

Flawiusz Beznosy wykupił dwutygodniową wycieczkę do Grecji i w czasie jej tworzenia odwiedził Archimedes, prosząc go, by pomógł mu rozwiązać pewien poważny problem.

Archimedes pogładził się po brodzie i zaczął rozmyślać.

W końcu wyszedł z wanny i choć palce u jego stóp nieco przypominały skórę suszonej śliwki, na jego ustach znów zagościło rozpoczynające się na „e” słynne słowo.

- Rozwiązanie leży w mydle - poinformował cesara.

- Baś uphejmy wyjaśnisz - poprosił beznosy.

- Oczywiście. Tak jak rozumiem sprawę, chcecie mieć bardziej wartościowy czas niż ma plebs. Muszę jednak ostrzec, że z czasem nie wolno kombinować. Ale można pokombinować z jego percepcją. Potrzebujecie specjalnego narkotyku, który podany plebsowi, zmieni sposób, w jaki postrzegają czas. Spowoduje, że pozornie płynął będzie wolniej. Osoba znajdująca się w takim stanie wykona znacznie więcej pracy niż normalnie. Znasz się trochę na chemii?

Cesar mądrze kiwnął głową.

To znaczy, że nie - pomyślał Archimedes i mówił dalej:

- Tak się składa, że znam taki narkotyk. Ma bardzo skomplikowany wzór chemiczny (C<sub>11</sub>H<sub>17</sub>NO<sub>3</sub>) i tylko ja umiem go wytworzyć. Jedyne, co musisz zrobić, to dodać go do używanego przez plebs mydła. W trakcie mycia będą aplikować sobie narkotyk i sprawa załatwiona!

- A so s tymi, chtószy se nie myjo? - spytał cesar.

- Dosyp im do herbaty. Muszę przyznać, że choć masy pracujące nie myją się tak często, jak należałoby sobie życzyć, to na pewno wszyscy piją herbatę. Słuchaj, wydestyluję ci wstępną partię, weźmiesz ją do Rzymu i jeżeli efekty cię zadowolą, złożysz zamówienie i dobijemy interesu.

Uścisnęli sobie dłonie i dali po buziaku. Reszta - jak to się mówi - to historia.

Cesar wrócił do Rzymu. Przetestował narkotyk. Stwierdził, że działa cuda. Rzym zdrzał w posiadach. Cesar, człowiek nieszczególnie miły, był wszakże bystrym biznesmenem. Zajął więc Grecję, aresztował Archimedes i torturami wydobył z niego tajemnicę produkcji narkotyku.

Jakiś czas potem cesarowie przeszli na chrześcijaństwo i zostawali papieżami. Watykan chroni tajemnicę narkotyku do dziś.

„Klituś bajduś!” - słyszę wasze wrzaski. Oj, niewierni Tomasze. To niemożliwe! Przecież wszyscy używamy mydła i pijemy herbatę. Wszyscy nie mogą być stale pod wpływem narkotyków”.

Nie - odpowiadam. - Wszyscy nie są.

Nie każdy kawałek mydła i nie każde opakowanie herbaty jest zatrute. Poza tym przedsięwzięcie o takim zasięgu nie udałoby się nigdy, gdyby w spisku uczestniczył jedynie Watykan. Współpracują z nim producenci mydła i herbaty. Współpracują dystrybutorzy. Ludzie na kierowniczych stanowiskach w przemyśle i handlu. W spisku uczestniczą najprawdopodobniej wszyscy, którzy pachną inaczej od nas i piją zamorskie herbaty.

To międzynarodowy spisek. Potężny, zdradziecki i stoi za nim papież.

Czuję, że macie jeszcze wątpliwości. Czuję, że nie jesteście w stanie uwierzyć, iż akurat wy jesteście ofiarami tego okropnego spisku. Rozważcie jednak następujące zdanie: „Kiedy człowiek do brze się bawi, czas błyskawicznie mija”. Wynika to stąd, że alkohol neutralizuje działanie narkotyku. Czy kiedykolwiek w kąpieli albo w trakcie picia herbaty mieliście wrażenie, że czas mija błyskawicznie? Proszę bardzo!

Jeszcze jedno: ten narkotyk uzależnia. Nigdy nie zdarzyło się wam powiedzieć: „Umrę, jeżeli nie napiję się zaraz herbaty?” Proszę bardzo!

Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, dlaczego kościołowi katolickiemu tak bardzo zależy na nawróceniu tubylców z Ameryki Południowej? Słyszeliście na pewno niejedno o Ameryce Południowej. To stamtąd pochodzi kawa! Proszę bardzo!

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, dlaczego tak pilnie strzeże się receptury coca coli? Proszę bardzo!

Mógłbym jeszcze wiele na ten temat powiedzieć, ale już skończę. Zacząłem od stwierdzenia, że co roku mamy urodziny innego dnia. Biorąc pod uwagę, co zostało powiedziane później, wcale jednak nie jest to tak bardzo oczywiste.

Słyszeliście kiedyś powiedzenie: „Jest tak naćpany, że nie wie, jaki mamy dzień”?

Proszę bardzo!

Kończąc, chciałbym powiedzieć, że to dla mnie wielki zaszczyt, móc dziś przemawiać w Bel-faście, w Mauzoleum Wiliama Pomarańczowego podczas rozdania nagród Niezależnego Sklepi-karza Roku.

Znalezienie się w towarzystwie tylu szacownych, wnikliwych i otwarcie myślących niezależnych właścicieli sklepów, to dla mnie zaszczyt tak wielki, że aż trudny do wyrażenia słowami.

Wierzę, że wysłuchaliście moich rewelacji bez znużenia. Mam świadomość, że kiedy zostaną wydrukowane najbliższej niedzieli na pierwszych stronach niektórych gazet, wielce zainteresują waszych klientów. Wielce.

Chciałbym zwrócić uwagę, że stoi przede mną kilka produktów firmy CZYSTE WYROBY RUNE’A. Tu na przykład mamy herbatę RUNASSAM, gwarantowanie wolną od Ci 1H17NO3. Jest uprawiana w ekologicznie czystych warunkach, pakowana w nieszkodliwe dla warstwy ozono-wej, ulegające biodegradacji kartony i sprzedawana w cenie, która zadowoli zarówno sprzedawcę, jak i kupca. Mamy także CAFE RUNĘ GOLDEN BLEND, HUGO-COLEĘ oraz RUNOMYDŁO. Niskie ceny hurtowe, sprzedaż skrzynkami. Kto pierwszy? Pan? Wysoki dystyngowany dżentel-men. Dwanaście skrzynek RUNASSAMU? Oczywiście. Rizla, ściągnij dwanaście z furgonetki...

Dowód numer 1 w procesie „Niemał każdy przeciwko Hugonowi Rune’owi”.

\*\*\*

Zapach smażonego bekonu wyrwał Murphy’ego z erotycznego snu z udziałem kelnerki o fioł-kowych oczach. Cornelius wstał z łóżka i poczłapał do lustra nad garderobą. Na jego twarzy nie było śladu popołudniowych cieni, włosy uformowały się jednak w kształt bardzo interesującego mrowiska.

Cornelius rozsunął zasłony i zaczął wpatrywać się w nowy dzień za oknami. Wioska w dole wyglądała czarująco. Oczywiście dla kogoś, kto lubił tego typu widoki. Cornelius zastanowił się, czy jest kimś takim.

- Nie - zdecydował po chwili.

Tuppe obudził się z krzykiem i wyskoczył z kufra.

- Coś się stało, Tuppe? Tuppe pokręcił głową.

- Miałem tylko zły sen, wraca od czasu do czasu. Śni mi się, że mam do nogi przywiązaną wielką czarną torbę pełną okropnych wijących się stworów. Coś obrzydliwego.

- Oj, obrzydliwe.

- Nie, obrzydliwa. Naprawdę obrzydliwa.

- Obrzydliwa?

- Twoja piżama. Jest naprawdę obrzydliwa.

\*\*\*

W małej kuchence na zapleczu „Ramion Kata” w Milcolm Moloch dziewczyna o nienagannej, budzącej podziw figurze, stała nad patelnią.

- Cześć - odezwała się do Corneliusa. - Myślałam, że może zajdziesz do mnie wieczorem. By-łam bardzo samotna.

Cornelius jęknął i zagryzł wargę.

- Nie zawsze można mieć szczęście - szepnął Tuppe.

- Dużo straciłeś.

- Najwyraźniej. - Cornelius zwiesił głowę i jego włosy natychmiast opadły.

- Mam na myśli to, co wydarzyło się w barze. Dokonano tu samozapalenia.

- Oj - jęknął Tuppe. - Zawsze chciałem zobaczyć coś takiego.

- Trzeci w tym tygodniu. - Kelnerka zaczęła wbijać jajka na patelnię.

- Macie grzyby? - spytał Tuppe.

- Oczywiście, mały. Wrzucę ci kilka do środka. Facet spalił się na skwarę. Musiałam zeszkrobywać go z posadzki tą szpatułką. - Uniosła w górę wymieniony przyrząd.

- Ja poproszę grzanekę z dżemem - stwierdził Cornelius. - Nie lubię przejadać się na śniadanie.

\*\*\*

Z kryjówki znajdującej się w jednym z zaułków Sheila na gigh, wynurzył się antyczny czarny volkswagen z przyciemnianymi szybami, pokryty groźnymi kolcami. Za kierownicą siedział Hamish, obok Campbell, z tyłu Angus i Sawney.

Czarna szyba od strony Campbella zsunęła się w dół i Zły Jack wystawił głowę na zewnątrz. Pociągnął nosem.

- Na południe! - rzucił.

\*\*\*

Cornelius żuł starą wysuszoną grzanekę i zde gustowany przyglądał się, jak Tuppe napycha się bez umiaru.

- Masz muesli? - spytał kelnerkę.

- Jak śmiesz! - Dziewczyna zamachnęła się na niego straszliwą szpatułką.

- To danie śniadaniowe z płatków owsianych - wyjaśnił wysoki, skulony w tej chwili młodzieniec. - Są w nim orzechy, otręby, rodzynki i tym podobne zdrowe rzeczy.

- Nie - kelnerka wróciła do gotowania. - Nie ma u nas popytu na coś podobnego.

- Musi tu być jakiś sklep, gdzie sprzedają muesli. Chcę je zawieźć mamie w prezencie.

- U Molly. Sprzedaje zdrową żywność.

- Czy to jakiś istniejący od lat rodzinny interes? - spytał Cornelius żując grzanekę.

- Nie. Przyjechała z południa. Nikt stąd nigdy nie był w jej sklepie. Szpanerskie żarcie, rzygać się chce. Dla turystów.

- Dużo ich macie?

- Nie. Wcale. - Dziewczyna znów uniosła szpatułkę i spuściła ją gwałtownie na przechadzającą się po stole muchę. Tuppe skulił się, ale nie przestał się opychać.

- Jej sklep jest daleko stąd? - Cornelius przyglądał się, jak dziewczyna zdrapuje muchę, podrzuca zgniecionego owada w powietrze i jednym uderzeniem szpatułką z bekhendu posyła go za okno.

- Niedaleko. Po wyjściu stąd w lewo, potem znów pierwsza w lewo. Jeszcze bekonu, mały?

- Poproszę - kiwnął głową Tuppe.

\*\*\*

- W lewo, potem znów pierwsza w lewo. - Cornelius stał przed sklepem Molly i zaglądał do środka przez frontową szybę.

Tuppe spojrział w górę na kruszącą się fasadę.

- Zeszło trochę na psy.

- Ona musi coś wiedzieć. Sprawdzimy?

- Prowadź, panie Murphy.

Cornelius pchnął drzwi. Skrzypnęły i brzęknął lekko pęknięty dzwonek.

- Dość nieciekawie tu pachnie - zauważył Tuppe.

Cornelius rozejrzył się po lokalu. W każdym rogu wisały pajęczyny, kurz pokrywał grubą warstwą towar na półkach, promienie światła, którym udało się przebić przez brudną frontową szybę, konały wkrótce w powietrzu, które sprawiało wrażenie namacalnie szarego.

Cornelius wziął jabłko ze stojącego na niskim kontuarze kosza.

Kciukiem starł z niego kurz. Jabłko rozpadło się w pył.

- Halo! - zawołał. - Jest tu kto?

Coś zaszeleściło w głębi pomieszczenia. Zabrzmiało to dokładnie jak odgłos zmiotanych liści. Słaby, piskliwy głosik spytał:

- Kto tam?

- Klient - odparł Cornelius. - Dzień dobry!

- Nie potrzebuję żadnych klientów. Spadaj!

Cornelius wbił wzrok w ciemność. Niewielka plama w najdalszym kącie zdawała się nieco ciemniejsza od reszty. Tak jakby.

- Pani Molly Hartog?

- Kim jesteś, że wiesz, jak się nazywam? - Niewielka plama nieco ciemniejszej ciemności skuliła się i dość dokładnie zlała z otaczającą ją nieco jaśniejszą ciemnością, tworząc jednolitą płaszczyznę. Wszystko w tym samym miejscu. Tak jakby.

- Nazywam się Murphy.

- Audie Murphy? Najznamienitszy amerykański bohater drugiej wojny światowej? Gwiazda Piekielnych armat z Plaży Chwały? - Niewielka plama jeszcze dokładniej zlała się z otaczającą ją ciemnością. Dla przeciętnego ludzkiego oka zmiana była zbyt minimalna, by zwrócić na siebie uwagę.

- On się nazywa Cornelius Murphy - wyjaśnił Tuppe - i jest kandydatem na bohatera epopei.

Nieвозможна do odróżnienia od tła niewielka ciemna plama drgnęła, poderwała się do przodu i ruszyła powoli ku kręgowi niepewnego światła. Kiedy weń weszła, przemieniła się w niepewnie oświetloną niewielką ciemną plamkę. Bardzo małą niepewnie oświetloną ciemną plamkę. Wyciągnęła do przodu drobną, odzianą w czarny jedwab, dłoń. Tuppe ujął ją w obie ręce i ucałował.

- Mały człowieczku - odezwała się Molly Hartog - kim jest Tipharet dla Kether?

- Synem, lecz nie sługą.

- A skąd nadlatuje wiatr?

- Ze wschodu, a wraz z nim i my.

- Bardzo dobrze. Możesz pójść za mną. - Niewielka kobieta wzięła Tuppego za rękę i poprowadziła go w ciemność w głębi sklepu. Cornelius przyglądał się temu z ogromnym zdziwieniem.

- Nie mitręż czasu! - zawołał do niego Tuppe. - I uważaj na siebie!

BOING! - głowa Corneliusa zawadziła o coś.

\*\*\*

Cornelius, niewygodnie zgięty, siedział w niewielkiej bawialni. Sufit znajdował się ledwie metr dwadzieścia nad podłogą i przestrzeń tę głównie wypełniały jego nogi.

Niewielka kobieta przygotowywała herbatę na stojącej pod oknem kuchence, która sądząc po wielkości, musiała pochodzić ze sklepu z zabawkami. Sama gospodyni wyglądała niczym ożywiona jakimś sposobem wiktoriańska lalka. Jej drobna pomarszczona twarzyczka sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w wosku.

- Co to za bełkot o wietrze ze wschodu? - szepnął Cornelius.

- Kuzynka - syknął Tuppe, aby Cornelius ucichł. - Porozmawiam z nią. Daj fotografię.

Cornelius podał Tuppemu fotografię.

- Twój ród to podróżnicy? - Wiktoriańska lalka zalała wrzątkiem herbatę w dzbanku i przykryła go uszytym z materiału ocieplaczem.

Tuppe skinął głową.

- Tak, w lepszych czasach. Mój dziadek był jakiś czas z Toomeyem, także z Wombwellem i Tomem Normanem.

- Srebrnym Królem? Znałam ich. Ciebie też poznam. Daj popatrzeć. - Przytknęła do haczykowego nosa oprawione w kość słoniową pincenez i popatrzyła na zdjęcie.

- Ha! - zaskrzeczała po chwili. - Jesteś Tuppe.

- Zgadza się. Ale nie znam klanu Hartoga.

- Za to ja znałam dobrze twojego tatę. Jego tuczniaki też. Zwiął, kiedy wsadzili starego Polgara do ciupy, prawda?

- Dokładnie. I na tym skończyło się jego życie podróżnika.

- Wszyscy odeszli. - Molly odwróciła się, aby nalać herbaty. Nadepnęła przy tym Corneliusowi na lewą kostkę, ale nasz bohater dzielnie zagryzł wargę. - Czego ode mnie chcesz, Tuppe?

- Hugona Rune'a. Znasz go.

- Biedny, drogi Hugo! Dobrze go znałam. Z pewnością wiesz, że wynalazł na nowo okarynę. Och, i jak nienawidził Buda Abbotta.

- Wydaje mi się, że pozostawił po sobie jakieś dokumenty.

- Dokumenty? Sterty papierów. Był geniuszem, mistrzem. Wyprzedzał o lata swe czasy. O dziesięciolecia. Ten świat był zbyt mały dla Hugona Rune'a.

- A te dokumenty... były częścią manuskryptu? - Tuppe wziął od Molly filiżankę herbaty wielkości skurzonego naparstka. - Dziękuję.

- Częścią książki. - Molly podała filiżankę Corneliusowi który postawił ją sobie w zagłębieniu dłoni i przyglądał się jej z najwyższym zdumieniem. - Książki pod tytułem *Księga prawd ostatecznych*. Jaką mistrz miał wiedzę, ile mądrości, ile geniuszu. A jaki miał apetyt. Miał też zakaz wstępu do wszystkich chińskich barów makaronowych w zachodnim Londynie.

- Dlaczego?

- Z powodu alergii. - Miniaturowa kobieta usiadła na lewej stopie Murphy'ego i Cornelius po raz kolejny się zdziwił. Zdawała się nic nie ważyć.

- Miał alergię na makaron sojowy? - spytał Tuppe, popijając herbatę.

- Nie. Na pieniądze. Nie znosił, gdy znajdowały się w jego pobliżu. Pocił się na samo ich widok. Nawet na samo wspomnienie o nich. Zawsze, kiedy ktokolwiek pokazał mu jakikolwiek rachunek, oznaczało to kłopoty. Chciał obdarowywać świat swą ogromną mądrością i w zamian pragnął jedynie, by świat pokrywał jego wydatki. Nie żądał zbyt wiele.

Tuppe uniósł brew i popatrzył na Corneliusa, który też uniósł brew.

\*\*\*

- Ale świat nie wykazywał się w tym zakresie wielkim zapałem.

- Spiski. Otaczały go spiski. Chcieli go zniszczyć małostkowi ludzie. Ukraść mu jego wiedzę i wykorzystać ją dla siebie tylko znanych niecznych celów.

- Wróćmy do brakujących fragmentów jego pism. Masz je? - Tuppe skończył herbatę.

- Nie mam. - Molly pokręciła głową i z jej włosów posypały się złote pyłki. Zawisły w powietrzu. - Ja nie mam. Może ma je Wiktor.

- Wiktor Zenobia?

- Biedny drogi Wiktor.

- Obawiam się, że nie żyje.

- O! - Molly skłoniła głowę. - Tak więc zostało nas tak niewielu.

- Co powiesz o nich? - Tuppe podał Molly zdjęcie.

Małeńka kobieta popatrzyła na nie przez pincenez.

- Tyle lat. To oczywiście Wiktor i Mistrz. Debil, który robił zdjęcie, oczywiście nie złapał mnie w kadr. O ile pamiętam, strasznie się żołądkował, że nie dostał pieniędzy.

- A pozostali? Kto to?

- To Rizla i ten, no, Józef - powiedziała Molly, wskazując palcem.

- Czy ktoś z nich może mieć manuskrypt?

- Któryś z nich musi go mieć. Wiktor był księgowym Mistrza, Józef jego szoferem, a Rizla magicznym synem.

- Wiesz przypadkiem, gdzie Józef i Rizla mogą teraz przebywać?

- Po co ci potrzebne rękopisy Mistrza, młody Tuppe?

- Aby opublikować całość jego dzieł.

- Opublikować jego dzieła? - Molly spadła ze stopy Corneliusa i zamarła rozplaszczona na podłodze. Tuppe pospieszył jej z pomocą. - Opublikować jego dzieła? - zagdakała pod nosem. - Nie można ich opublikować. Żaden wydawca nie ośmieliłby się ich opublikować. Nawet gdyby... Nie, to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Gdybyś czytał jego pisma, sam byś wiedział.

- Molly, powiedz mi, gdzie są teraz Józef i Rizla.

- Nic ci to nie da. Nawet gdyby mieli manuskrypt, nie pokazaliby ci go.

- Mógłbym przynajmniej zapytać.

- Jak chcesz. Dobrze. Może. Przybyłeś z tak daleka zapytać, więc muszę ci powiedzieć. Rizla przyjął śluby zakonne, znajdziesz go w klasztorze Saint Sacco Benedetto.

- A Józef?

- Józef. - Małeńka kobieta splunęła. - Mieszka w Londynie. Nazwał się Jack jakiś tam. Jest wielką szychą w przemyśle muzycznym, obojętnie co to znaczy.

\*\*\*

Cornelius upychał rzeczy w walizce. Był z Tuppe w pokoju, który wynajęli w „Ramionach Kata”.

- Cóż - zaczął Tuppe. - Co sądzisz o Molly?

- Chyba zrezygnuję z jej muesli.

- Tja. - Tuppe siedział na zielonym kufrze i kopał w niego piętami. - Co proponujesz dalej?

- Powinniśmy odwiedzić Rizla w klasztorze. Zanim to jednak zrobimy, muszę zadzwonić do pana Kobolda, przekazać, czego się dowiedziałem, i poprosić o kolejne pieniądze.

- No to leć. Skończę pakować.

- Dzięki, Tuppe. Wsadź wszystkie dokumenty do plecaka, zostawimy kufer. Idę na dół, w barze powinni mieć telefon.

W barze nie było telefonu. Okazało się, że nie ma go w całej wiosce.

- Nigdy nie potrzebowaliśmy telefonu - wyjaśniła przepiękna kelnerka, kiedy Cornelius rozliczał się za wikt i opierunek.

Tuppe zwłókł się na dół z bagażami.

- Coś ci jednak powiem - dodała kelnerka. - Zastanowiłam się nad tym, co powiedziałeś, i myślę, że z chęcią urodziłabym ci dzieci.

Cornelius popatrzył na Tuppego. Tuppe popatrzył na Corneliusa.

- Pójdę poszukać jakiegoś środka lokomocji - stwierdził w końcu Tuppe. - Może mi to zająć trochę czasu.

\*\*\*

Wioska Milcolm Moloch nie mogła się pochwalić choćby jedną taksówką, ale miły przedsiębiorca, właściciel bardzo eleganckiego karawanu z lat pięćdziesiątych, zgodził się zawieźć ich do najbliższego miasta.

\*\*\*

Kiedy odjeżdżali, Cornelius machał przez tylną szybę, a przepiękna kelnerka przez okno na piętrze. Karawan wkrótce zniknął za zakrętem.

- Wystawiła ci rachunek? - spytał Tuppe.

- Tak, dziękuję. - Cornelius wyszczerzył w uśmiechu zęby w trudny do opisanego sposób.

\*\*\*

Nieco ponad godzinę później karawan zatrzymał się w mieście o nazwie Cromruach, leżącym tuż obok objazdu prowadzącego do miasteczka zwanego Hebon pod Pertundą, trzydzieści kilometrów na północ od Trigłaf.

- Bardzo dziękuję! - Cornelius machał za odjeżdżającym karawanem.

- Szczęścia! - Tuppe też machał.

Karawan przez chwilę jechał drogą, potem wzniósł się w powietrze i zniknął w chmurach.

- Coś dziwnego jest z tym karawanem - stwierdził Cornelius.

- Też tak uważam - przytaknął Tuppe. - Odjechał z twoją walizką.

\*\*\*

Cromruach było miastem, o którym nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Czuć w nim brak objazdu Hebonu pod Pertundą, jeśli zaś chodzi o lokalizację południową, przegrywało z Trigłaf.

Był tu jednak garaż, w którym mieli telefon. Zarówno jedno, jak i drugie miało okazać się przydatne.

Cornelius poszedł do telefonu, Tuppe snuł się po garażu.

- No i jak poszło? - spytał Tuppe, gdy Murphy wrócił.

- Rozmawiałem z panem Koboldem. Sprawiał wrażenie niezwykle podnieconego. Ciągłe powtarzał, że bym na siebie uważał.

- Co mu powiedziałeś?

- Wszystko, czego się dowiedziałem. O papierach, które znaleźliśmy w zielonym kufrze, o Molly i o tym, że wybieramy się do klasztoru.

- A o Jacku od magnetofonu do karaoke?

- Nie wspominałem o nim. Pan Kobold zasugerował, żebym pojechał dziś do Manchesteru.  
- Do Manchesteru? Gdzie to jest?  
- Możemy sprawdzić na mapie. Miejsce, którego szukamy leży niedaleko Manchesteru. „Holiday Inn” w North Ameshet. Zapewniał, że warunki są tam pierwszorzędne. Pokój jest już zarezerwowany, a rano przybędą pocztą pieniądze.  
- Czapki z głów przed panem Koboldem - stwierdził Tuppe(zacierając dłonie. - Tak a propos, Corneliusie, umiesz prowadzić samochód?  
- Oczywiście. Tata mnie nauczył.  
- Przecież twój tata nigdy nie miał samochodu.  
- Jako takiego nie, ale jest wielkim miłośnikiem automobili. Za każdym razem, kiedy na rynku pojawia się nowy model, dzwoni do producenta i opowiada mu o swej drobnej wygranej w totka.  
- Ale twój tata nie grywa w totka. Cornelius uniósł brew.  
- Aha! Rozumiem! Dlatego ty wypróbujesz nowe samochody.  
- Dokładnie. I w końcu się nauczyłem.  
- A masz prawo jazdy?  
- Oczywiście. Tata oddał mi swoje stare. - Cornelius sięgnął do kieszeni i wyjął dokument. - Powiedział, że może mi się przydać.  
- Hm. - Tuppe uśmiechnął się. - Chciałbym, byś poznał mojego nowego przyjaciela, Mike’a. Jest mechanikiem.

\*\*\*

Radio wyło, RA TA TA TA... GIT YA MOTER RUNNIN... Cadillac eldorado z 1958 roku wytoczył się z garażu i wjechał na drogę wyjazdową z Cromcruach.  
GIT OWT ONNA HIGHWAAAE...  
- Czy wiesz, czego szukam? - spytał Cornelius.  
- Przygód? - spróbował Tuppe.  
- Poza tym?  
- Powiedziałbym, że wszystkiego, co po drodze.  
- A do czego jestem urodzony?  
- Do szaleństw. Właśnie do tego jesteś urodzony.  
- Zgadza się, drogi przyjacielu. Tuppe, to naprawdę wspaniały samochód. Nie mogę uwierzyć, że Mike, ot tak, pozwolił nam nim odjechać.  
- Zdawało mi się, że przekonały go twoje opowieści o tych wszystkich szykownych wozach, które testowałeś.  
- Zapłacił nawet za dostarczenie tego samochodu klientowi w Londynie. - Cornelius wystawił łokieć za okno. - Wyobraź sobie.  
- Odpowiednie miejsce w odpowiednim czasie. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeżeli odbywa się eposową podróż, należy mieć wyjątkowy samochód.  
- Jak najbardziej. Właśnie taki jest ten. Elektryzujący błękitny lakier. Elektryzująca błękitna tapicerka.  
- Elektrycznie sterowane szyby - dodał Tuppe. - Elektrycznie otwierany dach.  
- Elektrycznie regulowane światła.  
- Elektryczne radio.  
„Jesteś różową szczoteczką do zębów, ja jestem błękitną szczoteczką” - śpiewał Max Bygraves.  
- Elektryczne szczoteczki? - spytał Tuppe.

\*\*\*

Kolczasty czarny volkswagen zawarczał i zatrzymał się przed „Ramionami Kata”. Z samochodu wysiadł Campbell i pociągnął nosem.  
- Byli tu - stwierdził.  
Hamish wyjął mapę i rozłożył ją na nastroszonej kolcami masce.  
- Czyli gdzie? Campbell popatrzył na mapę.  
- Dokładnie tu. To Milcolm Moloch.  
- Milcolm Moloch? - Hamish rozejrzał się wokół. - Ktoś tu zrzucił bombę atomową czy co?



Niewiele przypominało niedawną wioskę. „Ramiona Kata” były pozbawioną dachu ruiną. Z porośniętych rzadkimi krzewami rżysk wystawały resztki murów sklepów i domów. Droga zamieniła się w łańcuch dziur. Milcolm Moloch była jednym wielkim obrazem nędzy i rozpacz.

- Musiała przejść tędy potężna burza - wyjaśnił Campbell. - Przynajmniej taka jak minionej nocy. Trzydzieści lat temu wioska odcięta została od świata przez powódź. Potem pojawiło się paru londyńczyków. Wkrótce odeszli. Wioska opustoszała. Ludzie zniknęli bez śladu. Odchodzili w takim tempie, że pozostawiali jedzenie na stołach. Zniknęli z powierzchni Ziemi! Pup! - Campbell pstryknął przy tym palcami.

Hamish zdjął bojowy beret i podrapał się po głowie.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Cała wioska zniknęła?

- Pup! Rozpłynęła się w powietrzu! Teraz rozejrzyjcie się po okolicy. Dokładnie wszystko sprawdźcie. Wy dwaj też! Szybciej!

Angus i Sawney wygramolili się z samochodu.

\*\*\*

W ruinach „Ramion Kata” mieli znaleźć zielony kufer, szczotkę i grzebień w plastikowym etui oraz lodenowy płaszcz (z poobrywanymi guzikami), nieco wytarty na łokciach.

Hamish od pierwszego wejrzenia zapalał do płaszcza sympatią.

\*\*\*

Niecały kilometr od ruin wioski mieli znaleźć szczątki spalonej taksówki. Obok wraka będzie stał i płakał zsiniały z zimna mężczyzna z zabandażowanymi dłońmi. Hamishowi zrobi się żal nieszczęśnika i da mu płaszcz, aby się ogrzał.

Po południu tego samego dnia taksówkarz trafi do pobliskiego szpitala - tym razem z powodu szoku i podejrzenia wścieklizny. Będzie się upierał, że został zaatakowany przez polarnego wilka. W końcu zrezygnuje z zawodu taksówkarza i zostanie mnichem.

\*\*\*

- Nie wyobrażam sobie bycia mnichem. - Tuppe splótł dłonie na karku i uśmiechnął się do przepływającego w górze nieba. - Zbyt szybko człowiek łysieje.

Cornelius uśmiechnął się i zabębnił palcami w kierownicę.

- Wygalają sobie głowy. Mówi się na to tonsura, czyli „strzyżenie”.

- Dlaczego? - Tuppe podnosił i opuszczał elektrycznie sterowaną szybę. - Dlaczego to robią?

- Aby dać wyraz wyrzeczeniu się świata i jego pychy. Tuppe, zostaw w spokoju okno!

Tuppe zostawił okno w spokoju. Wyciągnął rękę w kierunku zapalniczki.

- Opowiedz więcej o tonsurach - poprosił.

- Proszę bardzo. Istnieją trzy ich rodzaje. Pierwsza nazywa się „tonsura świętego Pawła” i obejmuje całą głowę. Jest stosowana głównie w kościele wschodnim. Druga to „tonsura świętego Piotra”, stosowana najczęściej, czyli koliste miejsce na ciemieniu. Na koniec mamy „tonsurę świętego Jana”, czyli golenie przodu głowy aż do czubka. Była to prastara metoda celtycka, czasami więc określa się tę tonsurę mianem szkockiej lub irlandzkiej. Tuppe, zostaw w spokoju zapalniczkę!

Tuppe zostawił w spokoju zapalniczkę.

- Ciekaw jestem, jaką metodę preferują w Saint Sacco Benedetto? - spytał.

- Sądzę, że golą całą głowę oraz brwi. Słyszałem, że to najsurowszy zakon w kraju. O niemal średniowiecznym rygorze.

Tuppe zaczął manipulować radiem.

„Nic już nie jest tak jak dawniej” - zawodził Max Bygraves.

\*\*\*

Pelen elektryki niebieski kabriolet o wielkich tylnych płetwach przeżegłował przez szczyt wzgórz i zaczął zjeżdżać przeciwległym zboczem. Włosy kierowcy podążyły tuż za nim. Słońce oświetlało jaskrawo eposowych podróżników. Tuppe znalazł w schowku fantastyczne okulary słoneczne i Cornelius nałożył je sobie na nos.

Punktualnie o dwunastej w południe pękł pasek klinowy.

Dokładnie pięć minut później jechali dalej.

- Sława ci, przyjacielu! - stwierdził Cornelius. - Kazać Mike'owi zapakować trzy zapasowe paski, to naprawdę przewidujące!  
- Kto raz się sparzy... i tak dalej, przyjacielu! - odparł z uśmiechem Tuppe.  
Cornelius założył drugi z zapasowych pasków klinowych na głowę.  
- Teraz będę znacznie lepiej widzieć, dokąd jadę. Jak na razie była to głównie zgadywanka.  
- Słucham?

\*\*\*

Nieco po pierwszej tego słonecznego popołudnia zatrzymali się na wielkiej stacji benzynowej. Cornelius nakarmił pojazd najlepszą z istniejących benzyn i ruszył do restauracji, gdzie czekał już na niego Tuppe.

Restauracja przypominała olbrzymi refektarz. Jedna ściana była cała oszklona i miało się stąd znakomity widok na szosę. Długie szeregi laminowanych stołów gęsto obstawiono metalowymi krzeselkami, nie zachęcającymi do długiego siedzenia. Tuppe siedział zdeprymowany przy stoliku niedaleko wejścia. Błat przed nim był pusty.

- Co z lunchem?

- To bar samoobsługowy. Nie mogę sięgnąć kontuaru.

- Jakże to z mojej strony bezmyślne. Wybacz. - Cornelius zaczął nakładać na tace podwójne porcje. Do tego dużo lodów.

Zasiedli do posiłku.

- Wiesz - zaczął Tuppe między dwoma wielkimi kęsami - jeszcze nigdy nie byłem w podobnym miejscu, choć widywałem je na zdjęciach. Zazwyczaj w rogu siedzą heavymetalowcy, którym popsuła się furgonetka i nie mogą dotrzeć na wielki koncert. Gdzieś siedzi zakochana para, to znaczy ona jest w nim zakochana, a on zamierza właśnie wrócić do żony.

- A to drań!

- No właśnie. Jest też często szpieg, którego ktoś zabija w toalecie.

- Kilka razy?

Tuppe włożył do ust kolejną porcję fasoli.

- Przepraszam - powiedział Cornelius. - Co dalej?

- Oczywiście my. Dwójka młodych bohaterów w trakcie eposowej podróży.

- Ktoś jeszcze?

Tuppe rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że pomijając dwóch młodych bohaterów, reszta obsady filmu Wielka stacja benzynowa jeszcze się nie zjawiała. Poza nimi tylko przy jednym z najbardziej oddalonych stolików siedziała samotna wysoka postać.

- To on - stwierdził Tuppe, wyciągając palec. Cornelius odwrócił się i przyjrzał uważnie. Jaskrawe słońce oświetlało potężnego, barczystego mężczyznę z ogoloną na łyso głową. Miał na sobie pumpy i marynarkę, uszyte z kraciastego materiału, z jakiego robi się pledy, oraz jedwabny krawat.

Podczas gdy Cornelius obserwował obcego, Tuppe capnął z jego talerza parówkę i wrzucił ją sobie szybko do ust. Po chwili Cornelius odwrócił się.

- Wygląda znajomo. Może to szpieg. Gdzie się podziała moja parówka?

Tuppe wypluł nagle na Corneliusa kawałki skradzionej parówki.

- Spokojnie! - krzyknął Cornelius, otrzepując się. - Nie trzeba było. To tylko parówka. Po co te nerwy?

- Nie, nie. - Tuppe zachłystywał się jak szalony. - To on. On!

- Kto?

- Gość ze zdjęcia. Pokaż zdjęcie!

Cornelius wyjął z kieszeni należące do zmarłego Wiktora Zenobii zdjęcie.

- Co? - Zamierzał się odwrócić i jeszcze raz spojrzeć w kierunku mężczyzny. - To niemożliwe

- Nie odwracaj się. Daj mi zdjęcie!

Cornelius podał zdjęcie Tuppemu. Tuppe spojrział na nie, mrużąc oczy, i szybko rzucił ukradkowe spojrzenie nad łokciem przyjaciela.

- To on - szepnął. - Corneliusie, to Hugo Rune.

\* \* \*

- Ten koleś, o którym mówisz, to taki dryblas? - zapytał łysielca mechanik Mike. - Wszędzie ma kupę włosów, tak?

Łysielec zamienił połowę kurtkę na garnitur z pumpami.

- Czego od niego chcesz?

- To sprawa osobista - odparł Campbell.

- W takim razie nic mi do tego. - Mike odwrócił się i wytarł dłonie w tłustą szmatę w sposób, w jaki robią to mechanicy samochodowi z prawdziwego zdarzenia.

- Mógłbym sprawić, żebyś zaczął coś do tego mieć. - Dłoń Campbella opadła na ramię Mike'a. Była to ciężka, mocna dłoń.

- Naprawdę? - Mike odwrócił się i zlustrował Campbella od stóp do głów. To, co ujrzał, nie spodobało mu się, podobnie jak trzej stojący przy kolczastym volkswagenie górale. Strącił dłoń ze swego ramienia.

- Muszę wiedzieć, dokąd jedzie. To bardzo ważne.

- Nie powiedział. - Mike wzruszył ramionami, jakby nigdy nic, jego prawa dłoń wędrowała jednak ku tylnej kieszeni, w której trzymał wanadową oczkową czterdziestkę. - Przykro mi, ale nie jestem w stanie ci pomóc.

- Muszę niestety nalegać. - Campbell zdjął połamane okulary i schował je do kieszeni.

- A może wolisz spadać? - Mike'owi udało się wyjąć klucz z kieszeni.

Campbell z uśmiechem popatrzył na groźnie wyglądające narzędzie. Uśmiechnął się do Mike'a i popatrzył mu głęboko w oczy. Potem skłonił się do przodu i szepnął mu coś na ucho.

Twarz mechanika zbieleła. Zaczął drżeć. Wielki klucz wypadł mu z ręki.

- Dokąd? - powtórzył Campbell.

- Do Londynu - odparł Mike głuchym, martwym tonem.

- Po drodze na pewno zamierza jeszcze gdzieś wpaść.

- Kupił ode mnie mapę.

- A więc?

- Do klasztoru. Sent zago benedildo.

- Saint Sacco Benedetto. No tak, to było proste, prawda? W zasadzie wolę bardziej subtelne dochodzenie do prawdy, niestety, nie mam czasu. Wielkie dzięki za współpracę. Naprawdę nam pomogłeś. - Campbell ponownie skłonił się do przodu i pocałował Mike'a soczyscie w usta.

Mechanik zsiakał się w majtki.

\*\*\*

Cornelius wzdrygnął się.

- Nic ci nie jest? - spytał Tuppe. - Całkiem odpłynąłeś. Jesteś błąd jak śmierć.

- Coś się w tej właśnie chwili stało. Nie tutaj. Daleko stąd. Coś niedobrego.

- Nie widzę w tym nic dziwnego, ale co z NIM? To ON. Wygląda dokładnie jak na fotografii.

- To niemożliwe. - Cornelius wziął wielki łyk kawy. - Zdjęcie zostało zrobione ponad pięćdziesiąt lat temu.

- To ten sam garnitur - upierał się Tuppe. - Mówię ci, to ten człowiek. Popatrz. No!

- Ale pod warunkiem, że nie zjesz mi ostatniej parówki.

- Słowo. - Tuppe przyłożył dłoń do serca.

Cornelius odwrócił się i długo, dokładnie przyglądał się nieznajomemu. Łysy mężczyzna zauważył, że jest obserwowany, i przyjacielsko zamachał. Cornelius uśmiechnął się i odwrócił do Tuppego. Tuppe trzymał w górze fotografię. Nie mógł mówić, ponieważ usta miał pełne skradzionego jajka. Corneliusowi bezsilnie opadła głowa.

- Tuppe - wydusił przez zaciśnięte zęby. - To Hugo Rune. Co teraz zrobimy?

- My? - Tuppe przełknął. - Podejdz do niego i spytaj, która godzina. Potem zapytaj, gdzie zostawił manuskrypt. Ja popilnuję ci przez ten czas śniadania.

- O nie! Idziemy razem. Ty też masz się znaleźć w tym eposie.

- Jak chcesz, kolego. - Tuppe zsunął się z krzesła. Cornelius wstał.

- No to chodź.

Łysy mężczyzna przyglądał się im przyjaźnie.

Kiedy byli blisko, Cornelius zdał sobie sprawę, że czuje w uszach dziwaczne bolesne dźwięczenie. Hugo Rune robił się na brzegach nieco rozmazany. Jego wspaniałe upierścienione dłonie

zdawały się to unosić nad stołem, to zagłębiać w blat. Z drugim wynalazcą okaryny działo się coś dziwnego.

Nagle podniósł się jakiś hałas i zrobiło się spore zamieszanie. Do restauracji wpadła grupa długowłosych młodzieńców w skórzanych kurtkach, obcisłych spodniach i butach z wężowej skóry. Jeden z nich niósł pudło z gitarą.

Za nimi weszła płacząca kobieta, obejmowana przez pocieszającego ją mężczyznę, za nimi skradał się osobnik z aktówką.

W jednej chwili Tuppe i Cornelius znaleźli się w centrum gęstego tłumu.

Kiedy otaczający ich ludzie rozeszli się, Hugo Rune'a już nie było.

12

W czasie popołudniowej jazdy niewiele ze sobą rozmawiali. Nie zatrzymywali się też, aby zabrać autostopowiczów. W efekcie atrakcyjne młode kobiety, wieloletni zabójcy oraz prorocy zagłady o rozszerzonych szaleństwach oczach, którzy na widok nadjeżdżającego cadillaca podnosili z nadzieją kciuk, musieli iść piechotą.

Nie wyłączyli nawet Maxa Bygravesa, kiedy zaczął zawodzić o „potrzebie rąk”. Cornelius i Tuppe byli mocno zmartwieni.

Ożywili się dopiero nieco na parkingu „Holiday Inn” w North Ameset.

- Oj oj oj. - Tuppe wyciągnął głowę, spoglądając w kierunku wierzchołka potężnego hotelu. - Wysoki.

- Nawet z mojego miejsca. - Cornelius natychmiast zauważył, że z dwudziestu siedmiu okien na parterze osiem jest otwartych i ma podniesione żaluzje, osiem jest zamkniętych i ma opuszczone żaluzje, dziewięć jest zamkniętych i ma podniesione żaluzje, jedno jest otwarte i ma opuszczoną żaluzję, a jedno jest zamknięte i ma do połowy podniesioną żaluzję, a w środku pali się światło. Dwie ósemki, dziewiątka, dwie jedyńki. Albo para ósemek, dziewiątka i para asów. Karta, jaką miał na ręku Wild Bili Hickok tuż przedtem, zanim zginął w Deadwood City w Dakocie Południowej, zastrzelony przez Jacka McCalla.

- W takim hotelu - zaczął Tuppe - można spotkać z pewnością rozwyrzony zespół heavymetalowy, kochanków podających się za małżeństwo i szpiega z mikrofilmem w...

- Zameldujmy się.

- Możemy pod fałszywymi nazwiskami? Zawsze o tym marzyłem.

- Ty możesz, ja muszę użyć własnego. Pamiętasz, rano mają przyjść pieniądze od pana Kobolda.

- No tak.

Cornelius zaparkował i pozwolił Tuppemu kilka razy otworzyć i zamknąć dach.

- Dzięki. Sprawilo mi to ogromną przyjemność - stwierdził na koniec Tuppe.

\*\*\*

W sieci hoteli „Holiday Inn” jest coś dziwnie uspokajającego. Bez względu na to, w jakiej części świata wejdzie się do „Holiday Inn”, można mieć pewność do dwóch rzeczy. Po pierwsze - wnętrze hotelu będzie takie samo jak wszędzie, po drugie - nocował tu kiedyś zespół Status Quo.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, akurat w momencie, kiedy Cornelius i Tuppe wchodzili do budynku, członkowie Status Quo opuszczali hotel.

- Cześć, Tuppe! - krzyknął perkusista. - Jak leci?

- Nieźle. Trasa rocznicowa?

- Jak zawsze. Muzycy wyszli.

- Znasz ludzi ze Status Quo? - Cornelius był pod wrażeniem.

- Oczywiście. Mówiłem ci przecież, że obijałem się tu i ówdzie.

- Jak nazywa się perkusista?

- Zabij mnie, ale nie wiem.

Cornelius przedstawił się recepcjonistce, którego pierś ozdobiona była tabliczką: CZĘŚĆ NAZYWAM SIĘ DANNY. Danny zapewnił, że pokój jest zarezerwowany i po chwili portier, z przy-

piętą na piersi tabliczką: CZEŚĆ NAZYWAM SIĘ PETER, niósł na górę plecak pana Corneliusa Murphy'ego i towarzyszącego mu pana Howarda Hughesa.

Cornelius dał portierowi napiwek.

- Czy mógłbym dostać pokwitowanie, Peter?

Peter nie odpowiedział.

\*\*\*

Cóż, pokój w „Holiday Inn” to pokój w „Holiday Inn”. Czysty jak zawsze. Pośrodku stoi podwójne łóżko. Obok stoliczek i krzesło. Pod ścianą telewizor z różnymi kanałami, a przy łóżku Biblia autorstwa niejakiego Gideona. Obok znajduje się wielka łazienka, pełna mnóstwa różnych rzeczy, zapakowanych w zamknięty szczelnie woreczek foliowy, proszący się wręcz o to, by zabrać go wraz z zawartością do domu dla dzieci. Oczywiście, jest także telefon, dzięki któremu można naprzykrzać się, komu się chce. Zwłaszcza, jeżeli dzwoni się na koszt odbiorcy.

- Mogę zadzwonić do obsługi hotelowej? - spytał Tuppe. - Poproszę, żeby nam coś przysłali.

- Oczywiście. Rozpakuję w tym czasie plecak, zwłaszcza że nie posiadam już walizki.

Tuppe wdrapał się na łóżko przy oknie.

- Zaklepuję to. - Podniósł słuchawkę. - Halo, obsługa hotelowa? Cornelius odpiął suwak plecaka.

- Proszę przysłać nam butelkę Jima Beama, dwie szklanki, tacę kanapek z pieczenia.

Cornelius wysypał zawartość plecaka.

- Kilka torebek chipsów, w różnych smakach, dwadzieścia cygaretek.

- Gdzie jest moja piżama? Na pewno ją pakowałem.

- I piżamę rozmiar XXL. Gładką. Dziękuję.

\*\*\*

- Jeszcze jednego Jima? - Tuppe leżał rozwalony wygodnie na łóżku. W ustach miał cygaretkę. Butelka stała przy jego łokciu.

Cornelius, który jadł właśnie kanapkę, skrzywił się.

- Mógłbyś wykazać się większą delikatnością i zamówić coś, co nie nazywa się Jim.

- Jim? Ach, o to chodzi Przepraszam, przyjacielu.

- Nic się nie stało. Podaj flaszkę. Tuppe podał mu butelkę.

- Co więc będziemy robić wieczorem, Corneliusie? Popijać drinki? Aż się poprzewracamy? Tego typu sprawy? Podaj chipsy.

Cornelius podał mu chipsy.

- Ja będę siedział na łóżku, owinięty zbyt dużą piżamą i studiował ojcowski egzemplarz dzieła Rune'a. Będę przeglądał listy i rachunki, szukając w tym wszystkim jakiegoś sensownego wątku.

- Nudziarstwo.

- Tuppe, weź tyle pieniędzy, ile chcesz. Zalej się w trupa, ale... - Cornelius uniósł ostrzegawczo palec - nie wracaj o trzeciej nad ranem, żeby robić prywatkę z bandą nowo poznanych koleśi.

- A jeżeli przyprowadzę tylko dwójkę nowo poznanych przyjaciół płci żeńskiej?

- Wtedy zadzwoń z recepcji, żebyśmy zdążyli się uczesać i schować piżamę.

\*\*\*

Cornelius dał znak Tuppemu, żeby już sobie szedł. Zawiesił na kłamce kartonik z napisem NIE PRZESZKADZAĆ. Podjął słabowitą próbę uporządkowania nieco pokoju, wyglądającego jak po przejściu zespołu heavymetalowego. Rozebrał się i poszedł wziąć prysznic. Kiedy wrócił z łazienki, założył ogromną piżamę, włączył telewizor i usiadł na skraju łóżka z *Księgą prawd ostatecznych* i opróżnioną do połowy butelką Jima Beama.

\*\*\*

Spisałem wiele głębokich myśli na temat „przedmiotów nieożywionych”. Niejedną za pomocą długopisu.

W ciągu jednego tylko roku zużyłem grubo ponad tysiąc długopisów, choć ani jednego nie wypisałem do końca. Jak to możliwe?

Badania doprowadziły mnie do wniosku, że długopis - tak samo jak wiele innych „nieożywionych obiektów” - nienawidzi roli, jaką w życiu odgrywa.

Długopis ma kawalerską naturę i niechętnie wylewa na papier sedno swej męskości. Nielatwo było dojść do tego wniosku, kosztowało mnie to lata usilnych badań i sporo zdrowia.

Moje odkrycia w tym zakresie można streścić następująco:

1. Długopis niechętnie służy człowiekowi.
2. Długopis to przebiegła bestia i jeżeli zwietrzy najmniejszą okazję - ucieknie.

## DWA PROSTE EKSPERYMENTY Z DŁUGOPISAMI

1. Kup piętnaście długopisów. W drodze do domu uważnie ich pilnuj, aby nie uciekły. Pięć schowaj do pudełka na ołówki w kuchni, pięć wstaw do ozdobnego kubka, który stoi w korytarzu przy telefonie, pięć do stojaka na długopisy na swoim biurku. Świadomie je ignoruj i odczekaj tydzień. Potem spróbuj któryś znaleźć.

2. Skłoń się i zawiąż sznurowadło. Potem spróbuj znaleźć któryś z długopisów.

## SAMOBÓJCZE TENDENCJE WŚRÓD ZNIEWOLONYCH DŁUGOPISÓW

W historii ludzkości dokonywano licznych prób poskromienia długopisów, a przynajmniej utarcia im czubków. Wszystkie te próby od początku skazane były na niepowodzenie. Jednym z pomysłów było stworzenie długopisu okiełznanego w plastikową uprzęż i noszonego na sznurku na szyi.

Owa nienaturalna metoda jest dziś bardzo rzadko spotykana. Spowodowane jej stosowaniem poważne urazy psychiczne sprawiały, że długopisy zrywały się z uwięzi i rzucały do toalet, dokonywały prób samobójczych, owijając się o drążki zmiany biegów w samochodach albo o kierownice.

Znane są przypadki, że zniewolone w ten sposób długopisy telepatycznie wzywały na pomoc znajomych swoich dręczycieli, wówczas ci bez najmniejszej logicznej przyczyny mówili nagle: „Wygładasz jak debil z tym długopisem na szyi. Wyrzuć go!”

PARKER? O NIE, MOJA PANI!

Istnieje szkoła myślenia, że drogi długopis, zrobiony ze srebra lub złota i oznakowany nazwiskiem potencjalnego właściciela, stanie się szybko ulubionym przezeń przedmiotem. Być może kryje się za tym wiara, że jeżeli właściciel pokocha długopis, ten odwdzięczy mu się tym samym i zostanie jego lojalnym towarzyszem. Niestety tak się nie dzieje. Wręcz odwrotnie - wśród długopisów, przy których produkcji użyto szlachetnych metali, rejestruje się najwięcej niepożądanych zachowań.

Takie właśnie długopisy są szczególnie popularne jako prezenty gwiazdkowe. Szczęśliwy jednak ten, komu udałoby się drugiego dnia Świąt napisać takim prezentem podziękowanie. Większość potencjalnych właścicieli spędza poranek, przeszukując kubły na śmieci z nadzieją wydobyć na światło dzienne swej niedoszłej własności.

Twierdzę, że tego typu długopisy osiągnęły szczególną zdolność mimikry, być może potrafią się nawet dematerializować. Bardzo często długopisy takie docierają do właściciela w hermetycznych ozdobnych opakowaniach, które wcale nie tak łatwo otworzyć. Opakowania te zapewniają pewne unieruchomienie długopisu, dopóki znajduje się w sklepie, ale - caveat emptor - ten stan rzeczy zmienia się radykalnie, gdy długopis trafia do domu.

Irlandczycy utrzymują, że gdzieś na naszej planecie istnieje godzien Krezusa skarb, gdzie ci srebrni i złoci kolesie balują razem z niezliczonymi pojedynczymi kolczykami i milionem oczek z zaręczynowych pierścionków.

Znajduje się on na końcu tęczy. Tak przynajmniej dano mi do zrozumienia.

## DŁUGOPISY ZABÓJCZY

Człowiek nigdy nie stracił zapału do tego, by zmieniać świat na swoją modłę. Zrealizował przy tym niejedną ze swych szaleńczych pomysłów. Na przykład energię atomową, KFC (Klub Fanów Chelsea)\*, trujące chemikalia czy Buda Abbotta. Nic jednak nie kryło w sobie tak wielkiego potencjału niszczycielskiego jak Kapryśny Oryginalny Długopis, czyli w skrócie KOD.

---

\* Dowcip (przyp. aut.)

Jest to normalny długopis, zwieńczony jednak figurką jakiejś szczególnie popularnej „postaci”. Snoopy’ego, Garfielda, Barta Simpsona, Barry’ego Fasoli itp.

Stwierdzono, że tego typu „postaci” pochodzą głównie z Ameryki - ojczyzny masowych morderców.

Ofiara kupuje albo dostaje w prezencie KOD i niczego nie podejrzewając, umieszcza go w górnej kieszonce marynarki tak, by śmieszna główka wystawała na zewnątrz. W ciągu dnia prędzej czy później dochodzi do tego, że właściciel KOD-u musi gwałtownie obrócić głowę w lewo albo zdjąć marynarkę.

W obu przypadkach efekt jest taki sam. Przecięcie tętnicy szyjnej! Czy minister zdrowia upiera się, by na KOD-ach umieszczać ostrzeżenie, że ich noszenie jest szkodliwe dla zdrowia? Ma to gdzieś! Niepotrzebna rzeź trwa ponad sto lat, ale zmowa milczenia nie została przerwana do dziś.

Proszę zapamiętać: udowodniono, że wszystkie ofiary tak zwanego Kuby Rozpruwacza zginęły w pobliżu Wschodniolondyńskiej Fabryki Wiecznych Piór Patentowych, która specjalizowała się w produkcji obsadek ze stalówką, zwieńczonych srebrną podobizną ukoronowanej głowy królowej Wiktorii.

Zachowało się jedynie jedno także pióro. Znajduje się ono pod kluczem w Czarnym Muzeum Scotland Yardu, a znalezione zostało przy łóżku Mary Kelly - ostatniej ofiary „Kuby”!

Kończąc ten rozdział warto zwrócić uwagę czytelnika na samobójstwo przez harakiri japońskiego pisarza Yukio Mishimy.

Używał długopisu.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Pióro jest silniejsze od miecza. Dość już powiedziano.

#### TAJEMNICZY DŁUGOPIS

Zanim skończę tę uczoną monografię, muszę zająć się dokładniej pewną dziwną anomalią. Czarną owcą świata długopisów - TAJEMNICZYM DŁUGOPISEM. W odróżnieniu od reszty, ten tęskni za człowiekiem.

Może zjawić się nagle w kieszeni marynarki, nie noszonej odkąd wróciła z pralni. W schowku samochodowym albo na łodzi. Na dnie torby na zakupy. W kuchennej szufladzie albo skrzynce z narzędziami.

Wystarczy, byś go znalazł, a będzie twój do końca życia.

Długopisy te to zawsze tandetne, plastikowe, niechciane egzemplarze, zaopatrzone w sprężynkę mającą podobno doprowadzać do wysunięcia czubka wkładu. Można je rozpoznać natychmiast po jaskrawym upierzeniu. Po krzyczących prymitywnych kolorach albo napisach typu: SKRADZIONY W FABRYCE SPULCHNIANEGO CHLEBA ARCYKSIECIA FERDYNANDA lub: ŚWIATOWA KONFERENCJA WĘDRUJĄCYCH BISKUPÓW ‘79.

Długopisy te oczywiście nie działają, są jednak zawsze pod ręką, kiedy chcesz coś napisać. Próbujesz i za każdym razem dostajesz szału. Zostawiasz je i uciekasz, ale zawsze ktoś biegnie wtedy za tobą po ulicy z wraskiem: „Zapomniał pan długopisu!” TAJEMNICZY DŁUGOPIS przybył do ciebie, by z tobą zostać.

Ich pochodzenie również jest nie wyjaśnione.

Na niektórych egzemplarzach wydrukowany jest numer telefonu, daruj sobie jednak dzwonienie. Numer albo jest nieaktualny, albo wypisane nad nim obietnice nigdy nie były prawdziwe.

Aż się prosi, by użyć kija, a potem spalić takie nic niewarte byle co.

#### KOLEJNA TAJEMNICA ROZWIĄZANA

Często jestem pytany, jak to jest możliwe, że mimo tak powszechnego znikania długopisów niektórzy pisarze potrafią zapisać w ciągu swego życia tyle papieru.

Na przykład Szekspir.

W ciągu dwudziestu lat napisał 100 000 000 słów. Niezły wynik. Będę szczęśliwy, jeśli pozwolicie mi ujawnić w tym miejscu pewien niezbyt znany fakt z życia „nieśmiertelnego barda”.

W rzeczywistości Szekspir był bowiem emerytowanym piratem, który zrezygnował ze zbójczego życia na oceanach i dla zabicia czasu zajął się pisaniem, gdy sakwa armatnia na Karaibach urwała mu pogawędkę.

Przyjaciele, znający go jako Willa Kikuta, zawsze zachwycali się kunsztem i realizmem jego rzeźbionej w wiązcie protezy.

Wskazujący palec tej drewnianej dłoni zakończony był złotą stalówką!

Twierdzi się, że niezwykle płodny mistrz makabry, Stephen King, ma w prawą dłoń wszczepiony długopis.

*Księga prawd ostatecznych*  
Hugo Rune

Cornelius zamknął książkę bez komentarza. Telewizor syczał i nasz bohater popatrzył na zegarek. Zbliżała się trzecia nad ranem. Czas dość szybko minął. Cornelius wziął pilota i zaczął przełączać kanały.

- Nie żartuj sobie z nim - powiedział statysta. - On zna karate.
- Załatwię go jednym sierpowym - odparł Elvis Presley.
- Widziałem dwadzieścia trzy razy - mruknął Cornelius. HOP
- ...futrzasty, ale z rybią głową - mówił mężczyzna w kurtce. - Na wzgórzu. Zjadł mojego psa,

Księcia.

HOP

- Jeżeli chodzi o pańskie pytanie - powiedział wielki amerykański pisarz do gospodarza nocnego talk show - to długopis mam wszczepiony w palec wskazujący prawej ręki.

HOP

- Saskijskie Przedsiębiorstwo Wyrobu Kapeluszy - powiedział czarno-biały Lou Costello.
- Momencik! - Cornelius Murphy stuknął się w czoło.

HOP Z POWROTEM

Pełen wyobraźni gospodarz nocnego talk show pytał właśnie wielkiego amerykańskiego pisarza, skąd bierze pomysły. Autor najwyraźniej nie za bardzo wiedział, co na tak nieoczekiwane pytanie odpowiedzieć i zamarł wpatrzony w kamerę, jakby w niej szukał inspiracji. Po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Cornelius patrzył dalej.

Postać pisarza zaczęła się rozmywać i zmieniać. Zniknęły jego włosy. Szczeka pogrubiała, czoło wysunęło się, oczy zmieniły w dwa jaskrawe świdy. Zdawały się wystawać z ekranu.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał Hugo Rune.

Zapadła cisza. Na ekranie i poza nim. Cornelius wstrzymał oddech.

- A co z panem, panie Murphy? Nie chce pan o nic zapytać? Cornelius złapał się za włosy.

- Co?

- Dobrze pytanie. - Rune skinął ogoloną kopulastą głową. - Jeżeli wie się CO, prędzej czy później pozna się DLACZEGO. Jeżeli wie się DLACZEGO, wkrótce człowiek dowie się KTO.

Zaczął dzwonić telefon przy łóżku. Cornelius złapał słuchawkę.

- Kto?

- Tuppe - rozległo się w słuchawce. - Jest ze mną dwóch nowych przyjaciół. Kobiety. Mam już dość widoku tej twojej baby.

Cornelius rzucił słuchawkę na widełki.

- Pan Rune? Pan Hugo Rune? Wielka twarz wypełniała ekran.

- Znajdź manuskrypt. Znajdź teczkę. Znajdź mnie.

- Kto ma manuskrypt? Pan to wie?

Znów zaczął dzwonić telefon. Cornelius złapał słuchawkę.

- Nie teraz! - wrzasnął.

- Żartowałem z tą twoją. To super laska.

- Tuppe, nie teraz.

Obraz na ekranie zaczął się psuć. Twarz Rune'a zaczęła zanikać.

- Poczekaj! - Cornelius manipulował pilotem, ale obraz się rozpadał. Na krótką chwilę Mistrz pojawił się ponownie. Grał na okarynie.

Nagle zniknął zupełnie.

- Hej, Abbott - rzucił czarno-biały Lou Costello. - Kto pierwszy?



W dalszym ciągu nazywał się Felix Henderson McMurdo, teraz jednak Szkot (niesamowity) był daleko od domu.

Nigdy nie pragnął życia podróżnika. Trzeba przyznać, że zawsze była to ostatnia rzecz, o jakiej myślał. Miał tylu przyjaciół i tak dalej, ostatnio jednak życie okrutnie go doświadczyło.

Uważał, że czystemu przypadkowi należy jedynie zawdzięczać to, iż jego dom jako jedyny ocalał z pożogi w trakcie tego, co prasa określała dziś mianem „krwawej łaźni w Sheila na gigh”. Z tego powodu wznosił właśnie toast domowej roboty winem z czarnego bzu, kiedy usłyszał skandowanie. Gdy odsunął firankę w swym maleńkim salonie i wyrzwał na ulicę, zobaczył coś, co wziął za procesję z pochodniami.

Widok ten wzruszył pana McMurdo do głębi. To, że ludzie z Sheila na gigh potrafi podnieść się z tym, co ich spotkało, połączyć we wspólnym pochodzie i zjednoczyć dusze w obliczu nieszczęścia, spowodowało, iż poczuł się dumny, że jest Celtem.

Szybko zarzucił kurtkę i z butelką w dłoni wybiegł na dół, aby dołączyć do radosnego pochodu.

Gdy znalazł się na ulicy, dotarło do niego natychmiast, co skandują zbliżający się dobrzy ludzie. Skandowali jego nazwisko.

Ze łzami w oczach Felix wyszedł naprzeciw niosącym pochodnie ludziskom, którzy bez najmniejszej wątpliwości ogłaszali go bohaterem dnia.

Większość z tego, co nastąpiło potem, do dziś nie potrafi sobie wyjaśnić. Pamięta okrzyk: „Tam jest ten skubaniec!”, a także: „Ma w ręku butelkę z benzyną!” Potem było mnóstwo zamieszania i szarpaniny oraz głośno wyrażone wątpliwości, na którą latarnię najlepiej zarzucić linę.

Po chwili poczuł cierpki zapach gorącej smoły. Jeszcze teraz go czuł. I piór. Pamięta, że spadł z wiaduktu kolejowego na przejeżdżający pociąg, a kilka godzin później wypadł z wagonu na krowie pastwisko.

Potem wszystko ogarnęła ciemność. Obudził się w szpitalu. W łóżku obok szalał mężczyzna z zabandażowanymi dłońmi i gadał coś bez ładu i składu o lodenowym płaszczu i o tym, jak pogryzł go wilk.

W szpitalu wszyscy byli dla Felixa bardzo mili. Przynajmniej przez te kilka sekund, kiedy nad nim stali. Odniósł wrażenie, że lekarze i pielęgniarki to ludzie bardzo zapracowani, a szpitalne łóżka to bardzo cenne przedmioty - z tego, na którym leżał wyrzucono go natychmiast, gdy odzyskał przytomność. Doktor powiedział, że ma kuzyna w Sheila na gigh. Felix obiecał więc przekazać mu pozdrowienia.

Sposób, w jaki wyniesiono go ze szpitala i wyrzucono na ulicę, można było uznać za nieco drastyczny, ale bardzo miłe było to, że osobnik z łóżka obok dał Felixowi w prezencie lodenowy płaszcz.

Od tej chwili dzień znów był przyjemny. Kierowca pogrzebowego karawanu z lat pięćdziesiątych wysadził go w Cromruach pod garażem i zniknął, zanim Felix zdążył podziękować. W miasteczku McMurdo spotkał mechanika o imieniu Mike. Był w fatalnym stanie. Nieustannie mruczał pod nosem, że „spotkał samego diabła”, i trząsł się jak osika. Felix owinął go płaszczem.

Mike zaczął wówczas wrzeszczeć coś o węzach i pognął przed siebie. W płaszczu.

Felix zmuszony był uznać, że Anglicy to bardzo ekscentryczni ludzie. Aczkolwiek mili. Tacy właśnie byli członkowie heavymetalowego zespołu, z którymi zabrał się w dalszą drogę. Jechali na bardzo ważny koncert. Kierowca chciał poflirtować trochę z kilkoma atrakcyjnymi młodymi kobietami, które zabrali wcześniej, Felix zaoferował więc, że przejmie kierownicę i przez jakiś czas prowadził.

W zasadzie to nie była jego wina. Samochody często na siebie wpadają. Ustawiał właśnie lusterko i jedynie na chwilę oderwał wzrok od jezdni. Złożony z dwudziestu siedmiu samochodów karambol wydarzył się na szczęście niedaleko jednej z ogromnych stacji benzynowych.

Felix McMurdo musiał potem przez jakiś czas iść piechotą i tuż przed wieczorem doszedł do wniosku, że mieszkańcy wioski na pewno tylko żartowali i zaczynają się o niego martwić. Przechodził właśnie przez jezdnię, gdy potracił go autobus Status Quo.

Odniósł jedynie drobne obrażenia. Perkusista poklepał go po plecach i dał mu dwie wejściówki na rocznicowy koncert w Tierra del Fuego.

Potem świat przed jego oczyma rozplynął się. Felix musiał stracić na poboczu przytomność. Pamiętał jedynie zatrzymującą się furgonetkę i mnichów, pomagających mu wsiąść do samochodu. Chwilę później wszystko ogarnęła ciemność.

\*\*\*

Jedli śniadanie. Obaj zachowywali śmiertelną powagę.

- To był Rune. - Cornelius zalał płatki mlekiem.

- Naprawdę wspomniałaś laski - mruknął Tuppe - oprócz tej twojej oczywiście. Nie wpuścić nas do pokoju, to kiepski numer, Corneliusie. Musiałem kochać się z nimi w windzie. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

- Tuppe, widziałem go w telewizji. Mówił do mnie. On żyje i potrzebuje naszej pomocy.

- Upiłeś się. Skończyłeś tę butelkę Ji... pana Beama.

- To było potem. Kiedy ją wypilem, poszedłem cię szukać.

- Padłem w szafce na szczotki. Sądzę, że nie powinni żądać za mnie pełnej odpłatności.

- Mam już pieniądze od pana Kobolda. - Cornelius poklepał grubą kopertę. - Pięćset funtów.

- W takim razie możesz mi wyrównać straty moralne i kupić jakieś ubranie.

Tuppe kiwnął w kierunku przechodzącej kelnerki.

- Proszę pani, chcielibyśmy teraz poprosić o najlepsze śniadanie.

Kelnerka uśmiechnęła się, machnęła ręką i odeszła kręcąc pupcią.

- Piękna kobieta - stwierdził Cornelius z podziwem. Tuppe wzruszył ramionami.

- Miała być dla ciebie.

\*\*\*

Letnie słońce grzało cadillaca eldorado. Sunął ku przedmieściom Manchesteru.

Max Bygraves śpiewał *Diabolicznego twista*.

Tuppe miał na sobie bardzo szykowną koszulę w szkocką kratę i najwyższej jakości robocze drelichowe spodnie. Na tylnym siedzeniu leżało kilka toreb z nadrukiem ŚWIAT DZIECKA.

- Jak zamierzasz zabrać się do tego klasztornego problemu? - spytał Tuppe.

- Rozmyślałem dużo o sprawie. Wejście do zamkniętego klasztoru i pogaduszka z mnichem, który prawdopodobnie złożył śluby milczenia, nie będzie najłatwiejszą sprawą.

- A więc?

- A więc proponuję na początek rozwiązanie najprostsze, w pełni uczciwe. Dopiero jeżeli to nic nie da, zastosujemy inne środki.

- Jakież?

- Podłą przebiegłość. Kierowanie się niskimi pobudkami.

- Świetnie! To były zawsze moje ulubione sposoby. Byle jakie, byle niskie.

- Wyłącz tego Maxa Bygravesa. Facet działa mi na nerwy.

\*\*\*

Na podwórku klasztoru Saint Sacco Benedetto odbywała się normalna mnisia krzątania, jednak na górze, w celi dla gości, Felix Henderson McMurdo spał, nie słysząc niczego.

\*\*\*

- Jak daleko jeszcze? - spytał Cornelius. Dawno minął ranek i Manchester pozostawili już daleko za sobą.

Tuppe sprawdził na mapie.

- To w północnej Walii. Prawie. Czuję, że mamy jeszcze trochę drogi.

- Zaśpiewaj piosenkę. Czas szybciej minie.

- Nie śpiewam piosenek. Jeżeli chcesz, wyrecytuję ci wiersz.

- Proszę bardzo.

- Który byś chciał?

Cornelius zamierzał podrapać się po głowie, przypomniał sobie jednak, że włożył na nią torbę. Podrapał się więc po nosie.

- Powiedz *Billy'ego O'Rourke'a*. To mój ulubiony.

- A więc niech będzie *Billy O'Rourke*. - Tuppe zakasłał i rozluźnił gardło. Dokładnie tak jak robią to recytatorzy. Potem zaczął:

„Ich chód był niepewny - plół Billy O'Rourke  
Ich konie olbrzymie śmierdziały.  
Cyganów znał tata, co śmiali się, mówiąc,  
Co żyli, bo żony zebrały”.

Nikt nigdy nie zważał na Billa gadanie,  
Więc siedział samotnie noc w noc,  
Aż razu pewnego wyszedł z lasu podrózny,  
Który zmarłby, gdyby nie ciepły koc.

Zaraz rzekł mu nasz Bill:  
„Jeśli poznać chcesz styl  
Opowieści prawdziwej, to siądź.  
O dniach martwych, minionych,  
Ale nie zapomnianych,  
Opowiem i nie będzie w tym łgarstw”.

Przybysz mrugnął uroczo,  
Na co Billy rozpoczął  
Swych najdzikszych fantazji snuć twory:  
O potopach, przestępstwach,  
Czasach wielkiego męstwa,  
I rodzinach pożartych przez potwory.

Trzy godziny tak gadał,  
Cuda Ziemi przedstawiał,  
Wojowników, których sława zeszła w cień.  
Lecz nasz przybysz niemrawy  
Nie miał wielkiej zabawy,  
Bo był niemy i głuchy jak pień.

- Dziękuję bardzo - zakończył Tuppe.

\*\*\*

- Bravo! - Cornelius wydał z siebie kilka pogodnych okrzyków i zabębnił dłońmi o kierownicę.

- Masz ochotę jeszcze na jakiś?

- Chyba nie. Jeden wiersz wystarczy, aby posunąć wydarzenia do przodu. Nawet w trakcie eposowej podróży. Dwa to mogłaby już być przesada.

- Jak uważasz. Włączyć znowu Maxa?

- Czemu nie.

Poruszali się według mapy, która kazała im zjechać na podrzędniejsze szosy, potem na wiejskie drogi. Rosnące z obu stron żywopłoty trącały nieustannie boczne lusterka cadillaca. Gałęzie drzew w górze podawały sobie dłonie. Cornelius musiał zapalić światła. Radio trzeszczało, pojękiwało, aż w końcu Max Bygraves zamilkł.

Tuppe kręcił gałkami.

- Ciągły szum - oznajmił w końcu. - Nie powinno tak być.

- Może znajdujemy się wśród wzgórz - powiedział Cornelius, włączając wycieraczki, by przeźrzeć zachodzącą wilgocią przednią szybę.

- Nie, na pewno nie. - Tuppe wzdrygnął się. - Możesz zamknąć dach? Zaczyna się robić odrobinkę chłodno.

Cornelius nacisnął klawisz, ale bezskutecznie.

- Dziwne. W Manchesterze mechanizm działał bez zarzutu, jeszcze na skrzyżowaniu, kiedy zamykałeś i otwierałeś dach, żeby zaimponować uczennicom. - Kilka razy nacisnął klawisz. - Cisza. Jesteś pewien, że jedziemy dobrą drogą?

- Upewnimy się na najbliższym skrzyżowaniu. Na pewno będzie tam drogowskaz albo coś w tym rodzaju.

- Albo coś w tym rodzaju. - Cornelius jechał bardzo powoli. Gałęzie smagały karoserię. - Laskier nie zniesie tego najlepiej. O, cholera!

Grubsza gałąź uderzyła w przednią szybę i zerwała wycieraczkę.

- O, rany! - westchnął Tuppe. - Myślisz, że powinniśmy się cofnąć?

- Cofnąć się albo wrócić piechotą.

- Nie możemy zostawić samochodu tak na środku.

- No tak. - Cornelius wrzucił wsteczny. Skrzynia biegów wydała z siebie jedynie kilka okropnych zgrzytów protestu. Cornelius spróbował ponownie, ale i tym razem nic się nie wydarzyło. - Wygląda na to, że zostaliśmy właśnie pozbawieni wstecznego biegu - oznajmił ponurym tonem.

- No to jedziemy dalej? - Tuppe popatrzył na Corneliusa.

- Jedziemy dalej.

Tuppe włożył jeszcze dwa swetry, ale w dalszym ciągu było mu zimno. Cornelius wcisnął klawisz ogrzewania, ale nie działało.

- Corneliusie - Tuppe skulił ramiona - zaczynam się bać.

- Nie obawiaj się niczego, mały przyjacielu. - Wysoki młodzieniec poklepał towarzysza po ramieniu. - Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Nie wydostali się. Reflektory z trudem przebijały gęstniejący mrok. Samochód wpadał w coraz głębsze dziury. Wszystkie zegarki stanęły. Nagle Cornelius zahamował i Tuppego omal nie zrzuciło z siedzenia.

- Co się stało?

- Przed nami. Na drodze.

- Co?

- Nie skręcaliśmy ostatnio?

- Ani razu. Co tam jest?

- Zaczekaj w samochodzie. - Cornelius przeszedł nad przednią szybą i stanął na masce, stoczył się po pochyłości i upadł tuż przed samochodem. Pokonał kilka metrów, schylił się i podniósł coś z jezdni.

- Co znalazłeś? - zawołał Tuppe.

- A niech to, niech!

- Co masz?

Cornelius uniósł w górę znaleziony przedmiot, który zamigotał w świetle reflektorów.

- Naszą wycieraczkę - odparł Cornelius Murphy.

- Siedzieć w ciemnym lesie to średnia przyjemność. - Tuppemu dzwoniły zęby.

- Na pewno nie skręcaliśmy? Tuppe pokręcił drżącą głową.

- Nie rozumiem, jak mogliśmy jechać w kółko. Ledwie poruszałem kierownicą. Co to oznacza?

- Oznacza, że zaczynam się poważnie denerwować. Wracajmy piechotą. Jeżeli nie ujechaliśmy daleko od miejsca, w którym byliśmy pół godziny temu, nie mamy z powrotem długiej drogi.

- Mądrze mówisz, nie uważam jednak, że należy opuszczać samochód. Choć - postukał w deskę rozdzielczą - wygląda na to, że nie mamy zbyt wiele benzyny.

- A gdybyśmy pobiegli?

- Jestem przeciwny. Nie powinniśmy tego robić. Zapnij pas. Tuppe wykonał polecenie.

- To, co teraz nastąpi, nie spodoba mi się, prawda? Cornelius uruchomił silnik.

- Chyba nie. Może powinienes zamknąć oczy.

- Dlaczego?

- Bo właśnie i ja zamierzam to zrobić. Cornelius wcisnął gaz do dechy i wrzucił jedynekę. Puścił sprzęgło.

Koła zawirowały. Silnik zawył i wóz skoczył gwałtownie do przodu.

Cornelius ścisnął oburącz kierownicę i kulił głowę jak najniżej. Smagały ich gałęzie, większość pękała z trzaskiem. Przednia szyba rozprysła się, po chwili w jej ślady poszły reflektory. Cornelius wcisnął pedał gazu w podłogę.

- Ooooooooooooo! - wył Tuppe.

- Trzymaj się! - Cornelius gwałtownie szarpnął kierownicą w prawo. Cadillakiem zarzuciło. Przebił się przez żywopłot.

Na niebie rozbłysła kula światła. Samochód zdawał się wisieć przez chwilę w powietrzu, potem zaczął spadać coraz niżej i niżej i...

Cornelius wstrzymał oddech.

Tuppe wstrzymał oddech.

Cadillac wydał z siebie jedno wielkie TRZASK!, ŁUP! i ŁUBUDU! i w końcu...

\*\*\*

Tuppe w dalszym ciągu mocno zaciskał powieki.

- Corneliusie - szepnął. - Corneliusie, jesteś tu?

- Gdzieś tu jestem. - Wysoki młodzieniec obejmował dłońmi głowę. - Co widzisz?

- Nic. Nie patrzę.

BZZZZZZZZZZZZZZZ KLK.

- Co to było?

- Chyba zamknął się dach. Czujesz zapach, Tuppe? Tuppe pociągnął nosem.

- Kwiaty! O, Corneliusie, czuję zapach kwiatów!

- Ja też.

- Corneliusie, chyba nie żyjemy.

- W takim razie znaleźliśmy się w jakimś przyjemnym miejscu. Tylko w takich miejscach rosną kwiaty.

„...tulipany z Amsterdamu” - zaśpiewał nagle Max Bygraves.

- Albo i nie - jęknął Cornelius.

- Aua! Ojoj! - Murphy'emu zaczęły palić się spodnie. - Pochłania nas piekło!

- Nie sądzę. - Tuppe po omacku wyłączył szybko ogrzewanie. Cornelius zaczął wachlować się w okolicy zadka i powoli wstał.

- Rany, popatrz na to.

Tuppe podpełzł do niego i rzucił okiem.

- Oo!

Cadillac stał na środku niewielkiej łączki. Co najwyżej dwadzieścia metrów od otwartej bramy, przez którą najwyraźniej przed chwilą przejechał. Drogą za bramą przejeżdżały raz za razem samochody.

Śpiewały ptaki. Kwitły kwiaty. Świeciło słońce.

Cornelius wstał, odgarnął z czoła włosy i zaczął się rozglądać. Nigdzie nie było widać żywopłotów, nie dostrzegał też splątanych koronami drzew. Wsiadł z samochodu i obejrzał go uważnie. Przednia szyba była cała, obie wycieraczki znajdowały się na swoich miejscach. Reflektory świeciły, lakier błyszczał jak nowy.

Tuppe wyszedł na zewnątrz i dołączył do przyjaciela.

- Nawet najmniejszego zadrapania. Niczego. Co się stało? Śniliśmy?

- Niemożliwe. Chodź, pomóż mi sprawdzić dokładnie samochód.

- Czego szukamy?

- Będę wiedział, gdy to znajdziemy.

Sprawdzili samochód centymetr po centymetrze. Tuppe znalazł za tylnym siedzeniem majtki. Cornelius sprawdził bagażnik i stwierdził, że jest w nim sporo śladów oleju.

- A to co? - spytał nagle Tuppe.

- Co masz? - Cornelius zatrzasnął bagażnik.

- Czarną paczuszkę, zaklejoną woskiem. Leżała pod przednim siedzeniem. Zimna.

Cornelius obszedł samochód i wziął od Tuppego paczuszkę. Zważył ją w dłoni i obrócił kciukiem.

- Zaryzykowałbyś zakład, co jest w środku?

- Nie sędzę, by to był baton. Na pewno nie bomba? - Tuppe szybko schował się z powrotem do samochodu.

- Nie. Przypuszczam, że to model samochodu. Prawdopodobnie cadillaca eldorado, z zamalowaną na czarno przednią szybą.

Cornelius rozerwał opakowanie. W środku rzeczywiście był model samochodu, i to cadillaca eldorado. Przednią szybę zaklejał kawałek czarnej taśmy.

Tuppe popatrzył na Corneliusa.

Cornelius popatrzył na Tuppego.

- Zgadłeś przypadkiem? - spytał Tuppe.

\*\*\*

Stali na parkingu. Tuppe siedział na przednim fotelu i robiąc BRRRUMMM!, wodził modelem cadillaca po desce rozdzielczej.

Cornelius stał w pobliskiej budce telefonicznej. Tuppe nie słyszał, co jego przyjaciel mówi, ale rozumiał język jego ciała. Sprawy nie miały się dobrze.

Cornelius cisnął w końcu słuchawką i sztywno przymaszerował do samochodu. Opadł ciężko na kierownicę i Tuppe uznał, że lepiej o nic nie pytać.

- Jestem zwolniony. - Cornelius wyrzucił w górę ręce i zagłębił dłonie we włosach. - Zwolniony!

- Dlaczego?

- Dla własnego bezpieczeństwa. Pan Kobold twierdzi, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Radzi, żebym przestał myśleć o klasztorze i natychmiast wracał.

- Co mu powiedziałeś?

- Że nic z tego. - Cornelius zaczął z trudem uwalniać palce.

- To dobrze. Nie, co ja gadam, to ponad nasze siły. - Tuppe pomachał Corneliusowi przed nosem modelem samochodu. - To czarna magia, voodoo! Zostaliśmy zaczarowani, rzucono na nas urok, czy ja wiem. Z tymi siłami lepiej nie żartować.

- Nie poddam się. - Cornelius skrzyżował ramiona. - Nie zwolnię się.

- Mówiłeś, że zostałeś zwolniony i nie pytano cię o zdanie.

- Tuppe, bez względu na to, w co się wplątaliśmy, jest to bardzo poważne. Eposowe. Nie możemy teraz zrezygnować. Przynajmniej do chwili, póki się nie dowiemy, w co się wplątaliśmy.

- Wtedy będziemy mogli się wycofać? - Tuppe zrobił pełną nadziei minę.

- Jeżeli chcesz, możesz to zrobić, ale ja jadę do klasztoru. Znajdę manuskrypt. No?

Tuppe podrapał się po brodzie.

- Najwyraźniej to bardzo ważny manuskrypt. Nie widzę powodu, żebyś nie mógł, teraz kiedy jesteś bezrobotny, szukać go jako wolny strzelec i być może zaoferować go temu, kto zechce najwięcej zapłacić?

- Ta myśl też przeszła mi przez głowę, Tuppe, zamierzasz więc do mnie dołączyć, czy wysadzić cię na najbliższej stacji kolejowej?

Tuppe znów podrapał się po brodzie.

- Jak z pewnością zauważyłeś, Corneliusie, jestem bardzo mały i bardzo boję się magii. Zwłaszcza skutecznej. Obawiam się, że mógłbym ci być bardziej zawadą niż pomocą.

Cornelius ostrożnie skinął głową.

- Rozumiem. Wysadzę cię na pierwszej stacji, którą będziemy mijać.

- Chyba żartujesz! W życiu bym tego nie odpuścił!

- A więc zostajesz?

- Oczywiście, że zostaję. - Tuppe zaczął majstrować przy radiu.

“Born to be wild” - śpiewał zespół Steppenwolf.

- Pasuje do sytuacji! - zawył Tuppe. - No to zaszalejmy!

- Bierzmy się do roboty. - Na twarz Corneliusa powrócił znów szeroki uśmiech.

Czy zdarzyło się wam kiedykolwiek rozebrać popsuty toster?

Czy po zlokalizowaniu istoty problemu - zwykle dość trywialnej, na przykład nie kontaktującego przewodu czy czegoś podobnego - udawało się wam naprawić urządzenie, poskładać je, sprawdzić i stwierdzić, że działa bez zarzutu?

Odkrywaliście wtedy, że zostały wam dwie drobne śrubki?

Jeżeli coś podobnego zdarzy wam się ponownie, posłuchajcie słów Rune'a.

Otwórzcie najbliższe okno.

Weźcie śrubki w prawą dłoń.

(Albo w lewą, jeżeli przeszkadza wam wszczepiony w dłoń długopis).

Wyoknujcie śrubki!

To znaczy: WYRZUĆCIE JE PRZEZ OKNO!

Jeżeli tego nie zrobicie, czeka was szaleństwo, nędza i utrata zdrowia.

Jeżeli znów rozbierzecie toster i zaczniecie szukać miejsc, w które należałoby wkręcić owe dwie śrubki, szybko stwierdzicie, że:

1. Ponownie złożony toster nie działa.
2. Posiadacie już nie dwie, ale trzy śrubki za dużo!

Fakt, że fenomen drobnych śrubek, czyli FDS, jest niewytłumaczalny dla współczesnych siwobrodych, nie powinien zaskakiwać. W naturze świata leży bowiem bezradność siwobrodych.

Ja jednak rozumiem wszelkie sprawy, odkryję więc przed wami prawdę.

**DROBNE ŚRUBKI ROZMNAŻAJĄ SIĘ WE WNĘTRZACH ELEKTRYCZNYCH SPRZĘTÓW.**

Drobne śrubki - co można zauważyć za pomocą silnego szkła powiększającego - przypominają wyglądem spiralę DNA. Śrubka jest żywym organizmem!

Już bardzo dawno odkryto, że zarówno tostery, jak i inne urządzenia elektryczne, posiadają zdolność zasklepiania dziur po śrubkach. Wszystkie otwory na śrubki posiadają zdolność zasklepiania się, jeżeli zostanie usunięta z nich śrubka. To naturalny proces. Nikt i nic nie lubi, jeżeli wtyka się w niego siłą obce ciało. Z wyjątkiem niektórych członkiń Cechu Mieszczek Chiswick. Nie zmienia to jednak zasad rządzących FDS.

Drobne śrubki to nasienie szatana nowoczesnej technologii. Wielu mężczyzn wtrąciły one przedwcześnie do grobu, codziennie przynoszą przemysłowi miliardy funtów strat, wstrzymują ogólny postęp i kosztowały nas utratę Imperium.

Ostatnio udało mi się dotrzeć do pewnych dokumentów, które „przeciekleły” z ministerstwa obrony.

Autorzy tych dokumentów zajmują się szczegółowo FDS w kontekście budowy i konserwacji tak zwanych atomowych łodzi podwodnych\*.

Te zanurzarki aż pękają w szwach od elektronicznych kruczków, i to najperfekcyjniejszych, na jakie pozwala stan techniki, co powoduje, że wymagają niustających napraw.

W trakcie przeprowadzanych niedawno kapitalnych remontów łodzi nadmiar drobnych śrubek stał się tak ewidentny, a symptomy szaleństwa załóg remontowych tak oczywiste, że ministerstwo obrony zmuszone zostało przedstawić jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Wybrano „nieszczelność reaktora”!

Wezwano SSS (specjalną służbę śrubkową), by rozkręciła każdą łódź i usunęła niemal trzy tony drobnych śrubek, które pojawiły się, nie wiadomo skąd. Zostały one zapakowane w kontenery, opatrzone dla uniknięcia podejrzeń tabliczkami ODPADY RADIOAKTYWNE, wywiezione na południowe wybrzeże Anglii i zatopione w morzu.

Moje zainteresowanie FDS zaczęło się w późnych latach czterdziestych. Przebywałem wtedy w Indiach, gdzie działałem jako doradca duchowy Gandhiego. W dniu, którego dotyczą moje wspomnienia, wypływaliśmy obaj parostatkami z Bombaju. Podjęliśmy decyzję, by „uciec od tego wszystkiego” na kilka tygodni i „zaszaleć” w Kalkucie. Jak zwykle, podróżowaliśmy incognito, podając się za „małżeństwo”.

Gandhi miał naturalny talent do udawania kobiet. Gdyby zdecydował się robić to zawodowo, zbiłby fortunę. Jego „mówiąca przez nos wdowa” była wspaniała. Znakomicie pamiętam też jego

---

\* Patrz: Hugo Rune, Energia atomowa. Mit wybuchu (przyp. aut.)

interpretację „dziewczyny, która nie umie powiedzieć nie” - wykonywaną przy świetle księżycy w blond peruce i sukni balowej pod Taj Mahal ku radości brytyjskiej delegacji handlowej.

Choć błagaliśmy kapitana, by zapewnił nam spokój, wkrótce rozniosła się po statku wieść, że na pokładzie znajduje się jeden z największych przywódców duchowych świata.

W mgnieniu oka pasażerowie i członkowie załogi zaczęli dobijać się do naszych drzwi i błagać mnie, żebym pobłogosławił ich dzieci wyleczył ich z łysienia, przywrócił im młodość i podwoił długość „starej trąby”. Spełniłem wszystkie życzenia w nadziei, że dzięki temu zaznamy nieco spokoju podczas dalszej podróży.

Kiedy zadowolilem wszystkich i zacząłem przygotowywać się do spoczynku, zauważyłem, że jeszcze ktoś pozostał i kryje się w ciemnym kącie kabiny. Ponieważ tego dnia dokonałem wystarczająco dużo dla dobra ludzkości, rzuciłem głośno, żeby zwiewał, inaczej pozna mój gniew. Osobnik padł jednak przede mną na kolana i zaczął całować skraj mej szaty.

Jeszcze nigdy nie widziałem takiego nieszczęśnika, a muszę przyznać, że widziałem już wielu. Słońce wygarbowało mu skórę na ciemny orzech, włosy miał siwiuteńkie, w oczach obłęd. Kiedy przemówił, od razu było dla mnie jasne, że kiedyś był Anglikiem i do tego dżentelmenem.

Zaczął od tego, że nie zna nikogo innego na świecie, przed kim mógłby otworzyć serce. Nazywał się lord N. - jego nazwisko pozwolę sobie zachować dla siebie, ponieważ z tego rodu pochodzi wielu znamienitych członków elity rządzącej i ujawnienie prawdy mogłoby przynieść hańbę szlachetnemu domowi i doprowadzić najprawdopodobniej do upadku obecnego rządu.

Poniższa opowieść jest dokładną rekonstrukcją tego, co usłyszałem:

Na początku lat trzydziestych pracowałem w BBC jako lektor wiadomości. W owym czasie BBC zatrudniało wyłącznie członków angielskiej arystokracji, co nadawało stacji rangę ekskluzywnego męskiego klubu.

Teksty wiadomości opracowywane były przez grupę anonimowych wyrobników, których zadanie polegało na wymyślaniu informacji na tyle optymistycznych i ważkich, by nadawały się do wyemitowania na antenie. W tym celu odgrzewano atrakcyjne informacje sprzed roku albo odczytywano ustępy z Old Moore's Almanac. W czasie kryzysu, dla podniesienia nastrojów, Northern Service BBC transmitował „na żywo” co trzy lub cztery tygodnie koronację króla. Bez wątpienia pamięta pan, o ile gorętsze od dzisiejszych były przedwojenne letnie miesiące. To wynik polityki BBC, polegającej na dodawaniu w prognozach pogody kilku stopni do rzeczywistej temperatury. Ta drobna sztuczka przejęta została od Rosjan, którzy stosowali ją, by uzyskać na Pierwszego Maja dobre wskaźniki produkcyjne.

W każdym razie codziennie, kiedy zjawiałem się w Broadcasting House, zostawiałem cylinder i laseczkę u portiera, i brałem z przegródki codzienną porcję wiadomości, zawsze - w wielkiej, szleszczącej nowością, jaskrawej kopercie.

Raz na jakiś czas, kiedy miałem odpowiedni nastrój, przerzucałem je przed odczytaniem, aby sprawdzić, co tym razem wydumano dla dobra Imperium. Zwykle jednak tego nie robiłem, uważałem bowiem, że byłoby nie w porządku, gdyby lektor znał wiadomości wcześniej niż słuchacze.

Pewnego dnia zauważyłem, że moja jaskrawa koperta wygląda dość kiepsko. Widniał na niej wyraźny odcisk palca i coś, co przypominało ślad po mokrej filiżance kawy. Może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, BBC zawsze bowiem skrupulatnie pilnowało, aby podawano pracownikom kawę na spodeczku.

Natychmiast poskarżyłem się dyrektorowi naczelnemu, mojemu wujowi, absolwentowi Eton, który zgodził się, że winnemu tego niedopatrzenia należy porządnie zmyć głowę i że powinienem zrobić to osobiście.

Czytałem wiadomości w wygodnej sali na drugim piętrze i nigdy nie schodziłem w labirynt piwnic pod Broadcasting House, tak więc niemal godzinę zajęło mi znalezienie kanciapy wymyślaczy optymistycznych informacji. Szyld na drzwiach oznajmiał: KOMÓRKA - NIE WCHODZIĆ.

Zapukałem głośno, nie czekając jednak na wezwanie, nacisnąłem klamkę i wszedłem. To, co ujrzałem, nieco mnie zaskoczyło. Spodziewałem się przynajmniej kilku wyglądających na intelektualistów osobników, okropnie poważnych i odpowiedzialnych, siedzących za wielkimi biurkami i studiujących potężne oprawy w skórę tomiszczą, ale nic z tego - przebywał tam zaledwie jeden jegomość, ubrany w roboczy kombinezon i pracujący nad skomplikowanym wyglądającym elektrycznym urządzeniem wielkości kufra. Przymocowany do zwykłego stołu roboczego aparat był pełen tarcz, lamp i żaróweczek.



- Hej ty! - krzyknąłem do jegomościa i zamachałem w jego kierunku brudną kopertą. - Żądam wyjaśnienia, co to ma znaczyć.

- O, czytał pan? - odparł z ożywieniem. - Przykro mi, szanowny, musi pan poczekać.

Jego ton nie podobał mi się, nie rozumiałem, co do mnie mówi, otworzyłem więc kopertę i postanowiłem zapoznać się z jej zawartością. Na wyrwanej z taniego notesu kartce papieru nabazgrało: NORMALNE USŁUGI ZOSTANĄ PRZYWRÓCONE W JAK NAJSZYBSZYM CZASIE.

- Żądam wyjaśnienia i tego! Co to ma znaczyć?! - zapytałem, przyjmując bojową postawę.

- Dokładnie to, co jest napisane - odparł jegomość w kombinezonie. W jego akcencie odkryłem coś typowego dla klasy robotniczej. - Póki tego nie naprawię, nie będzie nowych wiadomości. Najlepiej więc będzie, jeżeli pójdziesz pan na górę i uspokoisz słuchaczy.

Pokręciłem zdecydowanie głową.

- W BBC tak się nie robi.

- To dziś się zrobi - odpowiedział butnie. - Póki ta zabawka nie będzie cacy, żadnych wiadomości.

- A, przepraszam bardzo, co to właściwie za zabawka?

- Radiodbiornik.

- Chce pan powiedzieć „radioaparat”.

- Nie. Radiodbiornik. Łapie wiadomości z całego świata.

- Co? Zagraniczne wiadomości? - Stałem jak otumaniony. - Słuchacze nie chcą wiadomości o jakichś cholernych cudzoziemcach. Chcą angielskich wiadomości. Robionych przez Anglików dla Anglików.

- To postęp.

- Postęp?

Cóż, muszę przyznać, byłem wstrząśnięty. Postęp to słowo, którego dżentelmeni nie używają, no, z tym, że jegomość przede mną na pewno dżentelmenem nie był.

- Chciałbym porozmawiać z twoim przełożonym.

- Spadaj pan - ryknął gbur. - A niech mnie cholera, następna! - Mówiąc, rzucił we mnie drobną śrubką.

Usłyszałem dość, by ruszyć do przodu i porządnie natrzeć łobuzowi uszu, niestety, na podłodze leżało więcej takich śrubek, straciłem równowagę i upadłem ciężko na ziemię. Ręką uderzyłem w stół, czołem w piekielną maszynę.

- Uważaj! - wrzasnął, nie zwracając uwagi na uszkodzenia mojego ciała. - Już prawie złożyłem go do kupy!

- Sir - powiedziałem, wstając z trudem i otrzepując garnitur. - Sir, gdzie są ludzie od przygotowywania wiadomości?

- Jezu, wszyscy zostali wywaleni w miniony piątek. Nowa polityka, w związku z nadchodzącą wojną i tak dalej.

- Wojną? Jaką wojną?

- Wygląda na to, że nikt o niczym nie wie, myślę jednak, że nie zaszkodzi, jeżeli powiem panu, że...

Opowiedział mi o tym, że zorganizowano drugą wojnę światową. Miało to mieć jakiś związek z rozwiązaniem problemu bezrobocia i wykorzystaniem funduszy. Mówił coś o „wysiłku wojennym”, „duchu Blitzu” i o tym, że będzie masa piosenek Very Lynn. Także o tym, jak ważną rolę odegra w tym wszystkim stojące na stole radio. Na koniec dodał, jakie to wszystko szuru-buru i su-pertajne.

- Widzi więc pan, że wykonuję zadanie najwyższej wagi dla dobra narodu, jeżeli więc obchodzi pana Król i Ojczyzna, powinien pan dać spokój, uściśnijmy sobie ręce i zabierzmy się razem do roboty.

Tak zrobiłem. Ale był ze mnie głupiec. W taki właśnie sposób doprowadziłem się do stanu, w jakim mnie pan teraz widzi.

Opadł na kolana i gorzko zapłakał. Do kabiny wszedł, mizdrząc się, Gandhi - włókł ze sobą dwóch marynarzy. Kazałem mu zabrać się za pakowanie i poprosiłem lorda N. o dokończenie opowieści.

- Winne były śrubki - jęknął. - Im dłużej próbowaliśmy naprawiać radio, tym więcej zostawało nam śrubek. Pracowaliśmy dzień i noc. Trzeba było chwilowo zatrudnić ponownie wymyślaczy informacji, myśmy zaś pracowali, pracowali i pracowali.

- W końcu jednak musieliście chyba je naprawić - stwierdziłem - druga wojna światowa rozpoczęła się bowiem punktualnie.

- Nie naprawiliśmy. Wojna miała ruszyć w 1936 roku, ale w 1939 Hitler uznał, że nie może już dłużej czekać na BBC i zaczął bez nas. Rozpętała się jatka, i to wyłącznie przeze mnie.

- No, może nie wyłącznie. W końcu płamę dał też koleś w kombinezonie.

- Nie - chlupnął. - Był geniuszem. W końcu wyrzucił wszystkie śrubki. Stworzył nowy plan konstrukcyjny. Rozebrał odbiornik na kawałki i zbudował go na nowo. Wtedy po raz pierwszy zaczął pierwszorzędnie działać.

- Ale zdawało mi się, że mówił pan, iż...

- Mówiłem. Tak się podniecił, że pognął do naczelnego. Kiedy go nie było, kręciłem tarczami i słuchałem wiadomości z całego świata. Zapewniam, to było coś wspaniałego. W pewnej chwili zauważyłem jednak, że jedna z tarcz jest nieco obłuzowana. Zdjąłem ją, aby popatrzeć, co się stało i ze środka wypadła śrubka. Wtedy zdjąłem obudowę, by sprawdzić, skąd. Nie zgadnie pan, co się stało potem.

Nie pozwoliłem lordowi N. kontynuować opowieści. Wyjąłem łagę, którą zawsze ze sobą wożę, kiedy jadę na Wschód i dzieliłem go po łbie. Kazałem zawołać kapitana i lord N. - odpowiednio związany - wrzucony został na szalupę i spuszczonej na wodę na pastwę żywiołu.

Pomachawszy mu na do widzenia, wróciłem do kabiny i stwierdziłem, że na podłodze w miejscu, gdzie upadł, leżą drobne śrubki. W łobuzerskim odruchu wrzuciłem dwie do suszarki do włosów Gandhiego.

Wiedziałem, że następnego dnia zwróci na nie uwagę.

*Księga prawd ostatecznych*  
Hugo Rune

Klasztor Saint Sacco Benedetto nie prezentował się okazale. Świat jest pełen wspaniałych klasztorów - wtulonych w górskie zbocza albo wczepionych w urwiste szczyty. Zdają się wyrastać z otoczenia, tworzą z nim jedność. Są symbolem spokoju i harmonii z przyrodą. Po części taka jest istota istnienia klasztoru.

Nie dotyczyło to jednak klasztoru Saint Sacco Benedetto. Ten był tworem wbrew naturze - obrazą dla oka.

Wyglądał tak od początku swego istnienia. Od momentu położenia pierwszego kamienia pod fundamenty każdy z mieszkańców okolicy, patrząc na klasztor, natychmiast robił BLEEE.

Niełatwo było powiedzieć, co dokładnie jest nie tak. Chociaż nie, aż takie trudne to nie było. Nie pasowało tu dosłownie nic - ogólny wygląd, kolor kamieni, kąty dachów, kontury okien, et cetera, et cetera.

Winę ponosił architekt. Norris Bezimienny. Nie, nie on - jego ojciec Mergus Potężny oraz pewien drobiazg zwany nepotyzmem.

Mergus był jednym z celtyckich wojowników Wieku Ciemności, którzy objali się z królem Arturem i mordowali na potęgę.

Jego czyny były wielkie nawet dla tych, którzy dokonywali takich czynów zawodowo. A było ich w owych czasach wielu.

Wszystko, co dotyczyło Mergusy, było potężne. Jego hełm był heroiczny. Kolczuga była herkulesowa. Jego naręczaki były przepotężne, a nagolenice majestatyczne. Do założenia mu zbroi potrzebowano czterech silnych mężczyzn. Wieść niesie, że pewnego razu zostawił na deszczu osłonę na przyrodzenie, a kiedy napełniło się wodą, do środka wpadła krowa i utonęła.

Oczywiście wielki był także jego koń. A co dopiero miecz!

Ha!

Beda zwany Venerabilis pisze:

*A miecz Mergusowy był potężny. Ukuty w ogniach Zargsnargha Zbrojarza z ostrzy mieczów setek rycerzów zaszlachtowanych przez Mergusy przed śniadaniem.*

*Tako potężnym był Mergusowy miecz, że prócz niego żaden mąż nie był zdolny nim władać. Niekiedy nawet on sam. Azali władał i to skutecznie. Żaden mąż nie uszedł owego miecza, gdy brał*

go Mergus i nim władał. Kiedy zaś go odkładał, ci, którzy jeszcze nieśli głowy na ramionach, ślali dzięki i mówili: „zaiste, źle być nie po tej, co on stronie”. I inne tego typu bzdury.

W każdym razie nie należał do ludzi, którzy odnieśliby się przyjaźnie do uwag, że jego syn jest bardzo marnym architektem.

Kawałek bezchmurnego nieba nad pobliskim wzgórzem przybrał nowy odcień błękitu.

Tuppe stanął na siedzeniu cadillaca i zapatrzył się na leżący w dole klasztor.

- Blee, co za obrzydliwa budowla.

- Czegoś jej wyraźnie brakuje - stwierdził Cornelius. Tuppe odwrócił się do przyjaciela.

- Wiesz - zaczął poważnym tonem - wiele nad tym myślałem i uważam, że to ja powinienem tam iść i zdobyć manuskrypt.

- W żadnym wypadku. Nawet nie chcę o tym słyszeć.

- Tak byłoby najlepiej. Pozwól mi iść.

- To moje zadanie. - Cornelius przytknął sobie kciuk do klatki piersiowej. - Ja pójdę. Jeżeli za-uważysz coś podejrzanego, trąb.

- Trąbić? Corneliusie, mylisz się, ja idę do klasztoru. Pozwól mi.

\*\*\*

- Nie! - Cornelius wysiadł i energicznie zatrzasnął drzwi. Delikatna bryza pochwyciła jego włosy i pchnęła je do tyłu, tworząc romantyczną falę. Murphy stanął w pozycji uznawanej ogólnie za „męską” i wbił oczy w klasztor. - Zostań tu i czytaj! - Wyjął z kieszeni pełen oślich uszu, otrzymany od taty egzemplarz dzieła Rune’a i podał go swemu niskiemu, kręcącemu głową przyjacielowi.

- Może pomoże ci to przetrwać.

- Wątpię. Corneliusie, proszę

- Nie, Tuppe. Całkowicie panuję nad sytuacją. Żegnaj. - Cornelius odwrócił się i ruszył przed siebie. Odchodząc, zostawił jednak sporą część nogawki, która zakleszczyła się w drzwiach.

Szybka zmiana spodni, później długie zejście z boczem wzgórza

- i Cornelius znalazł się przed furtą klasztoru Saint Sacco Benedetto. Ze szczytu otaczającego klasztor muru zwisały groźne, bujające się żelazne kolce. Wielkie odrzwia zaryglowano kilkoma kutymi ze stali zasuwami. Furta była naprawdę zadziwiającej konstrukcji. Setki grubych główek gwoździ świadczyły o jej wytrzymałości. Każdym centymetrem swej powierzchni oznajmiała: TRZYMAJ SIĘ ZDAŁA.

Cornelius przyklepał włosy, które w trakcie marszu w dół ułożyły się w nie najgorszą kopię krzywej wieży w Pizie, poprawił klapy marynarki, wyprostował ramiona i przygotował się do podjęcia wyzwania.

\*\*\*

Zaczął szukać dzwonka.

Dzwonka nie było.

Nie zniechęcony w najmniejszym stopniu, wyciągnął rękę ku kołatce.

Kołatka też świeciła nieobecnością.

Tak samo nieobecna była szczelina do wrzucania listów.

Cornelius zaczął pogwizdywać, dwie, trzy chwile się zastanawiał, potem postanowił sprawdzić pewną możliwość.

Wbił dłonie w kieszenie. Obojętnie stanął tyłem do furty i jakby nigdy nic oparł się o nią. Po-  
tężne drzwi cicho skrzypnęły i Cornelius uderzając się w plecy, wpadł do klasztoru.

Wstał, otrzepał się i delikatnie zamknął furtę. Znajdował się w obrzydliwym westybulu, pełnym krzywych kolumn ustawionych w koślawym szeregu. Ściany pomalowane zostały błyszczącą zielenią, sufit znajdował się stanowczo za wysoko, a nierówna podłoga składała się z niedokładnie ułożonych kamiennych płyt.

Wilgotna plama na ścianie z prawej strony układała się w kontur twarzy Maxa Bygravesa, przecinające ją białe pionowe pęknięcia wyglądało dokładnie jak trasa autobusu numer 65, krążącego pomiędzy Broadwayem w Ealing a Richmond. Cornelius szedł, czując narastającą słabość w nogach.

- A co my tu mamy? - zapytał sam siebie.

Zza krzywej kolumny wydobyła się chmura błękitnego dymu. Po chwili dobiegł stamtąd odgłos tłumionego kaszlu.

Cornelius powstrzymał uśmiech. Tacy mnisi byli dokładnie w jego guście.

- Halo! Jest tu kto?! - zawołał ostro.

Kaszel ucichł, zastąpił go odgłos kroków i zza kolumny wychynęła dłoń. Zamachała w powietrzu.

- Kto to? - zapytał udręczony głos.

- Papieski emisariusz - odparł Cornelius. - Chcę się widzieć z opatem.

- Papieski kto? - Zza kolumny wyszedł mnich. Twarz zasłoniętą miał nisko opuszczonym kapturem, dłonie chował w rękawach habitu. - Kto cię wpuścił?

- Nikt. Użyłem uniwersalnego klucza. - Cornelius zrobił krok do przodu i wyciągnął przed siebie dłoń. - Murphy. Z nuncjatury papieskiej. Wydział dotacji. Przybyłem z zadaniem specjalnym. A pan jest?

- Mnichem - odparł, ignorując wyciągniętą dłoń Corneliusa.

- Niczego cię nie nauczyli?

- Chodzi mi o nazwisko. Przypuszczam, że posiada pan nazwisko.

- Nie używamy nazwisk. Zrezygnowaliśmy z tych ziemskich atrybutów. Mamy jedynie numery.

- A pański brzmi?

- Jestem numer Sześć.

- Chciałbym się widzieć z opatem. Bądź tak dobry i zaprowadź mnie do niego. - Cornelius wetknął dłonie do kieszeni i zdmuchnął uparty kosmyk włosów z twarzy.

- Nikt nie może widzieć opata.

- Oczekuje mnie. Dzwoniłem.

- Nie mamy telefonu - stwierdził brat Sześć.

Cornelius czubkiem lewego buta zrobił na podłodze znak krzyża.

- Nie spodoba się to papieżowi. Kiedy się o tym dowie, każe mi przywieźć z powrotem wszystkie pieniądze.

- Pieniądze? - Mnich mimo woli zrobił kroczek do przodu.

- Jakie pieniądze?

- Dotację. Na odbudowę klasztoru. To dość znacząca suma, w gotówce. Ojciec Święty jest najwyraźniej tak ujęty ubóstwem swych dzieci, że postanowił sypnąć groszem. Do tego wprowadzić nową, eksperymentalną regułę. Z tego co słyszałem, ma całkiem bullastyplan.

-Mów dalej - poprosił brat Sześć. - Powiedz więcej.

- Tja. Najwyraźniej uważa, że tutejsi bracia powinni dowiedzieć się czegoś więcej o rozkoszach ciała. Jego zdaniem byłoby dla nich dobrze, gdyby wiedzieli więcej o świecie, zaplanował więc założenie telewizji satelitarnej. Bar ze „świętą godziną”, podczas której drinki byłyby za darmo. Francuskiego szefa kuchni. Aha, upiera się także przy tym, aby dostępne były bez trudu tytoń i miękkie narkotyki.

- Daj spokój - powiedział mnich. - Robisz mnie w konia.

- Skądże znowu! Jeśli - Cornelius odwrócił się do mnicha plecami - nie można rozmawiać z opatem, to trudno. Mam dziś jeszcze do odwiedzenia inne klasztoru. Niedaleko stąd jest sanktuarium jezuitów, czy byłbyś tak uprzejmy wskazać mi drogę?

- Nie tak szybko. - Brat Sześć z trudem połknął mające nastąpić na końcu „mój synu”. - Nie powiedziałem, że nie jesteśmy zainteresowani.

Cornelius odwrócił się do mnicha.

- O jakich miękkich narkotykach jest mowa? - spytał brat Sześć.

\*\*\*

Arthur Kobold wsunął do ust wielki kawał ciasta i zaczął go żuć. Telefon na jego biurku zadzwonił.

Arthur wytarł rękawem usta i podniósł słuchawkę.

- Kobold! - rzucił krótko, obsypując słuchawkę okruchami ciasta.

- Jakie postępy? - zapytał głos w słuchawce.

Arthur Kobold wyprostował się i skoncentrował uwagę.

- Trzymamy rękę na pulsie.  
- A co z Murphym?  
- Zwolniłem go.  
- Co?!! - zapiszczał przenikliwym głosem rozmówca.  
- Zwolniłem go. Uznałem, że w tych okolicznościach to jedyne rozwiązanie.  
- I gdzie on teraz jest?  
- Przypuszczam, że w klasztorze. Stara się dowieść sobie, że jest godzien eposu. - Dłoń Arthura powędrowała ku następnemu kawałkowi ciasta. - Nie ma obaw, zdobędzie manuskrypt.  
- Oby tak się stało, bo jeżeli nie, to wiesz, jaki czeka cię los. Dłoń Arthura cofnęła się znad ciasta.  
- Robię, co mogę - poskarżył się. - Takie rzeczy wymagają czasu.  
- Trwa to już zbyt długo. Masz jeszcze dwa dni, Kobold. Ani chwili dłużej. Jeżeli manuskrypt nie zostanie dostarczony, akcja zostaje przerwana, a ty odwołany. Zostaną podjęte bardziej bezpośrednie kroki.  
- Bardziej bezpośrednie? Jak bardzo bezpośrednie?  
- Szczególnie bezpośrednie. Totalnie. Uruchomię Pociąg Hermesa Trismegistosa!  
- Tylko nie Pociąg Hermesa Trismegistosa - wydyszał Arthur Kobold.  
- Pociąg Hermesa Trismegistosa. Wiesz, co to znaczy.  
- Koniec z ciastem.  
- Dwa dni! - Połączenie zostało przerwane i Arthur Kobold odłożył słuchawkę. - Koniec z ciastem. - Zaczęła mu drzeć dolna warga. - Kropka. Zero. - Przyciągnął do siebie ciasto i zanurzył w nim twarz.

\*\*\*

- Ha! - zawołał Cornelius. Brat Sześć wprowadził go właśnie do przerażającej galerii. - Amfa, anielski pył, azotan amylu.

Ściany „upiększały” obrazy, a każdy przedstawiał akty niezwykłego męczeństwa. Cornelius nieraz zastanawiał się nad tym, dlaczego tylu świętych odchodziło ku chwale nago. A jakże byli zbudowani - każdy wyglądał jak Adonis. Mijali właśnie świętego Sebastiana, którego znakomicie umięśnioną pierś przesywał las strzał. Cornelius stanął, aby popatrzeć na jego twarz wyrażającą niemal radość, jakby...

Brat Sześć odwrócił się, by pospieszyć, powiódł jednak wzrokiem za Corneliusem.

- Rozrzewnia do łez, me?

- Słucham?

- Nieważne. Kontynuuj.

Cornelius kontynuował narkotyczną litanie.

- Barbiturany, belladonna, Benes, Cannabis sativa, Dagga - szedł za mnichem, którego krok nabrał sprężystości. - Ecstasy, Frisco speedball, gańdzia, kokaina, kwas, muchomor...

- Zatrzymaj się na „m”. Jesteśmy na miejscu.

Dotarli do maleńkiego portalu obramowującego jeszcze mniejsze, jaskrawożółte drzwiczki.

- Wskoczę na chwilkę i powiem ojcu, że jesteś. Na pewno nie każe ci czekać. Jak brzmi twoje nazwisko?

- Murphy. Cornelius Murphy. Może byłoby lepiej, gdybym... - Więcej nie zdążył jednak powiedzieć, brat Sześć zapukał bowiem, otworzył i wszedł. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. - Zwiął. - Cornelius zaczął szykować się do szybkiego odejścia na paluszkach, nagle jednak żółte drzwi ponownie się otworzyły i wypadł z nich brat Sześć.

Rozpędzony wpadł na naszego bohatera. Pochwycił go, uniósł w górę i zaczął biec przez galerię. Dopiero po dłuższej chwili zamarł. Obaj byli dość zmieszani. Cornelius wyrwał mu się i stanął na niepewnych nogach. Uniósł pięści, gotowy do uderzenia.

- No to chodź! - rzucił groźnie.

Mnich dziwnie na niego popatrzył. Kompletnie go to zaskoczyło.

- Dokąd?

- Nie chcę się z tobą bić.

- Ja też nie.

- Ale zaatakowałeś mnie.

- Skądże! - Brat Sześć wyprostował się z godnością. -

Wychodząc, potknąłem się. Ojciec kazał mi się spieszyć. Przepraszam. Możesz od razu wchodzić.

- Mogę? Co mu o mnie powiedziałaś?

- Jedynie twoje nazwisko. Odparł, że spodziewał się ciebie.

- Hm. No tak. Przecież mówiłem.

- Oczywiście. W takim razie chodźmy. - Brat Sześć pospiesznie zaprowadził Corneliusa pod żółte drzwiczki. - Lepiej, żeby nie czekał, prawda?

- Jak najbardziej.

Brat Sześć zapukał, otworzył drzwi i zaanonsował:

- Pan Cornelius Murphy! - I wepchnął Corneliusa do środka. - Uważaj na stopień.

Cornelius nie uważał. Może by to zrobił, gdyby widział przeszkodę, ponieważ jednak nie widział, nie uważał. Zataczając się, wszedł do nieprzeniknionej dla wzroku ciemności. Potknął się, drzwi zamknęły się za nim z hukiem i rąbnął o podłogę.

Zamrugął i zaczął macać wokół. Zastanawiał się, czy nie wpadł właśnie w pułapkę.

- Halo - jęknął cicho. - Jest tu kto?

- Witam, mój synu. - Rozległ się chrapliwy szept. - Tuszę, że nic ci się nie stało. Coś trzeba zrobić z tym stopniem.

Cornelius czuł, że poza zranioną dumą nie odniósł trwałych obrażeń.

- Nic nie widzę. Możemy zapalić światło?

- Nie - szepnął opat. - Złożyłem ślub ciemności.

- Aha. Rozumiem. Nie, nie rozumiem. Znaczy się, rozumiem, co pan mówi. - Cornelius wstał i otrząpał się. Kompletnie nic nie widział, sporo jednak mówił mu wdech.

Kilkanaście lat temu Cornelius zachorował na szkarlatynę. Lekarz nie mógł tego zrozumieć, szkarlatyna bowiem przestała być częstą chorobą. Ówczesnym szaleństwem była hiperaktywność, wywoływana przez dodatki do żywności, produkty mleczne czy co tam jeszcze. Szkarlatyna zamknęła tak samo jak krzywica czy grzybica. Corneliusowi udało się jednak ją złapać, w efekcie czego wysoki młodzieniec - wtedy co prawda jeszcze mały, choć jak na swój wiek wysoki - zmuszony był przebywać sześć tygodni w zaciemnionym pokoju i odżywiać się jedynie gotowaną rybą.

Nie ma pewności, czy był to odpowiedni sposób leczenia, najwidoczniej jednak zadziałał, Cornelius bowiem wyzdrowiał. Pojawił się jednak nieoczekiwany efekt uboczny. Leżąc dzień za dniem w ciemności, nie mogąc używać wzroku, Cornelius uświadomił sobie, że pozostałe zmysły kompensują mu brak światła. Było to wspaniałe. Wyostrzył mu się słuch, naprawdę zadziwiające postępy zrobiło jednak powonienie.

Po tygodniu Cornelius stwierdził, że jest w stanie odróżniać poszczególnych gości, i to zanim usłyszał ich kroki czy zanim weszli do jego pokoju. Wkrótce umiał wyczuć, co mają w kieszeniach. Czuł zapach złożonych na czworo lnianych chusteczek, cukierków w torebkach, atramentu w piórach. Mógł leżeć bez ruchu i tworzyć olfaktoryczny obraz gościa - od tego, co przykleiło mu się do podeszwy, po gatunek ulubionego kremu do włosów. W oddechach gości czuł, co jedli na śniadanie, a także inne rzeczy, na których zrozumienie był wtedy jeszcze zbyt młody.

Tata, który spędzał wiele czasu w jego pokoju, bawił syna opowieściami o swojej młodości i zachęcał go do rozwijania nowo pozyskanego talentu. Przynosił Corneliusowi pudła z różnymi przedmiotami i prosił o ich badanie. Ze zwierzętami, owocami, minerałami - co mu wpadło w rękę. Kiedy Cornelius raz coś rozpoznał, rzadko się zdarzało, by się potem pomylił.

Tata nie omieszkiał oczywiście zbadać perspektyw finansowych, kryjących się w umiejętnościach mieszkańca zaciemnionego pokoju. Wielu przybywających do Corneliusa gości aż się paliło, by zapytać go, co trzymają za plecami albo co wsunęli głęboko do kieszeni. Czas mijał i kiedy Cornelius nauczył się rozróżniać zapachy banknotów jedno - i pięciofuntowych - nawet przez drzwi - tata wprowadził zasadę podziału pół na pół.

Sytuacja była zadowalająca dla obu stron, niestety sześć tygodni szybko minęło. Choroba Corneliusa zakończyła się mniej więcej w okresie, kiedy w okolicy wybuchła epidemia szkarlatyny. Natychmiast, gdy Cornelius nadawał się do podróży, tata zabrał rodzinę na długie, zasłużone wakacje.

Teraz Cornelius stał w kolejnym kompletnie ciemnym pomieszczeniu i zaczęły do niego wracać wspomnienia tamtej choroby. I to z jaką siłą.

Na próbę pociągnął kilka razy nosem. Poczł, że pomieszczenie, w którym się znajduje, jest wielkie. Było w nim wiele starych ksiąg. W powietrzu ciężko wisał, tworząc ramy pozostałych, delikatny zapach skórzanych grzbietów - słodki, intensywny, piżmowaty.

W pomieszczeniu było dużo drewna. Cornelius rozpoznał unoszący się z podłogi, na której przed chwilą leżał, eteryczny aromat polerowanego jesionu, różaną woń mahoni i posępne kadzidło dębu. Nadpłynęły kolejne zapachy. Polerowanego mosiądzu, czarnego atramentu, starego papieru, czerwonego wina, lawendy. I jeszcze czegoś mniej przyjemnego.

Cornelius rozszerzył nozdrza i zaczął lokalizować opata, młodzieńczy nos stracił jednak wiele z dziecięcej sprawności. Czł zapach sukna szkaplerza opata, jego tuniki, szarfy, pasa, biretu. Nawet sandałów, właściciel habitu nie wydychał jednak niczego, co Cornelius umiałby rozpoznać. Wiedział, gdzie siedzi - kilka metrów dalej, za biurkiem z włoskiego orzecha, ale na tym był koniec.

Jeszcze kilka pociągnięć nosem, nic jednak nie przyniosły.

- Masz katar, mój synu? - szepnął opat.

- Nie, nic mi nie jest.

- Jeżeli wyciągniesz ręce i zrobisz dwa kroki, znajdziesz krzesło. Cornelius wiedział o krześle, ale wpadł na nie.

- Zaraz sobie poradzę. - Podniósł krzesło i usiadł.

- Znakomicie. Chętnie się dowiem, po co przybyłeś do Saint Sacco Benedetto.

- Hm. - Cornelius zaczął się wiercić. Prawda była chyba wystarczającym uzasadnieniem. -

Cóż, proszę pana...

- Nie panuj mi, mój synu. Złożyłem także ślub pokory. Mów do mnie jak do przyjaciela. Możesz używać mojego imienia.

- Jak ono brzmi?

- Bud - szepnął opat.

Cornelius uznał, że gdyby światło było zapalone, widziałby, jak spada na niego grom.

- Cóż, Bud. Chciałbym porozmawiać z jednym z braci.

- Żałuję, ale to niemożliwe.

- Okoliczności są jednak nieco wyjątkowe. To sprawa wielkiej wagi.

- Sprawy, które zdają się istotne za murami klasztoru, tutaj niewiele się liczą. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Cornelius miał nadzieję, że jego oczy już się przyzwyczyły do ciemności, ale tak nie było.

- Bud, brat, z którym chcę rozmawiać, jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- W niebezpieczeństwie? A to dlaczego?

- Podejrzewam, że ma w swym posiadaniu pewne dokumenty. Nie do końca wszystko rozumiem, ale są ludzie, którzy chcą je za wszelką cenę zdobyć.

- Dokumenty przyniesione ze świata?

- Tak.

- W takim razie nie powinieneś się martwić o bezpieczeństwo naszego brata.

- Jak to?

- Ponieważ wszyscy bracia po przyjęciu do klasztoru i złożeniu ślubów pozbywają się wszelkich posiadanych ziemskich dóbr.

- Pozbywają się? Wyrzucają je?

- Nie. Przekazują je mnie.

- Czy to znaczy, że gdyby znajdowały się między nimi dokumenty, miałbyś je w swoim posiadaniu?

- Nie. - Głos był nieustająco łagodny i wyważony. - Zostałyby zniszczone.

- Zniszczone? - Cornelius gorzko skrzywił się w ciemności.

- W ogniu. - Szept opata odbił się tajemniczym echem. - Wszystko zostałoby spalone.

- *Auto da fe*.

- Nie. Auta sprzedajemy na aukcjach. Powiedz mi, mój synu, jak nazywa się brat, którego szukasz?

- Jak się nazywa? - Cornelius chwilę się zastanawiał. - Cóż, jeżeli dokumenty zostały spalone, nie ma to wielkiego znaczenia.

- Ale powiedziałaś, że jest w niebezpieczeństwie. Byłoby dobrze, gdybyś ujawnił mi jego imię.

- Nie sędzę. Gdyby ktoś przyjechał tu po moim odejściu, będziesz mógł mu po prostu powtórzyć to, co mi powiedziałeś. To bardzo niebezpieczni ludzie i gdybyś znał imię brata, z pewnością by je z ciebie wydobyli.

- Sekundę. - Szept zadrżał. - Jeszcze przed chwilą chciałeś mi powiedzieć, jak się nazywa. Sprowadziłbyś tym na moją głowę zagrożenie!

- Nie, nie. Gdybyś pozwolił mi rozmawiać z bratem, a on miałby dokumenty i dał mi je, bez obawy mógłbyś o tym poinformować tych złych ludzi. Ruszyliby za mną, a tobie nic by nie groziło. Wątpię nawet, czy chciałoby im się podpalać klasztor.

- Podpalać? - W szept wkradła się wyraźna obawa.

- Tak jak zrobili z Sheila na gigh. Może o tym słyszałeś.

- Spalić klasztor?

- Tak jak ty spaliłeś dokumenty. Zakładając, że istniały jakiegokolwiek dokumenty. Wtedy tak, z pewnością byś je spalił. Na pewno nigdzie byś ich nie schował, o nie! Na przykład po tym, jak brat, o którym mówimy, przekazał ci, jak są ważne i że należy je przechować w bezpiecznym miejscu. Oczywiście to tylko hipoteza.

- Oczywiście.

Przez chwilę panowała cisza. Cornelius kręcił w ciemności palcami młynka.

- Jak przez mgłę przypominam sobie jakieś dokumenty - szepnął opat. - Ale to było tak dawno temu. Czy były owocem pracy uczonego?

- Jak najbardziej.

- Przypominam sobie jak przez mgłę nazwisko. Tego uczonego. Ruina, to możliwe?

- Rune. Hugo Rune.

- Hugo Rune. Tak, tak brzmiało. Tak dawno temu, wieki.

W ciemności na ustach Corneliusa zaczynał formować się przeogromny uśmiech.

- Może mógłbym rzucić na nie okiem?

- Obawiam się, że jest to niemożliwe.

- A co z klasztorem? Płomienie strawią tyle niewinnych żywotów.

- Może porozmawiam z bratem, który je przyniósł i wstawię się za tobą. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć jego imię.

- Powiedz mi, Bud, czy to prawda, że w klasztorze złożone są kości świętego Sacco Benedetto?

- A co to ma wspólnego z czymkolwiek?

- W krypcie? Nie mogę przestać myśleć o zrujnowaniu klasztoru. Tego świętokradztwa należy unikać.

- Na szczęście jego święte kości leżą w Rzymie. Jeżeli odświeżysz mi pamięć co do imienia brata, z którym chciałbyś mówić, porozmawiam z nim. Jeśli zechce cię widzieć, udzielę pozwolenia. Jak się z tobą porozumiem?

- Może dla wygody pokręcę się po galerii?

- Nie - szepnął opat. - Ta galeria to bardzo nudne miejsce. Szybko byś zmarkotniał.

- Mógłbym się zdrzemnąć.

- Spanie w ciągu dnia jest niezdrowe. Mógłbyś potem zacząć w nocy lunatykować. Prawdopodobnie poszedłbyś do krypty i potknął się o próg. Nie chciałbym odpowiadać za twoje rany.

- Hm. - Cornelius zagryzł wargę. - Może mógłbym poczekać za murami?

- Tak chyba będzie najlepiej. Zakończmy teraz sprawę. Imię! Jak on się nazywa?

- Chyba najlepiej będzie, jeżeli szepnę ci je do ucha. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie podsłuchuje.

\*\*\*

- Tuppe, zbudź się! - Cornelius gwałtownie potrząsnął przyjacielem.

- Ojej! Oo! Precz! Cześć, Cornelius!

- Miałeś zły sen? Szarpałeś się za pięty.

- Coś się ze mną dzieje. - Tuppe przetarł oczy i usiadł. Cornelius wziął do ręki leżącą na przednim siedzeniu książkę od taty.

- Mam nadzieję, że przeczytałeś ją, zanim zasnąłeś.



- Oczywiście. Niezły stek bzdur. Jak ci poszło w klasztorze? Nie udało ci się wejść, co? - Tuppe zrobił cwana minkę, ale Cornelius go zignorował.

- Wszedłem, ale wyczuwam poważne kłopoty.

- Chcesz chyba powiedzieć „znacznie poważniejsze”. O co chodzi?

Cornelius usiadł za kierownicą.

- Rozmawiałem z „opatem”. Mieszka w pokoju pozbawionym najmniejszego promyczka światła. Czuję zapach świeżej krwi na podłodze.

- Oj żesz!

- Ten opat uważa, że auto da je to spalanie samochodów, a Saint Sacco Benedetto to święty Benedykt.

- Oj żesz, oj żesz!

- Sprawa jednak nie jest jeszcze przegrana. Lewy opat może i nie wie, że auto daje to palenie na stosie heretyków albo ksiąg, ale tak samo nie zna imienia mnicha, który ma manuskrypt.

- Założę się, że mu tego nie powiedziałaś.

- Oczywiście, że nie. Choć bardzo chciał wiedzieć.

- Co mu więc powiedziałaś?

- Falszywe imię, żeby miał się czym zająć, póki nie wymyślimy czegoś mądrego.

- Spryciarz z ciebie, Corneliusie.

- Prawda? - Cornelius wykonał głową kilka ruchów jak tokujący cietrzew. - Tuppe, pęknie z ze śmiechu, kiedy ci powiem, jakie imię podałem fałszywemu opatowi.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Zgadnij!

- Nie mam w tej chwili nastroju do zgadywania.

- Jak chcesz. Powiedziałem mu, że to był, no, no ha ha, brat Tuppe!

- Brat, że co? - Tuppe o mało się nie przewrócił.

- Tuppe. Jaja, co? - Cornelius buchnął śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne, Corneliusie. Wszystko, tylko nie śmieszne.

- Daj spokój. - Cornelius wesoło stuknął swego niskiego przyjaciela łokciem w żebra. - Bardzo śmieszne.

- Wcale nie. Powiedziałeś: „krew na podłodze”, tak? Falszywy opat, tak? A co się stało z prawdziwym? No? Co? - Tuppe przeciągnął palcem po gardle. - I powiedziałeś temu, temu, bo ja wiem komu, że dokumenty ma brat Tuppe?

- Żeby zbić go z tropu. Co ci szkodzi?

- Co mi szkodzi? Co szkodzi? - Cornelius jeszcze nigdy nie widział tak podnieconego Tuppego. - Powiedziałeś, że udało ci się wejść do klasztoru. Prosiłem, żebyś pozwolił mnie tam iść, ale nie, musiało leżeć sam. Corneliusie, tym razem naprawdę dałeś plamę.

- Jak to? Dlaczego?

- Dlatego, że bez trudu mogłem wprowadzić nas do środka. Mam w tym klasztorze wujka. Nie mówiłem o tym, ponieważ chciałem ci zaimponować. Sprawić, żebyś był ze mnie dumny.

- Jest tam twój wujek?

- Tak jest. Brat Tuppe.

15

Wrzaski obudziły Felixa Hendersona McMurda.

Ziewnął. Przeciągnął się i zastanowił, gdzie jest. Jak przez mgłę przypomniało mu się to i owo. Wstał i lekko się zataczając, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Na podwórzu panowało pioruńskie zamieszanie. W tę i w tę biegali mnisi z podkasanymi habitami i lekkim obłędem w oczach. Felix kątem oka ujrzał mężczyznę w stroju górskiego wojownika, który wymachiwał wielkim obosiecznym szkockim mieczem. Wykrzykiwał przy tym: „Gdzie on jest?” i „Dawać go albo biada!”

Felix opadł na ziemię, tam gdzie stał. Już raz widział tego człowieka. Gdzie to było? Na komisaracie! Był jednym z Dzikich Wojowników z Zachodniego Lothian!

McMurdo zaczął gryźć kostki dłoni. Co to mogło znaczyć? Oczywiście - tylko jedno, nie było innego logicznego wyjaśnienia Dziki Wojownik szukał go! Mieszkańcy Sheila na gigh musieli kompletnie oszaleć. Wysłali najemnika, zawodowego mordercę, aby go wyśledził. Nie było się z czego śmiać.

- Powiniennem się natychmiast stąd wydostać - powiedział głośno Felix. - Tylko jak?

W tym momencie przypadek zechciał, że ujrzał ni mniej, ni więcej tylko wiszący na drzwiach celi mnisi habit, i to nawet w odpowiednim rozmiarze.

- Hm, przyda się.

\*\*\*

- Skąd miałem wiedzieć? - Cornelius wyrzucił w górę ręce. - Powinieneś był mi powiedzieć.

- Natychmiast musimy tam jechać. - Tuppe zabębnił piąstkami o deskę rozdzielczą. - Zapalaj!

Wyłamiemy furtę!

- Nie sądzisz, że to nieco drastyczne?

- Drastyczne? Jak sądzisz, kto jest w środku? Co? I właśnie zabiera się do tego, by wydusić co nieco z mojego wujka? No, zgaduj!

- Campbell - cicho mruknął Cornelius. - Choć szeptał, rozpoznałem głos.

- Jak to się dzieje, że ten Campbell jest ciągle krok przed tobą, Corneliusie?

Wysoki młodzieniec wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem.

- Wrzucaj bieg, panie Murphy. Pan Murphy wrzucił bieg.

\*\*\*

Felix Henderson McMurdo nasunął na twarz kaptur, schował ręce w rękawy i szybkim krokiem ruszył korytarzem, wymagającym solidnego remontu.

Ledwie przeszedł kilka metrów, gdy do jego uszu dotarł odgłos maszerujących stóp. Zarówno z prawej, jak i z lewej były drzwi - wybrał prawe, przekręcił klamkę i szybko się schował. Cicho zatrzaskał za sobą drzwi i przycisnął do nich ucho. Maszerujący minęli go i odmaszerowali.

- Phu - westchnął Felix Henderson McMurdo - mało brakowało.

- Czego? - odezwał się głos za jego plecami.

Felix odwrócił się przerażony. Lokator pokoju był niewielki. Miniaturowy mnich. Felixowi przypomniał się kufel w kształcie ludzkiej postaci, który mama trzymała kiedyś na półce w kuchni. Przypomniało mu się także, jak go stłukł.

Mnich stał na wysokim stołku, w rękę trzymał wielki śrubokręt, przed nim na stole znajdowało się jakieś niezwykle skomplikowane urządzenie elektryczne. W całym pokoju było mnóstwo elektronicznego szmelcu. Poupychanego na półkach. Zwalonego na sterty w kątach. Czysty złom.

- Jesteś mechanikiem z Saint Greaves? - spytał maleńki mnich.

- Eee tak. Jak najbardziej - odparł Felix. - Co mam naprawić?

\*\*\*

Cadillac toczył się w dół zbocza ku Saint Sacco Benedetto.

- Szybciej! Szybciej! - darł się Tuppe.

- Nie, nie, nie - powtarzał Cornelius.

- Tak, tak, tak! Musimy dostać się do środka!

- Wiem. Dlatego wychodząc, nie zamknąłem za sobą furty.

\*\*\*

- To magnetofon do karaoke - wyjaśnił maleńki mnich.

- Bez dwóch zdań. - Felix podszedł do stołu i podwinął rękawy.

- Cieszę się, że pan przyjechał. - Maleńki mnich uśmiechnął się od ucha do ucha. - W Saint Greaves obiecali, że przyślą najlepszego człowieka. To pan, prawda?

- Prawdę mówiąc, nie. - Felix obszedł urządzenie.

Uśmiech na twarzy małego mnicha zniknął.

- Kim więc pan jest?

- Ofiarą okoliczności.

- O! - Mały mnich pokiwał z zamyśleniem głową. - To tak, jak ja. - Wyciągnął rękę do Felixa.  
- Cześć, jestem brat Osiem.  
- Hej. A ja Felix.  
- I chyba prawidłowo podejrzewam, że nie masz pojęcia o maszynach do karaoke?  
- Wręcz przeciwnie. - Felix wyciągnął dłonie do stojącego na stole bałaganu. - Wiem o nich wszystko. Poproszę śrubokręt.

\*\*\*

Cornelius i Tuppe zaparkowali samochód w niewidocznym miejscu i ruszyli bojowym szykiem przez wysoką trawę.  
- Nie muszę się czołgać - stwierdził Tuppe, zdejmując z zębów przyklejoną stokrotkę. - Mógłbym iść wyprostowany, a i tak nie będzie mnie widać.  
- Mogli wystawić obserwatorów. - Czołgający się Cornelius wsadził właśnie dłoń w coś obrzydliwego. - Uzbrojonych.  
- Jeżeli trzeba, mogę się czołgać - powiedział ugodowo Tuppe. - Co tak dziwnie pachnie?

\*\*\*

Gabinetu opata nie spowijała już ciemność. Grube kotary zostały rozsunięte, ukazując olbrzymi witraż, którego wulgarność mogła przyprawić o skręt kiszek.

Przedstawiał on kolejnego świątobliwego kulturystę. Na twarzy miał standardową tęskną minę, a wokół bioder regulaminową przepaskę. Rozrywały go dwa ogiery, którym nie brakowało żadnego anatomicznego szczegółu. Stojący wokół widzowie przyglądali się scenie stosownymi do sytuacji szklistymi oczami, większość miała złożone dłonie - choć nie wiadomo, czy się modlili, czy klaskali. Jeden z widzów czytał gazetę, inny głaskał pingwina, co musiało być masońskim symbolem.

Przebijające się przez ten groteskowy obraz światło trafiało do wyjątkowo szkaradnego pomieszczenia. Tak szkaradnego, że nic więcej nie zostanie na jego temat powiedziane.

Na środku pokoju siedział mężczyzna w średnim wieku. Był związany i zakneblowany. Rzeźba jego mięśni mogła zaimponować, a miał na sobie jedynie cienką przepaskę na biodra.

Oczy opata - bo on to był - rzuciły błyskawice w kierunku osobnika, który siedział na jego biurku. Osobnik ów miał na sobie skradziony opatowi służbowy strój i zapalał właśnie jedno z jego najlepszych cygar.

Campbell - bo on to był - uśmiechał się złośliwie. Wiązka promieni światła, której udało się przebić przez rzeczoną szklaną przepaskę na biodrach opata, otaczała jego łysą głowę aureolą.

- Nie chcę pana długo zatrzymywać - odezwał się Campbell, pykając cygaro. - Chcę jedynie dostać te papiery.

- Hmmmgghhh - odparł opat, szamocząc się heroicznym i dramatycznie prezentując kolejne partie swych mięśni.

- Przykro mi, ale nie zrozumiałem. - Campbell wyciągnął rękę i wyjął opatowi knebel.

- Powiedziałem, że jesteś tustodupym łysogłowym małym zasańcem - wyjaśnił opat.

Mnisi zostali spędzeni na podwórzu. Wyglądało na to, że panuje wśród nich spore zamieszanie, zwłaszcza że w środku grupy szalał Hamish. Żądał informacji, gdzie znajduje się niejaki brat Tuppe.

Mnisi robili, co mogli, by mu pomóc, ale większość wypowiedzianych przez nich kwestii brzmiała:

- Brat kto?!!

\*\*\*

- Podpisałem umowę i przynosi to klasztorowi jako taki dochód - wyjaśniał Felkowi brat Osiem. - Kiedyś byłem inżynierem elektronikiem, potrafię więc to i owo naprawić. Cóż, jedynie to i owo. Drobiazgi. Czasami. To jednak - wskazał palcem na rozebraną na kawałki maszynę do karaoke - całkowicie mnie zaskoczyło. Zostało przysłane z Londynu i z załączonej ulotki wynika, że wypadła mu jakaś śrubka.

Felix wbił wzrok w podłogę.

- Wygląda na to, że masz tu takich śrubek więcej.

- Stale wypadają. - Brat Osiem pokręcił pierwszą lepszą gałką i po chwili z maszyny wypadła kolejna śrubka. - Widzisz?  
McMurdo z namysłem skinął głową.  
- Musisz je wyoknować.  
- Powtórz.  
- Wyrzuć je wszystkie za okno.  
- Co? Wszystkie? Musisz się mylić.  
- Nie. To konieczne. Czytałem tę książkę. Uwierz mi, zaraz uruchomię tego łobuza!

\*\*\*

- No, no, no. - Campbell dmuchnął opatowi dymem w twarz. - Nie bądź niekulturalny. Muszę porozmawiać z bratem Tuppem, i to natychmiast!  
- Jak się nazywasz?  
- Campbell.  
- Campbell. - Opat napiął mięśnie piersiowe. - Znałem jakichś Campbelli. Kopulował z owcami i sypali truciznę do studni. Wrzód na obliczu ludz...  
Campbell jednym kopniakiem posłał opata na podłogę. Skoczył na ziemię i stanął nad nim okrakiem. Wyciągnął pistolet i patrzył wzdłuż długiej lufy.  
- Jesteś niezwykle wygadany jak na tak ubogo odzianego i związanego człowieka Co byś powiedział na to, gdybym wziął pistolet i... - Nachylił się opatowi do ucha i wyszeptał mu szczegóły.  
- Hm - stwierdził opat ze smutkiem. - Wchodzę.

\*\*\*

Cornelius przylgnął całym ciałem do klasztornej furty.  
- Osłaniaj mnie, Tuppe. Wchodzę.  
- Osłaniać cię? Czym?

\*\*\*

- Mam wrażenie, że ta dźwignia musi o coś zahaczyć - brat Osiem wyglądał na zagubionego - ale jeszcze nigdy nie spotkałem się z podobną konstrukcją. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy to nie jakiś dowcip. Ta maszyna cała wydaje się być pełna niepotrzebnych śmieci. Są w niej stare, przebite gwoździem piłki tenisowe, słomki do napojów i popatrz na to. - Wskazał na wirującą na obrotowym młynku nakręcaną mysz.  
- Nie wiem, jak to ma funkcjonować.  
- Ale ja wiem - odparł z uśmiechem Felix.  
Naprawdę wiedział.

\*\*\*

Hamish wyjął rewolwer i wymachując nim, chodził tam i z powrotem przed ścianą stłoczonych na podwórku zakapturzonych mnichów.  
Mnisi uważnie go obserwowali. Gdyby pozdejmować im habity, okazałoby się, że każdy mógłby występować w najlepszych na świecie zespołach męskiego striptizu.  
Hamish zatrzymał się i pomachał rewolwerem pod nosem najbliższego z nich.  
- Ilu powinno was być? - spytał.  
- Dwudziestu trzech - odpowiedział z uśmiechem brat Pięć.  
- A ilu was tu jest? - Kiedy kończyły mu się palce, Hamish nie był zbyt mocny w liczeniu. Brat Pięć policzył.  
- Dwudziestu jeden.  
- W takim razie brakuje dwójki.  
- Nie, nie! - Brat Dwa podniósł wspaniale umięśnione ramię. - Jestem tutaj!  
- Co? - Hamish natychmiast do niego podszedł. - Co powiedziałeś?  
- Jestem Dwójka - powiedział brat Dwa.  
- Nie strój sobie ze mnie żartów, cwaniaczku. - Hamish podkreślił to groźną miną.  
- Ależ skądże. - Na pomoc bratu Dwa wstał Pięć. - Dwa mówi prawdę.  
- Dwa, hm, Dwa. - Hamish głupio się rozglądał.

- Tak, Dwa. Nie ma Szóstki.  
- Szóstki? Co to znaczy? Przed chwilą mówiliście, że dwóch  
- I Ósemki - dodał kolejny muskularny mnich. - Gdzieś zniknęła Ósemka.  
- Kto to powiedział? - Hamish gwałtownie się odwrócił.  
- Siódemka. - Brat Siedem podniósł rękę.  
- Siódemka? Przecież powiedziałeś przed chwilą „ósemka”.  
- Brak dwóch braci. Sześć i Osiem - powiedział brat Dwa i wszyscy mnisi zaczęli potakująco kiwać głowami.  
- Sześć i osiem. - Hamish zginał i prostował swe paluchy. - To znaczy... to znaczy piętnaście.  
- Czternaście - poprawił brat Dwa. - Czternaście!!  
- Ktoś mnie wołał? - spytał brat Czternaście. - Jeżeli coś ode mnie chcecie, musicie mówić trochę głośniej. Jestem nieco przygłuchawy.

\*\*\*

- Mam wrażenie - Campbell poprawił ubranie, wykonawszy czynności, o których nie wypada tu mówić - że nie zostałem zrozumiany.  
- Oj, zostałeś, zostałeś!  
- Chcę brata Tuppego.  
- A co on ma, czego ja nie mam?  
- Bardzo możliwe, że perspektywę życia dłużej niż pięć sekund. - Campbell zarepetował kurek i przytknął lufę opatowi do czoła. - Słuchaj - kontynuował - podczas gdy byłeś zamknięty w szafce na naczynia...  
- Co nawet mi się podobało.  
- Zamknij się! Kiedy byłeś zamknięty w szafce na naczynia, bez wątpienia słyszałeś, co miał do powiedzenia pan Murphy. Miał rację, jeśli chodzi o pirotechnikę. Nie będę się długo zastanawiać.

Campbell strzelił palcami i natychmiast spomiędzy nich buchnął płomień.

- Jak to zrobiłeś?  
- Nie twoja sprawa. Dawaj brata Tuppego albo strzelam ci w łeb i palę klasztor!  
- Nie wolałbyś zamiast tego trochę mnie potorturować i w ten sposób wydobyć potrzebne ci informacje?  
- Nie, cholera jasna, nie! - Campbell pokręcił swoją łysą pałą. W kilku miejscach głowy skóra drgnęła i wybrzuszyła się, tworząc dziwaczne grudki i narośle. Twarz zadziwiająco się wydłużyła. - Dajesz brata Tuppego albo koniec z tobą! Basta!

Opat zastanawiał się.

- No dobrze - powiedział w końcu nadąsany. - Brat Tuppe jest najprawdopodobniej w swoim warsztacie. Z podwórza schodami w górę i pierwsze drzwi na lewo. Gdybyś jednak chciał potem wpaść, moglibyśmy otworzyć butelkę beaujolais i...

\*\*\*

U szczytu schodów z podwórza, za pierwszymi drzwiami na lewo, brat Sześć przyglądał się pracującemu Felixowi.

- Na pewno wiesz, co robisz?

- Oczywiście. Umocowałem na nowo transponder i cewki indukcyjne. Oczyszczyłem główny cylinder i przerywacze obwodu w kolektorze impulsów przyszłościowych. Przyspieszacz cząstek powinien działać następne sto lat, pod warunkiem, że nie przekroczy się dopuszczalnej granicy potencjału elektrostatycznego, czyli piętnastu milionów woltów. O, dodałem też mechanizm nakręcanej myszki. Tak więc potrzebujemy już tylko nowego bezpiecznika.

- Jeju - stwierdził z uznaniem brat Osiem. - Naprawdę znasz się na maszynach do karaoke.

- Tak, tę znam dość dobrze. Zbudował ją mój tata.

\*\*\*

Cornelius pełzł wzdłuż ściany obrzydliwej galerii w kierunku gabinetu opata. Tuppe posuwał się tuż za nim.

- Straszliwa galeria - stwierdził Tuppe, patrząc na obrazy. - Dlaczego tylu męczenników ginęło nago.

- Szkoda, że nie mamy dobrej grubej lagi.

- Ciii!

- Co chcesz powiedzieć tym „ciii”?

- Nic, bo to nie ja powiedziałem.

\*\*\*

Campbell mocował się z oknem w gabinecie opata.

- Musisz poruszać tą gałką - poradził opat. - Ciągłe się zacina.

Campbell cofnął się, uniósł pistolet i światu sztuki sakralnej oddał wielką przysługę.

Kawałki witrażu posypały się na podwórzec.

Zamilkła zagorzała dyskusja natury numerologicznej i wszystkie głowy skierowały się na sprawcę zniszczenia świątobliwych szyb.

- Hamish! - wrzasnął Campbell. - Schodami w górę i pierwsze drzwi na lewo!

- Kto?

- Pierwsze drzwi na lewo? - Brat Dwa chwilę pomyślał. - Tam będzie Ósemka.

- Jeśli jest ich ośmiu, mogę potrzebować pomocy - warknął pod nosem Hamish.

\*\*\*

- Jak to, więc tę maszynę zbudował twój tata? - Brat Osiem patrzył, jak Felix sprawnie mocuje przód obudowy maszyny do karaoke.

- Trzydzieści lat temu, niemal co do dnia. - Felix wziął do ręki kilka śrubek i dokręcił obudowę. Te, które zostały mu w ręku, wyrzucił za siebie. Łatwiej było to zrobić, niż powiedzieć. - Na długo przed moim przyjściem na świat, ale mam plany, z których korzystał. Popatrz. - Splunął na palec i potarł nim znajdującą się u podstawy maszyny brudną plakietkę.

Brat Osiem uważnie się przyjrzał i przeczytał:

- Współspiewaczka McMurdy. Pat zgłosz. Pat Zgłosz? Wspólnik twojego ojca?

Felix przez moment zastanawiał się, czy miał to być dowcip.

- Byłeś dobrym inżynierem? - spytał w końcu.

- Nie bardzo. - Brat Osiem zwiesił główkę. - Mam kurzą ślepotę. Przewody z poprzecznymi paseczkami nie sprawiały mi kłopotów, ale pozostałe...

Felix skrzywił się.

- Tak, nietrudno to sobie wyobrazić. W każdym razie tę maszynę zbudował mój tata. To prototyp. Nie mam pojęcia, jak tu trafiła. Zawsze sądziłem, że została zniszczona na skutek wybuchu.

- Proszę! - Brat Osiem zakrył dłońmi uszy. - Nie wymawiaj więcej tego słowa!

- Przepraszam. Przeżyłeś jeden czy dwa, prawda?

- Tak. A może jeszcze więcej. Dlatego zostałem mnichem. Jeżeli jednak nie sprawia ci to różnicy, wolałbym o tym nie mówić.

Felixowi nie sprawiało to różnicy.

- Miał miejsce w jego szopie.

- W jego szopie? Co?

- No wiesz, to, o czym mam nie mówić. Mama kazała mu zbudować szopę daleko od domu, bo jego wynalazki czasami kończyły się nie tak, jak trzeba.

- Jak bardzo nie tak? - Brat Osiem choć zapytał, nie był do końca pewien, czy chce wiedzieć.

- Dziennikarze znacznie przesadzili.

- Wysadzili mu szopę?

- Nie. Wysadził ją reaktor ze statku kosmicznego.

- Statku kosmicznego? Jakiego statku kosmicznego?

- Tego, który budował, aby Szkocja została pierwszym krajem, którego obywatel postawi nogę na Księżycu. Szkoci zawsze i wszędzie byli pierwsi. Słyną z tego na całym świecie. To tradycja albo stary przywilej, czy coś w tym stylu. Szkoci wymyślili telewizję, poduszkowiec i maszynę parową. Pierwszym człowiekiem na biegunie południowym też był Szkot.

- SCOTT - poprawił brat Osiem. - Scott.

- No, przecież mówię.

- Nie, powiedziałeś... Nieważne. Wróćmy do sedna. Twój tata zbudował w szopie reaktor jądro-  
drowy, który miał napędzać statek kosmiczny.
- Tak jest, żeby umieścić Szkota na Księżycu. Na pewno pamiętasz „wyścig kosmiczny”.
- Pamiętam, ale to dotyczyło Amerykanów i Rosjan. Felix pokręcił głową.
- Błąd. Ten wyścig toczył się między moim tatą a panem Patelem, który prowadzi sklep na  
rogu.
- Panem Patelem? Który prowadzi sklep na rogu?
- Znasz go?
- Nie. - Brat Osiem był coraz bardziej zdezorientowany. - Nigdy o nim nie słyszałem.
- Polubiłbyś go. - Felix przedramieniem szturchnął pieszczotliwie maszynę do karaoke. - Bar-  
dzo miły jegomość.
- Też budował statek kosmiczny?
- Przecież mówiłem. Rozumiesz więc, dlaczego tata chciał dostać się na Księżyc pierwszy.
- Nno, to znaczy, eee...
- Tata był fanatycznym kibicem Rangersów.
- No i?
- Rangersów, rozumiesz. Pan Patel jest kibicem Celticu.

\*\*\*

- To ja powiedziałem „ciiii”.
- To on powiedział „ciiii”. - Tuppe ścisnął Corneliusa za kolano. - Ciii, powiedział „ciiii”.
- Kto powiedział „ciiii”? - spytał Cornelius.
- Tutaj. - Zza krzywej kolumny wydobyła się chmura błękitnego dymu.
- Numer Sześć, to ty?
- Numer Sześć? - Tuppe uniósł głowę i popatrzył na Corneliusa. Cornelius opuścił głowę i po-  
patrzył na Tuppego.
- Nie wymieniaj tego imienia.
- Tutaj, nuncjuszu papieski, Murphy. Dzieje się coś okropnego.
- Nuncjuszu papieski?
- Cicho, Tuppe. To jeden z białych charakterów.
- Tuppe? - Brat Sześć wyjrzał zza kolumny. - Czy to brat Tuppe?
- Jego bratanek. - Cornelius przedstawił ich sobie. - Bracie Sześć, poznaj kardynała Tuppego.  
Apostoła Świętego Tronu. Przybywa jako kontroler.
- Brat Sześć skłonił się nisko.
- To zaszczyt poznać Was, Eminencjo.
- Niech cię bóg błogosławi, mój synu. - Tuppe zrobił znak pokoju. - Czy to prawda z tymi nie-  
pokojami?
- Terrorysty. Widziałem ich zdjęcia w gazecie. Dzicy Wojownicy z Zachodniego Lothian.
- Cornelius i Tuppe, gdyby startowali w tej chwili w konkursie ponurych min, podzieliliby się  
pierwszą nagrodą. Brat Sześć mówił dalej.
- Jeden z nich trzyma opata jako zakładnika. Zajrzałem do gabinetu przez dziurkę od klucza.  
Eminencjo, szukają wuja Eminencji. Podśluchiwałem, o czym rozmawiali, ale kiedy padł strzał,  
schowałem się.
- Bardzo mądrze, mój synu. - Tuppe skinął głową. - Gdzie trzymacie kije?
- Na dole w zbrojowni. Razem z resztą broni.

\*\*\*

- Przykro mi - Brat Osiem podrapał się po tonsurze. (Miał tonsurę świętego Michała, czyli kró-  
ciutko obcięte włosy z wygolonym na potylicy stylizowanym kształtem męskich slipów) - ale nie  
nadażam.
- Pozwól mi wyjaśnić. - Felix włożył nowy bezpiecznik i wsadził wtyczkę do gniazdka w ścia-  
nie. - Mój tata był zwolennikiem niejakiego Hugona Rune’a. Geniusza nauki. Wynalazł na nowo  
okarynę. Nienawidził Buda Abbotta. Einstein wszystkiego nauczył się od niego.
- Bud Abbott nauczył wszystkiego Einsteina?
- Rune! Rune uczył Einsteina.

- O!

- Pomijając to, że Einstein wszystko pokręcił. Wydawało mu się, że wszechświat jest bardzo skomplikowany.

- A nie jest?

- Nie. - Felix pokręcił głową. - Według Rune'a nie. Rune twierdził, że to ludzie próbują go skomplikować, aby udowodnić, jacy są mądrzy. Zdejmowałaś kiedyś tylną ściankę z radia tranzystorowego?

- Oczywiście. Przecież byłem inżynierem elektronikiem.

- A pojąłeś, jak działa?

- Nie do końca.

- Bo nie działa. Nie tak, jak się uważa. Nie działa naprawdę.

- Rozumiem. - Brat Osiem zaczynał żalować, że nigdy nie zamyka zamków w drzwiach.

- Słyszałeś kiedyś o odbiorniku kryształkowym?

- Długo to potrwa? Słyszałem na korytarzu kroki, ktoś jest chyba pod drzwiami.

- Rune stworzył odbiornik kryształkowy, bo założył się z Marconim. To kolejni Szkot.

- Marconi? Szkotem?

- McOni. Tak się prawidłowo wymawiało jego nazwisko. McOni miał obsesję na punkcie wielkich lamp, cewek i tak dalej. Rune uważał, że to blichtr, założył się więc z McOnim, że skonstruuje odbiornik fal radiowych z tego, co znajdzie w najbliższym koszu na śmieci.

- A przypadkiem były tam kocie wąsy, kawałek kryształu i...

- Znasz tę historię? W takim razie wiesz, jak się skończyła. Rune ze śmiechem zostawił sławnego Szkota gryzącego ze złości siwą brodę.

- Dziwne tylko, że dziś nie widuje się wielu odbiorników kryształkowych.

- Widuje się. Tyle tylko, że dziś nazywają się „tranzystorowe”.

- Przepraszam, ale skończ o reaktorze jądrowym. Tym, który... no wiesz. - Osiem zakreślił dłońmi kształt grzyba.

- Właśnie do tego zmierzam. Zimna fuzja. Rune ją wymyślił. Może napędzać wszystko, statki kosmiczne, wszystko. Trzeba wziąć kilka starych piłek tenisowych, parę gwoździ, słomek do napojów, nakręcaną mysz i kołowrotek, w którym mogłaby biegać. No tak, skończyłem. Włączmy i zobaczymy, co się stanie. Felix wyciągnął rękę do włącznika.

\*\*\*

Tuppe, Cornelius i brat Sześć stali przed wielkimi, błyszczącymi stalowymi drzwiami. Brat Sześć wystukał szyfr na cyfrowym panelu, charakterystycznym dla wszelkich sejfów i krypt. Każda cyferka po naciśnięciu odzywa się innym dźwiękiem. Kombinacja, którą wystukał brat Sześć, odegrała melodię *Godzina nadeszła*.

Drzwi odskoczyły w bok i brat Sześć wszedł pierwszy.

Cornelius zrobił pół kroku do przodu. Tuppe wetknął jedynie głowę.

- Broń! - jęknął Cornelius.

- Broń - potaknął brat Sześć. - Standardowe watykańskie wyposażenie. Każdy klasztor jest uzbrojony i zawsze tak było. Nasz ma tylko lekką broń taktyczną, jezuici trzymają jądrową. Ale przecież doskonale o tym wiecie.

- Oczywiście. - Cornelius krył, jak mógł, zaskoczenie.

- Wszystko jest w świetnym stanie. Co poniedziałek mamy przegląd. Coś szczególnie przypadło wam do gustu?

Cornelius wodził wzrokiem po arsenale. Dziewięciomilimetrowe uzi. Czterdziestkapiątka z bardzo długą lufą i celownikiem laserowym. Chain Gun EX-34, czyli lotniczy karabin maszynowy z napędem elektrycznym. M249 Squad Automatic kaliber 5,56 mm. Winchester z pneumatycznym mechanizmem samopowtarzania.

- Przecież znacie naszą broń. Co bierzecie? - spytał brat Sześć.

- Wszystko - odparł Cornelius.

- Nie ma derringerów? - chciał wiedzieć Tuppe.

\*\*\*



Wybuch wyrwał drzwi pracowni. Do środka wleciały poszarpane kawałki drewna. Felix i brat Osiem patrzyli przerażeni i bladzi. Dym z wrzuconego do środka granatu powoli się rozrzedzał, ukazując Hamisha i Sawneya.

Obaj byli uzbrojeni.

Hamish zrobił dwa kroki do przodu i zamachał tym, co trzymał w rękach.

- Brat Tuppe? Który z was to brat Tuppe? Felix szybko naciągnął kaptur na twarz.

- Ja. Ja jestem brat Tuppe.

\*\*\*

Cornelius skończył właśnie owijać się pasami pełnymi naboje i włożył magazynek do AK-47. Tuppe obserwował przedstawienie z lekkim zdziwieniem.

- Co ty robisz?

- Ratuje dzień.

- Corneliusie, przecież nie umiesz się posługiwać taką bronią. W ogóle nie umiesz posługiwać się bronią.

- Wszystko robi się kiedyś pierwszy raz. - Cornelius skończył wtykać naboje w kolbę długolufej czterdziestkopiątki i wsunął sobie pistolet za pasek.

- Pozostawmy to numerowi Sześć. Jest przeszkolony i tak dalej.

- To moje zadanie.

- Moje zadanie naprawdę nie jest śmieszne.

- Strzelba na plazmę fazową, mniej więcej czterdziestowatową - poinformował brat Sześć. - Właśnie je przywieźli. Załatwią wszystko, jak należy. - Wsunął do niezwyklej półarmaty nabój wielkości puski fasoli, zatrasnął ją i podał Corneliusowi.

- Wróć na ziemię! - Tuppe podskakiwał jak piłeczka.

- Idziemy! - Cornelius mocno ścisnął w dłoniach plazmową strzelbę.

- Zginjemy.

Wysoki młodzieniec odwrócił się do swojego niedużego przyjaciela.

- Słuchaj, zamierzam uratować twojego wuja, oczywiście, jeżeli nie jest jeszcze za późno. Jeżeli nie czujesz się na siłach pomóc, rozumiem. Możesz poczekać na dole.

- I dać ci okazję powiedzieć „Wkrótce wrócę”? - Tuppe gwałtownie pokręcił głową. - Nie ma mowy. Gdzie te derringery?

\*\*\*

Wyprowadzono Felixa z pracowni. Poprowadzono schodami w dół. Przeciągnięto siłą przez podwórzec. Przewleczono przez galerię. Wepchnięto do gabinetu opata. Teraz leżał na podłodze jak kupka nieszczęścia. Posiniaczony i zamroczony.

Jakiś tajemniczy szósty zmysł powiedział mu, że najprawdopodobniej postanowił udawać niewłaściwego brata. Zastanawiał się intensywnie, dokąd go to wszystko zaprowadzi.

Nagle poczuł silny uścisk Campbella. Oprawca uniósł go w górę i posadził na pustym krześle opata.

Felix najlepiej jak umiał, zasłaniał twarz.

- Bracie Tuppe - zaczął Campbell, postukując Felixa pistoletem w głowę. - Wreszcie się spotkaliśmy.

- Aua! - odparł Felix.

- Dokumenty. Chcę dostać dokumenty, i to już! Tajemniczy szósty zmysł powiedział Felixowi, że pytanie, „Jakie dokumenty?” najprawdopodobniej sprowadzi na jego głowę kolejne stuknięcie pistoletem.

- Aha. Dokumenty - odpowiedział więc. - Rzeczywiście.

- No więc?

„No więc co dalej?” - Przeszło Felixowi przez głowę. Powiedział jednak:

- Może byłby pan uprzejmy określić je bliżej. Mam tyle dokumentów. - Skulił się, ale nie wiadomo dlaczego, stuknięcie nie nastąpiło.

- Manuskrypt Hugona Rune'a - szepnął mu Campbell prosto w ucho.

- Aha! W takim razie mogę służyć.

- Wspaniale. To znakomicie. - Campbell niedbale trącił opata czubkiem buta. - Słyszysz?

Felix spojrział w dół na opata.

„Cóż to za miłośnik bycia wiązany w cienkiej przepasce na biodra?” - zapytał zdumiony samego siebie. Opat spojrział w górę na Felixa. „Cóż to za dziwaczny mnich?” - zadał sobie pytanie.

\*\*\*

Brat Sześć prowadził. Paradował w kamizelce kuloodpornej typu Los Angeles i - jak John Wesley Harding - kroczył, „mając w każdym ręku broń”. Za nim szedł Cornelius nieco przeciążony militarnym osprzętem, niepewnie się chwiejąc. Dwa kroki za Corneliusem podążał Tuppe. Był nieco zaniepokojony sposobem, w jaki jego przyjaciel zataczał się z boku na bok. Za Tuppem sunął jego enigmatyczny cień. Podskakiwał bezgłośnie stopień po stopniu, wił się jednak i skręcał w niezbyt przyjemny dla oka sposób.

\*\*\*

- A teraz - powiedział Campbell, wypuszczając chmurę dymu ku sufitowi, który wysklepiał się nie ku górze, lecz ku dołowi - dokumenty!

- Dokumenty - mruknął Felix. - Oczywiście.

- Gdzie są?

- W walizce.

- Która gdzie leży?

- Na górnej półce szafy.

- A szafa gdzie jest?

- W domku mojej mamy.

- A gdzie jest domek twojej przeklętej mamy?!! Tajemniczy szósty zmysł ostrzegł Felixa, że powinien odpowiedzieć na to pytanie bardzo dokładnie.

- Sheila na gigh, Ragnarok Terrace dwadzieścia trzy.

- W Sheila na gigh? W zakichanym Sheila na gigh?!!

Felix najlepiej jak umiał, zasłonił głowę.

- Naprawdę! Plany i cała reszta. Rzeczy taty. Nie bij znowu!

- W cholernym Sheila na gigh! - Campbell wrzeszczał i kręcił się po pokoju. Kopnął biurko opata. Kopnął regał z książkami opata. Dla równowagi kopnął opata. W końcu odwrócił się do Felixa. - Słuchaj ty! - Wyszarpnął kulącego się McMurde z fotela. - Idziesz ze mną. Hamish!

Hamish, który cichutko siedział w kącie i dłubał w nosie, zeszytniał.

- Tak, panie?

- Hamish, idź na dół i powiedz Angusowi, że nie musi już pilnować mnichów.

- Tak, panie.

- Niech wszystkich zastrzeli.

- Sekundeczkę - wtrącił opat.

- Zamknij się! - Campbell kopnął go, aż huknęło. - Potem, jeśli macie ochotę, możecie z Angusem spać klasztor.

- Dzięki. Sprawi mi to ogromną przyjemność.

- Gdzie Sawney?

- Tu jestem, panie.

- Aha, jesteś. Idź przed klasztor i puść parę serii w Corneliusa Murphy'ego. Już nam nie będzie potrzebny.

Hamish i Sawney przecisnęli się przez maleńkie wejście do gabinetu opata i znaleźli się w galerii. Ich sylwetki były doskonale widoczne przez supernowoczesne makroskopowe czterdziestowatowe laserowe urządzenie celownicze strzelby, którą posiadał Murphy.

- Moglibyście podnieść ręce? - spytał Cornelius z cienia za krzywą kolumną.

- Kto to powiedział? - Hamish odwiódł kurek rewolweru.

- Rzućcie broń! Jesteście otoczeni! - Wykonywany przez Tuppego numer „głos komendanta policji przez megafon” był przekonujący, nawet bez termosu.

- Kto to powiedział? - Sawney wyciągnął rewolwer i też naciągnął kurek.

- Powtórz - szepnął Cornelius.

- Wychodźcie z podniesionymi rękoma!

- Nigdy! - Hamish strzelił do ukrytego policjanta. Kiedy kula nadlatywała, Tuppe jeszcze bardziej przycisnął się do podłogi. Pocisk odbił się od kolumny i musnął jeden ze wspaniałych obrazów. Święty Sebastian zniósł to po męsku.

Hamish popatrzył na przestreloną cienką przepaskę na jego biodrach.

- O rany - parsknął.

- CCCorneliusie tten wariat właśnie do mnie strzelił.

- Zaraz to załatwimy. - Cornelius odchylił osłonę przycisku odpalania. - Nie wychodź zza kolumny i pozostaw to mnie.

- No tak, to twoje zadanie. Pamiętam.

- Rzućcie broń! - zawołał Cornelius. - To ostatnie ostrzeżenie! Obaj Dzicy Wojownicy kazali mu się wypchać i pokrećli jedynie zadkami.

- Jak chcecie. Sami się prosiliście. - Cornelius śmiało wyszedł z cienia. Jego sylwetkę oświetlił promień światła i stworzył obraz będący uosobieniem bohaterstwa. Cornelius wycelował potężną strzelbę i nacisnął spust.

Z lufy z rykiem wyleciała kula niebieskiego ognia. Odrzut zwałił Corneliusa z nóg. Tuż nad żółtymi drzwiczkami prowadzącymi do gabinetu opata odpadł kawał muru niemal metrowej średnicy. Eksplozja regału w gabinecie spowodowała, że na Felixa, opata i Campbella spadł grad stuletnich tomów.

- Co to?! O cholera! - Campbell skakał w chmurze dymu jak wariat Z jego gardzieli wydobywały się charczące odgłosy, a już i tak naruszona poważnie głowa zaczęła pulsować i wybrzuszać się. Z brwi wyskoczyły mu dziwaczne cienkie witki, które były wokół jak oszalałe.

\*\*\*

Od płonących ksiąg zapaliły się zasłony. Opat wił się po podłodze, próbując zrzucić pęta. Felix przyjął pozycję embrionalną.

- Orajusie! - Dzicy Wojownicy wbijali głupkowaty wzrok w dziurę w ścianie. - Co to za karabin?

- Wstawaj! Na nogi! - krzyczał Tuppe na Corneliusa. - Na pewno ich przestraszyłeś.

- Mam chyba pęknięty staw barkowy.

Brat Sześć, który dotychczas nie za bardzo się wtrącał, rzucił na podłogę niedopałek i przydeptał go obcasem.

- Mam im przyłożyć? - spytał, sięgając po półarmatę.

- Dziękuję, poradzę sobie. - Cornelius wstał z trudem. - Ręce do góry! Gdzie oni są?

Tuppe rozejrzał się - galerię zaczął wypełniać gęsty dym.

- Chyba się chowają. Tchórzliwe śmiecie!

- Wyłączcie albo... - Cornelius zrobił gest naciskania spustu. W tej broni spust był bardzo delikatny i z lufy wystrzeliła kolejna kula ognia. Cornelius poleciał do tyłu i wpadł na brata Sześć.

Rozległa się potężna eksplozja i kolejny kawał muru rozpadł się na atomy.

- Zginiemy. - Tuppe przeżegnał się.

- Nigdy! Mamy przewagę ogniową. Pomóż mi, proszę, wstać. Tuppe podniósł go.

- Zaplątałem się - jęknął brat Sześć.

Dziwny, przerażający Campbell zerwał płonące zasłony i wyszedł z płomieni.

- Co tu się dzieje? - warknął. - Kto to zrobił?

Od najwcześniejszego dzieciństwa Felix uczył się, że najodpowiedniejszą odpowiedzią na takie pytanie jest „To nie ja!”

- To nie ja - jęknął.

- Wiem, że nie ty. - Campbell złapał kulącego się Felixa za kark i postawił go na nogi. Kaptur zsunął się i wbili w siebie wzrok.

- Ty! - Zaskoczony Campbell zatoczył się do tyłu. - Znam cię!

- Blee! - Felix był przerażony. - Z czachy wyrastają ci wypustki!

Na podwórku mnisi próbowali domyślić się przyczyn całego zamieszania i pomrukiwali między sobą. Co to za łomoty? Skąd ten dym?

Angus natomiast zachowywał się z pełną dystansu obojętnością. Uważał za nieroztropne włączanie się do działania, spodziewając się niezdrowych tego konsekwencji. Wyrażał to bardzo prostym sformułowaniem:

- Trzymać się z dala albo was porozwalam.

Cornelius parł do przodu z przygotowaną do strzału wielką strzelbą. Brat Sześć szedł tuż za nim, tuż za bratem Sześć Tuppe. Tuppe wyciągnął derringera. Oczywiście nie zamierzał z niego strzelać.

W Hamishu pozostało jeszcze nieco zapалу do walki i znów wystrzelił.

Cornelius odpowiedział tym samym.

Dwie krzywe kolumny, podpierające sufit, przewróciły się. W dół posypał się kawał sufitu.

Kiedy zapadła się pod nim podłoga, znajdujący się na górze brat Osiem zdążył jedynie zawołać:

- O mój Boże. - Jedną ręką ścisnął stół, na którym siedział, drugą wpijał w stół roboczy. Palce nieco się przesunęły i nacisnął na klawisz uruchamiający współpiewaczkę McMurdy.

- Mmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm - odezwała się maszyna do karaoke na rozgrzewkę.

- Onieeeeeeeeeeeeeeeee - jęknął brat Osiem, padając na ziemię.

Nad przerażonym Felixem zawisł jak góra Campbell. Były Dziki Wojownik coraz mniej przypominał człowieka.

Odbywały się niezwykle przemiany.

Oczy Campbella powiększyły się. Stały się sferyczne. Przemieniły się w dwie małe kule ziemskie i zaczęły kręcić w przeciwnych kierunkach.

Nozdrza Campbella rozdęły się. Stały się podwójnym tunelem. Z lewego otworu wyjechał miniaturowy niebieski pociąg, zrobił TUTTU i zniknął w prawym.

Rozwarły się usta. Rozwinął się cienki jak papier język. Na końcu miał pióro. Pióro połączotało McMurda w nos. Niewidzialna syrena zrobiła UUU!

Wszystkich zaczęło obejmować przerażenie. Felix nie mógł się napatrzeć.

Wypustki, które wystawały z okolic brwi Campbella, czy co to było, splotły się w stożek. Przemienił się on w srebrny kapelusik. Na jego czubku pojawił się różowy pompon.

Campbell podniósł to, co mogło być prawą ręką. Teraz zwiślała w tym miejscu potężna kiść bananów. Wyciągnął ją ku Felixowi. Skóra na dłoni wydzielala ektoplazmatyczną pianę, która zastygła w zgrabny krążek, a ten przemienił się w tekturową tackę.

Tacka zafalowała, pojawił się na niej biszkopt. W biszkopcie gotowało się i pieniało. Wypłynęła masa i przemieniła się w papkę z jajek, mleka, cukru, mąki kukurydzianej, soli, naturalnego aromatu, stabilizatora (E415) i środka zapobiegającego brylowaceniowi (E341).

Nabrała konsystencji kremu.

Campbell trzymał na wyciągniętym ramieniu ciasto z kremem. Zamachnął się i walnął Felixą prosto w twarz.

- Onieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee! - ciągnął brat Osiem.

- WghiriTnmnmTinnTirinh! - zawarczeli Hamish i Sawney, gdy spadł na nich grad listew i tynku, przegniłych desek podłogowych, ceglanego pyłu i innych śmieci. Po chwili dostali jeszcze na łby premię - popsute tostery, radia tranzystorowe, miksery, przyłóżkowe zaparzacze do herbaty (co się z nimi stało?), pół miliona drobnych śrubek i miniaturowego mnicha.

- Rany! - zawył Cornelius, niewidoczny w kłębach kurzu.

- Mmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm - ciągnęła stojąca na górze maszyna do karaoke, która rozgrzewała się coraz bardziej.

Dla Angusa było to zbyt wiele. Jako człowiek czynu musiał zacząć działać. Bycie odstawionym na boczny tor i zagrożenie bronią hordzie nudnych mnichów nie satysfakcjonowało go w najmniejszym stopniu. Skierował rewolwer w sam środek zamieszania.

Widząc w tym pewną szansę, trzech muskularnych mnichów natychmiast przewróciło go i usiadło na nim.

Cornelius zakasłał i zakrył sobie usta. Wytrząsnął z włosów pył. Zrzucił z ramion kilka listew. Rzucił na bok półarmatę. Wyszarpnął zza paska długolufą czterdziestkępiątkę, dramatycznie wyciągnął pistolet przed siebie i nogą odtrącił na bok kilka śmieci.

- Wyprowadź ich i aresztuj! - rozkazał bratu Sześć. - Tuppe, gdzie jesteś? Nic ci się nie stało?

- Chyba nie - odpowiedział duet identycznych głosików.

- Sprytne. - Cornelius z uznaniem kiwnął głową. - To nawet lepsze od „komendanta policji przez megafon”. Świetnie, idziemy. - Cornelius kopnął żółte drzwiczki do gabinetu opata, wskoczył

do środka i trzymając oburącz dłoń, ryknął: - Nikt się nie rusza! - Kiedy udało mu się zatrzymać, dodał: - Cudownie.

Choć w zdewastowanym gabinecie kłębił się jeszcze dym, wpadające przez dziurę po witrażu światło ukazywało scenę, która mogła zainteresować.

Zwłaszcza ambitnego studenta sztuk pięknych, przedstawiała bowiem trzy książkowe przykłady dzieł pochodzących z całkiem odmiennych, wręcz przeciwnych sobie szkół, a ustawionych w sposób zapraszający do dyskusji porównawczej.

Cornelius na początek przyjrzał się opatowi. Delektował się przez chwilę delikatnym światłowieniem, tworzonym przez promienie słońca, grające na pięknie umięśnionym torsie półleżącego nagiego człowieka. Widok ten natychmiast przywoływał mu na myśl legendarnego Michelangela da Caravaggia w szczytowej formie.

Całkowitym przeciwieństwem opata był Felix Henderson McMuido.

Stał nieruchomo, ubrany w mnisi strój. Ciasto z kremem znajdowało się w dalszym ciągu na środku jego uśmiechniętej głupkowato gęby.

Bez najmniejszej wątpliwości obiekt dla miłośników surrealizmu.

Cornelius miał wrażenie, że rozpoznaje w tym dziele wpływy Maxa Ernsta i Salvadora Dalego, zmieszane z odrobiną swawolnego heretyckiego humoru Clovisa Troulliego.

Trzecie dzieło nie było w ogóle w guście Corneliusa.

Był to jeden z tych pretensjonalnych, robionych na zamówienie gniotów, które wyglądają, jak by zostały ulepione z dawno przeterminowanych produktów żywnościowych. Przerysowana parodia ludzkiej postaci. Głowa zrobiona ze spleśniałego arbuza, reszta z resztek owoców, wyrzucanych po zamykaniu targów.

Łagodna bryza przywiała do nozdrzy Corneliusa Murphy'ego odór pomnika. Nasz bohater poczuł konieczność natychmiastowego zatkania sobie nosa. Pomyślał też, że twórca „dzieła” musiał w latach sześćdziesiątych brać za dużo LSD.

- Blee! - wydusił z siebie Cornelius.

- Nie stój i nie bleeeaj, młody człowieku - odezwał się Caravaggio, obracając się nagle na podłodze. - Zastrzel to!

- Uaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! - zawołał pretensjonalny, zrobiony na zamówienie gniot, nabierając w niepokojący sposób życia.

Rozpadł się na swoje składowe części, które natychmiast wystrzeliły w kierunku Corneliusa. W poprzek gabinetu poleciał strumień spleśniałych owoców, stęchłe ciasta i paszteciki, gnijące sery, zżerane przez robactwo warzywa i inne obrzydliwości.

Cornelius schylił się, zbyt zaskoczony, aby posłużyć się bronią. Strumień psującej się żywności przeleciał mu nad głową, zakręcił i zaczął wylatywać przez otwarte drzwi.

- Nie pozwól temu uciec! - krzyczał szarpiący się opat. - Biegnij za tym! Zastrzel! Zastrzel!

Cornelius skoczył na nogi. Wyprysnął na korytarz. Potknął się o Tuppego i runął na podłogę.

Kiedy odzyskał przytomność, przypomniał sobie, że ostatnią rzeczą, jaką widział, był lecący galerią w kierunku furty klasztoru strumień niejadalnych świństw w stanie płynnym. Ostatnie co usłyszał, to zawsze rozpoznawalna trzykordowa fraza Status Quo, rozlegające się przez dziurę w suficie i tekst mówiący o trzydziestu pięciu szczęśliwych wspólnych latach.

Parki, które decydują o tym, co i komu się przydarza, z takim entuzjazmem przyczepiły się do Corneliusa Murphy'ego, że zapomniały o jego ojcu.

Murphy senior przez większą część dnia siedział przed szopą w ogrodzie i nie przytrafiło mu się nic, co odbiegałoby od przeciętności.

- Nie rozumiem - mówił. - Byłem dość mocno przekonany, że przeznaczenie w swym kolektywnym rozumie coś dla mnie na dziś przygotowało, ale najwyraźniej się myliłem.

- Na to wygląda - odparł Charlie, bliski przyjaciel taty. - Choć i ja miałem pewne przeczucie.

- Nie zawsze można ufać przeczuciu, a fakty są faktami - westchnął z głębi serca tata i pogrzebał chwilę grabkami w zapyłonej ziemi.

- Niektóre dni skazują nas na nudę. - Głos doleciał ze starej konewki zwanej Borysem.

Tata ziewnął i podrapał się po odzianej w tweed nodze.

- Mimo to dzień jest przyjemny.

Konewka pozostała przy własnym zdaniu. Szpadel Charlie stwierdził:

- Może jeszcze coś się wydarzy.

Ponieważ zbliżała się siódma wieczór i robiło się chłodno, tata pozbierał przyjaciół i poukładał ich na regałach w szopie.

- No to do jutra, chłopcy.

W nocy nieznani sprawcy podstępnie wyłamali skobel szopy, bezprawnie wkroczyli do środka i dobrali się do własności pana Murphy'ego. Model miasta został poważnie sponiewierany. Konewka, z której był tak dumny, odniosła rany w postaci wgniecen drugiego stopnia, ulotniło się też kilka jego najlepszych szpadli. Z Charliem włącznie.

Przerażający obraz nocnych wydarzeń objawił się wraz z nadejściem niespokojnego świtu.

Na widok powywracanych grabi i porozrzucanych nożyc tacie opadły nieco ręce. Jego stan wewnętrzny natychmiast ujawnił wyraz twarzy, co mocno zaniepokoiło żonę, znającą jego silną konstrukcję psychiczną. Musiała nawet przynieść mu z domu krzesło.

- Może chciałbyś się napić herbaty? - spytała delikatnie. - W dzbanku zostało chyba jeszcze trochę od wczoraj.

- Moje szpadle - jęknął tata. - Moje mosiądżowane na tnącej krawędzi szpadla, z rączkami z cedru, do okopywania, od Rygo i Westerleya Zniknęły i nawet nie zawołały za mną „tato!”

- To typowe dla szpadli, ot co. - Pani Murphy splotła ramiona pod protezę piersi. - Często znikają bez pożegnania. Może dlatego, że w ogóle rzadko mają cokolwiek do powiedzenia. Bardzo mało komunikatywne twory.

Tata łypnął ostro na mamę. Z chęcią zmyłby jej głowę.

- Nie trzeba, kochanie. Właśnie wyszłam z kąpieli.

- Słucham? - zdziwił się tata.

- Narzędzia - ciągnęła jego żona. - Rzadko reagują na swoje imiona. Mało które umie rozwiązać najprostsze zadania z algebry. Mały sadzak, na przykład, zna ledwie podstawowe formy komunikacji - Jedyne niewerbalne.

- Słucham? - powtórzył tata.

- Choć muszę przyznać, że widziałam kiedyś, jak para sekatorów przedstawia końcowy fragment operetki duetu Gilbert and Sullivan HMS Pinafore i choć nie było muzyki ani śpiewu, bardzo spodobało się to szopie pełnej ogrodniczych narzędzi.

- Czy znowu wachałaś klej, kobieto?

- Skądże znowu. Chcę cię tylko trochę rozweselić.

- Nie męcz się. Sam stawię czoło tej nawałnicy.

- To się wypchaj. - Żona odeszła, zabierając ze sobą krzesło. Tata robił przegląd przetrząśniętej szopy.

- Co za bałagan! Kto mógł to zrobić?

- Harry Thompson z miejskiego wydziału planowania przestrzennego - wyjaśniła pięciokilowa torba nawozu.

- Był z nim radny Winthrop - dodało czterdziestocentymetrowe sito.

W domu pani Murphy naląła sobie filiżankę zimnej herbaty.

- Powinnam coś zrobić z tym swoim mężem. Może posłać go do zakładu - westchnęła. - Kto gada ze swoimi narzędziami ogrodniczymi, jest bez dwóch zdań szalony. Ale kto z nimi gada i dostaje odpowiedzi, może stać się niebezpieczny.

- Potrzebowałabyś skierowania od lekarza - stwierdził czajnik.

- Z doktorem Jamesonem z kliniki w miasteczku zawsze da się pogadać - dodała szufelka do węgla.

\*\*\*

Cornelius Murphy obudził się z lekkim bólem głowy. Znajdował się w łóżku opata, choć tego nie wiedział, nie otworzył bowiem jeszcze oczu.

- Lepiej się czujesz?

Cornelius otworzył oczy, zamrugał, skoncentrował wzrok na najbliższym obiekcie i natychmiast je zamknął.

- Chyba jeszcze nie. Wygląda na to, że - znów popatrzył na parę Tuppów - widzę podwójnie.  
- Będzie zdrowy jak pieczarka - uznał wujek brat Osiem.  
- O takich piszą eposy - uśmiechnął się jego bratanek. - Nic mu nie będzie.  
- Do tego jeszcze podwójnie słyszę - jęknął Cornelius. Opat, przywróciwszy sobie godny wygląd, zimną gąbką zwilżył Corneliusowi czoło.  
- Mój ty bohaterze - szepnął do Corneliusa. - Rzykowałeś życie, aby uratować klasztor.  
Wysoki młodzieniec uśmiechnął się do opata.  
- Mam nadzieję, że nie narobiłem zbyt wielu szkód.  
- Nie martw się tym.  
- To dobrze. Nie będę.  
- Nie ma potrzeby. Brat Sześć poinformował mnie o twojej misji i o tym, że przywiozłeś pieniądze. Już ich drobna część pokryje na pewno koszty napraw. Nie powinny pochłonąć więcej niż dwadzieścia tysięcy.

Cornelius ponownie jęknął.

- Opowiedz mi więc - ciągnął opat - o miękkich narkotykach i telewizji satelitarnej. Kiedy możemy zaczynać? Tak na marginesie, to co papież najbardziej lubi? Czy to prawda, że ma własną siłownię? Widziałeś kiedyś, jak ćwiczy?

Cornelius jęknął jeszcze raz. I jeszcze raz. Opat zaniósł się gwałtownym śmiechem.

- Słucham? - spytał Cornelius.

- Przepraszam. - Opat otarł oczy. - Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy. Jak z obrazka.

- Słucham?

- Nie przejmuj się. Młody Tuppe powiedział mi o wszystkim. W jakim celu przybyliście, z kim chcecie rozmawiać. Jeśli więc czujesz się na siłach, przedstawię ci brata Rizlę.

Cornelius Murphy uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No to zabierajmy się do roboty. - Przerwał i pociągnął nosem.

Opat natychmiast zauważył zmianę na jego twarzy.

- O co chodzi? - spytał. - Co czujesz?

- Bekon - odparł Cornelius Murphy.

Opat i obaj Tuppowie zostawili Corneliusa samego, aby się umył i ubrał. Z wielką satysfakcją stwierdził, że jego ubranie zostało wyprane, a buty wyglansowane.

Śniadanie zjadł razem z opatem w słabo oświetlonym refektarzu.

Małe okienka umieszczone były tak wysoko w wybrzuszonych murach, że światło ledwie wpadało. Z tego powodu na stołach stały olbrzymie cynowe świeczniki.

Murphy napychał usta jedzeniem, w tym samym czasie jego uszy rejestrowały spekulacje opata na temat tajemniczego pana Campbella.

- Wysłannik szatana - zapewnił Corneliusa. - Pojmał mnie siłą. Zamknął w szafie z naczyniami. Ukradł moje szaty. Na własne oczy widziałem, jak się zmienia. W końcu - FIUUU - wyleciał drzwiami. Sam widziałeś.

- Ze szczegółami. - Cornelius odsunął smażony grzyb na bok talerza. Obraz pleśniejących owoców i warzyw wylatujących drzwiami gabinetu opata jeszcze długo miał go nękać.

- To bez dwóch zdań robota szatana. - Opat wziął haust ziołowej herbaty.

- Szatana?

- Stwora z rozszczepionym kopytem, nikogo innego. W naszym fachu to ryzyko zawodowe. Powiniennem przyjąć pokutę. Każę się któremuś z braci porządnie wychłostać. Nie, wszystkich o to poproszę. Dla pewności. Co o tym sądzisz?

- Bez dwóch zdań. - Cornelius przesunął obraną ze skórki parówkę z boku na bok talerza. Campbell bez najmniejszej wątpliwości nie należał do rodzaju ludzkiego, ale żeby od razu wysłannik szatana? Niełatwo było się z tym pogodzić. Jeżeli chodziło o sprawę z modelem cadillaca, to bardzo prawdopodobne, że jakąś rolę pełniło w tym wszystkim voodoo, ale prawdziwe demony? Człowiek, który był w stanie zmienić się w skrzynkę gnijących owoców? Niepokojące. Jeżeli sam Szatan ich szukał, w dokumentach Rune'a musiało być coś naprawdę ważnego. Szatan osobiście?

Cornelius nerwowo bawił się śliwkami na talerzu. Każda owinięta została paskiem bekonu i ułożona na osobnym kawałeczku tostu. Wyglądało to bardzo smakowicie, ale Cornelius stracił apetyt. Odsunął talerz na bok.

Opat wziął jego talerz i zsunął zawartość na swój.

- Diabły na koniach - wyjaśnił. - Moja ulubiona przekąska.

Podczas gdy opat zajadał, Cornelius popijał ziołową herbatkę i słuchał. Opat ze szczegółami, między jednym a drugim kęsem przedstawiał wydarzenia, które uszły uwagi Corneliusa.

Angus, Hamish i Sawney zostali otoczeni, pojmami i znajdowali się obecnie pod kluczem w klasztornych lochach. Opat postanowił że dla ich dusz najlepiej będzie, jeżeli zajmą się trochę pracą społecznymi. Dokładnie mówiąc - naprawią wszelkie zniszczeń oczywiście pod strażą.

Kolejnym problemem był znikający autostopowicz. Wędrował w stanie umysłowego chaosu i znaleziony został przez braci Dziesięć i Dwanaście, wracających służbową furgonetką z jubileuszowego koncertu Status Quo. Wszystko wskazywało na to, że ów dziwny osobnik mimo delirium opuścił łóżko, ukradł habit i magicznym sposobem dokonał naprawy maszyny do karaoke, nad którą od tygodni majstrował brat Osiem. Potem szlachetnie udawał brata Osiem, aby uratować go przed Dzikimi Wojownikami. Doznał mąk z rąk Satanicznego Campbella i dostał w twarz metafizycznym ciastem. Potem w trakcie zamieszania, cichutko się wymknął i tyle go widziano.

Mnisi pomrukiwali między sobą, zastanawiając się nad tożsamością autostopowicza. Cytowano najróżniejsze warianty biblijnego „byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie”. Krążyła wieść, że Saint Sacco został „odwiedzony”, że ów tajemniczy człowiek był właśnie Panem osobiście.

Powyższą teorię wspierał Cud Naprawienia Maszyny. W dodatku, kiedy bracia Dziesięć i Dwanaście unieśli koc na łóżku, w którym leżał złożony chorobą autostopowicz, w nadziei, że na prześcieradłach może ukazała się plama po praniu w stylu tej, jaka znajduje się na Całunie z Tury- nu, ujrzeli dwie wejściówki na jubileuszowy koncert Status Quo w Terra del Fuego. Jeśli nie był to boski dar, to cóż.

Opat rozważał wszelkie za i przeciw i w końcu zdecydował się na wysłanie do Rzymu podania o podwyżkę uposażenia.

- A teraz jestem pewien, że nie możesz się doczekać spotkania z bratem Rizlą. Mam prowadzić?

Tuppe i jego wuj siedzieli na podłodze przed refektarzem, dyskutując o zasmucającym fakcie spadku popularności Wieprzowego Cyrku i o tym, jak wysokie rosną dziś dziewczęta.

Wstali na widok prowadzącego Corneliusa opata. Ich powstanie niewiele wniosło w aspekcie wysokości, ale wymagała tego grzeczność.

- Bracie Osiem - powiedział opat z uśmiechem. - Właśnie mówiłem panu Murphy'emu o maszynie do karaoke. Chętnie by o niej z tobą porozmawiał, teraz jednak zaprowadzę go do Tajnego Brata. Może więc skończysz paplać o niczym, weźmiesz tyłek w troki i wrócisz do warsztatu, co? Może tak dla odmiany trochę popracujesz.

- Tak jest, świątobliwy ojciec. Jak najbardziej. - Brat Osiem zgiął się wpół. Niewiele to zmieniło w aspekcie wysokości, ale wymagała tego grzeczność.

- Tędy - wskazał drogę opat.

Poprowadził Corneliusa i Tuppego labiryntem korytarzy i schodów. Tuppe nie czuł się zbyt pewnie.

- Dlaczego Rizla jest określany mianem Tajnego Brata? - spytał w końcu Cornelius.

- Brat Rizla cierpi na szkaradną chorobę, uniemożliwiającą mu uczestniczenie w codziennych zajęciach w klasztorze.

Tuppe zrobił markotną minę.

- Szkaradną chorobę? Oznacza to, że jest wstrętnie zniekształcony czy wysoce zaraźliwy?

- Nie - odparł opat z uśmiechem. - Nic takiego. Zrozumiecie, kiedy go ujrzycie. Jego cela jest tuż za rogiem. Proszę za mną.

Skręcili w kolejny korytarz. Cornelius patrzył zdziwiony - wyglądał, jakby nie było w nim perspektywy.

- Trochę dezorientuje, prawda? W głębi korytarza wszystko jest sześć razy większe. Drzwi, płyty podłogowe, wszystko. Patrzcie!

Ruszył szybkim krokiem w głąb korytarza, co dało zadziwiający efekt. Opat zdawał się kurczyć.

- Nie pójde tam! - Tuppe gwałtownie pokręcił głową. - Na pewno zniknę!

- Chodź, Tuppe. - Cornelius ruszył za opatem i Tuppe się poddał.

Opat zatrzymał się przed drzwiami, które mogły mieć z dziesięć metrów wysokości. W dużych drzwiach zrobiono normalne, dwumetrowe, w nich na poziomie oczu wywiercono dziurkę. Opat



przytknął palec do warg i machnął na Corneliusa, żeby zajął do środka. Kiedy Cornelius zrobił, co mu kazano, z jego ust wydobył się okrzyk zaskoczenia.

Przez dziurkę ujrzał wielkie i jasno oświetlone pomieszczenie. Skąpo umeblowane. Zastawione księgami. Na środku stało biurko, za nim siedział mnich.

Postać właściwie nie rzucała się w oczy - mnich był wysoki, chudy, siwobrody i stary. To, co zaniepokoiło Corneliusa, unosiło się nad jego głową.

Zjawisko miało mniej więcej trzydzieści centymetrów średnicy i jasno świeciło. AUREOLA!

Na okrzyk Corneliusa mnich uniósł wzrok. Aureola zniknęła i zastąpiona została wielkim, unoszącym się w powietrzu, czerwonym znakiem zapytania.

Cornelius cofnął się od drzwi i wbił pytający wzrok w opata.

- Brat Rizla cierpi na coś wyjątkowego - wyjaśnił opat. - Nie znamy prawidłowej nazwy tej dolegliwości, daliśmy jej więc prowizorycznie własną. Wymyśliliśmy: „Syndrom O Cholera Co To Za Kreski I Tak Dalej Wylazi Mu Ze Łba Jak Na Komiksach”.

- Muszę to zobaczyć - stwierdził Tuppe. Opat zapukał.

- Wejść!

Opat otworzył drzwi w drzwiach i wszedł. Cornelius i Tuppe weszli za nim.

- Orajusie! - wrzasnął Tuppe, ujrawszy znak zapytania. Twarz brata Rizli zachmurzyła się i jego oczy wystrzeliły w kierunku małego błuzniercy mikroskopijne błyskawice.

- O nie! - Tuppe schował się za Cornelusem.

- Bracie Rizla - opat skinął głową wysokiemu staremu mnichowi - wybacz, że przeszkadzam ci w pacierzach, ale pojawiła się pewna okoliczność, wymagająca bezzwłocznego zajęcia się nią.

Błyskawice zniknęły. Nad głową mnicha ponownie pojawił się znak zapytania.

- W czym mogę pomóc?

- To są pan Cornelius Murphy i jego towarzysz, Tuppe. Tuppe wychylił się zza przyjaciela i zrobił odważną minę.

- Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. - Stary mnich uśmiechnął się z powagą. Wróciła aureola.

- Bracie Rizla, pan Murphy ocalił klasztor od zniszczenia. Wtargnął do nas wysłannik szatana, który poszukiwał pewnej rzeczy. Rzeczy, która może znajdować się w twoim posiadaniu.

- O! - Brat Rizla przekładał w dłoniach paciorki różańca. - A więc czas nadszedł. Wiedziałem, że któregoś dnia musi do tego dojść.

- Masz pewne dokumenty. Dokumenty, które onegdaj należały do Hugona Rune'a.

RUNE! Kiedy padło to nazwisko, nad głową mnicha zmaterializowała się burzowa chmurka. Cornelius wskazał na nią palcem.

- To jego robota?

- Nie bezpośrednio, ale w sumie to on był odpowiedzialny. Gdybym nie poszedł z nim i nie zajął TAM. - Na chmurze pojawił się napis: BIADA!

- Czy mógłby nam pan o wszystkim opowiedzieć? - spytał Cornelius.

- Tak. Oczywiście, najpierw jednak ty musisz mi powiedzieć, w jakim celu chcesz obejrzeć dokumenty Rune'a?

- W celu ich opublikowania.

- Opublikowania?! - Nad głową brata Rizli pojawiło się kilka wykrzykników. Mnich pokręcił głową. - Nigdy nie zostaną opublikowane.

- Zamierzam dopilnować, aby tak się stało.

- A kimże jesteś, aby mogło ci się to udać?

- To Cornelius Murphy kandydujący na bohatera eposu - odpowiedział Tuppe. - Jeżeli komukolwiek miałyby się to udać, to właśnie jemu.

Brat Rizla zapatrzył się w powietrze nad głową Murphy'ego. Cornelius uniósł głowę, aby sprawdzić, czemu mnich się przygląda, ujrzał jednak tylko włosy.

- Na co pan patrzy? - zapytał. Stary mnich pogłaskał się po brodzie.

- Ciekawe. Bardzo ciekawe. Wygląda na to, że twój mały przyjaciel mówi prawdę.

- Co pan robi? Czuję, że coś pan robi! - Cornelius nagle poczuł się bardzo nieswojo.

- Czyta dymek z twoimi myślami - wyjaśnił opat. - Wszyscy je mamy, nieustannie. Chyba że śpimy, wtedy mamy jedynie szeregi drobnych chchchrrr. Oczywiście, nie uzbrojone oko zwykle ich

nie dostrzega i brat Rizla jest prawdopodobnie jedynym na świecie człowiekiem, który jest w stanie je widzieć.

- Cóż za dar!

- To nie dar, panie Murphy, to przekleństwo. - Mnich przyglądał się Tuppemu, który poczuł nagle powietrze nad swoją głową. - Wszystko w swoim czasie.

- Nic nie mówiłem.

- Tak, ale pomyślałeś: „Corneliusie, łap manuskrypt i zwiewajmy z tego domu wariatów”. - Tak było napisane w twoim dymku. Tak a propos, „manuskrypt” pisze się przez „S”.

- Jeżeli znasz nasze myśli, wiesz, że mówimy prawdę - wtrącił się Cornelius. - Czy mógłbym zobaczyć dokumenty?

- Jak już powiedziałem twojemu przyjacielowi, wszystko w swoim czasie. Dam ci dokumenty, najpierw jednak musimy wyjaśnić sobie to i owo.

- No to może ja sobie pójdę - powiedział opat. - Mam pewną pilną sprawę i muszę się nią szybko zająć.

- No, no. - Brat Rizla uśmiechnął się szeroko. - Niezłą wymyśliłeś sobie pokutę. Przez tydzień nie będziesz mógł jeździć na rowerze.

- Mniej więcej. - Opat poczerwieniał. - Żegnaj więc, bracie Porozmawiamy później, panowie.

- Żegnaj, świątobliwy ojcie. I nie zapomnij nadstawić drugiego poślodka.

- Do widzenia i dziękujemy - powiedział na pożegnanie Cornelius.

- Szczęścia! - rzucił Tuppe.

Opat wyszedł z pośpiechem i zatrzasnął za sobą drzwi. Tuppe popatrzył na Corneliusa. Cornelius popatrzył na Tuppego. Obaj popatrzyli w powietrze nad swoimi głowami. Brat Rizla roześmiał się.

- Nie wiecie, co o tym myśleć, prawda? Jeżeli wolicie, wsadzę głowę w komin.

- Nie trzeba. Nie mamy niczego do ukrycia.

- Jak chcecie. - Brat Rizla rozpostarł długie ramiona na blacie biurka. - Mam manuskrypt Rune'a. Fragmenty, nie całe. Nie mam okaryny.

- Okaryny?

- Wynalezioną ponownie okaryny. Kiedy przeczytacie jego pracę, zrozumiecie, dlaczego nigdy nie została opublikowana. A także, do czego jest wam potrzebna okaryna.

- Niech pan opowie o Hugonie Rune'em. Znał pan go wiele lat, prawda?

- Wiele. Byłem jego akolitą. Sekretarzem znającym każdy jego krok. Jego protokolantem. Objechałem z nim cały świat. Nigdy nie było na świecie kogoś mu podobnego. Cóż to był za umysł! Cóż za geniusz. Cóż za wróg Buda Abbotta!

- I pewnie niezły ekscentryk - wtrącił Tuppe. - Przeglądałem jego książkę. Spadające z nieba jeże, długopisy, które robią, na co mają ochotę, wykluwające się wewnątrz tosterów śrubki...

Brat Rizla ponownie się uśmiechnął.

- W nic z tego nie wierzysz. Tuppe pokręcił głową.

- Ale wierzysz w co innego. Na przykład, że Ziemia kręci się wokół Słońca.

- Taka jest prawda - odparł Tuppe.

- A kto by uwierzył, gdybyś powiedział mu to pięćset lat temu? Inkwizycja nieźle dała popalić Kopernikowi. Czy w tamtych czasach byś go poparł?

- Tja...

- Moim zdaniem najprawdopodobniej nie, choć teraz traktujemy system kopernikowski jako naukowo udowodniony fakt. Nie istnieją jednak fakty ostateczne. To, co uważa się za fakt, jest nim jedynie do momentu, aż zostanie zastąpione innym faktem. Nauka to nic innego jak moda. Nic więcej.

- Ale niektóre z przedstawianych przez Rune'a „faktów” są dość naciągane - stwierdził Cornelius.

- Umiałbyś udowodnić, że którykolwiek jest nieprawdą? Cornelius podrapał się po brodzie.

- Nno nie.

- Ile istnieje barw podstawowych? - spytał stary mnich. Cornelius chwilę się zastanowił.

- O ile pamiętam, tak zwanych „psychologicznie podstawowych” jest sześć. Czerwień, żółć, błękit, zieleń, czern i biel. Każdy inny kolor jest mieszaniną dwóch lub więcej z nich.

- Zna mnóstwo podobnych kawałków - wtrącił Tuppe. - Powinien go pan przepytac z tonsur.

- Jestem pewien, że twój przyjaciel jest kopalnią wiedzy ezoterycznej, ale w sprawie barw podstawowych myli się. Faktycznie jest ich dziewięć. Pozostałe trzy odkrył Rune.

- To ewidentna bzdura - upierał się Cornelius.

- Czyżby? - Rizla pogrzebał chwilę w kieszeni i wyciągnął zgnieciony kawałek papieru. Pokazał go Corneliusowi.

Wysoki młodzieniec wbił wzrok w karteluszek. Pokrywała go czerwonawo-żółtawo-błękitnawo-zielonkawo-czarniawa biel. Choć z drugiej strony był to całkowicie nowy kolor.

Cornelius stwierdził, że łzawią mu oczy. Przycisnął do nich dłonie.

- Nie można patrzeć dłużej niż kilka sekund - wyjaśnił Rizla, zabierając Corneliusowi paperek. - Pozostałe dwa są jeszcze gorsze. Od jednego dostaje się natychmiast pokrzywki, od drugiego śpiączki. Chcesz rzucić okiem? - Rizla podał zmiętą kartkę Tuppemu.

Niski człowieczek odwrócił głowę.

- Nie, dziękuję.

- Wiedziałeś, że świnię widzą ruch wiatru? - spytał Rizla.

- To wiedziałem.

- A że w dzień Bożego Narodzenia wszystkie owce obracają się na wschód i skłaniają trzy razy na cześć swoich przodków, którzy byli obecni przy narodzeniu Chrystusa?

- O świniach wiem wszystko. O owcach niewiele. - Cornelius miał wrażenie, że zmarnował w życiu wiele cennego czasu. - Dlaczego manuskrypt Rune'a nie może zostać opublikowany?

- Bo ONI nigdy na to nie pozwolą.

- ONI? - Tuppe zrobił protekcyjną minę. - Chyba nie ma wątpliwości, że to właśnie ONI wyciszają osiągnięcia Rune'a. Przerażeni siwobrodzi ze wspólnoty naukowców świata.

- Nie. Zupełnie inni ONI. I nie ciesz się, wyglądasz idiotycznie z tym napisem ALE MU POKAZAŁEM na czole.

- W takim razie kto? - spytał Cornelius. - Na pewno pan wie. Proszę nam powiedzieć!

Stary mnich westchnął.

- No dobrze. Istoty będące pół aniołami, pół ludźmi. Inna rasa. Przebywają na Ziemi od jej zarania. Hugo Rune odkrył ich istnienie i zrujnowały go za to.

- Czy Hugo Rune naprawdę nie żyje? - Cornelius wbił wzrok w miejsce nad głową mnicha. - Żyje, prawda?

Brat Rizla opadł ciężko na krzesło. Wokół jego głowy rozbłysnął gąszcz maleńkich błyskawic.

- Rune zmarł w Hastings. W wiejskim pensjonacie. Mam akt jego zgonu.

- Nie umarł! Rozmawiałem z nim. Gdzie on jest?

- Nie. Koniec wywiadu. Dość już powiedziałem. Weź dokumenty i przeczytaj je, to zrozumiesz. Znajdź resztę. Odnajdź okarynę.

Cornelius patrzył na zakończenie pirotechnicznego pokazu. Wiekowy eksakolita sięgnął do szuflady i wyjął oprawny w zieloną skórę tom.

- Oto manuskrypt. Uporządkowałem dokumenty w kolejności chronologicznej i kazałem oprawić. Weź księgę i odejdz.

Cornelius przyjął tom i przycisnął go do piersi.

- Jeżeli rozwikłam ten problem, może zostaniesz uwolniony od swej dolegliwości.

- Jest niemożliwy do rozwikłania. Dla mnie wszystko stracone. Zostałem przeklęty za me szalone czyny. Wkroczyłem w ICH świat. Widziałem ICH. Rune nie wrócił. Wróciłem sam i oto, co otrzymałem w zamian.

- Rozwikłam to.

- Na pewno - potwierdził Tuppe. - Niech mu pan uwierzy. Rozwiąże to bez względu na to, o co tu chodzi. A tak a propos, Corneliusie, o co tu chodzi?

Wysokiemu młodzieńcowi, mimo iż trzymał księgę, udało się machnąć na pożegnanie i mądrze uśmiechnąć.

- Chyba wiem. Myślę, że zawsze wiedziałem. Zostaniesz wyleczony, bracie Rizla. Nie przestawaj patrzeć w niebo.

Stary mnich uważnie przyjrzał się Corneliusowi.

- Nad twoją głową unosi się wielka zapalona żarówka.

Wiele lat temu, razem z moim drogim przyjacielem, panem H.G. Wellsem, prowadziłem ciekawy naukowy eksperyment. Celem eksperymentu było ostateczne ustalenie rzeczywistych rozmiarów i kształtów Ziemi.

Gdybym zdawał sobie sprawę z tego, że mój eksperyment zmieni oblicze sztuki dwudziestego wieku, z pewnością nigdy bym go nie rozpoczął.

Wells, jak zdaje sobie sprawę większość z was, był człowiekiem wielkiej erudycji i wiedzy w zakresie nauki. Był także - a to z pewnością nie jest szeroko znane - mistrzem przebierania się i prowadził skomplikowane podwójne życie. Pisał nie tylko pod swoim nazwiskiem, ale także pod pseudonimem „Sir Arthur Conan Doyle”. Była to postać wymyślona przez Wellsa na początku studiów.

Wells opuścił Oxford z doktoratem z zakresu literatury angielskiej. Temat jego pracy doktorskiej brzmiał: „Życie i dzieło Sir Arthura Conan Doyle’a”. Ho ho!

Poznałem Herberta Wellsa, czy - jak wolał być nazywany - Herbiego przy okazji Masońskiego Lunchu, zorganizowanego w 1929 roku w Savoyu dla uczczenia mojego pierwszego potrójnego przepłynięcia wpław kanału La Manche. Siedziałem przy honorowym stole z Herbiem i „Sir Conan Doyle’em”, i znakomicie pamiętam nieustającą krzątaninę w męskiej toalecie oraz to, że ani razu nie widziano ich obu razem.

Moje podejrzania nasiliły się po podaniu śliwek i kremów, kiedy zaraz po tym, jak „Sir Arthur” poszedł go szukać, Herbie wrócił z męskiego przybytku, mając na głowie legendarny słomkowy kapelusz Doyle’a.

Przycisnąłem go wkrótce w moim prywatnym salonie, w efekcie czego pękł i przyznał się do wszystkiego.

Wyjaśnił, że to, co zaczął jako inteligentny szpas, wkrótce przemieniło się w piekło za życia. Jego obie żony zaczynały coś podejrzewać, a ilość pracy, jaką musiał wykonywać, już dawno przestała być do zniesienia.

Przysięgłem zachować jego sekret, ale wymogłem na nim jeden warunek.

Rok później Sir Arthur Conan Doyle zabił się, skacząc do wodospadu Reichenbach.

Notatka pośmiertna w „Timesie” napisana została przez H.G. Wellsa.

Patrząc dziś na ich zdjęcia, na których na pierwszy rzut oka widać, że okulary są fałszywe, a wąsy sztuczne, trudno zrozumieć, jak udało się Wellswi tak długo unikać zdemaskowania. Były to jednak czasy przedtelewizyjne i niewielu ludzi znało z widzenia ludzi pióra.

Kiedys zapytałem Herbiego, dlaczego zdecydował się na ryzyko uhonorowania mnie w obu swych postaciach i odparł, że zmusiły go do tego obie żony. Jednej i drugiej ze zrozumiałych względów zależało niezwykle na zawarciu znajomości z uwielbianym potrójnym zdobywcą Kanału, traktowanym w całej Europie jak król.

Nasz eksperyment rozpoczął się pewnego popołudnia w 1931 roku. Herbie zmusił mnie, abym włączył swą znakomitą osobę do uczestnictwa w turnieju rzucania strzałkami, który zorganizował z paroma kumplami w celu zgromadzenia funduszy na cel dobroczynny. Później odkryłem, że chodziło o postawienie na pustym cokole na Trafalgar Square pomnika Sir Arthura Conan Doyle’a. Na cokole, który zmarły król zarezerwował dla mnie!

Sam turniej był dość nieformalnym wydarzeniem, w którym uczestniczyło kilku młodych pisarzy na dorobku oraz cyganeria artystyczna z pobliskiej uczelni. Oczywiście podzieliliśmy się na drużyny według klucza „pisarze kontra artyści”.

Nasza drużyna, o ile dobrze pamiętam, składała się z Wellsa, mnie, Erniego Hemingwaya, George’a Orwella i zawsze młodego „Boya” Betjemana. Naszymi szacownymi przeciwnikami byli Max Ernst, Salvador Dali, Man Ray, Rene Magritte i ich specjalny gość, największy podówczas geniusz sztuki, Hieronimus Tucker, przygotowujący się do swej pierwszej londyńskiej wystawy.

Pisarze wygrali bez trudu. Nasi przeciwnicy zamiast strzałek woleli rzucać rybami albo stać bez ruchu w papierowych torebkach na głowie.

To były czasy, przyjaciele!

\*\*\*

Podczas uroczystości pomeczowych Herbie rzucił uwagę, że piwo lepiej smakuje z prostej szklanki niż z kamionkowego kufla. Boy dodał, że podobnie jest z herbatą - lepiej smakuje z porce-

lanowej filiżanki z manufaktury w Sevres niż z wyszczerbionego emaliowanego robociarskiego kubka. Nie minęło wiele czasu, a wszyscy mieliśmy lekko w czubie, rozmowa skierowała się ku kosmologii i metafizyce kształtów.

Herbie zaczął wkrótce przedstawiać swe teorie dotyczące wszechświata w ogólności, a kształtu kuli ziemskiej w szczególności.

- Jaki ma, twoim zdaniem, kształt? - spytałem.

- No, oczywiście kulisty - parsknął, opluwając mnie pogryzionymi chipsami ziemniaczanymi.

- A co powiesz o rozmiarach?

Wymienił pewną liczbę. Nie pamiętam jej dokładnie, ale wiem, że jest stosowana do dziś.

- Modny pogląd - stwierdziłem - tyle że całkiem błędny.

- Czyżbyś miał inną teorię? - Znów parsknął śmiechem, tym razem jednak zdążyłem zakryć kieliszek. - Może chcesz powiedzieć, że Ziemia jest płaska?

Unoszący się tuż obok Dali (nigdy nie udało mi się odkryć, jak to robił) zasugerował, że kula ziemiska ma kontur żyrafy.

- Napij się trochę wody, Dali - poradził mu Wells.

- Ziemia nie jest płaska - stwierdziłem. - Gdyby tak było, nie istniałby horyzont. Jest kulista, ale nieco większa niż uważasz ze swoimi siwobrodymi koleżkami.

- Naprawdę? Co ty powiesz! - Wells huknął pustą szklanicą o stół.

- Czy masz może przy sobie mapę świata?

- Oczywiście. - Wells wydobyl Collins Sportsman's Pocket Diary i pokazał go siedzącym wokół. W owym czasie Pocket Sportsman's był de rigueur. Ów przodek najlepszych dziś notatniko-informatorów zawierał nie tylko zdjęcia Stanleya Matthews'a i Bobby'ego Charltona, spisy godzin zapalania latarni na ulicach, tabelę terminów wysokiej wody przy moście Tower, drzewo genealogiczne monarchii brytyjskiej, daty świąt narodowych w całym Imperium, przelicznik buszla na peck oraz informację, kiedy obchodzić święto obrzezania świętego Pawła, ale także tradycyjnie nie umieszczaną w spisie treści dwustronicową mapę świata.

Obejrzałem ją sobie.

- I tak wygląda świat?

- Wiesz przecież, że tak jest.

- A więc co to? - Wyjąłem z kieszeni nieduży pocynowany globus, który wpadł mi rano do kieszeni w trakcie spaceru po jednym ze sklepów Woolwortha.

- Kula, o której sam mówiłeś. - Wells prychnął i zachichotał. Zignorowałem jego kiepski żart.

- Czy mapa w twoim kalendarzu jest w podobnej skali co ten globus?

- W podobnej jak cholera - potwierdził zirytowany Herbie.

- W takim razie ja pójdę po następną kolejkę, a ty owiń mapę wokół globusa. Założę się o gwinę, że ci się nie uda.

- Fraszka, drogi Rune - stwierdził twórca Sherlocka Holmesa, wpadając w kolejny pijacki paroksyzm.

Nie spieszyłem się przy barze i kątem oka, z wielkim rozbawieniem, obserwowałem Wellsa. Wspólnie z Dalim wyrwał mapkę z kalendarza i nieporadnie próbował owinać ją wokół globusa. Gięto i prostowano papier i każdy służył dobrą radą. Wkrótce prawie cała grupa, hałasując i kłócąc się, próbowała wykonać zadanie.

Kierując się zasadą „komu ich będzie brakowało”, Hemingway zasugerował, że na pewno się uda, jeżeli odetną oba bieguny, tam bowiem był największy nadmiar papieru. Zainspirowany Dali do szedł do wniosku, że Ziemia ma kształt paczka z dziurką w środku.

Pozwoliłem im męczyć się przez jakiś czas, kiedy jednak głosy stały się zbyt głośne, a Hemingway dzielił Orwella przez łeb, krzycząc, że jest „prostakiem nie znajdującym się na niczym”, uznałem, że powinienem interweniować.

- No i jak? - spytałem, wracając z tacą. - Kto zamawiał paczkę karmy dla ptaków?

- Ja - odparł Max Ernst.

- Obawiam się, że będziesz się musiał zadowolić wiórkami wołowymi. Jak wam poszło z dopasowywaniem mapy?

- Wells sfuszerował. - Taka była chyba ogólna opinia.

- A kto jest odpowiedzialny za skrawki papieru w popielniczce? Magritte chyłkiem schował szwajcarski scyzoryk oficerski.

- Chcielibyście, bym wam to wyjaśnił? Kilka głów kiwnęło ponuro.

- Mów - odezwał się Herbie.

- To diabelska sprawka. - Zacząłem cichym i ciężkim jak ołów tonem. - Spisek gigantycznych rozmiarów. Ani globus, ani mapa nie przedstawiają prawdziwej geografii świata, ani jego rozmiarów. Płaska mapa nie może pasować do globusa, ponieważ jest jej po prostu zbyt wiele. Aby ją dopasować, należałoby powiększyć globus mniej więcej o jedną trzecią. Twierdzą, że Ziemia jest znacznie większa, niż nam się to mówi, a także, że znajdują się na niej regiony nie przedstawiane na mapach. Ukrywane przed nami.

- Daj spokój - westchnął Wells. - Cały świat jest objęty mapami. Nie ma nieznanego miejsca.

- Objęty mapami - tak, ale mapy kłamią. Są dziś z nami jacyś podróżnicy?

Hemingway podniósł rękę.

- Trochę podróżowałem. Sporo widziałem. A może jeszcze więcej.

- Czy spotkałeś w trakcie podróży dokładne mapy, na których można polegać?

Hemingway pokręcił brodą.

- Nie bardzo.

- Weźmy nasz piękny kraj. Boy Betjeman, uwielbiasz jeździć na rowerze. Opowiedz nam o angielskich drogowkach.

- Jeżeli chodzi o podawanie odległości, drogowki mają tendencję przesadzania w dół - stwierdził Boy. - Choć zawsze sądziłem, że to tradycja albo stary przywilej czy coś w tym stylu.

- Coś w tym stylu. A co powiecie na widok tego? - Wyjąłem z kieszeni plan Londynu ze spisem ulic i położyłem go na stole.

- E oo hmmm. - Padła zbiorowa odpowiedź.

- Na pewno każdy z was próbował przynajmniej raz przejechać z pomocą tego planu przez naszą metropolię.

Głowy zrobiły kiw kiw kiw.

- I jak poszło?

- Nie najlepiej - przyznał Wells. - Muszę przyznać, że mój egzemplarz wyrzuciłem już dawno temu i jeżdżę...

- Taksówką?

- Zgadza się.

- Zgadza się. Przypuszczam, że wszyscy, jak tu dziś jesteśmy, przyjechaliśmy taksówkami.

Wszystkie głowy z wyjątkiem Dalego potaknęły. Jego usta ułożyły się w słowo „żyrafą”.

- Weźcie więc pod uwagę, co następuje. Jedźcie do domu taksówką. Jedźcie ona określoną trasą. Pokonujecie w określonym czasie określoną drogę i płacicie określoną stawkę. Wieczorem, ale tego samego dnia, bierzecie inną taksówkę. Trasa jest wam kompletnie nieznana. Podróż trwa o połowę krócej, ale opłata jest dwa razy większa.

- No tak, ale... - zaczął Wells.

- Uspokój się i łaskawie nie przerywaj, póki nie skończę. Wells zwiesił głowę.

- Mamy tu do czynienia ze spiskiem. Dotyczy to każdego większego miasta. To spisek kierowców taksówek, służący utrzymaniu pasażerów w niewiedzy co do ich aktualnego miejsca pobytu. Aby ludzie nie byli nigdy w stanie określić swego położenia. Robią to w celu ukrycia przed mieszkańcami istnienia wielkich, nie przedstawianych na mapach fragmentów miast Strefy te maskowane są za pomocą skomplikowanych ciągów ulic jednokierunkowych, zakazów wstępu dla przechodniów, ślepych zaułków i tym podobnych. Strefy te nigdy nie widnieją na planach miast. Pozwólcie, że ujawnię wam ściśle strzeżoną tajemnicę. Zanim kierowca czarnej londyńskiej taksówki uzyska swą świętą granatową czapkę i mistyczny numer, musi wpięrcz udowodnić, że zdobył WIEDZĘ. Jest to bardzo trudny sprawdzian odwagi, wytrwałości, wytrzymałości i poświęcenia. Musi się upodlić, jeżdżąc miesiącami po Londynie, przywiązany do motoroweru z zamocowaną przed oczami deską dla zapamiętania na ślepo wszystkich ulic miasta. Niewielu przeżywa. Ci, którym się uda, zostają wezwani przed Tajną Radę Starszych. Jeżeli zostaną uznani za godnych, przyznaje im się świadectwo posiadania WIEDZY, na tym kończy się rytuał inicjacyjny i zostają członkami Czarne-go Zakonu - Londyńskiego Legionu Książąt Taksówek. WIEDZA jest tak tajna, że pod groźbą śmierci w katuszach przysięgają nikomu jej nie ujawnić. Dowiadują się, co czyha w izolowanych strefach i dlatego nie wolno tam nikomu wchodzić. Dowiadują się także, że tak naprawdę plan

Londynu to wykaz typu SW. SW, panowie, oznacza STREFY WYZNACZONE. Strefy wyznaczone do zamieszkania przez zwykłych śmiertelników.

Spojrzałem po wszystkich wstrząśniętych twarzach. Oceniałem efekt moich słów. Zawsze tak było, że kiedy mówiłem, słuchacze łaknęli moich słów.

Ni stąd, ni zowąd, George Orwell parsknął śmiechem.

Nigdy nie umiał długo zachować powagi i zawsze był pierwszym, który dostrzegał w każdej sytuacji coś śmiesznego.

- Hugo! - zawył. - Ty łgarzu nad łgarze! Tym razem naprawdę nas omotałeś.

Genialny Tucker obdarzył go lekceważącym spojrzeniem i odwrócił się ku mnie.

- Panie Rune - odezwał się, ponieważ nie byliśmy sobie oficjalnie przedstawieni - te ukryte tereny...

- Strefy Zakazane.

- Strefy Zakazane, tak jest. Co się w nich znajduje?

- Ciemne i tajemne siły. Może prastara inteligencja pozaludzkiego pochodzenia? Stare mapy określają tego typu okolice hasłem: „tu spotyka się smoki”. Uważam, że Strefy Zakazane zamieszkiwane są przez dziwaczne zwierzęta i jeszcze dziwniej szych ludzi, którzy czasami przekraczają granice i wkraczają do naszego świata. Kto z nas nie słyszał o niezwykłych urządzeniach latających, pojawieniu się nie występujących w okolicy zwierząt, pękających śnieżnych ludziach, duchach, wrózkach czy straszylkach? A co z ludźmi, którzy każdego roku znikają bez śladu? Możliwe, że nie zdając sobie z tego sprawy, przekroczyli granice Stref Zakazanych.

Tuckerowi opadła szczęka. George patrzył na mnie z wielką powagą. Przypomniało mi się, że kiedyś zarabiał w Londynie na życie jako taksówkarz.

- Wystarczy tego - stwierdziłem. - To żarty i nic więcej. Barman ogłosił chyba właśnie, że wydawana będzie ostatnia kolejka.

George przyniósł drinki i wszystkim poprawiły się nastroje. Niedobrze było jedynie z Tuckerem - wyzwoliłem u geniusza okropną ciekawość. Miałem tego bardzo pożałować. Robiłem, co mogłem, by go rozweselić i w końcu dołączył się do śpiewania.

Wyszliśmy z baru na nieco słabych nogach i zanim rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, obiecaliśmy sobie solennie, że spotkamy się za tydzień w barze, w którym pracował George.

Wieczór, jaki spędziliśmy wspólnie tydzień później, okazał się bardzo smutny. Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Tucker zniknął z powierzchni ziemi.

Max poinformował nas, że tego wieczoru po turnieju w strzałki geniusz odmówił pojechania z nim wspólnie taksówką. Uparł się, że przespaceruje się po Londynie.

Kilka dni później naoczny świadek zeznał pewnej gazecie, że widział tego wieczoru mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Tuckera, jak klócił się z kierowcą taksówki, nie uznał jednak, by wydarzenie to zasługiwało na uwagę i poinformowanie policji.

Prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy, co przydarzyło się geniuszowi. Pewne jest tylko, że został stracony dla świata. Dzień po naszym smutnym posiłku wyjechałem na ekspedycję polarną i nie było mnie w Londynie ponad rok. Kiedy wróciłem, dowiedziałem się o kolejnej tragedii.

W pracowni Tuckera wybuchł tajemniczy pożar i zniszczył wszystkie dzieła przeznaczone na jego pierwszą wystawę. Policja podejrzewała podpalenie, ponieważ w zgliszczach znaleziono kilka butelek po hiszpańskiej brandy, niczego jednak nie udało się udowodnić. Wystawa mimo wszystko się odbyła, przedstawiono na niej jednak prace asystenta Tuckera. Był to błąd i pozbawiony talentu osobnik, obcokrajowiec, którego Tucker trzymał jedynie z dobrego serca.

Wystawa okazała się hitem sezonu, a gdy zdobyłem katalog, zrozumiałem dlaczego. Wszystkie obrazy pochodziły z pracowni Tuckera, z tzw. „okresu błękitnego”. Nie do mnie należy ujawnienie nazwiska łotra, który wymazał na obrazach podpis Tuckera i umieścił na jego miejscu swój własny. Powinni to zrobić siwobrodzi z establishmentu artystycznego, aczkolwiek dziwi, dlaczego nie zrobili tego dotychczas, biorąc zwłaszcza pod uwagę ewidentny brak artyzmu w późniejszych pracach wspomnianego łotra. Czyżby miał tu miejsce kolejny spisek?

Do dzisiaj dręczą mnie dwie sprawy. Po pierwsze, że to ja jestem odpowiedzialny za zniknięcie i najprawdopodobniej śmierć największego artysty stulecia. Zniknięcia, które pozwoliło szarlatanowi mydląć światu oczy. Po drugie, że nigdy nie wygzekwowałem od Wellsa gwinej, którą przegrał.

\*\*\*

Ostatni ustęp Tuppe przeczytał na głos. Kiedy skończył, padł na tylne siedzenie i piskliwie zawył:

- Boże drogi! Dostali Tuckera!

Cornelius popatrzył ponuro we wsteczne lustro.

- Morda w kubel!

- Wiesz, naprawdę. - Tuppe odwzajemnił się podobnym spojrzeniem. - Z grubej rury, ciężko przełknąć...

- Mamy jeszcze dokumenty Wiktora Zenobii?

- Są w plecaku. Leży na podłodze.

- Pogrzeb w nim. Przypominam sobie jak przez mgłę, że były wśród nich listy, w których wspomniano o kupnie londyńskiej taksówki, map i prochu strzelniczego. Poszukaj ich.

Tuppe wzruszył ramionami. Nachylił się, by zajrzeć do plecaka i wpadł do niego. Cadillac pędził ku południowej krainie.

Przed godziną Cornelius i Tuppe pożegnali się z mnichami z Saint Sacco Benedetto i rozpoczęli najprawdopodobniej ostatni etap prawie eposowej podróży. Dokładnie mówiąc, kierowali się ku domostwu niejakiego „Jacka Londona”.

Na tylnym siedzeniu leżała obok Tuppego wielka waliza, w której znajdowała się cudem naprawiona maszyna do karaoke. Z rączki walizy zwisała metka, na której wielkimi czarnymi literami wypisano nazwisko i adres pana Londona.

Brat Osiem omal nie rozpląnął się z wdzięczności, kiedy Cornelius zaoferował się, że odwiezie mu maszynę. Cornelius zapewnił małego mnicha, że to niepotrzebne, ponieważ tak czy owak jedzie w tamtym kierunku. Gdyby Tuppe zadał sobie trud spojrzenia na otrzymane od mechanika Mike’a dokumenty cadillaca, zauważyłby, że to prawda.

Na obu dokumentach dostawy widniało to samo nazwisko i adres!

Zbiegi okoliczności to dziwaczny problem, o którym dyskutuje się od dawna, czy jednak takie historie jak ta albo podobne, mogłyby się bez nich wydarzać?

Trzeba przyznać, że zbiegi okoliczności to naprawdę dziwaczny problem.

- Ciekawe, co dzieje się w domu - mruknął Cornelius.

Nim skończył mruzcąc...

\*\*\*

Dzwonek przy frontowych drzwiach domu przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy zrobił BIM BOM, matka wstała i poszła je otworzyć.

Na schodkach przed drzwiami stał postawny młodzieniec. Miał na sobie jasnoszary dwurzędowy garnitur, białą koszulę, czarny krawat, wypolerowane na glanc buty. Głowę też miał wygłansowaną. W jego okularach brakowało jednego szkła.

- Dzień dobry - odezwał się Campbell, machając brązową kopertą, którą Cornelius przypiął do mównicy w domu aukcyjnym w Sheila na gigh. - Piękna pani, musisz być siostrą Corneliusa Murphy’ego. Adres się zgadza, prawda? Mam tu nieco pieniędzy dla pani brata. Jeszcze nie wrócił z podróży? Może mógłbym wejść i poczekać? Co za czarujący szlafrok, sama go pani robiła na drutach? Tędy, tak? Dziękuję.

18

Podróż ze środka północnej Walii do Londynu to niezły kawał drogi i dość kosztowny, zwłaszcza jeżeli ma się cadillaca eldorado z 1958 roku, który na dziesięciu litrach przejedzie ledwie czterdzieści kilometrów.

Można wybrać wiele różnych tras, a każda może prowadzić prosto ku przygodzie. Trzeba przyznać, że w trakcie eposowej podróży, zwłaszcza wymagającej pokonania tak wielkiego dystansu, możliwości są nieograniczone.

Tuppe sprawdzał mapę.

- Przez całą drogę autostrady. M54, M40, Londyn.

- Znakomicie - uśmiechnął się Cornelius. - Nie potrzeba nam więcej komplikacji.



- Jak najbardziej. Znalazłem listy. Przeczytać ci je?
- Poproszę. Im więcej się dowiemy przed spotkaniem z panem Londonem, tym lepiej.
- Siedzisz wygodnie?
- Tak jest.
- No to zaczynam.

Cadillac jechał środkowym pasem M54. Za nim, na pasie prawym, jechał antyczny czarny volkswagen. Cały pokryty był kolcami.

\*\*\*

- Pani Murphy? - Campbell słodko się uśmiechnął. Siedział na rodzinnej kanapie i popijał herbatę. Była zimna, ale zdawał się tego nie zauważać. - Ma pani piękny dom, pani Murphy. Zauważyłem, że w okolicy sporo się rewaloryzuje.

- Rewaloryzowało. Prace są wstrzymane.

- Musi to być dla państwa bardzo niewygodne. Mieszkać w takiej izolacji i - śmiał powiedzieć - w tak niebezpiecznym otoczeniu.

- Radzimy sobie. Chce pan dolewkę herbaty, panie...

- Kobold - powiedział Campbell. - Arthur Kobold.

- On kłamie - mruknął dzbanek z herbatą. - Nie ufaj mu.

Drogi Wiktorze! - (czytał Tuppe)

Odnosnie do naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

Zamawiam następujące przedmioty:

Jedną czarną londyńską taksówkę (nową i w dobrym stanie).

Jeden mundur taksówkarza (znasz mój rozmiar).

Jeden hełm górniczy (także mojego rozmiaru, w pełni sprawny).

Dwieście metrów liny do wspinaczki wysokogórskiej.

Dwieście metrów wolno palącego się lontu.

Dziesięć skrzynek prochu strzelniczego.

Pudełko zapalek.

Nie żałuj pieniędzy i kupuj towar najwyższej jakości.

Oczekuję dostawy jutro z samego rana.

Wszystko od tego zależy.

Twój omnipotentny

H. Rune (mistrz idealny)

- To wszystko? - spytał Cornelius. Tuppe odwrócił kartkę.

- Jest jeszcze coś z tyłu. Chyba dopisek Wiktora Zenobii.

- Czytaj.

- „Pocałuj się, tłusciuchu!”

- Z pewnością to podzielasz.

- Cóż. - Tuppe wzruszył ramionami. - Cholera! Uważaj, Corneliusie!

Kolczasty volkswagen minął ich z rykiem, zahamował nagle i zatarasował im drogę. Cornelius szarpnął kierownicą i wduślił hamulec. Po chromowanym zderzaku przejechały kolce, wyrzucając w powietrze chmurę iskier. Cadillac zatrzymał się z piskiem opon. Volkswagen pomknął przed siebie.

- Nie zatrzymuj się tutaj. To autostrada. Zdejmij nogę z hamulca. Jedź dalej.

- Ten samochód próbował nas zepchnąć.

Tuppe wystawił głowę nad oparcie przedniego siedzenia. Wyjrzał Corneliusowi zza ramienia.

- Zapal silnik. Jedzie za nami falanga tirów.

Cornelius spróbował uruchomić samochód, ten jednak niestety odmawiał posłuszeństwa.

- Niestety.

Nadjeżdżające ciężarówki trąbiły jak pełnomorskie statki.

- Wysiadaaj! Zepchnij go na pobocze! Pospiesz się!

- Nic z tego. Jest zbyt ciężki. Spróbuję jeszcze raz go uruchomić.

- Nie, Corneliusie! Wysiadaaj! Wyskakuj!

Falanga ciężarówek pędziła z hukiem, wyjąc jak trąby jerychońskie i nie zdradzając najmniejszej ochoty na hamowanie. Tuppe skoczył Corneliusowi na głowę i zaczął go targać za włosy.

- Skacz, Corneliusie!

Cornelius przekreślił z trudem przygniecioną głowę. Ściana ciężarówek była tak blisko, że wysoki młodzieniec widział twarze kierowców i ich machające ręce.

- Ratuj się, Tuppe! - Cornelius wyrwał sobie drobnego przyjaciela z czupryny i rzucił nim w kierunku rosnącego za poboczem trawiastego wzgórka. - Rusz się, draniu! - wrzasnął na samochód. Samochód nie drgnął.

- No to się wypchaj. - Cornelius postanowił wyskoczyć, ale zahaczył mankietem nogawki o pedał gazu.

Ciężarówki były tuż, tuż. Cornelius walczył o życie.

- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

- Wrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr! - Warczały ciężarówki.

Tuppe wstał.

- Corneliusie! - wrzasnął, kiedy ciężarówki zasłoniły cały horyzont.

- Wrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr! - Warczały ciężarówki.

\*\*\*

W salonie domu przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy pani Murphy nagle złapała się za serce i osunęła bezwładnie w fotelu.

- Ojej - powiedziała. - Proszę mi wybaczyć, panie Kobold. Zakłuło mnie.

- Czy mógłbym w czymś pomóc, droga pani? - Campbell odstawił filiżankę.

- Zaraz dojdę do siebie. Mógłby pan zawołać mojego męża?

- Męża? Gdzie on jest? - Campbell wstał.

- Na podwórzu. Ojoj, ale mi słabo!

- Proszę pozostawić to mnie. Wszystkim się zajmę. - Campbell poklepał panią Murphy po ramieniu i wyszedł. Cicho zaniknął za sobą drzwi i przemknął krótkim korytarzem do kuchni.

Szereg sprzętów kuchennych obserwowało go podejrzliwie, żaden się jednak nie odezwał.

\* \* \*

- Wrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr!

Falanga ciężarówek jechała dalej, jakby zrobienie marmolady z pięknie odrestaurowanego, elektryzująco błękitnego cadillaca eldorado z 1958 roku było kaszką z mlekiem. Tuppe obserwował, jak się oddalają, trąbiąc dalej jak słonie. Zszedł z trawiastego wzgórka i ruszył niepewnym krokiem w kierunku opustoszałej autostrady.

Ciężarówki zniknęły. Zniknął również cadillac. Nie pozostał po nim ślad. Nie było pogiętej blachy, poszarpanego fotela, nawet kawałka skrzyconego chromu. Nie było szczątek - samochodowych ani ludzkich.

Nie było niczego.

No, prawie niczego.

COŚ było, tyle tylko, że bardzo dziwnego. Coś, czego nie widuje się co dzień. Na jezdni widać było ślady poślizgu i choć można powiedzieć, że nie jest to w dzisiejszych czasach żadna rzadkość, to nieczęsto widuje się ślady tak wyraźne i zrobione tak idealnie w poprzek jezdni. Jednak nie ślady były zastanawiające, lecz przedmiot na poboczu, do którego dochodziły.

COŚ było duże, czarne i miało kształt mniej więcej trumny. Stało pionowo i wyglądało jak trójwymiarowy cień.

Tuppe podszedł na drżących kolanach. Obszedł COŚ. Pociągnął nosem. Dźgnął kontrolnie palcem. Cofnął się, zaskoczony i zdezorientowany. Usiadł na pupie i zapatrzył się w COŚ. Duże, czarne, kształt mniej więcej trumny, stało pionowo i wyglądało jak trójwymiarowy cień. Więcej nie dało się o tym powiedzieć.

Mały człowieczek oparł łokcie na kolanach i podbródek na dłoniach. Zaczęła mu drzeć wargę i z kącika maleńkiego oka potoczyła się olbrzymia łza.

- Corneliusie - chlipnęła Tuppe. - Corneliusie, gdzie jesteś?

\*\*\*

- Panie Murphy? Gdzie pan jest? - Campbell pchnął drzwi i lustrował ogród. Na sznurze do bielizny siedziały i ćwierkały ptaszyny. Leżący na bunkrze z węglem emerytowy kocur przeciągał się i śnił o Glorii Swanson. Fasola niezauważalnie pięła się w górę tyczek. Siedząca w środku odwróconej do góry nogami i zatkniętej na bambusowy kijek doniczce stonoga zastanawiała się nad sensem życia. - Panie Murphy?!

Z szopy taty dobiegały dźwięki. Śpiew. Campbell zastrzygł uszami. Czyżby ostatni akt operetki HMS Pinaforei

- Panie Murphy! Hallo!

Śpiew zamilkł i przez okno szopy wystawił głowę Murphy Starszy.

- Kto tam?

- Panie Murphy. - Campbell wyszedł do ogrodu i zamknął za sobą drzwi. - Mam dla pańskiego syna pieniądze.

- Pieniądze? - Głowa taty w oknie zniknęła i po chwili pojawiła się w drzwiach w towarzystwie reszty ciała. - Cornelius mówił, że może pan wpaść. Prosił, żebym przyjął pieniądze w jego imieniu.

- Naprawdę? - Campbell powoli przesuwiał się wzdłuż ogrodowej dróżki. Pod jego stopami ciężko falował oszalały bruk. Ptaki nad jego głową przestały ćwierkać. Tata wyczuł nagły chłód w powietrzu.

Campbell bokiem minął bunkier z węglem. Emerytowy kocur zwinął się przerażony, gdyż w jego śnie Gloria Swanson wyciągnęła z kostiumu kąpielowego nóż do kastrowania i skoczyła ku niemu.

- Kiedy właściwie spodziewa się pan powrotu syna, panie Murphy?

Kocur obudził się z piskiem. Campbell rozejrzał się przestraszony.

- Milutki koteczek - powiedział, wyciągając ku niemu rękę. Kocur wygiął grzbiet i zasyczał.

- Mamy tu, zdaje się, lewusa - szepnęły taczki.

Kiedy emerytowy kocur odsuwał się tyłem, Campbell obojętnie wzruszył ramionami.

- Halo, panie Murphy, panie Murphy? Gdzie pan jest? - Campbell rozglądał się po ogrodzie. Taty nigdzie nie było widać. Drzwi do szopy były zamknięte. - Panie Murphy, gdzie pan jest?

\*\*\*

- Corneliusie, gdzie jesteś? - popłakiwał Tuppe na poboczu.

\*\*\*

- Jestem w środku! - zawołał tata przez dziurkę od klucza. - Jestem teraz bardzo zajęty. Niech pan będzie tak uprzejmy i zostawi pieniądze na bunkrze na węgiel. Przekażę je synowi.

- Lepiej nie. - Campbell podszedł do szopy. Ptaszyny odleciały na nowe miejsca. Pnąca fasola wiała się nieswojo. - Panie Murphy, proszę wyjść.

- Przykro mi, jestem zajęty. Moja szopa jest wywrócona do góry nogami. Muszę posprzątać.

- Wyłaź! - Campbell tupnął jak koń i stonoga w doniczce dostała ataku serca. - Natychmiast!

- Przykro mi. Do widzenia.

- Panie Murphy, naprawdę muszę przy tym obstawać.

- Cóż, jeżeli tak jest, to chyba nie mam wyboru. - Drzwi do szopy otworzyły się i pojawił się w nich tata. Był wielki, czerwony na twarzy, ubrany w tweedy. Na bezwłosej głowie miał hełm cywilnej obrony przeciwlotniczej, a w dłoniach słusznych rozmiarów pałę. - Wynoś się z mojej ziemi!

Campbell popatrzył na hełm, potem na pałę. Jego świńskie oczka zwęziły się. Słońce zamigotało na jedynym szkle okularów. Uniósł lewą dłoń.

- A zatem - powiedział.

Wybrzuszyła się skóra. Zaczęła się tworzyć tekturowa tacka. Metafizyczne ciasto przybierało kształt. Tata patrzył.

- No i? - spytał Campbell.

- Co no i? - Tata obserwował uważnie koniec swej bojowej pały.

- No to. - Campbell groził ciastem.

- Ach to. - Tata wzruszył ramionami.

- Co to ma znaczyć „ach to”? W magiczny sposób powołałem właśnie do bytu ciasto, a ty masz jedynie do powiedzenia to „ach to”?

- Cóż, to niezbyt wielkie ciasto.

- Niezbyt wielkie?! - Campbell zbaraniał. - Ale je właśnie w ma...

- W magiczny sposób powołałeś do bytu. Już to mówiłeś. Nieco staroświeckie określenie i w dodatku niezbyt trafne. Słuchaj, jeżeli to twoja specjalność, to powinieneś sprawić sobie różdżkę. Albo patyk. Może nawet pałę. Taką jak moja.

Campbell okrutnie zawył. Zamachnął się i rzucił w tatę ciastem. Murphy Starszy ścisnął pałę oburącz i zamachnął się jak przy grze w krykieta. Trafił nadlatujące ciasto potężnym uderzeniem i posłał je na dach domu. Campbellowi opadła szczeka i patrzył za nim, jak leci.

- Sześć! - wrzasnął tata. - Znakomite uderzenie w wykonaniu kapitana angielskiej drużyny! Prosto nad dachem pawilonu!

- Niezła robota - przyznały taczki.

Campbell odwrócił się do taty. Nie można by o nim powiedzieć, że się uśmiechał.

- Nie powinieneś był tego robić - warknął.

- Obawiam się, że naprawdę muszę poprosić, abys wreszcie sobie poszedł - odparł tata. - Albo będę zmuszony zaaplikować ci w głowę cios pałą. Jeżeli okaże się to konieczne, nawet kilka. - Uniósł pałę, by Campbell mógł w pełni docenić jej siłę bojową.

Chód pała robiła imponujące wrażenie, Campbell nie cofnął się. Zaciśnął dłonie w pięści, aż zbieleły mu kostki. Na czole i skroniach wystąpiły mu pulsujące żyły. Cornelius zauważyłby natychmiast, że przebiegają tak samo jak system kanalizacyjny Mortlake i to z dokładnością, która mogła przestraszyć.

- Zaraz, zaraz. - Łysa głowa Campbella podskakiwała w górę i w dół, cała jego sylwetka agresywnie drżała.

Tata mocniej zaciśnął dłonie na pale. Szósty zmysł, który właśnie przypadkiem przelatował w okolicy, powiedział mu, że szykuje się coś niemiłego.

- Nie! - wrzasnął Campbell tak głośno, że aż zadrżała każda cegła w kominie i boska trwoga napełniła konewkę ateistkę. - Nie, nie i jeszcze raz nie! - Campbell pozbierał się i odzyskał formę. Poprawił okulary i obciągnął mankiety szarej marynarki. - Nie teraz - szepnął. - Nie teraz. Nie mogę marnować na ciebie czasu. Może później, kiedy uzyskam wszystko, czego chcę.

- Przepraszam? - spytał tata.

- Wypchaj się - odparł Campbell. Uniósł w górę dłonie i szybko je rozpostarł. - Shazam!

- Pardon?

- Do zobaczenia. - Campbell odwrócił się. - Zostań tu.

- Zostać? Zaraz ci. - Tata zrobił krok do przodu i uderzył się głową w niewidzialną barierę. - Aua!

Campbell szedł w kierunku domu.

- Stój! Czekaj! - Tata przyciskał dłonie do niewidocznej barykady. Była zimna i przypominała w dotyku szkło. Nieubłagana. - Stój! Puść mnie!

Campbell nie słyszał albo nie słuchał. Właśnie wchodził do budynku przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy. Zamknął za sobą drzwi i tata pozostał sam.

- Zamknął cię jak śledzia w puszcze - zauważyła motyka. - Powinieneś był to przewidzieć.

Tata trącił niewidoczną barierę swoim kijem i dźwięk, który się rozległ, przypominał bicie wielkiego kościelnego dzwonu.

- Choroba ciężka - westchnął tata. - Corneliusie, gdzie jesteś?

\*\*\*

- Jestem tutaj - odezwał się głos Corneliusa Murphy'ego.

- Cornelius? Co? Gdzie? - Tuppe skoczył na nogi. Kiedy to zrobił, zauważył coś bardzo niepokojącego. Był słoneczny sierpniowy dzień, ale... - Nie mam cienia! - Tuppe zaczął się kręcić wokół własnej osi jak pies goniący własny ogon. - Mój cień zniknął! Gdzie mój cień? - Wywijał obertasa jak opętany, nie tańczył z nim jednak cień.

- Tuppe, pomóż mi! Nic nie widzę w tej ciemnicy!

- Corneliusie, gdzie jesteś? - Tuppe przestał udawać derwisza. - Twój głos brzmi, jakbyś był bardzo daleko stąd.

- Jestem tu, w środku.

- Gdzie w środku? - Pytanie było dość głupie, zdrowy rozsądek dość jasno bowiem podpowiadał, gdzie jest Cornelius. - Jesteś tutaj. - Tuppe wbił wzrok w mający kształt trumny wrzód na krajobrazie. - Wychodź stamtąd!

Słowa ledwie zostały wypowiedziane, a już zamieniły się w czyn. Wielka trumniasta bryła zaczęła się rozmywać. Zaczęły się z niej wydobywać strugi oleistego czarnego jakby płynu, który zaraz jednak przemienił się w poskręcane smugi ruchomej ciemności. Strumienie toczyły się niczym rtec, zadrgały i nagłym ruchem, niby rzucający się w przepaść strumień lemingów - skoczyły na Tuppego.

- Ooo nie! - Kiedy zaczęła spowijać go ciemność, maleńki człowieczek zaczął skakać na boki. Mrok spłynął z jego ramion jak płynny jedwab i kiedy dotknął ziemi - zakrzepł. Stał się znów ciemniem Tuppego. Mały człowieczek zamarł zapatrzony. - Rany!!

Cornelius siedział na przednim siedzeniu cadillaca eldorado, który wyskoczył z czarnego... no, bez względu na to, co to było. Samochód nie był nawet zadraśnięty. Ślady hamowania prowadziły dokładnie do jego opon. Jakaś potężna siła musiała zepchnąć cadillaca z drogi ciężarówek. Uratowała tyłek Corneliusa Murphy'ego.

- Tuppe. - Cornelius potarł oczy. - Nie wiem jak, ale dokonałeś tego. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Tuppe uśmiechnął się.

- Miło znów cię widzieć. Gdzie twój zwykły uśmieszek?

\*\*\*

Zadzwoił telefon, Arthur Kobold odebrał.

- Odłóż ciasto, Kobold - powiedział głos w słuchawce. Arthur Kobold odłożył ciasto.

- Co nowego?

- Jak przewidziałem, Cornelius Murphy wszedł do klasztoru. Posiadam wiarygodne informacje, że jest obecnie w posiadaniu części manuskryptu.

- I uważasz, że ci go przyniesie?

- Nie, nie sądzę. Moim zdaniem pójdzie prosto do ostatniej osoby na mojej liście. Przyjdzie do mnie, kiedy będzie miał komplet dokumentów.

- Skąd ta pewność?

- Kiedy pozna prawdę, przyjdzie do jedynej osoby, której może ufać.

- Ładna i piękna teoria, naszym podstawowym zadaniem jest jednak pojmanie dewianta. Musi zostać osądzony za swe przestępstwa. Jeżeli jeszcze dłużej pozostanie na wolności i odkryje, gdzie jest okaryna, wszyscy skazani będziemy na zagładę.

- Cornelius go tu przyprowadzi. Na pewno go złapiemy, nie ma obawy.

- Miło to słyszeć - powiedział głos w słuchawce. - Aby tego dokonać, masz czas do ósmej dziś wieczór.

- Do ósmej? Powiedziałeś, że...

- Ósma dziś wieczór. Pociąg Hermesa Trismegistosa stoi gotowy na stacji. Już napalono pod kotłem. Dewiant musi zostać pojmany dziś.

- Tak, ale...

ŁUP! - Zrobiła słuchawka po tamtej stronie linii.

- Pieprz się! - wyrzucił z siebie Arthur Kobold. - Pieprzę czas, pieprzę pociąg i pieprzę tego całego dewianta!

\*\*\*

Dewiant mył ręce w zlewie w kuchni Murphych. Wylał je w służący za ścierkę patchwork. Nalał sobie szklankę wody i poszedł do saloniku od frontu.

- Jak się pani czuje? - spytał matkę.

- Już lepiej, dziękuję za troskę. Wygląda na to, że wszystko już wróciło do normy. - Wzięła szklankę z wodą.

- Cieszę się - stwierdził Campbell, poprawiając się na kanapie. - Bardzo mnie boli, kiedy widzę, jak piękna kobieta cierpi.

- Kokieciarz. - Matka popijała wodę. Smakowała okropnie, więc odstawiła szklankę. - Gdzie mój mąż?

- W szopie. Zbyt zajęty, by się o panią martwić.

- Normalka. - Matka uśmiechnęła się nieśmiało do Campbella. - Cóż, nie jest już taki jak dawniej, ale pomówmy o panu, panie Kobold. Wydawanie książek musi być bardzo ciekawym zajęciem. Spotkał pan kiedyś Jeffreya Archera?

Campbell pokręcił głową.

- Tylko jego żonę Doris. Wpadłem na nią kiedyś na festynie I młodych farmerów w Borchester. Fascynująca kobieta, zwykła robić sztuczkę ze staniem na głowie i butelką Creme de Menthe, którą...

- Campbell nachylił się do pani Murphy i zaczął szeptać jej do ucha szczegóły.

- Naprawdę? Butelką Creme de Menthe? Widziałam coś takiego z obdartym ze skóry królikiem i plastikowym workiem, ale...

- Z czym?

- Kiedyś, w Tunezji, byłem w barze, gdzie występowali kastraci i był tam człowiek, który...

\*\*\*

- Corneliusie, jedziesz naprawdę szybko. - Tuppe wpijał się palcami w siedzenie.

- Musimy dostać się do Londynu. Jeżeli ten Campbell, kim on tam jest, jest ciągle krok przed nami, możliwe, że jest właśnie w domu Jacka.

- Niemożliwe. - Tuppe pokręcił głową. - Myślałem nad tym i uważam, że nie może wiedzieć, jaki będzie nasz kolejny krok.

- Dotychczas wiedział.

- Ponieważ go prowadziliśmy. Corneliusie, to on musiał włożyć nam pod siedzenie służący do voodoo model, prawda?

- Nie wyobrażam sobie, by ktoś inny mógł to zrobić.

- Skąd wiedział, że zamieszkamy w „Holiday Inn”? Cornelius wzruszył ramionami.

- Ponieważ powiedziałaś to Mike’owi mechanikowi. Tak samo jak to, że wybieramy się do klasztoru.

- Nie powiedziałem.

- Oczywiście, że tak. Mike sprzedał ci mapę i pytałeś o drogę.

- Uważasz, że Campbell dotarł za nami do Mike’a?

- I pewnie dał mu popalić, aż Mike wszystko wyśpiewał. Campbell buchnął mu samochód i dostał się przed nami do klasztoru.

- Diabelskie nasienie.

- Zgadza się. Tyle tylko, że pokrzyżowaliśmy mu plany w klasztorze, a nie zna adresu Jacka. My też byśmy go nie znali, gdyby przypadkiem mój wujek nie pracował nad jego maszyną do karaoke.

- Masz rację. - Cornelius podskakiwał na fotelu. - Niemożliwe, by Campbell znał adres.

- Może więc nieco zwolnisz?

- Jak uważasz. - Cornelius zwolnił nieco.

- Dziękuję. - Tuppe położył się na siedzeniu i obserwował przelatujące w górze niebo. Był pewien, że Campbell nie zna adresu Jacka. Tak samo był jednak pewien, że - uczciwym albo nieuczciwym sposobem - zdobył od licytatora z Sheila na gigh adres Corneliusa.

Jechali na południe. Minęli Birmingham - zdaniem Tuppego miasto godne uwagi jedynie ze względu na znakomite księgarnie z literaturą science fiction - i wjechali na M40. Podróży nie zmącił żaden nieprzyjemny incydent, co nie było niestety wynikiem szczęścia, lecz dążenia losu do przyspieszenia wybuchu. Kiedy na słonecznym zegarze minęło wpół do piątej, wjechali na przedmieścia Penge. Jeszcze nigdy tu nie byli, choć miasto znane jest jako bardzo miłe miejsce.

Ulica Słoneczna spełniała zawartą w nazwie obietnicę. Stał tu szereg pokrytych czerwoną dachówką willi z lat trzydziestych, pooddzielanych od siebie równo przystrzyżonymi żywopłotami. Zraszacze trawników terkotały cicho, gołębie gruchały. Mała dziewczynka skakała na skakance. Wszystko było normalne i stateczne.

Stojący na końcu ulicy cadillac eldorado tkwił w tym jak wielki, owrzodzony, elektryzująco błękitny kciuk.

- Nie tego oczekiwałem - zaczął Cornelius. - Wszystko jest tu takie...

- „Bezpieczne” - to chyba słowo, którego szukasz.

- Który dom należy, według ciebie, do Jacka?

Tuppe popatrzył na etykietkę przy skrzynce z maszyną do karaoke.

- Numer jednaście. Willa Laur. Musisz kawałek podjechać. Cornelius podjechał kawałek i zatrzymał się przed domem numer jednaście. Wyglądał on tak samo jak pozostałe. Trawnik, kwiatki, jeden czy dwa kamienne krasnale. Spokój, normalność, bezpieczeństwo.

- Też czujesz się tak nieswojo jak ja? - spytał Tuppe. Cornelius przytaknął.

- Jakbyśmy wchodzili nie proszeni na prywatny teren. Takie miejsce jak to nie może być naszym miejscem.

- Idź i zapukaj do drzwi. Miejmy to już za sobą. Cornelius przyklepał włosy. Siatkowe firaneczki bujały się w oknach. Dziewczynka ze skakanką zniknęła.

- No to hop. Załatwmy to. - Cornelius wysiadł, zatrzasnął cicho drzwi i wziął z tylnego siedzenia skrzynkę. Pociągnął nosem. Powietrze pachniało zdrowo. Bezpiecznie.

Cornelius Murphy podchodził do willi Laur.

Otworzył furtkę. Przeszedł krótką zwirową ścieżką i stanął przed frontowymi drzwiami. Na szybie w górnej połowie wygrawerowane było drzewo laurowe. Cornelius nacisnął dzwonek, który zrobił: BIM-BOM!

Murphy czekał, ale nikt nie nadchodził. Czekał więc dalej. Po krawędzi szyjki stojącej na schodkach butelki po mleku dreptała biedronka. Cornelius zauważył, że pięć kropek na jej pancerzu odwzorowuje układ gwiazdozbioru Kasjopeja.

Ponownie nacisnął dzwonek, ponownie rozległo się: BIM-BOM i ponownie nikt się nie zjawił. Cornelius popatrzył przez ramię na Tuppego, który dodawał mu miną otuchy.

Palec Corneliusa miał właśnie powtórnie dotknąć dzwonka, kiedy drzwi uchyliły się na centymetr.

- Dziękujemy, dziś dziękujemy. - Dobiegł ze środka cichy głos.

- Paczka dla państwa - powiedział Cornelius, wskazując na skrzynkę.

- Nie tutaj. Na pewno do domu obok.

- Właśnie tutaj. - Cornelius zajął do środka. Ujrzał przed sobą pomarszczoną twarz przestraszonej kobiety. Do jego nozdrzy doleciał zapach aromatyzowanego olejkiem sandałowym talku. Mignął też cętkowany, niczym lampart, obcisły cienki trykot, jaki noszą baletnice. Wsunął stopę w drzwi. - Witam jeszcze raz - powiedział, uśmiechając się. - Piękna pani, musisz być córką szanownego pana Jacka Londona. Adres się zgadza, prawda? Mam skrzynkę dla pani ojca. Długo go nie będzie? Może mógłbym wejść i zaczekać? Co za czarujący kostium, sama upolowała pani lamparta?

- Zabieraj nogę z drzwi albo poszczuję psem!

Cornelius spojrział przez ramię na Tuppego, by dać mu znak wzruszeniem ramion i stwierdził z zaskoczeniem, że wokół cadillaca zdążył się już zebrać tłumek gapiów.

- Aua! - wrzasnął, kiedy drzwi boleśnie zgmiotły mu stopę.

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić. Muszę porozmawiać z Jackiem Londonem.

- Nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień. Wyprowadził się. Odejdź!

- Proszę pani. - Cornelius znów zabimbomił dzwonkiem. Przystawił bark do drzwi.

- Książątko! - krzyknął głos ze środka. - Zły człowiek przy drzwiach. Książątko, odgryź mu nogę! Dobry piesek.

Cornelius wyrwał stopę i drzwi się zatrzasnęły.

Wysoki młodzieniec odstawił na ziemię skrzynkę z maszyną do karaoke. Zamarł na chwilę, by zebrać myśli. Potem ukląkł i podważył palcem kłapkę w drzwiach zasłaniającą otwór do wrzucania listów.

- Czy mogłaby mi pani podać nowy adres Jacka Londona?

- Nie mogłabym.

- To naprawdę dość pilna sprawa. Bardzo mi przykro, ale jeżeli nie poda mi pani jego adresu, będę zmuszony maszerować przed pani domem, płacząc, zawodząc i oświadczając na cały głos, że jestem kochasiem, którego pani uwiodła i porzuciła. Wiem, to niezbyt oryginalne, ale w takiej okolicy jak ta powinno wywołać spore zamieszanie, nieprawdaż?

Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległ się chrobot łańcucha i po chwili otworzyły się frontowe drzwi.

Słońce nie dodawało kobiecie w lamparcim trykocie uroku. Cornelius zauważył, że jest w niej coś podobnego do ponurej kobiety, która prowadziła kiosk na dworcu w Edynburgu. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie są spokrewnione.

- Teraz mnie posłuchaj. - Lamparcia dama z Lauru wbiła wzrok w swego dręczyciela. Ściągnęła łopatki, przez co niepotrzebnie wyeksponowała czerstwe piersi. - I zamierzam powiedzieć to tylko raz.

Cornelius stwierdził, że widoczna w dekolcie część zagłębienia między piersiami kobiety przypomina widziany z satelity pogodowego fragment doliny Indusu - podczas długotrwałej suszy.

- Już mówiłam tym wszystkim dziwakom. Temu brodatemu guru w różowym rolls-royse. Kręcącym się przy zespołach dziewczuchom i zabawowym kolesiom. Graczom na bongach i tarkach do prania. Mówiłam tym na szczudłach, chłopakom o psich gębach i dziewczynom-aligatorom. Mówiłam to nawet temu cholernemu Zippy'emu o główce jak makówka. A teraz powiem tobie: Jack London tu nie mieszka. Wyprowadził się. Wyjechał. Kapujesz?

- Rozumiem. - Powoli i z namysłem Cornelius skinął głową. Jego włosy i tak zrobiły swoje. - Masa ludzi ostatnio o niego pytała.

- Nie!

- Ale przecież właśnie pani powiedziała, że...

- To było kupę lat temu! - Lamparcia dama zaczęła odliczać na szponiastej dłoni. - Trzydzieści, dla dokładności. Mam bardzo dobrą pamięć.

- Trzydzieści lat temu? Jack London wyprowadził się trzydzieści lat temu?

- Dokładnie to właśnie mówię! Mam fotograficzną pamięć. I nigdy nie zapominam żadnego szczegółu twarzy. - Wpatrywała się w Corneliusa. - Zwłaszcza kiedy opisuję ją policji.

- Jestem pewien, że w takim razie doskonale pani pamięta nowy londyński adres pana Londona. Im prędzej go dostanę, tym szybciej sobie pójdę. Naprawdę się spieszę. Wie pani, jak to jest.

Kobieta westchnęła i opuściła biust. Dolina Indusu zamieniła się w Wielką Pustynię Słoną w stanie Utah.

- Czy jeżeli podam ci adres, obiecasz odejść i nigdy nie wracać?

- Przysięgam na bogów światła i ciemności. - Cornelius podkreślił słowa odpowiednim świętym gestem.

Kobieta lustrowała go od stóp do głów.

- Kolejny wariat - stwierdziła w końcu. - Zaczekaj. Ale w milczeniu. Zapiszę ci go. - Drzwi zatrzasnęły się.

Cornelius jeszcze raz się odwrócił, by spojrzeć na tłumek. Składał się on głównie z młodzieży. Chłopcy mieli zaczesane do góry i tyłu włosy, dzinsy i studenckie kurtki. Dziewczęta - końskie ogony, obcisłe swetry, kloszowate spódnice i skarpeteczki za kostkę. Każda wyglądała jak słodka mała szesnastka z piosenki.

Frontowe drzwi Lauru otworzyły się po raz ostatni i Corneliusowi wciśnięto w dłoń kawałek papieru.

- I nie wracaj.

- Nie wróćę.

Cornelius spojrział na karteczkę. Spojrział na swoje buty. Na zamknięte drzwi. Na niebo. Schylił się. Wziął skrzynkę z maszyną do karaoke, podniósł ją i ruszył ścieżką do furtki. Przeszedł przez rozświetlony słońcem podjazd. Pokonał chodnik. Stał na jezdni. Radio w cadillacu grało Chucka Berry'ego i Cornelius musiał siłą przebić się przez tańczący tłumek.

Rzucił skrzynkę na tylne siedzenie. Otworzył drzwi. Siadł za kierownicą i wyłączył radio.

- Fuj! - dobiegło z tłumu. - Bikiniarz! Miglanc!

Tuppe, który radośnie stukał palcami do rytmu i podrygiwał z dziewczuszkami, ujrzał twarz Murphy'ego. Nie było na niej uśmiechu.

- Corneliusie? - Mały człowieczek pociągnął przyjaciela za rękaw. - Coś cię wyraźnie gryzie. Cóż mogłoby to być?

- Jack London wyprowadził się. Trzydzieści lat temu.

- Trzydzieści lat temu? Więc go zgubiliśmy.

- Nie. Mam jego nowy adres.

- To dobrze.

- Nie do końca. - Cornelius sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę i podał ją Tuppemu.



Tuppe przeczytał.

- O rany! To przecież...

- Mój adres. Tam mieszkam.

Przekręcił kluczyk, wrzucił wsteczny i spojrzął do tyłu, by przy cofaniu na nikogo nie najechać, tłum jednak zniknął. Poza dwoma eposowymi podróżnikami i elektryzująco błękitną szkaradą Syunnyside Road była pusta.

19

## INSTRUKCJA OBSŁUGI POCIĄGU

### HERMESA TRISMEGISTOSA MODEL 4

Szczęśliwczel!

Zostałeś właśnie dumnym posiadaczem pociągu Hermesa Trismegistosa model 4. Najnowsze osiągnięcia w dziedzinie Systemów eksterminacji dewiantów.

Egzemplarz został wyposażony w:

1. Regulację trybu przejścia ze stref wewnętrznych do światów zewnętrznych.
2. Pełne opancerzone uzbrojenie atakujące ze zdolnością samodzielnego wyszukiwania i niszczenia celów.
3. Pomocniczą pamięć piłkowotenisową z gwoździem.
4. Holograficzne fluoryzujące kalkomanie.
5. Darmową czapkę zawiadowcy.
6. Flagę.

Towarzystwo Kolejowe Hermesa Trismegistosa ma nadzieję, że Model 4 uszczęśliwi Państwa wieloma godzinami bezawaryjnego użytku. Nasz przedstawiciel handlowy (Wally) z pewnością poinformował, że model będący Wersją Ostateczną, nie podlega reklamacji z tytułu używania przezeń brzydkiego słownictwa, nieoczekiwanego zachowania czy też podejmowania skrajnych działań.

Model 4 zastępuje niniejszym Model 3 (z wpinaniem do butonierki plastikowym kwiatkiem, z pompką do pryskania wodą oraz uśmiechniętą mordką z przodu), w dalszym jednak ciągu zawiera w zestawie wybuchającą damską torebkę, pierdzącą poduszeczkę i sztuczne psie gówienko. Jako nowość dodano do zestawu urządzenie Totalnego niszczenia wszystkiego, co na drodze oraz polisę Polityki spalonej ziemi. Proszę zwrócić uwagę, że wyposażenie jest standardowe i nie może zostać pominięte!

### POCIĄG HERMESA TRISMEGISTOSA ZAŁATWI CO TRZEBA!

#### OBSŁUGA

Aby uzyskać maksimum efektów z Modelu 4, prosimy stosować dokładnie poniższą instrukcję.

Uwaga! Model 4 jest całkowicie zmontowany i nie należy pozwalać dłużyć w nim niepowołanym osobom.

NIE wolno próbować nawiązywać z nim rozmowy!

NIE wolno otwierać klapy na boku, na której napisano wielkimi czerwonymi literami: SZCZEGÓLNE NIEBEZPIECZEŃSTWONAWET NIE MYŚL O TYM, BY OTWIERAĆ.

1. Rozpal pod kotłem dołączonym kawałkiem węgla i zapałką.
2. Umieść zdjęcie dewianta w szczeliny A.
3. Jeżeli nie masz zdjęcia, napisz na kartce pocztowej kilka szczegółów. Przybliżony wzrost. Kolor oczu, skóry i włosów. Wiek, płeć, preferowaną garderobę. W tym stylu. Wszystko, co Twoim zdaniem może pomóc Modelowi 4 zrozumieć, kto ma zostać skasowany. Po uzyskaniu ogólnych informacji zacznie on systematycznie obwąchiwać każdego osobnika, który choć trochę przypomina poszukiwanego.
4. Otwórz drzwi do świata zewnętrznego.
5. Załóż czapkę zawiadowcy.
6. Wciśnij klawisz START i machając flagą, odejź na bezpieczną odległość.
7. Jeżeli zrozumiałeś, co jest dla Ciebie dobre, po odjeździe pociągu zamknij drzwi do świata zewnętrznego.

Uwaga! Jeżeli rzeź, która po tym nastąpi, przekroczy możliwą do przyjęcia normę (tzn. dojdzie do całkowitego usunięcia dominującego na planecie gatunku), należy natychmiast zawiadomić TO-WARZYSTWO KOLEJOWE HERMESA TRISMEGISTOSA!

W takiej sytuacji będziemy mieli zaszczyt wyrazić wielkie współczucie, ale poinformujemy jednoznacznie, że TO NEE NASZA WINA!

\*\*\*

Arthur Kobold wzdrygnął się. Zamknął instrukcję obsługi, starł z okładki krem i wrzucił ją do kosza na śmieci.

Uznał, że to nie jego sprawa. Potrzebował jedynie jeszcze trochę czasu, wtedy całą operację będzie można zakończyć w cywilizowany sposób. Nie podobało mu się całkowite usuwanie dominującego na planecie gatunku. Zwłaszcza, że sam do niego należał.

Ponuro ssąc zapačkany kremem kciuk, Arthur Kobold zaczął przemierzać nerwowo gabinet.

\*\*\*

W frontowym salonie budynku przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy także i Campbell spacerował nerwowo. Przez cały czas, który zdawał mu się wiecznością, słuchał opowieści matki, które doprowadziłyby do załamania samego Havelocka Ellisa, Kraffta-Ebbinga, a nawet legendarnego Magnusa Hirschfelda.

Gdyby zebrać wszelkie istniejące na tej planecie formy zboczeń seksualnych, sposoby poważnego deprawowania albo wyrafinowanej perwersji, to ta kobieta widziała wszystko. Z ociekającymi krwią kłami i szponami, nie odwracając wzroku nawet na milimetr - do tego wpadając jedynie gdzieś na kieliszek sherry, jadąc autokarem na wycieczkę, idąc na zakupy albo robiąc maleńki wypadzik wokół zatoki...

Nic nie zapowiadało, aby ta lista miała się kiedykolwiek skończyć.

- I wtedy wódz zapytał, czy widzieliśmy, jak obrzezuje się słońca - mówiła właśnie matka. - Widział pan, jak to się robi?

- Nie widziałem - odparł Campbell, nie przerywając marszu. - Nie widziałem. Nie, nie widziałem.

\*\*\*

W ogrodzie za domem tata zamknięty w kręgu magicznej ściany też nerwowo chodził. Już jakiś czas temu zdjął hełm. Rękawy miał w pozycji „podwinięte”. Marsz taty utrudniały liczne leżące wokół niego, stępione i nieużyteczne teraz, narzędzia ogrodnicze. W trakcie popołudnia bezowocnej walki z magiczną ścianą wielu kumpli taty zostało rzuconych na ziemię, liczne także były przekleństwa, jakimi obdarzał ich teraz ponury osobnik. Krążąc jak lew w klatce, tata gotował się. Klnąc, nie zwalniał kroku, ale nie wyglądało na to, by był w stanie dokądkolwiek się dostać.

\*\*\*

W przypadku Corneliusa Murphy'ego także nie zanosilo się na to, by był w stanie dokądkolwiek się dostać.

Cadillac eldorado tkwił w korku.

Kiedys w Londynie były dwa szczyty - rano i po południu. Wtedy pewien mądry ktoś, którego nazwiska nikt dziś nie pamięta, wpadł na bardzo dobry pomysł. Wymyślił ruchomy czas pracy, dzięki czemu można było tak dobierać sobie godziny pracy, by uniknąć korków w szczycie. Tak więc dzisiaj w Londynie korki są przez cały dzień.

- Zjeżdżaj! - Cornelius zatrąbił, uniósł się w fotelu i zamachał pięściami na samochód przed sobą. Była to czarna taksówka, kierowca zignorował go.

- Cierpliwości - poradził Tuppe.

- Cierpliwości?! - Cornelius wbił wzrok w swojego małego towarzysza. - Powiedziałaś „cierpliwości”?

- Corneliusie, usiądź. Ściągasz uwagę, zbiera się wokół nas tłum. Cornelius usiadł.

- To niedobrze, Tuppe. To bardzo niedobrze.

- Znam gorsze rzeczy. Powinieneś spróbować przecisnąć się przesmykiem przed Portsmouth, parostatkami pełnymi prosiaczych primadonn. Albo choćby to powiedzieć.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie mówię o ruchu. Tuppe zrobił minę mającą zachęcić Corneliusa do dalszych zwierzeń.

- Jack London! Tata osobiście! To było oczywiste. Powinienem być zauważyć to wcześniej.

- Daj spokój. - Tuppe wstrzymał się z robieniem zachęcającej miny. Przeszedł na przestraszona. - To mógł być każdy. Londyn to wielkie miasto.

- Ale nie świat, który zamieszkujemy. Jak na razie wszystko było zbiegiem okoliczności. Prowadziły nas same zbiegi okoliczności. Zbiegi okoliczności oraz kontury. Daj mi mapę, to ci pokażę.

Tuppe pogrzebał w schowku.

- Proszę. Cornelius wziął mapę.

- Daj mi jeszcze długopis. Tuppe zaczął grzebać w kieszeniach.

- Na pewno miałem długopis, wziąłem z domu aukcyjnego. Nie, zgubiłem go, ale wziąłem drugi z „Holiday Inn”. Gdzie ja go włożyłem? Nie, chyba nie mam długopisu. Gdzie one się wszystkie podziewają?

Cornelius uniósł brew i wsadził rękę do górnej kieszeni koszuli. Bez trudu znalazł ołówek. Polizał czubek.

- Teraz popatrz na to. - Rozłożył mapę na desce rozdzielczej..- Nasza eposowa podróż rozpoczęła się w moim domu. Przez stację King's Cross dotarliśmy do Edynburga. Potem pojechaliśmy do Sheila na gigh, z powrotem do Edynburga na komisariat, znów do Sheila na gigh. Na południe do Milcolma Molocha, której to wioski nie ma na mapie, ale musi się znajdować gdzieś tutaj. - Cornelius ołówkiem zaznaczał trasę. - Stąd pojechaliśmy do Cromeruach, gdzie dostaliśmy samochód. Potem był „Holiday Inn” w North Ameshet. Nadążasz?

Tuppe potaknął.

- To dobrze. - Cornelius rysował dalej. - Potem, dziwną drogą, dotarliśmy do klasztoru, stamtąd prosto na południe do Penge. Obecnie jedziemy - choć to przenośnia - tędy, do domu. - Wyciągnął mapę w kierunku Tuppego. - Co ci to przypomina?

Tuppe obejrzał dokładnie rysunek ołówkiem.

- Trochę powykrzywiany statek kosmiczny. Może garbate cygaro.

- Nie do końca. - Cornelius wyrwał mu mapę. - Zatrzymaliśmy się po drodze. Żeby zjeść, zatankować, iść do toalety.

- To nie moja wina. Mam malutki pęcherz.

- Nie mam pretensji. Zatrzymaliśmy się tutaj, tutaj, tutaj. - Cornelius rysował kółka. - Tu i chyba tu. Tutaj na pewno.

- I tutaj. - Wskazał Tuppe. - Tutaj ty musiałeś wysiąść.

- Masz rację. No i też tutaj. - Cornelius zakreślił miejsca. - Co widzisz teraz?

Tuppe ponownie przyjrzał się mapie.

- To, no jak tam. Takie coś, na czym się gra, tyle że ma za dużo dziur.

- To wynaleziona na nowo okaryna. Ot co! A spiczasty koniec tkwi w samym środku mojego domu.

- To V, prawda?

- Dokładnie. Dlatego powinienem być wcześniej zauważyć. Przecież na tym polega moje zadanie, Tuppe. Patrzyć, obserwować. Zauważać schematy. Związki krzyżowe. Rzeczy wpisane w inne rzeczy. Oto ja, Tuppe.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś świrus?

- Dowcipne.

- Samochody się ruszyły.

\*\*\*

Kiedy cadillac eldorado stanął na pustyni, która kiedyś była Moby Dick Terrace numer jeden, na letnim popołudniowym zegarze było nieco po siódmej. Cornelius wywrócił kieszenie.

- Koniec benzyny i pieniędzy. Nie mamy ani pensa.

- Wygląda więc na to, że ta część twojej eposowej podróży dobiegła końca.

Cornelius zgodził się, że chyba tak.

- Co musi oznaczać, że ekscytujący finał już całkiem blisko. Cornelius i z tym się zgodził.

- Chyba dlatego muszę iść do toalety.

Cornelius pomyślał, że to bardziej niż prawdopodobne.

- Zdajesz sobie sprawę, że ON prawdopodobnie już tu jest?

- Campbell? - Cornelius pociągnął nosem. Poczul liczne delikatne zapachy. Inne uparcie uni-  
kały dostępu do jego nozdrzy. - Jest tutaj.

- W takim razie muszę znaleźć choćby krzaczek, za który mógłbym się udać. Na samą myśl o  
Campbellu chce mi się sss...

- Moich dni on też nie rozwesela. - Cornelius rozglądał się za najgrubszą i najsolidniejszą pałą.  
Bardzo go niepokoiło bezpieczeństwo rodziców. Nieważne, czy są Murphymi, Londonami czy kim  
bądź.

- Ten Campbell, Corneliusie. Kto to właściwie jest?

- Podejrzewam, że ktoś, kto miałby ochotę nauczyć się gry na nowo wynalezionej okarynie.

- Masz jakiś plan?

- Czy mam jakiś plan? - Corneliusowi udało się kiwnąć głową i machnąć ręką. - Czy ja mam  
jakiś plan?

- Masz?

- Cóż...

\*\*\*

Tata zrezygnował z krążenia jak lew w klatce. Siedział w otwartych drzwiach szopy, palił faj-  
kę i dyskutował z przyjaciółmi o zasmucającym fakcie postępującego upadku muzyki pop.

- Nie umiem pozbyć się poczucia, że jestem za to wszystko odpowiedzialny - mówił stary do  
swoich narzędzi. - Gdybym nie zaczął gmerać w tej maszynie do karaoke, Beatlesi by się nie roze-  
szli. Zdjąłem tylko przednią pokrywę, aby ją oczyścić, i wtedy ze środka wypadła śrubka.

- Nigdy nie byłem specjalnie napalona na Beatlesów - powiedziała lutlampa. - Ty byłeś?

Tata też nie był napalony na Beatlesów.

- A co się stało z Shakin Stevensenem? - spytała bezrobotna od dawna otrząsarka.

Tata wzruszył ramionami.

- Ja to bardziej jestem fanem The Marmalade - stwierdził słoik.

- Ja rapu! - wrzasnął młotek.

- Soul! - zaśpiewały trzy szpadle z czernionej stali.

- Słuchajcie, przyjaciele, rozumiem waszą dobrą wolę - przerwał tata - ale nie sądzę, by ta  
kłótnia cokolwiek wносиła.

- W takim razie choć mnie skręca mam nie mówić o mojej skłonności do Deana Martina? -  
oznajmił śrubokręt.

- Niespodzianka jak kubeł zimnej wody! - wrzasnął wąż ogrodowy, fan Toma Jonesa. - Może  
jeszcze dzień nie jest stracony. *Here comes the son*\*

- Do-dnn-do-do - zaśpiewał przelatujący żuk. - Może coś o Pink Floydach?

Nieświadom, co go czeka, Cornelius Murphy przełaził właśnie przez mur wokół ogrodu, wy-  
soki jak „Ściana”\*\*.

- O! - powiedział, patrząc z zaciekawieniem na ojca, siedzącego na ziemi i zamkniętego w  
czymś na kształt kopuły z matowego szkła. - Tato?

- Corneliusie, mój drogi chłopcze! - Cornelius senior wstał i ponownie trącił głową magiczną  
ścianę. Znow rozległo się dźwięczne, lekko przytłumione dzwonięcie.

- Mike Oldfield - oznajmił sadzak.

- Tajemnica wszystkiego polega na tym, by w odpowiednim momencie przestać - stwierdził  
tata. - Corneliusie, owocu mojej namiętności do twej słodkiej matki, jeżeli masz w swym młodym  
ciele choć odrobinę obyczajności, uwolnij mnie z tej diabelskiej pułapki.

Cornelius podszedł do mężczyzny znajdującego się w magicznym więzieniu.

- Mam dla pana paczkę, panie London.

\*\*\*

- O Jezu, o Boże. - Arthur Kobold przestał na chwilę nerwowo krążyć.

Spojrzał na zegarek, potem na telefon. Kiedy pociąg zostanie uruchomiony, nie wiadomo, co  
się wydarzy. Wiedział jednak, że będzie to na pewno coś potwornego. Jeżeli on, Arthur Kobold,

\* *Here Comes The Sun* - tytuł piosenki Beatlesów. *Here comes the son* - oto idzie syn (przyp. tłum.).

\*\* Ściana (The Wall) - tytuł sławnego albumu grupy Pink Floyd (przyp. tłum.).

mógł cokolwiek zrobić, musiał to zrobić natychmiast. Zagryzł kostkę dłoni. Znacznie bardziej wołałby oczywiście wgrzyźć się w ciasto.

\*\*\*

- O Jezu! O Boże! - Matka skończyła swój ostami fascynujący monolog. - Mógłby pan spojrzeć na zegarek, panie Kobold? Pewnie umiera pan z głodu. Skoczę na chwilę do kuchni i szybko coś panu zrobię, dobrze? Może naleję panu filiżankę herbaty? Mam na parapecie torebkę z herbatą, pewnie już wyschła. Założę się, że tli się w niej jeszcze odrobina życia.

Campbell przestał krążyć po pokoju.

- Skoczyć do kuchni? Nie, nie sądzę, by był to dobry pomysł. Proszę mi opowiedzieć o tym, jak nauczyła się pani od tubylców z Papui wyrabiania miniaturowych ludzkich główek.

- Cóż, rozcina się skórę z tyłu głowy, od nasady do czubka, i ostrożnie usuwa czaszkę. Jest w tym kilka kruczków, ale szybko się ich nauczyłam. Trochę pan zbladł, panie Kobold. Zaczynają panu z głowy wychodzić różne wypustki, gruzły i tym podobne. Na pewno nie chce pan herbaty?

\*\*\*

- O Jezu! O Boże! Corneliusie, uwolnij swojego tatę i stań się po wsze czasy jego ulubieńcem. Cornelius podszedł do zamkniętego gościa i przeciągnął palcem po niewidocznej barierze.

- Jak to zostało zrobione?

- Siłami ciemności, mój chłopcze.

- To robota tych demonów, co? No to wygląda, że już po tobie. - Cornelius odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Nie! Zaczekaj! Dokąd się wybierasz?

- Uratować matkę. To chyba oczywiste.

- Więc najpierw mnie uwolnij. Pomogę ci. Cornelius uśmiechnął się do ojca.

- Jest coś, co mógłbyś zrobić!

- Co zechcesz.

- Powiedz mi, gdzie schowałeś okarynę.

- O nie, tylko nie to. - Tata zakrył dłońmi twarz.

- Właśnie to. Chcę ją dostać i to zaraz.

- Corneliusie, nie! Jeszcze nie masz kompletnego manuskryptu.

- Spodziewam się, że te brakujące fragmenty schowane są razem z okaryną. Przepraszam, nie dosłyszałem, gdzie są?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- W takim razie muszę pana zostawić. Przykro mi, panie London.

- Nie, Corneliusie, zaczekaj. Wszystko ci wytłumaczę. Sprawę okaryny i, Jacka Londona". Wszystko. Zrób tylko coś i wypuść mnie stąd.

- Obiecujesz?

- Tak! Tak! Kładę rękę na bolącym sercu. - Tata położył rękę na sercu.

- Nie wierz starymu łobuzowi - mruknęły taczki.

- Zamknij się! - Tata machnął ręką, którą łapał się właśnie za serce i trzepnął dwurączkowego zdrajcę.

- Komu każesz się zamknąć?

- Nie tobie, mój chłopcze. Nie myśl tak. Chodź teraz, użyj swej pomysłowości.

Cornelius pokręcił głową.

- Chyba tego nie zrobię.

- Co? Ale okaryna...

- Najlepiej będzie, jeżeli tu zostaniesz. Jeżeli nie ufają ci twoje własne taczki, nie widzę powodu, dla którego ja miałbym ci ufać.

- Corneliusie, zaczekaj! - Tata szturchnął niewidzialną ścianę.

BONG, BONG, BONG - odparła.

\*\*\*

BING BONG zrobił dzwonek przy drzwiach wejściowych domu przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy.

- Ktoś idzie - stwierdziła matka. - Ciekawe, kto to może być. Na śmieciarzy jeszcze za wczesnie.

- Ja otworzę, droga pani. Może to Cornelius. Z chęcią zrobię mu niespodziankę.

- Cornelius ma własny klucz. Proszę siadać. Ja otworzę.

- Pójdę z panią. - Campbell słodko się uśmiechnął.

- Nie trzeba. - Matka też się uśmiechnęła.

- Naprawdę muszę nalegać. - Campbell przestał się uśmiechać. Matka nie przestała.

- Podejrzewam, że to mały Tuppe przyszedł skorzystać z toalety. Cornelius najprawdopodobniej wszedł od tyłu. Nie będzie zbyt zadowolony, kiedy zobaczy, co pan zrobił mojemu mężowi.

- Co to ma znaczyć? - Campbell zeszywniał. - Co chce pani przez to powiedzieć?

- Doskonale pan wie, co chcę powiedzieć, panie Dewiantośmieciogłowy.

- O ho! - Śmieciogłowy zdjął okulary i wsadził je w górną kieszonkę garnituru. - Od razu sobie pomyślałem, że jestem pod dobrym adresem, i to w niejednym aspekcie. Obawiam się więc, że zły to dla was znak. - Pstryknął palcami i buchnął między nimi płomień.

Na matce nie zrobiło to wrażenia.

- To jeszcze nic - stwierdziła. - Kiedyś piłam herbatkę z ugandyjskim wodzem o imieniu Katafeltro, który umiał zrobić coś takiego ze swoim ptaszkiem. Pewnego wieczoru poszłam z nim na przyjęcie do ambasady brytyjskiej w Kampali. Obecna była tam lady Windermere i nie zgadniesz pan, co się stało. Spytała Katafeltro, czy nie mógłby jej przypalić papierosa, na co...

- Zamknij się, kobieto! - Campbell parszywił coraz bardziej. - Nie wytrzymam! - Rozpostarł palce i niczym znicz olimpijski buchnął pomiędzy nich ogień.

- Uwważaj, człowieku. Nadpalisz mi pokrowce na meble. - Matka wykonała dość interesujący mistyczny ruch dłonią i wymamrotała przy tym kilka magicznych sylab.

Zmaterializowało się kilka wiader rybich wnętrzości. Uniosło się w powietrze i drgnęło. Ruszyło przez pokój i trafiło Campbella prosto w głowę. Płomienie zgasły.

- Co? Że? Jak? Blee! - wykrzykiwał Campbell mało że zdezorientowany, to jeszcze cuchnący.

- To zakłęcie. - Matka dmuchnęła na swoje palce, zdolne nakłonić nadnaturalną potęgę do wykonania tego i owego. - Nauczył mnie tego pan Katafeltro. To trochę jak z jazdą na rowerze. Jeśli zrozumie się raz, jak jechać bez trzymanki, nigdy się nie zapomina, w jaki sposób działa dzwonek.

Campbell podniósł się niepewnie. Nie wyglądał zbyt apetycznie, robiło się jednak jeszcze weselej. Jego nie najpiękniejsza głowa zaczęła puchnąć. Pęczniała i nadymała się jak balon.

- Zaraz zrobisz sobie krzywdę - zauważyła matka.

- Hm! Boiiiiiiiiing! - Przemiana była gwałtowna i bardzo dramatyczna. Jednak skuteczna, choć niezwykle dziwna. Campbell przemienił się w ogromną, wirującą wielokolorową piłkę. Piłka na kilka sekund zawisała nieruchomo w powietrzu, potem zaczęła skakać po pokoju. Szybko. Odbijała się z ogromną siłą.

Kiedy kulisty dewiant przeleciał nad jej głową i gruchnął w ścianę nad kominkiem, matka skuliła się. Piłka zmiażdżyła zegar, rozłukła w drobniutki hiszpańskie porcelanowe tancerki i połamała na kawałki oprawione w ramkę zdjęcie Królowej Matki (Boże pobłogosław).

Latała w górę i w dół, i była to tu, to tam. BUM i skok, i skok i ŁUP! W podłodze pękały deski, z sufitu spadały kaskady tynku, meble zmieniały się w pył. TRACHCH, BABAMM i ŁUBUDU!

- Rajusie. - Tuppe zaglądał do środka przez klapkę do wrzucania listów.

- Nie powiem. - Cornelius, który skradał się z kuchni z grubym kijem w dłoniach, skoczył do tyłu akurat w momencie, kiedy drzwi salonu wyskoczyły z zawiasów i wyfrunęły na korytarz.

- O Jezu! O Boże! - jęczała matka. - O!

\*\*\*

Nagle zapadła cisza.

Cornelius stał w korytarzu. W drżących dłoniach trzymał pałę. Wstrzymał oddech. Tuppe miał w dłoni klucze wysokiego młodzieńca, otworzył frontowe drzwi i wszedł do salonu. Cornelius przytknął palec do ust. Ostrożnie zajrzał do salonu. W środku nie było niczego, co mógłby sobie przypomnieć. Choć w powietrzu wisiała chmura pyłu, ocena zniszczeń nie była trudna - pomiesz-

czenie zostało kompletnie zdewastowane. Ze ścian i z sufitu zniknął tynk; w ścianie, za którą znajdował się tylny pokój, widniała wielka dziura, meble pozostały zaledwie wspomnieniem.

Jedynie okna frontowe trwały nienaruszone. Nie zostały nawet zadraśnięte. Siatkowe firaneczki i perkalowe zasłony zachowały swą postać.

„Dziwne” - pomyślał Cornelius.

- Mamo? - Wszedł do salonu, to znaczy w stertę śmieci. Groźnie zatrzeszczały pod nim deski podłogi.

- Na twoim miejscu uważałybyśmy bardziej - jęknęły. Cornelius cofnął się.

- Jest tu kto?

- Ja jestem. - Łagodny głos odezwał się tuż przy uchu Corneliusa.

Cornelius gwałtownie się odwrócił i uniósł pałę.

- Odłóż ją. - Z pokoju od tyłu wyszedł Campbell. Wrócił do swej dawnej ujmującej postaci. Wyciągnął zza pleców obsypaną od stóp do głów tynkowym pyłem kobietę i przystawił jej do głowy lufę pistoletu w sposób, w jaki robią to naprawdę czarne charaktery. - Odkładaj albo zastrzelę tę rozgadaną czarownicę. Nie żartuję!

- Witaj, skarbie! - Matka zamachała Corneliusowi na powitanie.

Pała wypadła Corneliusowi z odrętwiałych rąk.

- Puść ją, Campbell. Mam to, czego chcesz.

- Nie masz, ale podejrzewam, że ma to twój ojciec. Jak sądzisz, może powinniśmy go zawołać i to sprawdzić? Hej ty!

- Ja? - spytał Tuppe.

- Ty, niedorosły gnojku. Dokąd się wybierasz?

- Nigdzie. - Tuppe uśmiechnął się niewinnie. - Naprawdę, nigdzie.

\*\*\*

Na spodziewającym się najgorszego wieczornym zegarze minęło właśnie wpół do ósmej. Rodzina Murphys - Jack, Bridie i ich syn Cornelius - siedziała w komplecie przy kuchennym stole. Razem z nimi - na poduszce - siedział najlepszy przyjaciel młodego Murphy'ego: Tuppe. Pilnował ich - z bronią w ręku i przebiegłym uśmiechem na ustach - zły Jim Campbell.

- Mam wrażenie - stwierdził - że na to, co się teraz wydarzy, niektórzy mówią „gra w otwarte karty”.

„Mówią” - przeszło przez myśl Tuppemu. „Znów jacyś ONI”. Campbell spojrzał groźnie na tatę.

- Okaryna. Dawaj ją i to już.

- Cóż tak ważnego jest w tej okarynie? - spytał szeptem Corneliusa Tuppe.

- Powiedz niewyrośniętemu zasrańcowi. - Campbell zamachał pistoletem pod nosem taty.

Tata wydał z siebie kilka cierpkich pomruków.

- Nie wiem, o czym mówisz. Campbell zarepetował broń.

- Powiedz mu!

- Jack - wtrąciła się mama. - Powiedz mu.

- Tak, Jack - dodał Cornelius. - Dlaczego nam nie powiesz?

- Hm, no dobrze. - Tata westchnął z melancholią. - Okaryna jest kluczem. Otwiera bramy do Stref Zakazanych.

- A więc one naprawdę istnieją?!

- Oczywiście, synu. Jak sądzisz, skąd wyskoczył ten obrzydliwiec z piekieł rodem?

- Uważaj no! - Campbell zrobił niezrównanie obrzydliwą minę. Tata kontynuował:

- Mistrz zawsze podejrzewał, że rozwój ludzkości jest planowo hamowany. Że ukrywane są istotnej wagi informacje. Nie ujawnia się prawdy. Inaczej mówiąc, że istnieje wielki spisek. Kiedy odkrył Strefy Zakazane, wszystko zaczęło do siebie pasować. Jasne stało się, co kieruje samoistnym powstawaniem tłumu, co powoduje fenomen drobnych śrubek i doprowadza do znikania długopisów. Owe moce kryją się w Strefach Zakazanych. JEGO rasa - tata wskazał na Campbella - od stuleci dokręca śrubę ludzkości.

- A może jeszcze dłużej - powiedział z uśmiechem Campbell.

- Ale po co? - spytał Cornelius. - Dlaczego przyduszają ludzkość?

- Ponieważ istnieje! Tylko dlatego!

Cornelius podrapał się po brodzie. Czyżby czuł pod dłonią szczecinę zarostu? Chyba nie.

- Kończ już - pospieszał Campbell. - Starczy tej przemowy. Dawaj okarynę.

- Rune prowadził eksperymenty - ciągnął tata - których celem było odkrycie tego, co się przed nami utajnia. Odkrył na przykład ukrywane kolory.

- Rozmawialiśmy z Rizlą - wyjaśnił Cornelius. - Pokazał nam jeden z nich.

- Brat Rizla w dalszym ciągu je ma? - Tata pomachał palcami nad swoją wielką głową.

Cornelius przytaknął. - Zrobił to jego pomiot. - Tata popatrzył zjadliwie na Campbella.

Campbell odwzajemnił spojrzenie bez podziękowania.

- Mów dalej.

- Rune eksperymentował także z dźwiękiem - ciągnął tata. - Uważał, że toniczna skala sol-fa jest jedynie częścią dźwięków, których istnieje znacznie więcej. Nuty między wierszami. Dźwięki, jakich jeszcze nikt nigdy nie słyszał. Dźwięki, których nikomu nigdy nie dane było usłyszeć.

- Stąd wynalezienie na nowo okaryny.

- Tak jest, synu. Dzięki Mistrzowi mogła ona odtwarzać utajniane dźwięki.

- Aby skończyć tę nudną historię - wtrącił Campbell - należy dodać, że Rune odkrył, dlaczego te dźwięki ukrywa się przed ludzkością. Ze względu na wytwarzane przez nie wibracje. Kiedy je się gra, wibracje powodują otwarcie wrót między tym światem a światami leżącymi w Strefach Zakazanych. Teraz wiesz wszystko, panie Murphy, możesz mi więc dać okarynę.

- Momencik! - zawołał Cornelius. - Nie tak szybko. Czegoś nie rozumiem. Jeżeli przybywasz ze Stref Zakazanych, po co ci okaryna?

- Ponieważ nie może bez niej wrócić - wyjaśnił tata. - To zbiegły kryminalista. Uciekinier stamtąd. Niebezpieczny dewiant.

- Zgadłeś - potwierdził Campbell. Cornelius jeszcze się nie otrząsnął.

- Ale jeżeli uciekłeś, dlaczego chcesz wracać? Żeby oddać się w ręce władz?

- Oddać się? - Campbell ze śmiechem pokręcił głową. - Nigdy w życiu. Chcę ich obrobić. Jest tam fortuna. Przysłowiowy skarb na końcu tęczy. Miliony zgubionych diamentów. Prastare skarby. Więcej długopisów, parasolek i śrubokrętów z żółtymi rączkami niż można by wykorzystać przez sto żywotów. Strefy aż kipią złotem.

- To znaczy, że okaryna jest kluczem do niezmiernego bogactwa?

- Tak jest! Trzeba tylko w nią zadmuchać.

- Ale wejścia są z pewnością strzeżone.

- Przed kim? Jedynym człowiekiem, który uważał, że Strefy istnieją, był Rune. Jedynym, kto miał klucz. Na szczęście już...

- Nie żyje? - spytał Cornelius. - A może jest uwięziony w Strefach?

- Nie wiem, poza tym niewiele mnie to obchodzi. Dość już jednak gadania. Panie Murphy, poproszę o okarynę albo zastrzelę pańską żonę i wyrosniętego potomka.

- Blefujesz. - Tata skrzyżował ramiona i wydał dolną wargę. - Nie odważysz się.

Wokół stołu opadło kilka szczęk. Campbell skierował broń na Tuppego.

- Jak chcesz. Najpierw rozwalę kurdupla. Tylko dlatego, żebyś usłyszał, jaki ta broń robi hałas.

No i oczywiście - zobaczył, jak szatkuje.

- Dlaczego ja?! - zawył Tuppe. - Wcale mi się nie podoba, że to mam być ja!

- Żartowałem - odparł tata. - Dam ci okarynę.

- Tak chyba będzie najlepiej.

\*\*\*

Felix Henderson McMurdo, o którym ostatnio nikt nie słyszał, promieniał szczęściem. Żołądek skręcał mu głód i musiał iść do toalety, ale mimo to promieniał szczęściem. Właśnie był najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Znacznie lepszy od poprzedniego, w którym został sponiewierany przez Dzikich Wojowników, a potwór rzucił mu w twarz ciastem. Dzisiejszy dzień był klasą dla siebie.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się od ucieczki z klasztoru. Nie uciekł daleko, ponieważ zbytnio drżały mu kolana, tak więc kiedy natknął się na stary samochód w rowie, uznał, że będzie on idealną kryjówką. Zbierze w nim myśli i pozwoli uspokoić się kolanom.

Nareszcie. Co za szczęście. Otwarte drzwi, brak dowodu ubezpieczenia - bez dwóch zdań porzucony. Każdy mógł popełnić ten sam błąd, każdy mógł powiedzieć, że znalazł starego, porzuc-



nego, pokrytego kolcami czarnego volkswagena. Felix tak zrobił. W ułamku sekundy leżał na tylnym siedzeniu i spał.

Za to z jakim przestrawem obudził się następnego dnia!

O szóstej rano VW nagle ruszył. Felix wyprostował się, aby przeprosić kierowcę, ale ku swemu najwyższemu zdumieniu stwierdził, że miejsce za kierownicą jest puste.

Samochód jechał sam!

Felix jak palant gapił się na samodzielnie zmieniające się biegi, podskoczył razem z samochodem przy wjeździe na szosę i patrzył, jak jedzie w kierunku autostrady. Potem spanikował. Zamierzał właśnie otworzyć drzwi i wyskoczyć w biegu, kiedy przysłała mu do głowy wspaniała myśl.

Przypomniał sobie film Walta Disneya, na którym widział coś podobnego. Samochód na filmie też chyba pochodził z fabryki volkswagena. Tak, na pewno! Felix dodał dwa do dwóch - to musiał być ten sam wóz! Nie mogło istnieć inne wyjaśnienie. Było to oczywiste. On, Felix Henderson McMurdo, jechał właśnie sławnym na cały świat, obdarowanym ludzkimi cechami volkswagenem. Jak on się nazywał?

Zaczął wertować w pamięci. Miał to na końcu języka...

HERPES! Tak jest!

- Wspaniale - szepnął Felix. - Cudownie.

Zaczął pogawędkę. Starał się być jak najmilszy, robił, co mógł, by stworzyć między sobą a samochodem bliski kontakt. Opowiedział Herpesowi o sobie, opuszczając jedynie co smutniejsze epizody i w końcu zapytał Herpesa, co robił po rozstaniu się z Disneyem. Niestety, samochód nie odpowiedział. Było jasne, że nie był w najlepszej formie. Felix wiedział, że w Hollywood to nic dziwnego. Jednego dnia jest się na szczycie, następnego w rynsztoku. Pociuszając poklepał pusty fotel kierowcy. Rozumiał samochód i współczuł mu szczerze.

Herpes gnał przed siebie. Najwyraźniej miał do spełnienia jakąś bardzo ważną misję. Może spieszył się na próbę? W każdym razie bez względu na to, dokąd zmierzał, nie zamierzał się zatrzymywać. Za żadne skarby. Felix chwilę podumał nad tym, jak bardzo przydałyby mu się śniadanie i wizyta w toalecie, Herpes jednak nie zwalniał nawet na chwilę.

Pierwszego poważnego wstrząsu doznał Felix, kiedy VW zajechał nagle drogę znajomo wyglądającemu cadillacowi i próbował zepchnąć go z jezdni. Drugi przeżył niewiele później. McMurdo od godziny ścisnął nogi i uznał właśnie, że dłużej już nie wytrzyma, otworzył więc tylną szybę (dokładniej mówiąc - uchylił), rozpiął rozpiorek i starał się jak najlepiej wycelować przez szparę. Gdyby nie był w tak wielkiej potrzebie, prawdopodobnie spojrząłby przedtem we wsteczne lustro, ponieważ jednak nie zrobił tego, zbliżający się z tyłu policjant na motocyklu dostał pełną porcję prosto w twarz.

Stróż prawa nie był tym zachwycony. Włączył syrenę i jednoznacznie dał do zrozumienia, że VW ma zjechać na bok. Herpes nawet o tym nie pomyślał. Wkrótce do pogoni dołączyli się koledzy zroszonego policjanta, ale Herpes uciekł im wszystkim. Pierwszą policyjną blokadę ustawiono mniej więcej pod Banbury. Herpes przejechał przez nią jakby nigdy nic.

Felix był pod wrażeniem. Poczul jedynie nieznaczne wstrząsy.

Kawałek na północ od Long Crendon, na B4011, funkcjonariusze policji z Buckinghamshire wpadli na genialny pomysł zatarasowania szosy dwoma buldożerami. Felixowi przypomniał się inny film - Znikający punkt - i pamiętając, co tam się stało w podobnej sytuacji, zamknął oczy. Wielkie BUM jednak nie nastąpiło. Herpes po prostu przeskoczył buldożery i popędził dalej.

Felix zaklaskał. Potem pomacał się po głowie. Rana na czubku głowy nie była zbyt wielka. Uznał, że podwójne widzenie z pewnością wkrótce zniknie. Wycieczka robiła się naprawdę podniecająca. Jak w kinie.

Jazda przez Londyn okazała się równie ekscytująca. Felix jeszcze nigdy tu nie był i rozglądał się z ciekawością. A widok miał dobry, Herpes bowiem jechał po dachach tkwiących w korkach aut.

Zauważył to helikopter policyjny. Felix przyglądał się uważnie, jak opada i zawisa nad nimi. Patrzył, kiedy Herpes nagle zahamował.

\*\*\*

- Wychodzić z rękami do góry! - Rozlegający się przez megafon głos komendanta policji zadudnił w kuchni domu przy Moby Dick Terrace dwadzieścia trzy.

- Sprytne. - Campbell popatrzył groźnie na Tuppego.  
- Ale to nie naprawdę.  
- Mógłbym ci wezwać taksówkę? - spytał Campbella Cornelius.  
- Akurat. Nie myśl sobie, że dam się na to złapać. To bardzo stara sztuczka.  
- Nie miałem zamiaru robić żadnych sztuczek.  
- Wiem, co miałeś zamiar robić. - Campbell popatrzył na swój bojowy zegarek. - Przybyłem tu własnym środkiem lokomocji. - Dla podkreślenia uczynił dłonią obsceniczny posuwisty ruch. - Bardzo szybki, ale męczący sposób. Na odjazd też zamówiłem pojazd. Zaraz tu będzie, powiem więc chyba wszystkim pa pa. - Poklepał się po wypchanej kieszeni, w której miał teraz nowo wynalezioną okarynę. - Wątpię, byśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali, choć będę się kręcił w okolicy. Raczaj mnie nie rozpoznacie, jeżeli jednak przyjrzyście się bajecznie bogatemu niezależnemu kandydatowi, który w następnych wyborach sięgnie po władzę... Wiecie jak to jest - dziś Westminster, jutro cały świat.

- Diabeł! - mruknął tata.

- Mniej więcej. No to pa. - Campbell wyszedł z kuchni. - I nie zapomnijcie głosować!

Wyszedł.

- Tja - zaczęła pani Murphy. - Cóż za niemiła kreatura. Tata skoczył na nogi.

- Za nim, Corneliusie! Rób, co do ciebie należy!

- Co do mnie należy. A co tak właściwie do mnie należy? Campbell wybiegł frontowymi drzwiami i pognął do kolczastego

volkswagena. Nagle znalazł się w kręgu światła z helikopterowego szperacza. Wydawał się on co prawda dość niepotrzebny, w dalszym bowiem ciągu świeciło słońce, ale cóż.

Do uszu Campbella doleciało wycie policyjnych syren. Ze wszystkich stron nadciągały radiowozy.

- Chollerrra! - wrzasnął Campbell. - Ale to nic! - Klepnął się po kieszeni. - Mnóstwo miejsca, by się schować.

- No jak to - zaczął tata. - Zostać bohaterem eposu.

- Aha, bohaterem. - Cornelius wyglądał przez otwarte frontowe drzwi. Widział czarnego VW i zad zwiewającego Campbella. Resztę słyszał. - Wygląda mi to na sporą koncentrację sił policyjnych. Jest helikopter itd. Sądzę, że najlepiej będzie zostawić Campbella chłopcom w granatowych bluzach.

- Nie! - Tata zaczął wymachiwać wielkimi czerwonymi łapami. - Nie zatrzymają go. Ucieknij. Chodź, Corneliusie, pospiesz się!

Cornelius pokręcił głową, razem z głową zatrzęsły się włosy.

- Nie sądzą. Nie jestem dla niego odpowiednim przeciwnikiem. Bez względu na to, kim on jest.

- Jesteś. Musiałeś nim zostać.

- Dlaczego?

- Dlatego że... - Tata zagryzł wargę. - Ponieważ...

- Lepiej mu powiedz, kochanie - wtrąciła matka. - Wszystko wymyka się z rąk. Musi się dowiedzieć.

- Czego muszę się dowiedzieć? - Cornelius patrzył to na ojca, to na matkę. Oboje wyglądali naprawdę głupkowato.

Tata wydał policzki.

- Miałem ci to powiedzieć dopiero za rok. Kiedy osiągnąłbyś odpowiedni wiek...

- Powiedzieć co?

- Że nie jesteśmy twoimi prawdziwymi rodzicami - wyrzucił z siebie tata. - Jesteś adoptowany.

- Co?! - Wszystkie włosy na głowie wysokiego młodzieńca stanęły dęba. - Co?!  
Wielki mężczyzna starł łzę z lewego oka.

- Przykro mi, Corneliusie. Nie jestem twoim prawdziwym tatą.

- Co? Jak? - Cornelius kręcił gwałtownie głową, rozsypując po kuchni włosy. - Co ty mówisz?

Nie jesteś moim prawdziwym tatą? Jeżeli nie ty, to kto?

- Hugo Rune - odpowiedział Jack Murphy. - Choć nie wiem, czy przebywa na Ziemi.

\*\*\*

Zły Jim Campbell zignorował snop policyjnego światła i wezwanie, by się poddał. Otworzył drzwi VW i skoczył do środka, za kierownicę.

- Spadamy! - rozkazał samochodowi.

- Brummmmmmm brummmmmmm - zawarczał podniecony samochód.

- No to ruszamy. - Campbell wrzucił wsteczny bieg i ustawił wsteczne lusterko. Ujrzał w nim twarz Felixa Hendersona McMurdo.

- Ty?! - wrzasnął Campbell.

- Ty! - wrzasnął Felix. - O nie!

\*\*\*

Istnieje plotka - stale utrzymywana przez szczurołapów z londyńskiego metra - że głęboko pod ziemią wielkiej metropolii, w odciętym tunelu stoi wiktoriański pociąg. Pełen szkieletów, choć ubranych w stroje z epoki.

Różne są wersje dotyczące przyczyn katastrofy. Jedni mówią o naturalnym zawaleniu się tunelu i zasypaniu ludzi żywcem. Inni o tym, że w składzie pociągu szalał Kuba Rozpruwacz i władze postanowiły wysadzić tunel, by po wsze czasy unicestwić mordercę wraz z jego ofiarami. Jest jeszcze trzecia grupa - składa się głównie z jegomości o lekko błędnym wzroku, którzy wpadają do knajp tuż przed zamknięciem i szepczą do uszu niechętnym do słuchania gościom, że linia, na której jeździł ów pociąg, przecinała miejsce, gdzie spotykały się dwa światy i cały skład został dosłownie połknięty.

Kto o zdrowych zmysłach uwierzyłby jednak w coś takiego?

Choć...

Wszystko się może zdarzyć.

Zwłaszcza tutaj na dole.

W ciemności, głęboko pod ulicami Londynu coś zadrgało. W styksowej czerni pojawił się krązek światła. Płynął z antycznej naftowej latarni.

Światło minęło rozpadający się podest i zatańczyło w szklanym oku wiktoriańskiej lalki. Krązek światła rósł. Padł na kolorową plakietkę. Nieziemskich kolorów plakietkę.

Na plakietce napisane było: POCIĄG HERMESA TRISMEGISTOSA MODEL 4.

Krąg światła zakotłosał się w górę i w dół, potem oświetlił trzymane w niewidocznej dłoni zdjęcie. Przedstawiało ono Jima Campbella - szaleńca, dewianta i potencjalnego premiera.

Światło zatańczyło ponownie i oświetliło szczelinę „A” - Zdjęcie zniknęło w środku.

Rozległ się okropny dźwięk. Odbił się echem w mrocznej i niesamowitej okolicy. Był to dźwięk trących o siebie wiekowych trybów. Zaskakujących kół zębatych. Łomot potężnej siły, która próbuje znaleźć ujście.

- Mój ojciec? - Cornelius był wstrząśnięty. Wymachiwał pięściami i kopał stół.

- Opanuj się! - wrzasnął Tuppe, łapiąc Corneliusa za lewą nogę. Trzymał się go z całej siły.

- Oczywiście, nie martw się. - Cornelius walczył z włosami. - Zawsze wiedziałem, że coś jest nie tak. Że jestem inny.

- Bo jesteś - powiedział przybrany tata. - Jesteś materiałem na eposy, Corneliusie. Tak jak twój ojciec. Musisz kontynuować jego pracę. Nie miałeś się jeszcze o tym dowiedzieć, ale przybycie dewianta i tak dalej... Musisz go powstrzymać. Tylko ty możesz tego dokonać.

- Tylko ja?

- Tylko ty - potwierdził Arthur Kobold, który właśnie w tej chwili stanął w drzwiach kuchennych. - Idź za dewiantem, Corneliusie i zniszcz go.

- Nic z tego.

- Poradzisz sobie.

- Nic z tego.

- Oczywiście, że sobie poradzisz! - krzyknęli chórem wszyscy obecni.

- Nic z tego! W cadillacu skończyła się benzyna!

- W cadillacu? - spytał tata.

- Z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego - wyjaśnił Tuppe. - Elektryzująco błękitny lakier, elektryzująco błękitna tapicerka.

- Radio grające non stop Maxa Bygravesa?

- Tak. Skąd pan wie?

- Bo to mój samochód. Kupiłem go dla Corneliusa. Na urodziny. Mój kumpel Mike go odnawiał. Od razu wiedziałem, że naprawienie radia się nie uda.  
- Masz więc swoją urodzinową niespodziankę - stwierdził Tuppe.  
Cornelius nie miał pojęcia, co powiedzieć.  
- Jesteś pewien, że skończyła się benzyna? - spytał tata. - Próbowaleś przełączyć na zapasowy zbiornik?

\*\*\*

Campbell dodał gazu.

- Ja tam spadam - poinformował Felixa. - Będziesz miał spore kłopoty.

Felix zakrył twarz dłońmi.

- Tylko nie ciasto - błagał. - Tylko nie ciasto.

Campbell pouczył radiowozy. Parkowały gęstymi szeregami po obu stronach skróconej ulicy. Z furgonetek wyskakiwali ubrani na granatowo mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych. Każdy dzierżył w dłoni groźnie wyglądającą spluwę.

- W dupę z tym wszystkim - mruknął Campbell.

\*\*\*

W domu pod numerem dwadzieścia trzy panowała nie mniejsza krzątanina niż na zewnątrz. Tata grzebał w szufladach - dobrze pamiętał, że jest w nich coś bardzo ważnego. Matka próbowała przyklepać Corneliusowi włosy, nie mógł bowiem wyruszyć na eposowy finał nie uczesany. Tuppe bardzo chciał pomagać, więc wpadał komu się dało pod nogi.

- Będziesz tego potrzebował. - Arthur Kobold wcisnął eposowemu chłopakowi do ręki pokryty aksamitem pakunek.

- Co to?

- Szczególna broń. Zabije go.

Cornelius nie był przekonany.

- Przecież pan wie, że nie jestem zabójcą.

- Czeka cię szczególna premia.

- Nie jestem też łowcą premii.

- Ale jesteś człowiekiem. Campbell nie. Weź broń. Cornelius wsadził broń do kieszeni.

- Znalazłem! - wrzasnął pan Murphy, wyciągając starą podniszczoną księgę. - Chodźcie!

Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się w kierunku drzwi, zrobiło się straszliwe zamieszanie, posypały przekleństwa.

- Szybciej! Tempo! - krzyczał Arthur Kobold. - On ucieka!

\*\*\*

Campbell uciekał. Herpes zatrąbił, zapiszczały opony i samochód wyprysnął do przodu. Kiedy dojeżdżali do kolejnej policyjnej barykady, Felix skulił się, VW zrobił jednak wielkiego susa i wyładował po drugiej stronie blokady. Policjanci skulili głowy i zamachali pięściami. Kilku wystrzeliło, zrobiło się straszliwe zamieszanie, posypały przekleństwa.

Radiowozy zaczęły wyjeżdżać, uderzać jeden w drugi, wirować i ruszać w pogoń za Campbellem.

\*\*\*

Jack Murphy zachwycił się cadillakiem.

- Przedni zderzak jest zadrapany - stwierdził.

- To przez dewianta - wyjaśnił Tuppe. - Zdenerwuje się pan jeszcze bardziej, kiedy zobaczy, co zrobił z państwa salonem.

- Łobuz.

- Zgadzam się jak najbardziej. Cornelius wsiadał do eldorado.

- Gdzie jest przełącznik na bak zapasowy? Jack włożył rękę do środka i pstryknął.

- Tutaj. Popchniemy cię. Weź to. - Podał Corneliusowi znaną księgę.

- Co to?

- Plan miasta twojego prawdziwego ojca. Są na nim zaznaczone wszystkie londyńskie Strefy Zakazane. Dewiant najprawdopodobniej pojedzie do najbliższej, najpierw jednak będzie chciał z pewnością zgubić policję. Dobrze by więc było, gdybyś już na niego czekał na miejscu.

Cornelius uśmiechnął się.

- Świetny pomysł. Dzięki, tato.

Arthur Kobold wsadził Tuppego do środka. Cornelius podał małemu przyjacielowi plan miasta.

- Znów przyszło ci być pilotem. Jak jedziemy? Tuppe przerzucił kilka kartek.

- Rany, wszędzie przejścia, gdzie nie spojrzeć. Wygląda na to, że w tym zakątku jest ich mniej...

Jack Murphy, jego żona i Arthur Kobold połączyli siły i zaczęli pchać samochód.

- Aha! - zawołał Tuppe, kiedy silnik zapalił. - Tylko jedno. Na przestrzeni wielu kilometrów. Na samym szczycie Star Hill.

20

Pan Insparrow nie zwracał uwagi na rozróbę. Kiedy pościg mijał jego dom, nie słyszał odgłosu piszczących opon, wyjących syren i zgrzytających skrzyń biegów.

Inspektor do spraw zatrudnienia młodzieży kąpał się. Był rozanielony. Śpiewał głośno i czubkiem gąbki z owocu trukwy ostrokątnej wydłubywał sobie woskwinę z uszu.

Wydobywające się z jego ust nieharmonijne dźwięki trudno było skojarzyć z czymkolwiek. Tak naprawdę stanowiły fragment jednego z utworów Status Quo, choć mogły również wydawać się interpretacją którejś z piosenek Maxa Bygravesa. W każdym razie, odbijały się głośnym echem od odrapanych ścian łazienki, a potem chowały w dziwacznych jedwabnych szlafrokach, zawieszonych na drzwiach.

Po załatwieniu uszu pan Insparrow odłożył na bok oklejona woskwiną włóknistą środkową część owocu gąbczaka i przyłożył pumeks do pożółkłych czubków palców.

Jasne, lekkie, gąbczaste szkliwo wulkaniczne mocno spolerowało resztki głównego alkaloidu tytoniu (C<sub>10</sub>H<sub>14</sub>N<sub>2</sub>), więc pan Insparrow po chwili pumeks też odłożył na bok.

Był idealnie czysty. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Zanurzył się w pachnące mydliny i lustrował wystające nad wodę części ciała. Nigdzie na skórze nie miał skazy - z ust pana Insparrowa wydobyło się głębokie westchnienie.

Nigdy nie dbał o to, by jakoś szczególnie pachnieć. Nie był lalusiem ani fircykiem. W zasadzie należał do miłośników białych majtek.

Z tym był teraz jednak koniec.

Owe straszne dni przeszły, minęły. Przemienił się. Dlaczego? Otóż pan Insparrow zakochał się. Ot dlaczego!

Dlaczego nie miałby się zakochiwać? Był w końcu mężczyzną. A ona kobietą. I to jaką!

O Roellen!

Kuszająca jajkami, frytkami i groszkiem.

Księżniczka smukłych nóg.

Roellen Ridout, właścicielka kawiarni.

- Uspokój się - skarcił pan Insparrow dobrze wyszorowany kawałek swego ciała, unoszący się nad wodę. - Jeszcze nie teraz.

Pan Insparrow zanurzył się głębiej i rozkoszował wodą. Dziś wieczór ją zobaczy. Dziś wieczór wyzna jej miłość. Na pewno.

W trakcie ceremonii.

Kiedy stanie przed nią wraz z miejscowymi Wiccansami.

Przed nią, ich najwyższą kapłanką.

Właśnie tej nocy, w trakcie zaklinalnia Księżycy i uwalniania się z więzów odzienia. W trakcie tańców.

Na szczycie Star Hill.

\*\*\*

Na szczycie Star Hill. Na miedzianej mapie na wierzchołku betonowego cokołu, skrywającego ziemskie szczątki pastora Matthew Kempa, siedział Tuppe.

Cadillac eldorado stał dwieście metrów niżej, dobrze ukryty na skraju pola golfowego. Jego kierowca z wyraźnym zaniepokojeniem obserwował rozgrywający się w bliskiej odległości pościg.

- Miła noc na coś takiego - uznał Tuppe. - Piękny widok. Zdmuchniemy gałgana, zanim się zorientuje, co go trafiło.

- A jeżeli nie przyjedzie?

- Przyjedzie. - Mały człowieczek pochylał się nad planem miasta Rune'a, ale jego oczy nie odwracały się zbyt często od okolicy. - Mówiłem ci już. Zaraz po tym, jak Campbell uwolni się od policji, przyjedzie tutaj. Na pewno. Tak sądzę.

Cornelius pozostawał sceptyczny.

- Zastanawia mnie, jak to się stało, że nagle nie wiadomo skąd pojawiło się tyle policji. Byłem przekonany, że to znowu ty udajesz megafon.

- Udawałem.

- Co?

- Wiesz, po tym, jak mój cień ściągnął cię z drogi ciężarówek, zacząłem się zastanawiać, do czego jeszcze jestem zdolny.

Cornelius wzruszył ramionami.

- Popatrz lepiej na broń, którą dał mi Kobold. Co o tym sądzisz? Tuppe obejrzał pistolet. Wyglądał jak zabawka z lat pięćdziesiątych,

wykonana z pokrytej cyną cienkiej blaszki. Z boku widniał nadruk NISZCZYCIEL DEWIAN-TÓW KAPITANA TRISMEGISTOSA.

- Ciekawe, czy ma takie możliwości jak ta cacka z Saint Sacco, nie? - Tuppe oddał przedmiot Corneliusowi.

- Uważasz, że powinienem to wypróbować? Strzelić do drzewa czy coś w tym stylu?

- Lepiej nie. Jeżeli z cienkiego końca wyskoczy karteczka z napisem BABACH! to stracisz bożowego ducha. Patrz! Campbell wjechał na główną drogę. Ciekawe, czy wie o nowych jednokierunkowych ulicach.

\*\*\*

Campbell nie wiedział, że szereg ulic pozmieniano na jednokierunkowe, a gdyby nawet wiedział, niewiele by się tym przejął.

Campbell wydymał wargi, Herpes trąbił, a Felix trzymał się kurczowo za krocze. Obok nich jechał radiowóz.

- Zjedź na pobocze! - krzyczał kierowca.

- Spadajże ty mi! - Campbell szarpnął kierownicą i Herpes uderzył radiowóz bokiem. Radiowozem zarzuciło, wjechał na chodnik i wpadł przez brudną frontową szybę do środka sklepu „Zwierzątko Zacka”.

W sklepie zakotłowało się. Pootwierały się klatki. Wypluły ze swych wnętrz wszelkie możliwe bezbożne stworzenia. W kotłowaniu machających szaleńczo skrzydeł, grzmocących wokół wąsów i trzepoczących błon wzniosły się w powietrze przedziwne stwory. Szczekały i syczały latające homary. Szczekały szczękami łuskowate owce. Stwory, które robiły BUMP w nocy, teraz robiły to samo.

Zack Polgar nie miał nawet zadrapania. Wynikało to stąd, że w momencie, kiedy radiowóz wjechał do sklepu, nie było go w środku. Siedział kilka ulic dalej w pubie zwanym „Latający Łabędź”, gdzie radował się drinkiem i pogaduszkami. A także nadchodzącą nocą zaklinania Księżyca i zrzucania z siebie bielizny.

- To przyzwoita religia - mówił do Jima Pooleya, który podpierał bar. - Ale ponieważ tańczymy nago, niektórzy ludzie krzywo na nas patrzą.

Jim nie uważał, że krzywo patrzy. Uważnie studiował dno pustego kufła.

- Dla mnie to ewidentny dowód nietolerancji religijnej - stwierdził.

\*\*\*

- Która godzina? - spytał Tuppe. Cornelius popatrzył na zegarek.

- Zbliża się ósma. To ważne?

- Nie, tylko robię się głodny. Ty nie?

Telefon na biurku Arthura Kobolda zaczął dzwonić. Robił uparcie DZYŃ DZYŃ, ale nie było nikogo, kto mógłby podnieść słuchawkę. Było za to mnóstwo ciasta.

Campbell zepchnął z jezdni kolejny radiowóz. Policyjne szeregi wyraźnie się przerzedzały. Trzeba było jeszcze zrobić coś z helikopterem.

Helikopter zrobił nagły zwrot i odleciał do bazy. Kończyło mu się paliwo. Było to naprawdę niesympatyczne, zważywszy, że w dość prosty sposób mógł dokonać czegoś naprawdę efektownego. Na przykład wpaść w przewody wysokiego napięcia albo uderzyć w ścianę wieżowca lub w zbocze wzgórza. Coś w tym stylu.

Niestety, helikoptery kosztują mnóstwo pieniędzy i pilotujący je ludzie mają skłonność do ostrożności. W końcu to nie Ameryka. Tak więc którykolwiek z tych wyczynów uchodziłby za nieco przesadny. Zgadza się?

Campbell zwał z jezdni kolejny radiowóz. Auto wpadło z łomotem na stację benzynową i przewróciło dystrybutor. Ledwie funkcjonariusze zdążyli wyskoczyć, stacja stanęła w płomieniach. Był to naprawdę efektowny wybuch.

\*\*\*

Chłopcy na wzgórzu patrzyli na wznoszącą się w niebo kulę ognia.

- Nie będę mieć skrupułów, by zastrzelić Campbella - stwierdził Cornelius.

- To dobrze - uznał Tuppe.

\*\*\*

Piętnaście kilometrów na wschód od Star Hill, czyli szesnaście od „Zwierzątek Zacka”, w miejscu, gdzie przelatywał czteronogi kruk, stał pub. Niewiele się tu zmieniło od czasu, kiedy Hugo Rune grał tu w strzałki i kupił Maxowi Ernstowi paczkę wołowych wiórków, ponieważ nie mieli karmy dla ptaków.

To prawda, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym wystarczył jeden wybuch, by unicestwić bar. Jednak już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym lokal odbudowano. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym został co prawda całkowicie przebudowany i zmodernizowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym lokal odkupił wnuk właściciela z tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego i pieczołowicie go odrestaurował. Co do najdrobniejszego, pozornie najmniej ważnego szczegółu. Oznaczało to, że gdyby nagle weszli tam Max i Hugo, stwierdziliby, że przez tyle lat nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu nie było w sprzedaży ptasiej karmy. Max znów musiałby się zadowolić wołowymi wiórkami.

Zaraz za rogiem znajdował się szereg wielkich wolno stojących tablic. Na każdej umieszczono wielkie, drogie plakaty. Plakaty przedstawiały trudne do zidentyfikowania obiekty. Były one tak trudne do rozpoznania, że jedynie ich autorzy - sprytnie cwaniaczki - wiedzieli, co przedstawiają.

U dołu każdego zamazanego obrazka znajdowały się napisy wykrzykujące do przechodzących ludzi straszliwe, potworne ostrzeżenia. Nie owijały niczego w bawełnę. Informowały: OKÓLNIK UNII EUROPEJSKIEJ (89/622 UE) OSTRZEGA, ŻE PALENIE PAPIEROSÓW MOŻE BYĆ POWODEM WIELU GROŹNYCH CHORÓB.

Tuż za tymi tablicami znajduje się tutejsza Strefa Zakazana.

Nie jest ona szczególnie duża - ma mniej więcej kilometr kwadratowy powierzchni. Mimo to jest dobrze zakamuflowana i niewidoczna z powietrza. Dla jej tajemniczych mieszkańców jest jedynie kolejnym przedmieściem. Jedyнным elementem odróżniającym tę okolicę od normalnego kawałka miasta jest zamknięte wejście do starego tunelu, do którego prowadzą zarośnięte chwastami tory. Na szynach śpi zazwyczaj emerytowany kocur. Śni o Virginii Rappe.

Kiedy wejście do tunelu otworzyło się nagle, kocur przestraszył się jak cholera.

Niebo rozcięły błyskawice. Kolorowe błyskawice. Błyskawice w niezemskich kolorach. Pojawiło się potem coś niesamowitego. Było trudne do opisanego, poruszało się bowiem bardzo szybko, przypominało jednak nieco pociąg. Otoczone było chmurą pary, spod kół leciały iskry. Przefrunęło przez jedną z tablic reklamowych i wyprysnęło na ulicę. Obiekt wyzwał jedno skojarzenie: KŁOPOTY.

Rzeczywiście szykowały się kłopoty.

W mieście pojawił się Pociąg Hermesa Trismegistosa.

- Yabba dabba do! - wrzasnął.

\*\*\*

- Widziałeś? - Tuppe wskazał na wschód. - Błyska się. Może nadchodzi burza.

- Mam nadzieję. - Cornelius miał zgorzkniałą minę.

- Postanowiłeś już, co kupisz?

- Co kupię?

- Za majątek ze Stref Zakazanych, który stanie się twój, kiedy usuniesz Campbella i odzyskasz okarynę swojego starego.

- Na początek kupię chyba Old Kent Road. Potem Whitechapel Road, po niej stacje King's Cross i Angel w Islington\* [W angielskojęzycznej wersji gry Monopoly najtańsze pola. Także londyńskie ulice i dworce (przyp. tłum)].

- Uważasz, że lepiej opanowywać teren od początku planszy, co?

- Jak najbardziej. Po drodze dam mieszkania bezdomnym, nakarmię głodnych i zajmę się tym, by każdy początkujący pisarz dostawał tysiąc długopisów na tydzień, i to dożywotnio. Jak to brzmi?

- Wielkodusznie. Ale z ciebie miły człowiek.

- Bardzo dziękuję.

- Drobiazg.

- A co z tobą?

- Co co ze mną?

- Co zrobisz ze swoją częścią? Połowa jest przecież twoja.

- Tak sobie pomyślałem, żeby może ją po prostu przejechać.

- Jeśli masz ochotę. Oczywiście, jeżeli Campbell się pokaże i uda mi się go usunąć i odzyskać okarynę taty.

- Pojawi się. Uwierz mi. Musi się pojawić. Musi przybyć na finałową, wielką, niebezpieczną, podniecającą eposową rozgrywkę. Która godzina?

- Parę minut po jedenastej.

- Nie przyjedzie. Wracajmy do domu.

\*\*\*

- Chwila zamknięcia nadeszła, panowie! - Neville, ekscentryczny w mowie póletatowy barman z „Latającego Łabędzia”, uderzył w kontuar baru gałką laski. - Zaraz będziemy ryglować drzwi, przedtem jednak każdy zwraca szkła!

- Nie oddam okularów! - oburzył się Zack Polgar. - Kup sobie własne!

- Ja już nie noszę okularów - powiedział pan Insparrow, który wpadł na jednego „rozgrzewacza Wiccansów”. - Mam szkła kontaktowe, ale też ich nie oddam.

- Znam cię! - Jim Pooley zamachał w kierunku pana Insparrowa kuflem. - Byłeś moim inspektorem do spraw zatrudniania młodzieży. Próbowaleś mnie zatrudnić jako pomocnika pomywacza!

- Ciebie też? - zdziwił się Zack Polgar.

\*\*\*

- Wysiada! - nakazał Campbell Felixowi Hendersonowi McMurdowi.

VW stał u podnóża Star Hill, na placyku, gdzie nawracają autobusy. Radiowozy zostały wyprowadzone w pole, ściągano właśnie ostatnie wraki. Straż pożarna skończyła gasić stację benzynową, większość załóg odjechała. Niemal wszyscy strażacy byli już w domach i szykowali się na noc - na zaklinanie Księżyca i uwalnianie się z bielizny.

Felix wysiadł.

- Czy nie byłoby dobrze, gdybym po prostu zniknął w mroku nocy i więcej się nie pokazywał?

- Nie, nie byłoby - odparł Campbell. - Co to za odór? Felix pomacał swoje przemoczone spodnie.

- To nie ja.

Campbell podniósł maskę volkswagena.

- Właż tu!



Corneliusowi i jego najlepszemu przyjacielowi Tuppeemu schowanym na szczycie Star Hill, na szczycie wysokiego drzewa, było bardzo ciasno.

- Robi się ciemno jak diabli, co? - Tuppe kurczowo ścisnął gałąź. - Moim zdaniem powinniśmy stąd iść.

- Przecież świeci księżyc. Jest pełnia. Zaczekajmy jeszcze trochę.

- Od wieków nie było żadnych wybuchów. Nie ma też śladu Campbella.

- Zjawi się. Sam mówiłeś, że się zjawi.

- A co ja tam wiem? Chodźmy do domu.

- Nie. Zaczekaj, coś słyszałem.

Cornelius nie kłamał. W oddali było coś słychać. Zbliżało się. Przypominało głosy. Było niezwykle podobne do zawodzącego monotonicznie chóru. Prawda była taka, że zbliżał się zawodzący monotonicznie tłumek.

Tuppe nadstawił uszu.

- O nie!

- Co to? - spytał Cornelius.

- Zawodzące głosy.

- Bardzo dowcipne.

- Wiccansi!

- Tutaj? Dziś? Och żesz ty!

Głowa Tuppego podskakiwała wśród liści jak piłeczka.

- Wiesz, oni tańczą z nagimi kończynami. Ciekawe, kto jest w tym tygodniu najwyższą kapłanką.

- Tuppe, nie może ich tu teraz być. Zejdź na dół i powiedz im, żeby sobie poszli. Powiedz, że wzgórze jest zamknięte z powodu naprawy czy coś w tym stylu.

- O nie! Wiesz, ilu Wiccansów jest w tej okolicy?

- Kilkudziesięciu?

- Raczej kilkuset.

- Ilu? - Cornelius przestał gryźć paznokcie.

- Wiesz, to przyzwoita religia. Tylko że, ponieważ tańczymy z nagimi kończynami, niektórzy ludzie krzywo na nas patrzają.

- My? - Cornelius wypluł garść obgryzionych paznokci. - My?!!

\*\*\*

Hugo Rune napisał długą i uczoną monografię na temat przemiany postaci. Wygląda na to - co potwierdzają opinie różnych jego biografów - że wielki myśliciel i mistyk nie miał nic przeciwko temu, by czasami samemu poeksperymentować w tym kierunku.

Często powtarzana legenda mówi o tym, jak to - aby wygrać zakład z Herbiem Wellsem - wychodził sobie przez noc bokobrody. Istnieje też szereg przekazów, jak to na widok kelnera z rachunkiem kurczył się do połowy swych zwykłych, ogromnych rozmiarów.

Rune był przekonany, że na tym świecie żyje wielu ludzi zdolnych do przeobrażeń swej postaci. Twierdził, że odkrył istnienie Tajnego Stowarzyszenia Samozapalaczy Ludzkich, którego członkowie odpowiedzialni byli za wielki pożar Londynu, zniszczenie Crystal Palace i R 101, Blitzkrieg i spalenie jego ogrodowej szopy.

Napisał kiedyś, że pewnego dnia prawda będzie musiała wyjść na jaw. Ciągle jest jeszcze nadzieja, że świt tego właśnie dnia wkrótce nadejdzie.

\*\*\*

Na dole, tuż obok volkswagena, człowiekopodobna figura Campbella rozpuściła się, przybierając postać lepkiej, płynnej, oślizgłej, śmierdzącej zupy warzywnej, która zaczęła płynąć w górę zboczem StarHill.

Felix obserwował to przez pęknięcie w masce. Od samego widoku ponownie opróżnił mu się żołądek.

\*\*\*

- O nie - szepnął Cornelius. - Popatrz na tych pacanów. Cóż to była za zbieranina. Monotonne zawodzenie narastało wraz ze zbliżaniem się tłumu. Figurki sunęły ścieżkami, przeciskały się między drzewami. Każda była odziana w szatę z białego jedwabiu. Każda trzymała w górze zapaloną pochodnię.

Cornelius poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Zawodzenie, szaty i pochodnie tworzyły na szczycie prastarego wzgórza tajemniczą, nieco czarowną, nieco upiorną atmosferę. Smaczkowi dodawały jeszcze światła miasta daleko w dole oraz płynący wysoko na gwiazdzistym niebie księżyc w pełni.

Nadchodzili w dalszym ciągu. Odziane w biel postacie, sunące na szczyt wzgórza widma. Zaczęły tworzyć wielki krąg wokół betonowego cokołu, a kiedy się uformował, tłum wydał potężny okrzyk.

Krąg pękł w jednym miejscu i pojawiła się w nim wysoka, imponująca postać. Jej szata nie była biała, lecz złota, białe za to były długie włosy i broda. Postać niosła długą czarną laskę, zwieńczoną pięcioramienną gwiazdą. Kiedy szła, odziane w białe szaty postacie głęboko się skłaniały.

- A to kto? - spytał Cornelius.

- To? Merlin - odparł Tuppe.

- Kto?

- Ciszej! Merlin. Gdybyś chodził na rozmowy kwalifikacyjne, na które posyłał cię pan Insparrow, znałbyś go.

- Pan Insparrow nigdy nie posłał mnie na naukę do czarownika Merlina. Taką robotę bym przyjął.

- To nie jest czarownik Merlin. To Fred Merlin, murarz - pomnikarz.

- O!

Merlin stał w złotej szacie przed betonowym cokołem.

- Podeprzyjcie nas, do cholery! - warknął.

Kilka postaci skoczyło do przodu, by zaoferować pomoc.

- Tylko mi się nie poślizgnąć. Jeśli polecę na dupsko, chcę, żeby paru palantów mnie złapało!

- Nasz Fred od razu trafia w sedno, co? - mruknął Cornelius.

- Ciii! - syknął Tuppe.

- No dobra - ciągnął Merlin. - Przechodzimy do porządku dziennego. Zanim ruszymy z nagimi kończynami, kilka informacji.

- MRUM MRUM MRUM - zamruczał tłum.

- Cicho. Po pierwsze, mam jeszcze kilka biletów na coroczną wycieczkę autobusową do Stonehenge. Mamy tym razem pozwolenie, nie musicie więc brać ze sobą kijów bojowych. Zapewniamy lekką przekąskę, a pan O'Hagen z monopolowego obiecał ufundować sześć skrzynek ciemnego piwa.

- HURRA! - zawył tłum.

- Mam też kolejną skargę od urzędasów z wydziału parków i terenów zielonych w ratuszu z powodu naszych tutejszych spotkań.

- BUUU! BUUU! - zawył tłum.

- Zgadza się. - Fred uniósł laskę. - Wygląda na to, że mieszkańcy okolicy narzekają na hałasy. Nie bez powodu, powiedziałbym. Niektórzy z was - sami najlepiej wiecie kto - trzaskali drzwiami i pobudzili mieszkańców. Tak więc pamiętajcie na przyszłość, by wysiadając z samochodów, nie walić drzwiami. Aha, jeśli już przy tym jesteśmy, na dole stoi austin allegro z zapalonymi światłami.

- MRUM MRUMMM. - Nastąpiło poruszenie. Zaszurały stopy.

- Typowe - szepnął Tuppe.

- Co?

- Nikt się nie chce przyznać, że to jego austin allegro.

- Cóż, to twój akumulator - powiedział Merlin. - Jest jeszcze coś, zanim ruszymy? Nie? No to...

- Przepraszam, ale... - Do przodu wyszła kobieta. Miała na sobie białą szatę i słomkowy kapelus. - Chodzi o te bilety na wycieczkę

- Tak, proszę pani?

- Kupiłam bilet w zeszłym roku, ale nie mogłam jechać. Mogę w tym roku jechać za darmo?

- Przykro mi. Cena wzrosła.

- A jeżeli dopłacę różnicę?  
- Nie widzę przeszkód. Pod warunkiem, że ma pani zeszłoroczny bilet.  
- Mam. Nawet przy sobie. Pokazać panu?  
- Nie, dziękuję. W takim razie rozpocząć...  
- Hm, jeszcze jedno. - Dama w słomkowym kapeluszu wyciągnęła rękę w górę.  
- Co jeszcze, proszę pani?  
- Chciałam wiedzieć, czy jeżeli nie będę mogła jechać także w tym roku, to otrzymam zwrot pieniędzy?  
- Jestem pewien, że uda się to zorganizować. Jeżeli więc nie ma pani nic...  
- Czy dostanę zwrot pełnej sumy?  
- Tak. Oczywiście!  
- Za ten rok i za zeszły?  
- Ale przecież w zeszłym roku pani nie pojechała!  
- Nie z mojej winy. Autokar odjechał, nie czekając na mnie.  
- Czy myśmy już jej gdzieś nie widzieli? - spytał Corneliusa Tuppe.  
- Niech pani posłucha, droga pani! - Pan Merlin machał laską, a z tłumu dochodziły wrogie pomruki. - Jeżeli ma pani bilet z zeszłego roku i chce dopłacić różnicę do tegorocznej ceny, może pani dostać nowy bilet. Jeżeli nie będzie mogła pani pojechać w tym roku, zwrócę pani pieniądze za ten rok. Mówię jasno?

- A co z moim mężem?

- A co z pani mężem?

- Też kupił bilet w zeszłym roku i nie mógł jechać, ale nie chce jechać w tym roku.

Przez krąg ludzi z pochodniami przetaczała się coraz głośniejsza fala pomruków. Pierwsze stopy zaczęły uderzać w ziemię, rozległy się okrzyki: „spalić wiedźmę!” i „dawać gościa z pejczem!”

Dama w słomkowym kapeluszu cisnęła torebką w najbliższej stojącego natręta. Ktoś rzucił grudą ziemi - trafiła Freda Merlina. Fred zaczął walczyć o utrzymanie równowagi.

- Co za debil to zrobił? - wrzasnął.

- On!

- To nie ja! Masz ty!

- Wiesz, to porządna religia - szepnął Cornelius, kiedy pod drzewem zaczęto okładać się pięściami i rozpętało się regularne klasyczne mordobicie.

Wtem stała się rzecz najbardziej nieoczekiwana. Przez rozrabiające zgromadzenie przebiegł dreszcz, jakby trafione zostało unoszącą się w powietrzu elektrycznością. Kuksańce, szarpanina i ogólne złe zachowanie zniknęło. Jego miejsce zajęło pełne zakłopotania szuranie stopami.

Cornelius czuł, że szykuje się coś ważnego, wyciągnął więc szyję, by mieć lepszy widok. Jego włosy splotły się w miłosnym uścisku z gałęziami nad jego głową.

- Co się dzieje? - spytał Tuppego.

- Nadchodzi - odparł mały człowieczek. - Nie czujesz? Nadchodzi.

\*\*\*

Nadchodziła. Krąg ponownie został przerwany. Pan Merlin zeszywniał, zebrał się w sobie i grzmotnął laską w miedzianą tablicę.

- Na kolana! - wrzasnął. - Wszyscy na kolana przed najwyższą kapłanką!

Wszyscy uklękli.

Była w środku kręgu. Wysoka, piękna kobieta. Dumna, wyprostowana. Burza złotych włosów, szelest srebrnej szaty.

Cornelius próbował wyszarpnąć spośród gałęzi wplątane tam kosmyki. Oczy wyszły mu na wierzch.

- To moja żonka.

- Ciekawe, czy zrobi potem kolację.

Pan Merlin dźgnął laską najbliższą sobie postać na kolanach.

- Pomóż mi zejść, fiutku!

Najwyższa kapłanka podeszła do betonowego cokołu. Nie brakowało dłoni, chcących pomóc jej w wejściu na górę.

Jak ona wyglądała w świetle księżyca. Te złote włosy, migoczące zielone oczy, pełne wiśniowe wargi, wielkodusznie wystające sutki i długie nogi. Przecudna.

Rozłożyła szeroko ramiona.

- Błogosławieni bądźcie! - zawołała.

- Błogosławieni - powtórzył krąg.

- Miłość jest prawem!

- Miłość za przyzwoleniem!

Najwyższa kapłanka skrzyżowała dłonie nad piersiami.

- Jestem inkarnacją Nocy. Opoką Niebios. Błękitnicą córą zachodu słońca. Nagą jaskrawością zmysłowego nocnego nieba. Jestem królową przestworzy.

- Oj tak - zgodził się Cornelius. - Bez dwóch zdań.

- Ciii! - syknął Tuppe.

- Do mnie! Do mnie! Moją pieśnią przywołuję płomień do waszych serc. Śpiewajcie pełne zachwyty miłosne pieśni! Palcie mi kadzidło! Przynoście klejnoty! Wznóście za mnie toasty, gdyż was kocham. Kocham was!

Po tych słowach zrzuciła tunikę. Nie trzeba dodawać, że nie miała pod spodem nawet skrawka materiału.

Mało brakowało, a Cornelius Murphy spadłby z drzewa.

- Miłość jest prawem! - zawołała naga kobieta.

- Miłość za przyzwoleniem! - odkrzyknął krąg. Pochodnie poleciały na ziemię, tuniki poszły w górę i diabeł zaczął brać bieliznę.

- Czas nagich kończyn - oznajmił Tuppe. I rozpoczął się czas nagich kończyn.

Kiedy bezwstydnie uwalniano zwisające anemicznie siurki i smętne damskie oklapusy, nocne powietrze wypełniły pohukiwania i wesołe pokrzykiwania. Natychmiast rozpoczął się taniec. Uczestnicy utworzyli wiele małych kręgów i wymachując nogami, ruszyli w bezmajtkowe hula hula.

Oczywiście większość nie zdjęła buciorów. Cóż, na wzgórzu przychodzi wielu ludzi z psami i...

Nie brakowało akompaniamentu. Uderzano, szarpano, pocierano i dęto w niecodzienne, piękne instrumenty. W pełnym składzie przybył miejscowy oddział Towarzystwa Staroangielskiej Muzyki Ludowej. Dawali czadu, ile wlezie.

Członkami tegoż akurat oddziału Towarzystwa - podobnie zresztą jak pozostałych - byli głównie poważni brodaci jegomości, dzielący zamiłowanie do dawnych instrumentów, zdrowotnych butów, sztormiaków, dużego kufła dobrego prawdziwego angielskiego piwa oraz narzeczonej o imieniu Ros. Co oczywiście powodowało, że kiedy Ros nie prowadziła akurat swojej grupy spotkaniowej, była dość zajęta.

Tuppe aż jęknął, słysząc dysonanse.

- Status Quo to oni nie są, prawda? Cornelius pokręcił uwieczoną głową.

- Popatrz na tego wysokiego, brodatego niedołęgę, męczącego teorban.

- Którego? Gdzie? Cornelius wskazał palcem.

- Obok nieco niższego brodatego niedołęgi, który szarpie chitarrone.

- To nie chitarrone, to arcylutnia.

- Nie, nie mówię o niedoładze rzępolącym na lutni, tylko o niedoładze szarpiącym cytrę.

- O tamtym brodatym niedoładze?

- O tamtym.

- Widzę go. Ale to nie teorban.

- Oczywiście, że teorban.

- Nie. To heptachord. Cymbał z tamtej strony rwie struny teorbanu.

- Cymbał z brodą?

- Nie, obok niego.

- A tak. To on. A na czym gra łysy cymbał w okularach?

- To okaryna. Cholera jasna!

Campbell, bo on to był, tak naprawdę wcale nie grał na okarynie. Jeszcze nie. Na razie udawał, ale mimo to świetnie się bawił. Przyciskał się do każdego nagusa, który przypadkiem zmierzał w jego kierunku i zachwycony obtańcowywał go.

Tuppe pociągnął wysokiego przyjaciela za rękaw.

- Zastrzel drania, Corneliusie!

- Nie mogę z takiej odległości. Mógłbym trafić kogoś niewinnego.

- W takim razie musimy zejść na ziemię. Szybko, rozbieraj się.

- Nie ma mowy.

- Corneliusie, nie możesz maszerować przez ten tłum golasów w opakowaniu! Nawet gdyby Wiccansi cię nie rozpoznali, a na pewno to zrobią, zobaczy cię Campbell i wtedy nie wiadomo, co zrobi.

- O Boże! - Cornelius złapał się za włosy i zeskoczył z drzewa. - Skacz, Tuppe. Złapię cię.

Tuppe skoczył, Cornelius go złapał.

- No to nagie kończyny. - Tuppe rozpiął drelichy i zaczął rozpinąć koszulę. - Szybciej, bo go zgubimy!

O rany, o rany. - Cornelius zdjął marynarkę, złożył ją dokładnie w kostkę i odłożył na pobliskim krzewie.

Teorbany, arcylutnie i chitarrony, nie wspominając o cymbałach, tamburach, serafinach, fłażoletach i fletach, rznąły na całego. Bombardony, polichordy, piszczałki i tamburyny wyrzucały z siebie wszystko, co tak długo musiały tłumić. Dama w słomkowym kapeluszu grała na tarze pralniczej, Fredzie „Palce” Merlin akompaniował jej na kontrabasie ze skrzynki po herbacie. Śpiewał: „Linia Rock Island Line masę bomba statków ma”.

Tuppe wyskoczył ze swoich bokerskich szortów. Ukazał się eposowych rozmiarów nocny rozrabiaka.

- A więc to prawda, co się mówi o małych mężczyznach. - Gwizdnął z uznaniem Cornelius.

Tuppe spojrział na przyjaciela z uśmiechem.

- Ale sądząc po tym, co widać, mówi się nieprawdę o wysokich chudzielcach.

Cornelius wziął do ręki broń Arthura Kobolda.

- Zatańczymy?

Kto żyw na Star Hill robił Cała Sala Tańczy!

Cornelius popłynął przed siebie miękkimi ruchami stóp, Tuppe zaczął Moonwalk Michaela Jacksona, i wślizgnęli się między tancerzy.

Cornelius uważnie wybierał drogę przez bachanalia. Schylał się, nurkował, dygał i bopował. Robił co mógł, by nie stracić z oczu łysiny Campbella. Przyciskał blaszany pistolecik do uda. Jego plan był prosty - zejść wroga od tyłu, przyłożyć mu pistolet do pleców, wyprowadzić tanecznym krokiem w ciche puste miejsce i dokonać egzekucji.

Pomysł był dość przerażający i Cornelius doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Wyprowadzić go tanecznym krokiem w ciche puste miejsce i dokonać egzekucji? O czym on myślał? Przecież nie przyłoży pistoletu do głowy gołego człowieka i nie naciśnie spustu. To było nie do pomyślenia. Nie do wypowiedzenia. Musiał istnieć inny sposób. Cornelius nie chciał morderować z zimną krwią.

Ale - czy to naprawdę byłoby morderstwo? W końcu Campbell nie był istotą ludzką. Co prawda wyglądał (nawet aż nazbyt) ludzko, ale nie był człowiekiem i Cornelius dobrze o tym wiedział. Campbell był niebezpiecznym dewiantem. Nie wolno było myśleć o nim ON, lecz TO.

Nie poprawiało to jednak samopoczucia Corneliusa ani o jotę. Jeżeli się tak dobrze zastanowić, to za co miał wykonać na Campbellu wyrok? Co takiego zrobił, by zasłużyć na karę śmierci?

Drobne porwania. No, właściwie to masa poważnych porwań. Do tego bezwzględna przemoc. W zasadzie Campbell wręcz szalał. Ale czy był mordercą? Cornelius nie miał dowodu. Jednoznacznego dowodu. Czy problem stałby się prostszy, gdyby go miał?

- Nie - odpowiedział sam sobie. - Nie stałby się prostszy. Manipulowano mną tak, że ciągle towarzyszyłem mu, ale nie zamierzam być manipulowany w dalszym ciągu. Załatwię sprawę z Campbellem na swój sposób. Może mimo wszystko jestem materiałem na eposy.

Tuppemu udało się zgubić wśród tancerzy. Zachwycał się tyłeczkiem wysokiej dziewczyny i zanim to zauważyła i potargała go za uszy, Cornelius zniknął. Teraz Tuppe pałętał się między wysoko unoszonymi stopami, robił uniki, by nie dostać kopa buciorem i martwił się o przyjaciela.

Taniec nabierał rozpędu. Nie był to już przeciętny bal Wiccansów. Zresztą od początku nie był to bal Wiccansów. Tuppe, który uczestniczył w niejednym spotkaniu Wiccansów, gdyby nie marno-

wał czasu na przyglądanie się tyłeczkom, lecz posłuchał którejs z toczących się gadek, od razu by się tego domyślił. Obecni tu ludzie nie byli prawdziwymi Wiccansami.

Prawdziwi Wiccansi nie tworzą nagich, tańczących legionów, dwuosobowych oddziałów anektujących szczyty wzgórz. Prawdziwi Wiccansi tworzą maleńkie, intymne, nagie, tańczące legioniki. Zwykle zajmują dywan w salonie jakiegoś bungalowu w Ruislip. Poza tym jest ich nie więcej niż sześć osób.

W skład grupy tradycyjnie wchodzi gruba dziewczyna, która pracuje w banku i umie kłaść tarota, zakochany w Black Sabbath programista komputerów, emerytowany pedicurzysta, który twierdzi, że poznał kiedyś Geralda Gardnera, brodaty arcylutnika i jego dziewczyna Ros. I jeszcze ktoś, kto nie mógł przyjść, bo się przeziębził.

Nie, ta zgraja nie składała się z prawdziwych Wiccansów. Byli kimś zupełnie innym. Ta zgraja tańczyła do rytmu całkiem innego perkusisty. Byli to członkowie bardzo ekskluzywnej sekty.

Członkowie Tajemnego Kościoła Runeologów.

Ta zgraja to byli RUNESI!

Pojawili się tu akurat tej nocy z określonego powodu. Zwołano ich na obchody setnej rocznicy urodzin ich guru. Świętego guru, guru guru. Największego nie opiewanego geniusza dwudziestego wieku. Proroka. Mistrza. Człowieka mitu i mistrza niepłacenia rachunków. Powtórnego wynalazcę okaryny.

Pana Hugona Rune'a.

Przybyli, ponieważ połączył ich jeszcze jeden cel: chęć kontynuacji drogi Mistrza oraz wiara w każde jego słowo.

On tego właśnie by pragnął.

Cornelius schylał się, nurkował, dygał i bopował. Głowa Campbella pojawiała się i znikła w rozedrganej masie rąk i ciał. Cornelius miał wrażenie, że nie robi żadnych postępów. Tłum był zbyt gęsty. Bardzo go to frustrowało. Murphy zagryzł więc wargi i podwoił wysiłki.

Muzyka, śpiewy, wrzaski i jazgoty, wszystko zdawało się przybierać ostateczną formę. Narastał jednostajny rytm. Na początku niewyraźny, potem coraz wyraźniejszy i ze wszystkich stron. Klaskanie i tupot stawały się coraz regularniejsze. Raz i dwa i raz i dwa.

Cornelius zauważył, że popada w rytm. Poszukał głowy Campbella - bujała się rytmicznie.

Nieco ułatwiało to sprawę, choć niewiele. Właściwie wcale. Cornelius stracił Campbella z oczu.

Raz i klask i

Raz i klask i

Śpiew i klask i

Śpiew i klask i

HU i klask i

HU i klask i

GO i klask i

GO i klask i

Tuppe podskakiwał. Na jednej nodze, na drugiej nodze. Gdzie był Cornelius? Mały człowieczek denerwował się i martwił. Wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy, jeżeli coś złego stanie się jego najlepszemu przyjacielowi. Nie wolno mu było zachować się tak mało odpowiedzialnie. Gapić się na tyłek wysokiej dziewczyny, podczas gdy Cornelius go potrzebował. Powinien się wstydzić. Wstydził się. „Zapomnę już na zawsze o tyłkach wysokich dziewczyn” - przysięgł sobie.

CHLAST! - Śmignęła go po gębie dłoń wysokiej dziewczyny.

- Co mi się gapisz na tyłek?!

Tancerze rytmicznie podskakiwali. Wyglądało to na najlepsze pogo świata. Znow przez wzgórze przetoczył się monotony lament. HUGO HUGO HUGO HUGO.

- Hugo? - zdziwił się Cornelius.

- Hugo? - spytał Tuppe.

- Hugo! - zawołała stojąca na betonowym cokole najwyższa kapłanka. Księżniczka nóg. - Hugo! - Klaskała raz za razem. - Hugo!

W powietrzu znow pojawiła się elektryczność. Coś się zbliżało. Bardzo mocno oszołomiony Tuppe rozglądał się ogłupiałym wzrokiem. Widział wyłącznie podskakujące nogi.

- Corneliusie, gdzie jesteś?

- Tutaj. - Z góry opuściła się ręka, złapała Tuppego i uniosła go.
- Dzięki Bogu - westchnął mały człowieczek. - Już się bałem, że cię zgubiłem.
- O nie. - Campbell potrząsnął gwałtownie Tuppem. - To ja bałem się, że ciebie zgubiłem.

Kurduplowaty zasańcu!

- HU-GO - skandował tłum. - HU-GO HU-GO.
- Hugo Hugo? - Dziwił się Cornelius. - Co tu się dzieje?
- Moje dzieci! - zawołała najwyższa kapłanka. - Moje dzieci, wysłuchajcie mych słów!

Muzyka, skandowanie i podskoki zamarły. Wszyscy dyszeli, sapali i pokasywali. Większość tak naprawdę niezbyt nadawała się do podobnych figli.

- Puść mniehhhhhrchch... Campbell zatkał Tuppem usta.
- Siedź cicho - szepnął mu do ucha wredny Jim - albo oderwę ci łebek.
- Moje dzieci. Dziś jest TA noc. NASZA noc. JEGO noc.
- JEGO noc - zaintonowali celebransi.

- Choć odszedł, wróci. Jego mądrość otworzy drogę przed wszystkimi z nas. Kłapki spadną nam z oczu. Ujawnione zostaną ukryte prawdy. Prawdy ostateczne.

Prawdy ostateczne? Wysoki młodzieniec patrzył nad głowami tych, których przerastał. Najwyższa kapłanka mówiła dalej. W dalszym ciągu niczego na sobie nie miała.

- Mistrz musi nam zostać zwrócony. Nam, jego następcom. Dziś odezwie się z zaświatów, a my poniesiemy jego mądrość na wszystkie strony świata. Stańmy się głosem Rune'a. Nieśmy jego słowo. Ujawniamy wszystko.

- O tak! - powiedział Cornelius. - O tak, o tak, o tak!
- O nie! - warknął Campbell. - Tylko nie to!
- Rahhhhrchchru - wycharczał Tuppe, co miało znaczyć: „Ratunku!”

- O tak! - Naga kobieta na cokole kolejny raz uniosła dłonie ku niebu. - Siłą naszej wspólnej woli sprawmy, by jego duch żył dalej! Połączmy naszą energię! Uporządkujmy myśli! Przemieńmy je w pozytywną moc! Pokierujmy nią i pošlijmy ją do niego! Pošlijmy pełne mocy myśli do Mistrza! Wylejmy je z siebie - nozdrzami! Jak katar!

- O nie ty w mordę, nigdy! - Przez tłum zaczął się przebijać łysy, niski, tęgi głos w okularach na nosie. Podszedł do cokołu i wbił wzrok w najwyższą kapłankę. Na szyi, na kawałku sznurka, miał zawieszoną okarynę, w jednym ręku trzymał wielki pistolet, w drugim karła. - Nic z tego! Złaż!

- Błuznierstwo! - zawył tłum. - Zatluc błuzniercę kijami! Campbell odwrócił się do ludzi.
- Obyczajówka! - wrzasnęła. - Wszyscy jesteście aresztowani! Wszyscy cofnęli się o krok. Zamarli ze spuszczoneymi portkami.

Potem zrobili groźny krok do przodu. Znów się cofnęli. Nie wiedzieli zbyt dokładnie, co robić. Obyczajówka czy błuznierca? Decyzja była trudna. Kilku magistrackich radnych i prawdziwych funkcjonariuszy obyczajówki wymknęło się do swoich austinów allegro. Tłum zrobił dwa kroki do przodu, potem jeden w tył.

- Skończyć mi te tańce! - wrzasnął Campbell. - Stanąc spokojnie i podnieść ręce.
- Ee, przepraszam. - Goła dama w słomkowym kapeluszu podniosła rękę i wyszła przed pozostałych.

- Tak dobrze - powiedział Campbell, machając pistoletem - ale obie ręce.
- Nie podniosłam rąk - wyjaśniła dama. - To znaczy, podniosłam jedną. Chciałabym o coś zapytać.

- Zapytać? O co zapytać?
- Naprawdę jest pan policjantem?
- W cywilu. - Campbell zachichotał. Nikt mu nie zawtórował.

- To dobrze. W takim razie chcę złożyć skargę. Kupiłam bilet na zeszłoroczną wycieczkę auto-karową, ale nie mogłam pojechać. Zapytałam organizatora, czy w związku z tym mogę w tym roku jechać za darmo. Stwierdził, że ponieważ cena w tym roku wzrosła, muszę dopłacić różnicę. Było to do przyjęcia, chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego?

- Co?
- No, jeżeli jest pan naprawdę policjantem, to dlaczego nie łapie pan prawdziwych przestępców, lecz szykanuje porządnych obywateli, którzy jedynie spełniają obrządki swego kościoła. Musi

pan wiedzieć, że to przyzwoita religia. A tylko dlatego, że tańczymy z nagimi kończynami, niektórzy ludzie...

- Zamknij się! - Campbell wystrzelił w powietrze. - Nic tu nie było śmieszne. Kłopot z wami, ludźmi, polega na tym, że nie wiecie, co jest śmieszne. My wiemy. Ja i reszta mojej rasy. Znamy świetny dowcip. Wy nim jesteście!

- Jak śmiesz! - Dama w słomkowym kapeluszu zrobiła srogą minę.

Campbell zrobił minę znacznie sroższą.

- Wy! - wrzasnął. - Wszyscy! Ten wasz świat. Wasze tak zwane społeczeństwo. Wasza tak zwana historia. Wasza sztuka i nauka. To jeden wielki żart. Zabawa. Śmiech. Z was!

- Przestań! - zawołała nieustraszona właścicielka słomkowego kapelusza. - Nie jesteś z obyczajówki. Wiem, kim jesteś.

- Oj, nie wiesz.

- Oj, wiem.

- Oj, nie wiesz.

- Oj, wie! - zawył tłum, szczęśliwy, że może dodać swoje trzy grosze.

- No, to kim on jest? - spytał pan Insparrow.

- To ten gość, no wiecie, pierwszy w Anglii dowcipniś. Wesoły kawalarz numer jeden. To Jeremy B.

- Niech mnie ściśnie, a nim, cholera, nie jestem.

- Niech mnie ściśnie, a nim, cholera, jesteś!

- To on! Na pewno! - Dama wyciągnęła palec w kierunku Campbella. - Zgolił brodę, dlatego nie poznałam go od razu. No, przyznaj się! Gdzie są ukryte kamery?

Ukryte kamery? To naprawdę dało tłumowi popalić. Dusza zbiorowa poczuła, że przygniotło ją coś podobnego do tego, na co cierpiał Adam, gdy zjadł owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego.

Rozpoczął się zmasowany odwrót. Zakrywano twarze i intymne części.

- Stać na miejscach! - rozkazał Campbell.

- Czy mógłbym zagrać w programie na moim kontrabasie ze skrzynki po herbacie? - spytał Fred Merlin.

- Nie bądź półgłówkiem, Fred. - Dama pokręciła głową. - Nowatorska muzyka to Esther, kasety Jeremy'ego, to falujący tłum i tego typu wesołe sztuczki.

- Wesołe sztuczki?! - zawył Campbell. - Zaraz ci pokażę sztuczkę! Mam tu sztuczkę! Widzisz, co trzymam w rękach? W tej wielki pistolet, a w tej szarpiącego się karzełka. Przystawię lufę do łebka karzełka, o tak i...

- Nie przystawisz. - Z tłumy wyszedł Cornelius Murphy. - Niczego takiego nie zrobisz. Zrobisz coś całkiem innego. Postawisz mojego przyjaciela na ziemi, dasz mi okarynę i pójdziesz swoją drogą. Nie obchodzi mnie, dokąd, ale sobie pójdziesz. I to natychmiast.

- Ty, ty! - Campbella zaczęły przebiegać jakby dreszcze. W górę i w dół przez jego ciało przesuwwały się przedziwne wybrzuszenia.

Tłum zaszurał nogami, zrobił krok do przodu, potem do tyłu, na koniec w bok. Był to naprawdę bardzo zdezorientowany tłum. Nie miał pojęcia, co robić.

- Widzicie? - Dama w kapeluszu znów wyciągnęła palec. - Zamiast fiutka ma cukinię! Co za dowcipniś ten nasz Jeremy.

- A więc - powiedział Cornelius, unosząc swą broń. Campbell pokręcił głową. Było na niej coraz więcej gruzłów.

Wyrastał ogródek warzywny.

- Blaaa! - jęknął tłum. Bez słowa zgodzono się, że należy zrobić krok do tyłu. Ale tylko jeden.

- Zastrzelę kurdupla!

- Wtedy ja zastrzelę ciebie. A naprawdę nie chciałbym. Jeżeli skrzywdzisz mojego przyjaciela, będę musiał.

- Pistolety nic mi nie zrobią.

- Ten robi.

- O nie!

- O tak! - zawył tłum.

- Zamknąć się!



- To bardzo szczególny pistolet - wyjaśnił Cornelius. - Niszczyciel Dewiantów Kapitana Trismegistosa. Nie sądzę, by pochodził z fabryki zabawek.

- Trismegistosa?! - Kwitnący łeb Campbella uniósł się nad resztę ciała i kilka razy obrócił w powietrzu.

- Odstaw mojego przyjaciela i oddaj okarynę. Łeb opadł na ramiona. Do góry nogami.

- Blee! - znów zawył tłum. - Iiiiiii!

Campbell wycelował w Corneliusa. Puścił Tuppego i wolną ręką chwycił okarynę.

- Wiesz, że nie mogę się z tym rozstać - powiedziały usta na czole.

- A ty wiesz, że ja muszę to dostać.

Ludzie patrzyli to na jednego, to na drugiego. Podobał im się ten pojedynek rodem z meksykańskiej granicy. Członkowie Towarzystwa Staroangielskiej Muzyki Ludowej zaczęli szukać w swym repertuarze odpowiedniej muzyki z szuflady „Tło bitewne”.

- Co powiecie na „Świst wokół mego kapelusza”? - zasugerował brodaty koleś.

- Daj mi okarynę albo pogadamy inaczej. - Cornelius pewną ręką trzymał wycelowany pistolet.

- O czym? - Campbell trzymał swój pistolet nie mniej pewną ręką. - Jeżeli strzelisz z tej odległości, zniszczysz okarynę.

- Ale ty zginiesz.

Campbell chwilę się zastanowił nad tą godną pożałowania możliwością. Jego głowa przekreśliła się i ustawiła w prawidłowej pozycji.

- To prawda, ale jeżeli nie będę miał okaryny ojca, to tylko kwestia czasu, jak mnie dogonią.

- Co powiedziałaś?

- Że to tylko kwestia czasu, jak ONI mnie dogonią.

- Nie, przedtem powiedziałaś o okarynie ojca. Co to miało znaczyć?

- To, że Hugo Rune był moim ojcem - oznajmił Campbell.

- Oooooooooooooooooo! - wrzasnął tłum. - Co?!

- Twoim ojcem? - Cornelius był przerażony. - Hugo Rune był moim ojcem!

- Oooooooooooooooooo i podwójne CO?! - wrzasnął zaskoczony tłum.

- Wątpię, by byli bliźniakami - stwierdziła dama w słomkowym kapeluszu.

- Kłamiesz! - Dłoń, w której Murphy trzymał pistolet, zaczęła drżeć. - Nie jesteś moim bratem.

- Przyrodnim. - Dłoń Campbella była nieruchoma jak przysłowiowy granit. - Mamy różne matki. Twoja jest na zewnątrz, w tym świecie, moja w środku - w Strefach. Dlatego jestem tym, czym jestem. Dewiantem. Wyrzutkiem. Ani tym, ani tamtym, ale i jednym i drugim. Nienawidzę tego i tamtego. Biorę wszystko, bo to moje prawo. Dziedzictwo. Z nikim się nie dzielę, tak więc żegnaj, bracie.

Campbell odbezpieczył pistolet.

Cornelius wahał się. Sytuacja znów się zmieniła. Nie wiedział, co robić.

Campbell wiedział. Nacisnął spust.

Tuppe też wiedział, co robić. Dał potężnego susa i odtrącił na bok broń w ręku Campbella. Zerwał mu okarynę z szyi i skoczył w tłum.

- Strzelaj, Corneliusie!

- Ty kurde, ty duplu, ty! - Campbell wycelował za uciekającym Tuppem i wystrzelił.

Cornelius strzelił do Campbella.

Coś wyskoczyło z lufy blaszanego pistolecika. Wyglądało jak zygzak błyskawicy o nieznym na Ziemi kolorze i trzasnęło w powietrzu jak bicz. Chybiło Campbella, trafiło zaś w cokół pastora Kempa. Betonowy pomnik przestał istnieć.

Najwyższa kapłanka, dla której od wieków brakło kwestii, miała teraz przynajmniej co robić. Spadła na ziemię.

Niestety nie było nikogo, kto by ją złapał. Runesi rzucili się do ucieczki. W końcu co za dużo, to niezdrowo. Przybyli tu na tańce z nagimi kończynami i żeby rzucić okiem na stuletni nagrobek, a nie po to, by dostać się w krzyżowy ogień salw rozstrzygających rodzinny spór braci.

Tuppe nurkował między tą nogą, tamtą nogą i jeszcze jedną. Nigdy nie był zbyt dobrym biegaczem, ale dziś sytuacja wymagała poświęcenia.

- Wracaj! - Campbell przebijał się za Tuppem przez tłum.

- Stój, bo strzelam! - Cornelius przebijał się za Campbellem przez tłum.

Tuppe biegł co sił. Nie wiedział, dokąd biegnie, ale wiedział, że musi uciekać. Więc się nie zatrzymywał.

Kiedy las nóg się przerzedził, skoczył między drzewa. Kluczył od pnia do pnia. Trawa była wysoka i stawiała mu opór. Dyszał ciężko, ale cały czas przyciskał do piersi okarynę.

Nie był sam. Raz za razem pojawiali się ludzie. Zbierali ubrania, walczyli o to, czyje są czyje. Dante byłby w swoim żywiole.

Campbell też był w swoim żywiole. Maszerował, roztrącając napotykaną postacie na lewo i prawo.

Najwyższa kapłanka leżała na ziemi półprzytomna. Pan Insparrow był zbyt daleko, aby ją w odpowiednim momencie złapać i czuł się z tego powodu winny. Starał się to nadrobić sztucznym oddychaniem usta-usta.

- Obudź się, najdroższa - mówił czule inspektor do spraw zatrudnienia młodzieży.

Tuppe walczył. Ujrzał przed sobą płot. Poprzeczne stalowe pręty powstrzymałyby znacznie większą osobę, ale nie jego. Gdyby spojrział w górę, ujrzałby przybitą wielką tablicę, która ogromnymi, czerwonymi literami ostrzegała:

NIEBEZPIECZEŃSTWO

SKRAJ KLIFU

PRZEPAŚĆ 60 METRÓW

Niestety, nie spojrział, więc i nie przeczytał. W tym momencie księżyc zakryła wielka czarna chmura i na szczycie Star Hill zrobiło się bardzo ciemno.

- O choroba! - powiedział Tuppe, biegnąc po omacku dalej.

- A niech to cholera! - mruknął Cornelius, człapiąc w ciemnościach.

- Doskonale! - zawołał Campbell, wsadzając palec w lewe ucho i przekręcając go. Zgrzytnęły kółka zębate, w oczodołach zawirowały mu tarcze jak w jednorękim bandycie. Zamiast cyfr i symboli były na nich różne gałki oczne. Tarcze zatrzymały się na groźnie wyglądających kocich ślepiach z pionowymi źrenicami. - To już lepiej, ale dla pewności... - Pogmerał przy okularach, nastawiając je na WIDZENIE NOCNE. - Ideal!

Campbell szybko rozejrzał się po okolicy. Podczerwień działała cuda.

Na południu migotały tęczne kontury rozchodzących się uczestników obrzędu. Na zachodzie, nieopodal dymiących resztek betonowego cokołu, para kochanków zamarła w erotycznym uścisku. Na pomocy, oddalona o niecałe dwadzieścia metrów, poruszała się niepewnie samotna, wysoka, kanciasta postać Murphy'ego.

Zły Jim skierował pistolet na wysokiego młodzieńca. Strzał to pestka, koleś nawet nie zauważył, co i kiedy go trafiło.

Samotna postać nagle zachwiała się, potknęła, upadła i zniknęła z pola widzenia.

- No to potem. - Campbell opuścił broń i ruszył na wschód.

- Mało brakowało. - Głowa Corneliusa Murphy'ego uniosła się nad ziemię. Choć nie był w stanie dostrzec Campbella, czuł zapach jego i pistoletu. Jodynowaty odorek spalonego prochu strzelniczego doleciał do niego w momencie, kiedy Campbell skierował na niego lufę. Cornelius ponownie pociągnął nosem, wstał i zaczął się skradać za Campbellem. Dobrze znał zapach Tuppego i wiedział, że dewiant jest za nim tuż tuż.

Campbell był bardzo blisko za Tuppem. Szedł jego śladami bez najmniejszego trudu. Pozostawione przez gołe stopy ciepłe ślady świeciły na ziemi jak rubiny.

Tuppe zbliżał się do skraju klifu, Campbell doganiał go. Odsunął zasłaniającą mu widok gałąź i wyostrzył sobie obraz.

Różnokolorowa plama nie była duża. Ponad połowę górnej części sylwetki zakrywała okaryna.

Było tam jednak coś jeszcze. Campbell zmrużył oczy, zamrugał. Jeszcze jeden ciepły ślad - długi, bardzo blisko ziemi, skradający się do jego łupu. Kontury nie dawały jednoznacznej informacji - choć stwór zdawał się wlec na dwóch nogach, miał kształt ryby. Rekin? Jim podrapał się po łysej głowie. Obojętnie co to było, szybko zbliżało się do Tuppego. Nagle rozległo się KŁAP KŁAP KŁAPPP!

Równie nagle w całej swej okazałości ukazał się księżyc.

Cornelius ujrzał kwadratowy zad Campbella. Campbell dojrzał Tuppego - centymetry od skraju klifu. Tuppe odwrócił się na dźwięk kłapania i spostrzegł przed sobą wyszczerzone szczęki wielkiej, futrzastej ryby.

- Ręce do góry! - zawołał Cornelius.
- Nie ruszaj się! - zawołał Campbell.
- Aaaaaaa! - zawołał Tuppe.
- KŁAP KŁAP KŁAPPP. - Robiła futrzasta ryba.

W tym momencie księżyc znowu zniknął i wszystko opanował chaos.

Futrzasta ryba skoczyła w jego kierunku i Tuppe rzucił się w ciemność. Campbell odrzucił broń i skoczył na rybę. Cornelius Murphy przewrócił Campbella rzutem rugbisty. Wszystkiemu towarzyszyło mnóstwo krzyków i kłapania.

Księżyc ponownie oświetlił scenę, która choć nieruchoma - nie była nieciekawa.

Tuppe wisiał w powietrzu, mniej więcej pięćdziesiąt osiem metrów nad osiemnastym dołkiem pola golfowego. Ścisnął okarynę, tkwiącą pewnie w szczękach futrzastej ryby. Campbell zwiślał połową ciała z krawędzi klifu i trzymał rybę za ogon. Cornelius Murphy obejmował Campbella wokół kolan.

- Tuppe, jesteś tam? - Cornelius robił, co mógł, by utrzymać połączony ciężar.
- Corneliusie, pomóż mi!
- Możesz wspiąć się na górę?
- Nie. Możesz mnie wciągnąć? Cornelius spróbował.
- Nie. Chyba nic z tego.
- Szkoda.

- Sądzę, że powinniśmy puścić kurdupła. - Głos dobiegł z lewego poślodka Campbella, który nosił teraz rysy jego twarzy. Były pingie i wszystko - jak należy.

Cornelius odwrócił się za siebie przerażony. Nic go nie trzymało.

- Puść go, to ja cię puszcę - oznajmił okropnej gębie.

- Mam okarynę! - wołał Tuppe. - Choć do spółki z rybą.

- Więc mocno trzymaj, bracie - stwierdziła paskudna gęba. Cornelius ześlizgnął się nieco bliżej skraju. Wbił palce stóp

w ziemię i wyteżył wszystkie siły.

- Corneliusie, pomóż mi!

- Próbuję.

- Długo już nie wytrzymam. Ryba ślini się i wszystko spada na mnie.

- Już po nim, brachu. Spróbujmy uratować rybę. - Paskudna gęba uśmiechała się złośliwie.

- Gdzie jest mój ojciec? - Cornelius czuł, że pękają mu paznokcie u nóg.

- Chcesz powiedzieć „nasz ojciec”?

- Gdzie on jest?

- Wciągnij mnie, to ci powiem.

- Tuppe! - zawołał Cornelius. - Szykuj się do skoku!

- Co?

- To jest to - szepnęła twarz. - Zmniejszyć ciężar.

- Czy mój ojciec żyje? Mów! Twarz zaczęła się śmiać.

- Skacz, Tuppe! Zaufaj mi i skacz! - Z tymi słowami Cornelius puścił nogi Campbella. Twarz zrobiła bardzo zdziwioną minę, nogi śmignęły i Campbell poleciał w dół. Cornelius podczołgał się do skraju. - Tuppe, wracaj! Natychmiast!

Tuppe spadał, machając jak szalony rękami i nogami. Za nim leciała wielka futrzasta ryba, do jej ogona przyczepiło się coś brzydkiego i rozdętego.

- Ratuuuuuunkuuuuu!

- Daj go tu i to już! - krzyknął Cornelius i wyciągnął ręce. Wszystko runęło w dół, coś jednak skoczyło w górę.

Coś czarnego i zimnego owinęło się wokół nadgarstków Corneliusa.

Złapał to i zaczął z całej siły ciągnąć.

Tuppe przestał spadać. Ryba, okaryna i nadymające się świństwo przeleciało obok i spadało coraz niżej, niżej i niżej, Tuppe jednak zaczął się wznosić. Poruszał się w górę wzdłuż pionowej ściany.

Spadanie z wysokości sześćdziesięciu metrów nie zajmuje wiele czasu. Kilka krótkich sekund. Wystarczająco długo jednak, by przekląć Murphy'ego albo połknąć okarynę.

Potem rozlega się PŁASK!

Campbell i futrzasta ryba spadli na osiemnasty trawnik municypalnego pola golfowego. Zadołkowali za pierwszym razem. PŁASK uczyniło sporo zniszczeń.

Cornelius wciągnął Tuppego na górę. Oczka małego człowieczka przyglądały mu się z wielkim zdziwieniem.

- Jak? - spytał Tuppe.

Cornelius posadził przyjaciela w bezpiecznym miejscu.

- Naprawdę niewiele brakowało.

Wielki księżyc w pełni rozjaśniał całe Star Hill.

Cornelius siedział gołym tyłkiem w ostach. Stękał i pojękiwał.

- Chyba widzieliśmy ostatniego z Campbelli - sapnął. Tuppe przyglądał się przyjacielowi.

- Mogłem zginąć. Puściłeś mnie.

- To było kalkulowane ryzyko.

- Kalkulowane co? Ty dra...

- Tuppe, nie było innej możliwości. Dłużej bym cię nie utrzymał. - Cornelius wyciągnął z zadka kolec. - Musiałem zaufać twojemu magicznemu cieniowi. Mnie raz uratował, wydawało się więc logiczne, że zrobi to samo dla ciebie.

- A co by było, gdyby tego nie zrobił?

- Wtedy skoczyłbym za tobą w dół i kazał rozstrzygnąć problem Bogu.

- Zrobiłbyś to? - Tuppe spojrzał przyjacielowi w oczy. Były w nich łzy i powiedziały Tuppemu wszystko, co chciał wiedzieć.

Znaleźli swoje ubrania i włożyli je.

- Przykro mi z powodu okaryny - mruknął Tuppe. - Robiłem, co mogłem.

- Wiem. Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Poszli do samochodu. Cornelius wsadził do kieszeni pistolet od Arthura Kobolda.

- Mam panu Koboldowi co nieco do powiedzenia. Tacie też.

- Wierzę.

- Możliwe, że jeszcze coś na tym wszystkim zarobimy. Nie wszystko stracone.

- Miło mi to słyszeć.

Cadillac stał tam, gdzie go zostawili - na skraju pola golfowego. Pięknie migotał w świetle księżycy.

- Śliczny wóz - stwierdził Tuppe. - Twój, prawda?

- Prezent urodzinowy. Miałem nadzieję dostać allegro, ale cóż.

- Zawsze możesz zamienić. Cornelius uśmiechnął się.

- Jedziemy do domu?

- Jedźmy. Wystarczy jak na jedną noc.

\*\*\*

Szczyt Star Hill owiewał lekki wiaterek. Poruszył trawę. Podwiał skraj porzuconej jednej i drugiej jedwabnej tuniki, trącił strunę arcylutni, czy może chitarrone. Wwiał kilka ziaren drobnej ziemi do dziury, gdzie jeszcze niedawno stał betonowy cokół. Kurz spadł na podeszwy wiekowych butów ze sklepu dla duchownych.

- Halo - odezwał się cicho zduszony głos. - Czy to już dzień Sądu Ostatecznego? Halo? Halo!

21

- Jedźmy. - Cornelius przekręcił kluczyk. EE EE EE E - wystękał cadillac eldorado.

- Wspaniale.

- Brakuje paliwa? - spytał Tuppe.

- Niemożliwe. Chyba że ktoś ściągnął benzynę, wysiadł i zaszedł samochód od tyłu.

- Aha! - Schylił się i coś podniósł.

- Cornelius

- Co masz?

- Brukselka. Jakiś dowcipniś wetknął ją w rurę. - Cornelius rzucił warzywo Tuppemu i ten złapał je w locie.

- Nienawidzę brukselki. - Tuppe pstryknął warzywo palcem. - Ta w dodatku gnije. - Odrzucił warzywo Corneliusowi, ten się jednak schylił i zielona kulka spadła na tylne siedzenie.

- Jedźmy do domu. - Cornelius zasiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Silnik kaszlnął i zapalił. Cadillac potoczył się w dół, ku drodze.

- Bardzo mi szkoda tej okaryny - stwierdził Tuppe. - Tyle szmalu na wyciągnięcie ręki.

- Mimo to świetnie sobie poradziliśmy. Mamy dokumenty od Rizli, a przybrany tata da nam resztę. Pan Kobold nieźle zapłaci. Zażądam też nagrody, którą oferował za Campbella.

- Oczywiście, co jednak sądzisz o swoim prawdziwym tacie? Myślisz, że żyje?

- Na pewno. Campbell był o tym przekonany. Jakoś odnajdę Hugona Rune'a.

- O nie!

- Na pewno. - Cornelius popatrzył na Tuppego. - Ten głos! Jak to zrobiłeś?

Tuppe wzdrygnął się.

- Nic nie robiłem. Ooo, Corneliusie!

Murphy popatrzył w lusterko. Z tylnego siedzenia unosiło się coś przerażającego, jasnozielonego. Wyływało z brukselki i rosło. Przybierało kształty Campbella.

- O nie! - Cornelius wcisnął gaz do deski.

- Ha ha ha ha ha! - zawołał podochocony zielony Jim. - A tak poza tym, to już po was!

- Jeszcze nie. - Cornelius w dalszym ciągu przyciskał nogę do podłogi i cadillac nabierał prędkości. Zjechali z drogi prowadzącej na pole golfowe i wjechali na plac, gdzie zawracały autobusy. Stał tam całkiem samotny, czarny kolczasty VW. Przez pęknięcie w masce para przestraszonych oczu przyglądała się nadjeżdżającemu samochodowi.

- O nie - jęknął Felix Henderson McMurdo. Campbell skoczył do przodu i capnął Corneliusa za włosy. Cornelius kurczowo chwycił kierownicę.

- Pistolet, Tuppe! Zastrzel go! Przestraszony Tuppe nie wiedział, co robić.

- A gdzie on jest?

- U mnie w kieszeni. Aua! - Campbell szarpnął jego głowę do tyłu. - Szybciej, Tuppe, nic nie widzę!

- Uważaj! Zaraz się zderzymy! - Tuppe złapał kierownicę i szarpnął nią w prawo. Cadillac wpadł w poślizg i uderzył volkswagena bokiem. W górę buchnęła chmura iskier i VW przewrócił się na dach. Pognali dalej.

- Mój pieprzony samochód! - zawył Campbell. - Ty wandalu!

- Odczep się ode mnie! - Cornelius wyrывał się jak szalony. - Puszczaj!

- Nic z tego. - Campbell otworzył paszczę. Zawiało rybim chłodem, kłapnęły okropne, ostre jak szpilki, rekinie zęby. KŁAP, KŁAP, KŁAP.

- Daj pistolet, Tuppe!

- I równocześnie mam jeszcze prowadzić, co?

- Wymyśl coś. Aua!

Campbell wyrwał mu kawał czupryny.

- Strzyżenie, sir? - zarechotał. - Przyciąć na górze?

- Tuppe, ratuj!

Mały człowieczek wdrapał się przyjacielowi na kolana. Nie mógł równocześnie prowadzić i szukać pistoletu, zrobił więc coś bardzo odważnego. Skoczył przyjacielowi na ramiona i wbił Campbellowi palec w oko.

- Masz!

- Aua! - Campbell poleciał do tyłu. W każdej dłoni trzymał kępę czarnych włosów.

- Aua! - Cornelius poleciał do przodu, zrzucając Tuppego na podłogę. Złapał ponownie kierownicę. Cadillac jechał wężykiem, ocierając się niemal o zaparkowane samochody. Śmignął obok „Nóżek Mojej Żonki” i pognął dalej.

Campbell odzyskał równowagę i znów zamierzał dobrać się do Corneliusa. Uniósł zakończoną szponami rękę, jakby żywcem wziętą z futrzastej ryby i zaatakował kierowcę.

- Znajdź pistolet, Tuppe! Szybko!

- Staram się. - Tuppe sprawdzał kieszeń po kieszeni. Nie było to takie proste. - O! Mam!

- No to strzelaj. Oooooo. - Campbell znów wplątał pazury we włosy Murphy'ego i wyciągał go z fotela. Cornelius puścił kierownicę i wóz znów zaczął się zataczać od brzegu do brzegu jezdni.

- Tuppe, strzelaj! - Cornelius walczył. Wił się. Rzuczał i kopał. - Zastrzel go, Tuppe! Tuppe?

Tuppe nie odpowiedział.

Przed chwilą Cornelius kopnął go prosto w podbródek i Tuppe stracił przytomność. Leżał na podłodze jak betka.

Dokładnie mówiąc, na pedale gazu.

Cadillac z łoskotem przejechał kilka czerwonych świateł i zbliżał się do drogi szybkiego ruchu. Obtarł się o kilkanaście parkujących samochodów, tracąc masę delikatnych elementów i sporo błyszczącego lakieru. Jechał jednak dalej.

Łapska Campbella zaciskały się na gardle Corneliusa.

- Zegnaj, bracie - wycharczał zły Jim.

- Hrehch - odparł Cornelius, walcząc o powietrze. Szpony zaciskały się. Cornelius czuł, jak oczy występują mu z orbit. Zaczęła ogarniać go ciemność. Zbliżał się koniec. Potwór, który śmiał twierdzić, że jest jego przyrodnym bratem, właśnie wyduszał z niego resztki życia. Z niego. Z materiału na eposy. Tak nie mogło być. Naprawdę nie mogło? Przecież dopiero co rozpoczął swą eposową karierę...

Szpony zamknęły się na szyi Corneliusa i w tym momencie ujrzał światło.

Campbell też je ujrzał.

Oślepiające światło. Sunęło ku nim. Oświetlało całą jezdnię, niebo i frontony sklepów, migotało kolorami, jakie niewiele widziało.

Campbell zamarł w przerażeniu.

- Trismegistos!

JABBA DABBA DUU... Pociąg gnał przed siebie. Z trzaskiem i klekotem podzespołów. Cała naprzód. Komin wypluwał chmury iskier pochodzących od wyładowań elektrycznych. Wirujące w środku komina, przebite gwoździemi piłki tenisowe modulowały dopływ cząsteczek beta z generatora pozytronowego. Przez odgłosy napędu przebijał się syk transponderów, a mała, nakręcana myszka biegła jak oszalała w kołowrotku.

Poszczególne obwody identyfikacyjne splatały się nawzajem. Porównywały każdy szczegół znajdującej się na tylnym siedzeniu nadjeżdżającego samochodu twarzy ze zdjęciem w szczelinie A.

Uznały, że twarze są identyczne.

Uścisk Campbella natychmiast osłabł. Cornelius wyrwał się bez trudu. Podniósł z podłogi Tuppego i obydwoma stopami wcisnął pedał hamulca. Cadillac zatoczył się, hamulce zablokowały, spod opon zaczął unosić się dym i swąd palonej gumy. Cornelius zasłonił twarz ramieniem. Campbell pofrunął do przodu. Minął Corneliusa i leciał dalej. Leciał prosto na Pociąg Hermesa Trismegistosa.

JABBA DABBA DUUUUU

22

- Pewnego wieczoru w Bangkoku - ciągnęła matka - mieliśmy iść na turniej szachowy. Zgubił się jednak kierowca autokaru i trafiliśmy do małego klubiku na pomocnym brzegu rzeki Menam. Gwoździem programu był tam występ człowieka-gumy. Jego impresja pod tytułem Robak Ouroboros była porywająca. Jeszcze herbaty, panie Kobold?

- Świeżej?

- Nie, mamy jeszcze dość poprzedniej.

- W takim razie pozostanę przy tym, co mam, dziękuję. Mówiła pani, że ma ciasto?

- Nie. A pan ma?

Arthur Kobold nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ gwałtownie otworzyły się kuchenne drzwi i do środka wpadły dwie straszliwie wyglądające postacie. Jedna była wysoka, druga niska. Obie sprawiały wrażenie, jakby opiekano je w ognisku. Wysokiej zdawało się brakować sporo włosów, niska patrzyła błędnym wzrokiem.

- Corneliusie - spytała karcąco matka - cóż zrobiłeś z włosami? Tuppe, siadaj, wyglądasz jak wypluty.

- Corneliusie. - Tata wstał z fotela. - Nic wam nie jest?

- Jeszcze żyjemy. Prawie.

- Pomogę wam. - Arthur Kobold zrobił krok do przodu, aby pomóc.

- Niech pan się nie zbliża! - Cornelius pomógł Tuppemu usiąść na krześle. Matka postawiła na stole dodatkowe dwie filiżanki.

- A Campbell? - zapytał pan Kobold. - Czy on?

- Nie żyje. - Cornelius opadł ciężko na krzesło, które podstawił mu tata. - Na pewno nie żyje.

- Dobra robota.

- Niech mi pan nie dziękuje. Wpadł pod pociąg. Na drodze szybkiego ruchu.

- Chłopiec majaczy. - Matka odstawiła dzbanek z zimną herbatą. - Zadzwońię po doktora Jamesona.

- Poproś go, żeby przyniósł dużo bandazy. Pan Kobold zaraz będzie je potrzebował.

- O nie, proszę bez takich. - Arthur postanowił cofnąć się dwa kroki, ale w kuchni Murphych nie było to możliwe. Zamiast tego tragicznie splótł dłonie. - Pozwól mi wszystko wyjaśnić.

- To pana jedyna szansa.

- Nigdy cię nie okłamałem, Corneliusie. Nie powiedziałem ci jedynie całej prawdy, ale tylko i wyłącznie dla twojego bezpieczeństwa. Nie chciałem, by przytrafiło ci się coś złego. W którymś momencie nawet cię zwolniłem, pamiętasz? Kiedy sprawy przybrały groźny obrót.

- To rzeczywiście prawda.

- To ONI chcieli odzyskać Campbella i zdobyć manuskrypt. Chciałem, by odzyskali Campbella, ale oczywiście nie zamierzałem dać im dokumentów. Nigdy im nie ufałem. Kiedy uruchomili Pociąg Hermesa Trismegistosa, nie interesując się, kogo może zabić, uznałem, że muszę to ujawnić. Sprawić, by świat się o tym dowiedział.

- Poznał prawdę ostateczną?

- Tak. To dla ciebie. - Arthur Kobold wyjął z kieszeni kawałek papieru i dał go Corneliusowi. Cornelius podejrzliwie się przyglądał.

- Co to?

- Czek. Obejrzyj.

Cornelius spojrział na czek. Podał go Tuppemu. Tuppe dostrzegł sumę i gwizdnął.

- Sto tysięcy funtów! Mnóstwo pieniędzy.

- To zaliczka. Za prawa autorskie.

- Prawa autorskie?

- Do dzieł twojego ojca. Zamierzam je opublikować. Kompletne. Masz jeszcze wszystkie dokumenty? Te od brata Rizli.

- Ciekaw jestem, skąd pan o nich wie.

- Dzwoniłem do opata.

- O!

- Masz dokumenty?

- Mam, resztę ma obecny tu „tata”.

Tata uśmiechnął się. Cornelius pokręcił głową.

- A okaryna? - spytał Arthur Kobold. - Co z nią?

- Zostały z niej same okruszki.

- Szkoda, ale trudno. Możemy działać i bez niej.

- My?

- Tak, my, chłopcze. Chcę, byś pracował dla mnie. Zamierzam opublikować dzieło twojego ojca na własny koszt, ale ONI będą robić, co tylko się da, by nas powstrzymać. A mają sporo możliwości. Co ty na to?

- Nie wiem jeszcze do końca, co o tym sądzić. - Cornelius przeciągnął dłonią po brodzie. Tym razem było jasne, że ma tam drobną szczecinę.

- Będziesz miał nad wszystkim kontrolę. Będziesz doglądał strony redakcyjnej, potem edytorskiej. Co zechcesz. Bez najmniejszej wątpliwości książka stanie się światowym bestsellerem. Chyba nie uważasz zaliczki za zbyt niską? Moje zasoby finansowe nie są nieograniczone, nie poradzę sobie bez ciebie.

Cornelius popatrzył na Tuppego.

Tuppe popatrzył na Corneliusa.

- W zamian chcę dowiedzieć się wszystkiego, co wie pan o NICH.

- Jeżeli nam się uda, sam dowiesz się wszystkiego w trakcie pracy. Daj mi teraz manuskrypt, zrealizuj czek jutro z samego rana i bądź o dziesiątej u mnie w biurze. Zmienimy świat. Co ty na to? - Arthur Kobold wyciągnął dłoń, by uścisnąć rękę Corneliusa.

- Powiedziałbym, że się dogadaliśmy. - Cornelius wstał, ujął dłoń pana Kobolda i uśmiechnął się najszerzej, jak umiał.

23

Cornelius i Tuppe jedli śniadanie w „Nóżkach Mojej Żonki”. Żonka była dziś jakby nieco roztargniona. Podawała Corneliusowi zimną herbatę i pływające w kałuży tłuszczu jajko z pękniętym żółtkiem.

- Nie szkodzi. - Tuppe zsunął je na swój talerz i starł tłuszcz kromką chleba. - Zrealizuj czek i wykup ją. To powinno dać jej nauczkę.

- Tata powiedział, żebym nieco zainwestował w ubezpieczenie cadillaca.

- Możesz zrobić to potem.

- Tak, zrobię to zaraz po tym, jak skończymy rozmowę z Arthurem Koboldem. Ta sprawa jeszcze się nie skończyła.

Michael Upton-Barlow, młodszy urzędnik bankowy (pan Insparrow był zachwycony, że udało mu się umieścić go na tym stanowisku) patrzył przez kuloodporne okienko na zbliżającego się Corneliusa. Chodzili do tej samej klasy, ale nigdy się nie przyjaźnili. Michael uważał, że Cornelius jest nikim, Cornelius uważał Michaela za prostaka.

- Chciałbym zrealizować czek. - Cornelius położył czek pana Kobolda na kontuarze przed okienkiem.

Michael popatrzył na czek i przeniósł wzrok na naszego wysokiego bohatera.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Cornelius uśmiechnął się miło.

- Zamienić go na gotówkę, tak? - Michael nie odwzajemnił uśmiechu.

- Gdybyś był tak uprzejmy. Jeżeli potrzebujesz jakiegoś dokumentu potwierdzającego tożsamość, oto moja legitymacja biblioteczna.

- Jak mam wypłacić pieniądze?

- Poproszę w banknotach pięćdziesięciofuntowych.

- W banknotach pięćdziesięciofuntowych. - Prostak rozparł się w swoim krzeselku. - Nie w chichotach? Ani w parsknięciach? Także nie w prychnięciach?

- Słucham?

- Spadaj stąd! - Michael odsunął od siebie czek. - Jesteś nikim.

- Co? - Cornelius wziął do ręki czek. Miał wrażenie, że wygląda nieco inaczej niż przed chwilą. W rzeczywistości wyglądał zupełnie inaczej. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą napisane było 100 000 FUNTÓW SZTERLINGÓW widniało teraz: BANK ŚMIECHOLANDII. Okaziciel miał otrzymać po jego okazaniu sto śmiechów.

- No to może zaczę już chichotać, co? - spytał Michael Upton-Barlow. - He he he he he.

Cornelius zmył się do samochodu jak niepyszny. Pan Sites, stróż parkingowy, wtykał właśnie mandat za wycieraczkę.

- Przesuń się, Tuppe.

- Już. Co się dzieje? Gdzie pieniądze? Cornelius wskoczył do samochodu.

- Nie ma pieniędzy. Arthur Kobold oszukał nas.

- Co za zdradziecki drań.

- A może jeszcze więcej. Daliśmy mu się złapać na lep. Nigdy nie zamierzał opublikować manuskryptu. Od początku pracował dla straszycy ze Stref Zakazanych. - Cornelius uruchomił silnik i nie patrząc w lusterko - wyjechał. Zapiszczały za nim hamulce. Wpadło na siebie kilka austinów al-legro. Cornelius z całych sił wcisnął pedał gazu.

Tuppe wpił się palcami w siedzenie.

- I co teraz? Wszystko stracone. Okaryna, manuskrypt, pieniądze. Nawet niemal zupełnie straciłeś włosy.

- Jedziemy do niego. Jeszcze nie skończyliśmy.



Trudno było spodziewać się czegoś innego, ale ponieważ byli zdesperowani, łudzili się nadzieją. Widok mocno ich rozczarował.

Oficyna Arthur Kobold Publications nie istniała, sądząc po rusztowaniach i walącej się fasadzie - od dawna.

- Jesteś pewien, że to tutaj?

- Niech to jasny gwint! - Cornelius walił pięściami w kierownicę. - Niech to, niech to! Niech to!

Tuppe z trudem wysiadł z samochodu i zaczął przyglądać się ruinie.

- Tu miał biuro?

Cornelius westchnął i dołączył do przyjaciela.

- Tutaj.

- Wygląda, jakby wyprowadził się stąd ze sto lat temu. Jak oni to robią?

Cornelius wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale się dowiem. - Zrobił krok w kierunku kruszącego się muru. Spomiędzy desek posypał się ceglany pył. Ostrzeżenie było jednoznaczne i wyraźne.

- Niech to! - powtórzył Cornelius.

- Może nie są nam przeznaczone bogactwo i sława? Cornelius podniósł z ziemi kawał cegły i zważył go w dłoni.

- Pokonam ich. Jakoś to zrobię. Pokonam Kobolda i te stwory ze Stref. Odnajdę swego tatę i wygram. Jakoś tego dokonam. Jakoś.

- Jestem tego pewien, Corneliusie. Wierzę w ciebie.

- Dziękuję, Tuppe. - Cornelius poklepał swego towarzysza po ramieniu.

- Ale co teraz? Wydałem ostatnie pensy na śniadanie. Jesteśmy splukani.

- Przyznaję, że mogą być pewne trudności.

- Możemy założyć zespół.

- Zespół?

- Oczywiście. Śpiewać za jedzenie.

- Śpiewać za jedzenie? Tuppe, jesteś geniuszem. - Cornelius zaczął się śmiać. - To jest to! Dokładnie!

- Naprawdę? Co?

- To. Tutaj! - Cornelius wskazywał na coś palcem.

- Nic nie widzę. Cornelius podniósł przyjaciela.

- To.

- Aha. To. - Tuppe nie wierzył własnym oczom. Wciśnięta za przednie siedzenie, całkowicie zapomniana w całym tym zamieszaniu, tkwiła elegancka, solidna skrzynka z maszyną do karaoke. Z naprawioną maszyną do karaoke, gotową do grania hitów z przyszłości.

- Jesteśmy ustawieni. - Tuppe przelazł na tylne siedzenie i skakał podniecony. - To znaczy, ty jesteś ustawiony.

- My. Jesteśmy współnikami. „Murphy & Tuppe - tekściarze gwiazd”. Chyba będę musiał się uczesać.

- A ja kupię sobie buty na wysokiej podeszwie. Cornelius Murphy wskoczył z powrotem do samochodu.

- A Arthur Kobold dostanie to, na co zasłużył. - Cornelius zamachnął się trzymaną w dłoni cegłą i rzucił ją w rusztowanie. - Chodź.

EE EE EE EE EEE - jęknął cadillac.

- Czyżby znowu brukselka? - spytał Tuppe.

- Nie! - Cornelius trzasnął dłonią w kierownicę. - Tym razem naprawdę nie ma paliwa.

- A co to za dźwięk? - Tuppe skłonił się w kierunku, skąd dobiegał. Był to cichy basowy pomruk. - Wcale mi się nie podoba.

- O cholera! - Cornelius uniósł się w fotelu. - Odrywa się kawał ściany. To pewnie od trafienia cegłą.

Cornelius miał rację. Rusztowanie trzęsło się i falowało. Spadały pierwsze deski. Od ściany odpadały cegły. Jedna trafiła w maskę cadillaca.

- Łap maszynę do karaoke! - krzyknął Tuppe.

Cornelius przechylił się przez oparcie fotela i zaczął wyrywać skrzynkę. Tkwiła na swoim miejscu bardzo mocno.

- Tuppe, pomóż!

Tuppe pospieszył z pomocą. W siedzenie tuż obok nich uderzyła drewniana belka.

- Wsiadaj, Tuppe. Zostaw ją.

- Puszczaj. Czuję to!

- Zostaw ją. - Cornelius złapał Tuppego za ramię i wyciągnął z samochodu. Jeszcze sekunda, a byłoby za późno. Kiedy uciekali, cały należący do Arthur Kobold Publications majdan - i bez wątpienia także kuchenne graty - zwałił się na cadillaca ze strasliwym, rozrywającym duszę, niszczącym maszyny do karaoke, łomotem. BUM, BABACH i ŁUBUDU.

A może jeszcze więcej.

Zanim robotnicy posprząтали, na słonecznym popołudniowym zegarze dochodziła druga.

Tuppe i Cornelius siedzieli na skraju drogi i spoglądali z troską na mechanika Marka (nie spokrewnionego z Mikiem), wciągającego na ciężarówkę smętne resztki niedawno jeszcze tak dumnego cadillaca eldorado.

- Przykro mi, chłopaki - powiedział, wycierając dłonie w tradycyjną tłustą szmatę. - Nadaje się tylko do kasacji. Jedyne, co mogę dać, to ładniaka za złom.

- Ładniaka? - nie zrozumiał Tuppe.

- Ładniaka pięćdziesiątka. Pięć dych funciaków. Cornelius jęknął.

- Bierzemy - stwierdził Tuppe.

- O nie, nie bierzecie - odparł ze śmiechem Mark. - Za ściągnięcie wraka biorę pięć dych, jesteśmy więc kwita.

Cornelius jęknął ponownie.

- Ale nie martwcie się - dodał Mark. - Zakład ubezpieczeniowy bez dyskusji wypłaci wam odszkodowanie.

- Pozwól teraz mnie, Corneliusie. - Tuppe jęknął za niego.

- No tak - mruknął Mark. - Życie takie już bywa. Wyjąłem wasze rzeczy. Nie jest tego wiele - mapa i plan miasta. No i trzydzieści długopisów, leżały pod siedzeniem kierowcy. Śmieszne, gdzie się je znajduje, a nigdy nie ma ich pod ręką, kiedy są potrzebne. Ciekawe, dlaczego tak się dzieje.

- Nie pytaj - powiedział Cornelius, chowając twarz w dłoniach.

- Cóż, no to lećcie. Na razie, chłopaki.

- Na razie - powiedział Tuppe. - Szczęścia.

- Wam też. - Mark poszedł do ciężarówki i niedoszli eposowi podróżnicy przyglądali się odjeżdżającemu wrakowi cadillaca.

- Cholera! - krzyknął Cornelius. - Cholera, cholera, cholera!

- Cóż, to by chyba było na tyle. - Tuppe rzucił odzyskane z samochodu rzeczy na ziemię. - Wszystko straciliśmy. Okarynę, manuskrypt, czek, maszynę do karaoke i cadillaca.

- Ja większość włosów. - Cornelius przeciągnął po łysych miejscach. - Nie zapominaj o włosach.

- Nie zapominam, nie chciałem tylko o nich wspominać.

- Może jest w tym wszystkim jakiś morał? - Cornelius się przeciągnął.

- Może. - Tuppe wsadził do kieszeni garść długopisów. - Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą? - zaproponował jękliwie.

Cornelius zaczął się śmiać. Tuppe przewrócił oczami.

- Cieszę się, że nie straciłeś poczucia humoru.

- Jestem. O jestem. - Cornelius schylił się i podniósł z ziemi mapę i plan Londynu.

Plan Rune'a. Plan, na którym wielki człowiek zaznaczył wszystkie miejsca, w których znajdują się wrota prowadzące do Stref Zakazanych. Zaznaczył wyraźnie, może z nadzieją, że pojawi się jakaś eposowa postać, która odnajdzie okarynę, wydobędzie z niej magiczne dźwięki, otworzy wszystkie wrota po kolei i wygrzebie ze Stref ukryte tam skarby.

Mieli także mapę Wielkiej Brytanii, na której Cornelius narysował zarówno przebytą przez nich w trakcie eposowej podróży trasę, jak i miejsca, w których się zatrzymywali. Dzięki temu mieli dokładny plan budowy okaryny.

Cornelius popatrzył na Tuppego.

Tuppe popatrzył na Corneliusa.

I nagle obaj zaczęli się śmiać.